

ILONA
ANDREWS

POŻOGA



ILONA ANDREWS

UKRYTE DZIEDZICTWO • TOM 3

POŻOGA

PRZEŁOŻYŁA

DOMINIKA SCHIMSCHEINER

fabryka słów[®]

LUBLIN – WARSZAWA

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Cykl Ukryte Dziedzictwo

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Epilog

Podziękowania

CYKL
UKRYTE DZIEDZICTWO



1. Płoń dla mnie
2. Biały żar
3. Pożoga

*Anastazji i Helen.
Mamy nadzieję, że się Wam spodoba.*



1

Kiedy życie zadaje ci cios, zawsze jest to cios niespodziewany. Nie przewidzisz, skąd nadejdzie. W jednej chwili idziesz sobie spokojnie, dumając nad swoimi niewielkimi zmartwieniami, snując w duchu plany na przyszłość, a w następnej zginasz się wpół, zwiając z bólu, ogluszony, roztrzęsiony, z kotłowaniną przerażających myśli w głowie.

Na drzwiach wisiał wieniec bożonarodzeniowy. Na moment zamarłam z ręką nad panelem zamka cyfrowego. No tak. Święta. Jeszcze tego ranka tarzałam się w śniegu przed górską chatą z najniebezpieczniejszym człowiekiem w Houston. A potem Rogan dostał SMS-a od swojego specjalisty od inwigilacji. Sześć godzin później rozczochna, w ubraniach pomiętych pod ciężką zimową kurtką, stałam przed wielkim magazynem, w którym mieszałam z rodziną. Zaraz miałam wejść do środka i przekazać fatalne wieści. To, co miało nastąpić później, również nikomu się nie spodoba. Ze względu na niedawne wydarzenia postanowiliśmy nie robić sobie w tym roku prezentów. A tu proszę, nie dość, że nie pojawiłam się na wigilii, to jeszcze przynosiłam bliskim najgorszy prezent na świecie.

Najważniejsze to nie panikować. Jeśli ja poddam się panice, to pociągnę za sobą siostry i kuzynów. A mama ze wszystkich sił będzie starała się wybić mi z głowy jedyne rozsądne rozwiązanie tej okropnej sytuacji. Zdołałam utrzymać na wodzy rozszalałe emocje przez całą drogę z chaty na lotnisko, podczas lotu prywatnym samolotem oraz śmigłowcem z lotniska na lądowisko znajdujące się kilka przecznic od domu. Teraz jednak strach i nerwy zaczynały mnie ponosić.

Odetchnęłam głęboko. W okolicy magazynu panował ruch. Nie taki, jak kilka dni wcześniej, kiedy rozwiązywałam sprawę zabójstwa żony Corneliusa Harrisona, maga zwierząt, obecnie pracownika Agencji Detektywistycznej Baylorów, ale i tak dość spory. Kwesie bezpieczeństwa Rogan traktował po drakońsku. Zakochany we mnie uznał, że mój dom nie spełnia wymogów odpornego na atak azylu, dlatego wykupił hektary terenów przemysłowych wokół naszego magazynu i zmienił je we własną bazę wojskową.

Kręcący się wokół ludzie nosili cywilne stroje, ale nikt by się nie nabrał na te kostiumy, wojskowość wychodziła z nich każdym porem. Każdy służył w takich czy innych jednostkach zbrojnych; nie chodzili, tylko przemieszczali się z punktu A do punktu B, w obranym kierunku i konkretnym celu, mieli czyste, porządne ubrania, krótko przycięte włosy i zwracali się do Rogana per „majorze”. Ja, kiedy się z nim kochałam, nazywałam go Connorem.

Z ulicy dobiegł niegłośny trzask. Przypomnił mi chrupnięcie kręgów szyjnych Davida Howlinga. Prawie usłyszałam chrzęst kości, kiedy mocno przekręciłam mu głowę na jedną stronę. Oczyma duszy ujrzałam, jak Howling upada, i zalała mnie panika. Pozwoliłam jej się spiętrzyć i czekałam, aż fala opadnie. Sprawa morderstwa Nari Harrison była paskudna i obfitowała w przemoc, a na końcu jeszcze zabójczynię na moich oczach pożarły szczury, przywołane przez oplakującego żonę Corneliusa. Tę scenę niemal co noc przeżywałam od nowa w koszmarach.

Nie chciałam wracać do tego świata. Nie teraz. Pragnęłam być poza nim jeszcze przez chwilę, jeszcze troszkę.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć w stronę, skąd dobiegał dźwięk. Zbliżał się do mnie były wojskowy, około czterdziestoletni mężczyzna o pooranej bliznami twarzy. Szedł, prowadząc na bardzo cienkiej smyczce gigantycznego grizzly. Na uprzęży niedźwiedzia znajdowała się plakietka z napisem „Sierżant Miś”.

Mężczyzna rozprostował lewe ramię, przekręcając je z chrupnięciem, które wywołało u mnie dreszcz. Pewnie jakiś stary uraz.

Niedźwiedź zatrzymał się, skupiając na mnie ślepią.

– Bądź grzeczny – upomniął go mężczyzna. – Proszę się nie bać, chce się tylko przywitać.

– Nie boję się. – Podeszłam do zwierzaka. Potężna bestia schyliła się nade mną, obwąchując mi włosy. – Mogę go pogłaskać?

Mężczyzna popatrzył na Sierżanta Misia, który wydał z siebie niski pomruk.

– Mówi, że nie ma nic przeciwko.

Wyciągnęłam rękę i ostrożnie pogładziłam kudłaty kark.

– Skąd tu niedźwiedź?

– Ktoś wpadł na genialny jego zdaniem pomysł stworzenia inteligentnych, magicznych niedźwiedzi, które mogłyby walczyć – wyjaśnił mężczyzna. – Problem w tym, że wraz z inteligencją budzi się samoświadomość a wtedy taka istota może się sprzeciwić wykonywaniu rozkazów. Sierżant Miś jest pacyfistą. Ta smycz to tylko po to, żeby ludzie nie wariowali. Major kupił go dwa lata temu. Major jest zdania, że nie powinno się przymuszać do walki nikogo, kto przemoc uważa za nieetyczną, nieważne, czy to człowiek, czy niedźwiedzia.

– Skoro tak, to czemu tu jesteś? – zapytałam grizzly.

Zwierz parsknął i spojrzał na mnie czekoladowymi oczyma.

– Proponowaliśmy mu ładny kawałek terenu na Alasce na własność, ale mu to nie pasowało. Mówi, że to nuda. Trzyma się z nami, obżera się produktami zbożowymi,

które mu szkodzą, a w soboty ogląda kreskówki. I filmy. Uwielbia „Księgę dżungli”.

Czekałam na znajome brzęczenie magii – dowód, że facet robi sobie ze mnie jaja, ale się nie doczekałam.

Sierżant Miś stanął dęba, przesłaniając słońce, i objął mnie kudłatymi łapskami. Wcisnęłam twarz w morze futra i oddałam uścisk. Staliśmy tak przez chwilę, a potem grzizzly opadł na cztery łapy i podjął wędrówkę, ciągnąc po ziemi swoją smycz.

Spojrzałam pytająco na mężczyznę.

– Widać wyczuł, że potrzebujesz otuchy – wyjaśnił. – Miś przesiaduje najczęściej w kwaterze główniej, możesz go tam odwiedzić.

– Nie omieszkam.

Wcisnęłam wreszcie sekwencję cyfr na klawiaturze zamka. Właśnie przytulałam się z gigantycznym, superinteligentnym niedźwiedziem pacyfistą. Poradzę sobie. Ze wszystkim sobie poradzę. Muszę tylko wejść do środka i zwołać naradę rodzinną. Zresztą i tak zbliżała się pora obiadu. A w niedzielę wszyscy powinni być w domu.

Otworzyłam drzwi i weszłam do niewielkiej przestrzeni biurowej, siedziby naszej agencji detektywistycznej. Krótki korytarzyk, trzy gabinety po lewej, salka konferencyjna i pokój socjalny po prawej. Pokusa, żeby ukryć się w swoim gabinecie, omal mnie nie zatrzymała, ale z uporem przemierzyłam korytarzyk aż do kolejnych drzwi, prowadzących do prawie trzystumetrowej przestrzeni mieszkalnej. Gdy sprzedaliśmy dom, żeby pozyskać pieniądze na leczenie taty, przenieśliśmy się do magazynu. Wydzieliliśmy z hali trzy strefy – biurową, mieszkalną i warsztatową, odgradzoną od tej środkowej wysoką ścianą. W warsztacie babcia Frida pracowała nad przystosowaniem opancerzonych i bojowych pojazdów na potrzeby houstońskich elit magicznych.

Zułam buty i pomaszero瓦łam przez labirynt pomieszczeń. Na ścianach wisiały girlandy. Siostrzyczki nie próżnowały.

Z kuchni dobiegały przyciszone głosy. Mama... Babcia. Dobrze. Będzie szybciej.

Minęłam wielką choinkę ustawioną w pokoju dziennym, wkroczyłam do kuchni i znieruchomiałam.

Mama i babcia siedziały przy stole, ale krzesło obok tej ostatniej zajmowała młoda kobieta. Wiotka jak wierzba i piękna, o twarzyczce w kształcie serca, okolonej falami przeczudnych rudych włosów, oraz o oczach tak szarych, że wydawały się srebrne.

Krew ścięła mi się w żyłach.

Rynda Charles. Cóрка Olivii. I była narzeczona Rogana.

– Pamiętasz mnie? – zapytała łamiącym się głosem. Miała zapuchnięte powieki, poszarzałą cerę i zbieła usta. – Zabiłaś mi matkę.

Jakimś cudem moje wargi wyartykułowały słowa:

– Co tu robisz?

Rynda otarła łzy i spojrzała na mnie z rozpaczą.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Otworzyłam usta. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Mama zrobiła minę i wskazała brodą krzesło przy stole. Upuściłam torbę na ziemię i usiadłam.

– Pij, dziecko, pij. – Babcia Frida przesunęła parujący kubek w stronę gościa.

Rynda podniosła naczynie i napiła się, nie spuszczając ze mnie wzroku. Rozpacz w jej oczach zmieniła się z wolna w panikę. No tak.

Przymknęłam powieki, wciągnęłam powietrze do płuc, do brzucha, na moment wstrzymałam oddech i wypuściłam. Raz... dwa... trzy... Spokój... Spokój...

– Nevado? – zaniepokoiła się babcia.

– Rynda jest empatką w stopniu Magnusa – wyjaśniłam. – Jestem zdenerwowana, więc przejmuję moje emocje.

– A to dobre – parsknęła Rynda, a ja w tym krótkim śmiechu usłyszałam jej matkę.

Pięć... sześć... Wdech, wydech... Dziesięć. Cóż, musi wystarczyć.

Uniosłam powieki i spojrzałam na Ryndę. Przykazałam sobie panować nad emocjami i głosem.

– Twoja matka zabiła cały oddział żołnierzy Rogana oraz czwórkę prawników, w tym dwie kobiety w twoim wieku. Zamordowała ich niczym niesprovokowana. Przez nią mężowie tych kobiet są teraz wdowcami, a ich dzieci półsierotami.

– Nie ma ludzi jednowymiarowych – rzekła Rynda, odstawiając kubek. – Ty uważasz ją za potwora, ale dla mnie była matką. I cudowną babcią dla moich dzieci. Bardzo kochała wnuki. W przeciwieństwie do mojej teściowej, której są obojętne. Teraz nie mają babci.

– Przykro mi z powodu twojej i ich straty. Żałuję, że sprawy przybrały taki obrót. Ale sama była sobie winna. – Boże kochany, mówiłam jak moja matka.

– Nie wiem nawet, jak umarła. – Rynda złożyła i zacisnęła dłoń. – Oddali mi tylko jej kości. Jak umarła moja matka, Nevado?

Nabrałam tchu.

– Nie szybko i nie lekko.

– Zasluguję na to, by wiedzieć – obstawała Rynda twardo. – Powiedz mi.

– Nie. Mówiłaś, że potrzebujesz mojej pomocy. Musiało zdarzyć się coś naprawdę strasznego. Opowiedz mi o tym.

Ręce się jej trzęsły, a kubek drżał, kiedy unosiła go do ust. Pociągnęła łyk herbaty.

– Mój mąż zaginął.

Aha. Zaginiony mąż. Moje rejony.

– Kiedy ostatnio widziałaś... – Rogan wspomniał o nim raz po imieniu, jak on się nazywał...? – Briana?

– Trzy dni temu. W czwartek wyszedł do pracy i już nie wrócił. Nie odbiera telefonu. Brian lubi rutynę. Zawsze wraca do domu na kolację. A dzisiaj Boże Narodzenie. Nie przegapiłby świątecznego posiłku. – W jej głosie zabrzmiała nuta hysterii. – Wiem, o co zapytasz. Czy ma kochankę, czy mamy problemy w małżeństwie, czy często znika, czy pije i baluje? Nie. Nic z tego. Jest troskliwy, zależy mu na mnie i na dzieciach. Zawsze wraca do domu!

Pewnie rozmawiała już z policją.

– Zgłosiłaś oficjalnie zaginięcie?

– Tak. Nie zamierzają go szukać – odpowiedziała z goryczą. Jej zdenerwowanie narastało z każdą minutą. – Jest Magnusem. To wewnętrzne spory rodu. Tyle że Sherwoodowie są przekonani, że nic mu nie jest, że potrzebował czasu dla siebie. Nikt poza mną go nie szuka, nikt nie oddzwania. Nawet Rogan nie chciał się ze mną spotkać.

Coś tu było nie tak. Rogan nigdy nie odmówiłby jej pomocy, nawet gdybym robiła mu o to awanturę. Obserwowałam ich, kiedy rozmawiali. Rogan ją lubił, była dla niego ważna.

– Co dokładnie ci powiedział?

– Przyjechałam do niego w piątek. Jego ludzie powiedzieli mi, że go nie ma. W sobotę to samo. Zaproponowałam, że poczekam, ale odparli, że tylko stracę czas, że nie wiedzą, kiedy wróci. Może i jestem naiwna, ale nie głupia. Wiem, co to oznacza. Dwa tygodnie temu miałam przyjaciół. Miałam matkę, wpływowych, szanowanych

znajomych, zawsze gotowych, by wyświadczyć przysługę Olivii Charles. Dwa tygodnie temu wystarczyłby jeden telefon i mojego męża szukałoby całe miasto. Byłyby naciski na policję, na burmistrza, na Strażników Teksasu. Teraz odbijam się od ściany. Wszyscy są zbyt zajęci na spotkanie ze mną. Czuję się, jakby otaczał mnie jakiś niewidzialny mur. Nieważne, jak głośno krzyczę, nikt mnie nie słyszy. Ludzie kiwają głowami, recytując frazesy.

– Rogan cię nie unikał – powiedziałam. – Był poza granicami stanu. Ze mną.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Jesteście razem?

Nie było powodu jej okłamywać.

– Tak.

– Ta sprawa z moją matką, to nie było dla ciebie zwykłe zlecenie, prawda?

– Nie, nie było. Twoja matka zabiła żonę człowieka, którego uważam za przyjaciela.

Po tym wszystkim zaczął dla mnie pracować.

Rynda przysłoniła dłonią usta. Zapadło milczenie, ciężkie, pełne napięcia.

– Nie powinnam była tu przychodzić – powiedziała wreszcie Rynda. – Zabiorę dzieci i pójdę.

– Tak będzie najlepiej – przytaknęła jej babcia.

– Nie – zaprotestowała mama.

Znałam ten ton. Ton Sierżant Mamy. Rynda też musiała go znać, bo wyprostowała plecy. Olivia Charles nie była nigdy w wojsku, ale wystarczyły mi te trzy minuty rozmowy z nią, żeby zorientować się, że rządziła w domu żelazną ręką i wykazywała niski poziom tolerancji na wybryki.

– Znalazła się pani tutaj – ciągnęła mama – ponieważ potrzebuje pomocy. Ponieważ nie ma pani do kogo się zwrócić i dlatego, że boi się o swojego męża i o dzieci. Trafiła pani w odpowiednie miejsce. Nevada jest świetna w odnajdywaniu zaginionych. Albo zajmie się tym osobiście, albo poleci kogoś, kto to robi.

Babcia spojrzała na mamę, jakby tej wyrósł na głowie ananas.

– Oczywiście – potwierdziłam. Może i nie zamordowałam matki Ryndy własnymi rękoma, ale wydatnie przyczyniłam się do umożliwienia jej zabicia. A teraz Rynda stała się pariasem, była samotniona i wystraszona. Straciła matkę, męża i wszystkich, których uważała za przyjaciół. Musiałam jej pomóc. A przynajmniej wskazać właściwy kierunek działań.

– Czy mogę zamienić z wami słówko na osobności? – warknęła babcia do mnie i do mamy.

– Wybacz na moment – przeprosiłam naszego gościa, wstając.

Babcia chwyciła mnie za przedramię, mamę za nadgarstek i wywlekła nas na sam koniec korytarza, jak się dało najdalej od kuchni.

– Co z dziećmi? – Zerknęłam na mamę.

– Twoje siostry ich pilnują. To chłopiec i dziewczynka.

– Czy wyście obie rozum postradały?! – syknęła babcia Frida.

– Rynda nie kłamie – stwierdziłam. – Jej mąż naprawdę zniknął.

– Po niej mogłam się tego spodziewać! – Babcia wskazała na mnie oskarżycielskim kciukiem, jednocześnie łypiąc wściekle na mamę. – Ale ty, Penelopo, powinnaś być mądrzejsza!

– Ta kobieta jest zdesperowana – powiedziała mama. – Przyjście tutaj musiało ją wiele kosztować. A przecież tym się właśnie zajmujemy. Pomagamy ludziom takim jak ona.

– Właśnie o to chodzi, że jest zdesperowana! – wyszczała babcia. – Piękna, bogata i zdesperowana kobieta szukająca kogoś, kto wyratuje ją z opresji. W dodatku była narzeczoną Rogana. Jeśli Nevada weźmie tę sprawę, Rynda i Rogan zaczną spędzać ze sobą więcej czasu.

Zagapiłam się na nią zdumiona.

– Ta kobieta to chodzący magnes na chłopów! – Babcia z frustracji aż zacisnęła pięści. – Mężczyźni łykają te bzdety „och, jestem taka słaba, bezbronna, uratuj mnie” jak młode pelikany. Jej męża nie ma od trzech dni, co oznacza, że jeśli nie zwiął, nie żyje. Będzie potrzebowała pocieszenia. Ramienia, na którym mogłaby się wypłakać, silnego, męskiego ramienia. Mam wam to przeliterować? Nevada, to jakbyś podawała jej swojego faceta na srebrnej tacy!

Rynda była bardzo piękna i bardzo bezbronna. Oczywiście chciałam jej pomóc. Rogan z pewnością również zechce jej pomóc.

– To nie tak. To on zerwał zaręczyny.

Babcia pokręciła głową z politowaniem.

– Mówiłaś, że znają się od wieków, od dziecka. Taka relacja nie znika ot tak. Ludzie Rogana również o tym wiedzą. Dlatego nie udzielili jej żadnych informacji. Igrasz z ogniem, Nevada. Odeślij ją. Niech ktoś inny weźmie jej sprawę. Jest Magnusem. Jest bogata. I nie jest twoim problemem, chyba że go sobie z niej zrobisz.

Popatrzyłam na mamę.

– Trzecia zasada – rzuciła tylko.

Kiedy rodzice założyli agencję, ustalili trzy zasady, na jakich miała działać. Po pierwsze, od chwili przyjęcia zlecenia pozostawaliśmy lojalni wobec klienta; po drugie, działaliśmy zgodnie z prawem; i po trzecie, postępowaliśmy tak, żeby każdego wieczoru móc spojrzeć sobie w oczy w lustrze. Mogłam żyć z tym, że Olivia została zabita. Owszem, scena jej śmierci nawiedzała mnie w koszmarach, ale nasze działania były usprawiedliwione. Co do Ryndy natomiast nie potrafiłabym jej kazać wstać od stołu i się wynosić. Bo niby do kogo miała iść?

– Jeśli szloch Ryndy skłoniłyby Rogana do zerwania ze mną, to ten związek i tak nie miałby szans na przetrwanie.

Generalnie wierzyłam we własne słowa, jednakże jakaś drobna, małośćkowa cząstka mojej duszy popiskiwała powątpiewająco. Ale to nic. W końcu jestem człowiekiem z krwi i kości i mam prawo do odrobiny niepewności. Jednak niech mnie diabli, jeśli pozwolę, by kierowało mną asekuranctwo.

– Bardzo ci dziękuję, babciu, ale poradę sobie z tym.

Zniesmaczona babcia wyrzuciła ręce w górę.

– Tylko nie przychodź do mnie z płaczem, jak złamie ci serce.

– Oczywiście, że przyjdę. – Objęłam ją i przytuliłam.

– Egh... – Udała, że mnie odpycha, ale w końcu oddała uścisk.

Otworzyłam drzwi do biura i ruszyłam korytarzykiem w stronę mojego biurka, na którym czekał laptop.

– To ten James zaraził moje pragmatyczne wnuczęta tym swoim altruizmem – mruzczała babcia za moimi plecami.

Mama milczała. Tata umarł siedem lat temu, a ona nadal czuła żal na dźwięk jego imienia. Ja również.

Wzięłam laptopa, notes i na wszelki wypadek teczkę dla nowego klienta, po czym wróciłam do kuchni i rozłożyłam się ze wszystkim na stole. Nacisnęłam parę klawiszy i już wiedziałam, że Bern jest w domu i online.

Puściłam do niego szybkiego emaila.

Wyślij mi info na temat Briana Sherwooda, na cito.

Odsunęłam laptopa na bok i wzięłam do ręki długopis oraz notes. Ludzie znacznie mniej przejmują się robieniem odręcznych notatek na papierze niż zapisywaniem ich słów na komputerze czy nagrywaniem, a ja chciałam, żeby Rynda się rozluźniła. I tak była wystarczająco spięta.

– Zacznijmy od początku.

– Nie lubisz mnie – stwierdziła Rynda. – Poczuałam to już przy pierwszym naszym spotkaniu, w sali balowej. Byłaś o mnie zazdrosna.

– Owszem. – To właśnie cię czeka, jeśli decydujesz się pracować dla empaty.

– A kiedy weszłaś tutaj, na mój widok poczułaś litość i strach.

– Tak.

– Ale mimo to jesteś gotowa mi pomóc. Dlaczego? Nie z poczucia winy. Poczucie winy jest jak zanurzanie się w mroczną studnię. Wychwyliłabym to.

– Sama sobie odpowiedz.

Zmrużyła oczy, a ja poczułam leciutkie muśnięcie magii.

– Współczucie – rzekła cicho. – I poczucie obowiązku. Czemu miałybyś czuć się wobec mnie zobowiązana?

– Miałaś kiedyś zwyczajną pracę?

Zmarszczyła brwi.

– Nie, nie potrzebowaliśmy dodatkowych pieniędzy.

To musi być przyjemne życie.

– A masz jakieś hobby? Zamiłowanie?

– Um... rzeźbę.

– Sprzedajesz swoje rzeźby?

– Nie. Nie są to dzieła sztuki. Nigdy nie wystawiałam ich w żadnej galerii.

– To czemu nadal się temu poświęcasz?

Zamrugła.

– Bo dzięki temu jestem szczęśliwa.

– A ja jestem szczęśliwa, wykonując pracę prywatnego detektywa. Nie robię tego jedynie dla pieniędzy, ale też dlatego, że czasem udaje mi się komuś pomóc. Teraz ty potrzebujesz mojej pomocy.

Laptop zaszygnalizował nadejście wiadomości, a w skrzynce pojawił się email od Berna.

Brian Sherwood, lat 32, młodszy syn Sherwoodów, Magnus, mykomag. Główna działalność zarobkowa: Sherwood BioCore. Szacunkowa wartość majątku osob.

– 30 mln \$. Zona: Rynda de domo Charles, lat 29, dzieci: Jessica lat 6, Kyle lat 4.

Rodzeństwo: Edward Sherwood lat 38, Angela Sherwood lat 23.

Brian Sherwood był magiem roślin. Rynda empatką z drugorzędnym talentem telekinezy. Nie pasowali do siebie. Magnusowie zazwyczaj zawierali małżeństwa w obrębie tej samej dziedziny zdolności. Jak to Rogan niegdyś elokwentnie wyjaśnił mi

w swojej melodramatycznej przemowie pożegnalnej, to zachowanie i wzmacnianie magii przeważnie decyduje o wyborze partnerów członków rodu.

– Nie wiem jeszcze, czy to ja jestem twoją najlepszą opcją. Może lepsze dla ciebie byłoby zatrudnienie innej agencji. Ale zanim do tego dojdziemy, opowiedz mi dokładnie, jak wyglądał ten czwartek. Obudziłaś się i co dalej?

Skoncentrowała się.

– Wstałam. Brian był już na nogach. Wzięłam prysznic. Zrobiłam śniadanie i lunch dla niego i dzieci.

– Codziennie pakujesz im jedzenie do pracy i szkoły?

– Tak, lubię to robić.

Brian Sherwood, człowiek posiadający trzydziestomilionowy majątek, dzień w dzień brał do pracy torebkę z lunchem, który przygotowywała mu żona. Zjadał go czy wyrzucał? Oto pytanie.

– Brian pocałował mnie i powiedział, że będzie w domu o zwykłej porze.

– O zwykłej, czyli?

– O osiemnastej. Odpowiedziałam, że na kolację zrobię bitki, a on zapytał, czy z frytkami.

Zdławiła szloch.

– Kto zawiózł Jessicę do szkoły?

Poderwała głowę zaskoczona.

– Skąd wiesz, jak ma na imię?

– Mój kuzyn zebrał informacje z dostępnych danych. – Odwróciłam laptopa, pokazując jej maila.

Zamrugła, oszołomiona.

– Całe moje życie w kilku liniijkach.

– Mów dalej – zachęciłam Ryndę. – Jak Jessica dojechała do szkoły?

– Brian ją podrzucił. Ja wzięłam Kyle'a na spacer.

Kłamstwo.

– Zadzwońłam do Briana w porze lunchu. Odebrał.

Prawda.

– O czym rozmawialiście?

– O niczym istotnym.

Kłamstwo.

– Nie jestem twoim wrogiem, Ryndo. Lepiej, żebyś była ze mną szczerą. Zacznijmy od nowa. Gdzie zabrałaś Kyle'a i o czym rozmawiałaś z mężem przez telefon.

Zasznurowała usta w cieką, zaciętą kreskę.

– Wszystko, co mi powiesz, pozostanie poufne. Nie jest objęte tajemnicą zawodową, jak rozmowa z adwokatem, co oznacza, że w sądzie musiałabym ujawnić te informacje, ale w innym wypadku nie wyjdzie poza te cztery ściany.

Ukryła twarz w dłoniach, długo rozważała moje słowa, aż w końcu westchnęła głęboko.

– Magia Kyle'a jeszcze się nie ujawniła. W moim przypadku zmanifestowała się, kiedy miałam dwa lata, w przypadku Briana w wieku czterech miesięcy, a u Jessiki trzynastu. Kyle niedługo kończy pięć lat. To duże opóźnienie. Chodzimy z nim do specjalisty. Brian chce być na bieżąco z postętami Kyle'a, więc dzwonię do niego po każdej sesji.

Dla Magnusa dziecko pozbawione magii to katastrofa. W głowie zabrzmiały mi słowa Rogana: „Teraz wydaje ci to nieistotne, ale to się zmieni. Musisz mieć na uwadze

swoje dzieci, pomyśl, jak wyjaśniłabyś im, że posiadają słaby talent, bo nie zadbałaś o odpowiednie dopasowanie genetyczne”.

– Zdenerwowałaś się. Dlaczego? To przez to, co powiedziałam? O specjaliście?

– Jeszcze nie wiem. – Oj, mogło być z nią ciężko. Rejestrowała każdą zmianę w moich emocjach. – I co, talent Kyle’a się ujawnił?

– Nie.

– Co było później?

Westchnęła i opowiedziała o reszcie dnia. Odebrała Jessicę, nakarmiła dzieci, a potem czytali i oglądali bajki. Zrobiła kolację, ale Brian się nie pojawił. Przez dwie godziny wydzwaniała bezskutecznie na jego komórkę, aż w końcu skontaktowała się ze szwagrem. Edwarda Sherwooda zastała jeszcze w pracy. Okazało się, że zwrócił uwagę, kiedy brat wychodzi, obserwował, jak wsiada do samochodu. Brian opuścił budynek o zwykłej porze, ale na wszelki wypadek Edward zszedł na recepcję, gdzie ochroniarz potwierdził, że Brian wyszedł o siedemnastej czterdzieści pięć i się nie wracał.

– Ile zajmuje droga z BioCore do waszego domu?

– Samochodem to dziesięć minut. Mieszkamy w Hunters Creek Village. Siedziba BioCore znajduje się przy Post Oak Circle, nieopodal Hotelu Houstonkiego. To jakieś pięć kilometrów od Memorial Drive. Nawet w korkach jedzie się nie więcej niż kwadrans.

– Czy Edward wspominał, że Brian planował gdzieś po drodze się zatrzymać?

– Nic o tym nie wiedział. Mówił, że Brian nie miał wieczorem żadnego zaplanowanego spotkania.

– Zaniepokoił się?

Pokręciła głową.

– Uspokajał mnie, że Brian na pewno pojawi się w domu. Ale ja wiedziałam, że coś jest nie tak. Przeczynałam to.

Potem zrobiła to wszystko, co zwykle robią bliscy zaginionej osoby: obdzwoniła szpitale i posterunki policji, przejechała trasę z pracy do domu, wypatrując porzuconego samochodu, rozmawiała ze współpracownikami, wypytywała krewnych, czy coś wiedzą, i tak dalej.

– Nie wrócił – powiedziała głucho. – Rankiem zadzwoniłam do Edwarda. Kazał mi się nie martwić, a potem stwierdził, że Brian ostatnio wydawał się spięty i że na pewno się w końcu pojawi. Powiedziałam, że idę na policję zgłosić oficjalnie zaginięcie, a on, że jego zdaniem nie ma takiej potrzeby, ale jeśli poprawi mi to samopoczucie, to jak najbardziej.

– Jak odebrałaś jego zachowanie?

– Wydawał się o mnie martwić.

Ciekawe.

– O ciebie? Nie o Briana?

– O mnie i dzieci.

– I nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby Brian tak zniknął?

Milczała.

– Ryndo?

– Czasami, kiedy był bardzo zestresowany – przyznała cicho. – Ale tak było dawniej. Ostatnio zdarzyło się tak trzy lata temu, a od tamtej pory ani razu. Zrozum, Brian nie jest tchórzem, po prostu potrzebuje stabilności. Lubi, jak wszystko toczy się stałym rytmem.

To wyjaśniało, czemu brat nie wszczął natychmiast alarmu i nie przystąpił do działania.

– Możesz powiedzieć mi o tym coś więcej? O tym ostatnim razie, jak zniknął?

– To było po pierwszych urodzinach Kyle'a. Edward zapytał wtedy, czy talent Kyle'a już się objawił, i Brian przyznał, że nie. Wtedy Joshua, ojciec Briana, już nieżyjący, zmarł rok później, powiedział, żebyśmy lepiej zabrali się do roboty i postarali się o następne dziecko, bo Jessica jest empatką, jak ja, a karłak nie zostanie głową rodu.

Nazwał swojego wnuka karłakiem. Wstrętny typ.

– Dziękuję – powiedziała Rynda.

– Za co? – zdziwiłam się.

– Za tę odrazę. Brian się wtedy strasznie zdenerwował. Poczułam, że ma silną potrzebę ucieczki od tego, więc powiedziałam, że robi się późno i dzieci są już zmęczone. Goście wyszli, ale Brian nie poszedł spać. Wsiadł do samochodu i odjechał. Wrócił dopiero następnego dnia wieczorem. Wtedy nie było go najdłużej, odkąd jesteście małżeństwem.

– Mówił, gdzie był?

– Twierdził, że jeździł bez celu. W końcu znalazł jakiś hotelik i tam spędził noc. Wrócił do domu, bo zdał sobie sprawę, że nie ma gdzie uciec i że bardzo zależy mu na mnie i dzieciach. Przysięgał, że nigdy mnie nie zostawi. A kiedy widziałam go ostatni raz przed zniknięciem, był całkiem spokojny.

Prawda.

Potarłam z namysłem czoło.

– Opowiedziałaś to wszystko policji?

– Tak.

A oni potraktowali ją jak histeryczkę, której przytłoczony życiem mąż postanowił dać nogę.

– Masz dostęp do kont Briana?

– Tak. – Zamrugnęła, zaskoczona.

– Możesz sprawdzić, czy ostatnio wykonywał jakieś operacje? Czy w ciągu paru minionych dni posługiwał się kartą?

Zaczęła gorączkowo przegrzebywać torebkę.

– Czemu sama nie pomyślałam o... – Wyciągnęła telefon i stuknęła w wyświetlacz.

Czekałam. Czekałam.

Wreszcie uniosła twarz rozczarowana.

– Nic. Żadnych operacji.

– Ryndo, czy zabiłaś swojego męża?

Wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Odpowiedz, proszę.

– Nie.

– Wiesz, co się z nim stało?

– Nie!

– Wiesz, gdzie jest?

– Nie!

Za każdym razem prawda.

– Istnieją różne możliwości – zaczęłam. – Po pierwsze, Brianowi mogło się przytrafić coś złego w efekcie działań Rodu. Po drugie, w dniu zniknięcia mogło wydarzyć się coś, co nim wstrząsnęło i skłoniło go do ukrycia się. Mogę zająć się poszukiwaniami twojego męża sama albo polecić ci inną agencję. Sugerowałabym

Międzynarodową Agencję Bezpieczeństwa Montgomerych. – Gdy tata zachorował, zaciągnęliśmy u Montgomerych pożyczkę pod zastaw firmy. Moje stosunki z głową ich rodu, Augustine'em, układały się różnie, ale to nie zmieniało faktu, że zatrudnienie MABM było dla Ryndy najlepszą opcją. – Są topową agencją i mają doskonałe zaplecze do prowadzenia takich spraw. Stać cię na nich. Weź pod uwagę, że nasza agencja jest małą firemką dysponującą zaledwie ułamkiem środków, jakie posiada MABM.

Rynda siedziała nieruchomo.

W korytarzu rozległ się tupot małych stóp.

– Mamusiu! – Do kuchni wbiegł chłopiec, potrząsając trzymaną w rękę kartką. Miał ciemne włosy i szare oczy matki. Rynda rozłożyła ramiona, a synek podał jej kartkę. – Patrz, narysowałem czołg! Taki jak mają w garażu!

W progu pojawiła się ciemnowłosa, szczupła Catalina.

– Koniecznie chciał ci się pochwalić – zwróciła się do Ryndy z uśmiechem.

Matka chłopca zareagowała właściwie.

– Ojej, jaki groźny czołg – zachwyciła się.

– Chodź, Kyle – powiedziała Catalina. – Pokażę ci więcej takich fajnych rzeczy.

Kyle wręczył matce rysunek.

– To dla ciebie, prezent. Teraz narysuję drugi, dla taty! – Okręcił się i pognał z powrotem. Catalina z westchnieniem pokłusowała za nim.

Rynda z dziwnym wyrazem twarzy odprowadziła syna spojrzeniem.

– Byłam w MABM. – Przełknęła nerwowo ślinę, a ja ujrzałam w jej oczach cień bezlitosnej logiki Olivii. – Montgomery odmówił.

Augustine nie chciał się mieszać do tej sprawy. Ciekawe. I okazało się, że rzeczywiście jestem jej ostatnią deską ratunku.

– A więc dobrze. Zajmę się poszukiwaniami Briana.

Poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Chcę spisać z tobą umowę – wyrzuciła z siebie.

– W porządku.

– Nie chcę, żebyś robiła to charytatywnie. Chcę zapłacić.

– Oczywiście.

– I żeby wszystko było jasno i wyraźnie określone na papierze, oficjalnie.

– Jak najbardziej.

– A nasze relacje mają się ograniczać do stosunków klient–usługodawca.

– Zgoda.

Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i do mojego domu wpadł huragan, który przetaczał się przez pomieszczenia w wirze mocy i magii. Rogan.

Dotarłszy do kuchni, zatrzymał się w progu, wysoki, barczysty, o pociemniałych z poruszenia oczach. Magia owinęła się wokół niego jak dzikie zwierzę szczerzące groźnie kły. Gdybym go nie znała, w tej chwili cofnęłabym się i wyciągnęła broń.

– Connor! – Rynda zerwała się z miejsca, podbiegła do Rogana i objęła go.

Zazdrość dźgnęła mnie prosto w serce. Należał do mnie.

Rogan otoczył ją łagodnie ramionami, jednak to mnie skupił spojrzenie błękitnych oczu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie – załkała Rynda. – Brian zniknął.

Rogan nadal wpatrywał się we mnie. Skinęłam potakująco głową. U mnie wszystko okej.

Rynda odsunęła się od niego.

– Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Nie...

– Zamierzam wziąć tę sprawę – poinformowałam Rogana.

– Nevada jest najlepsza – oznajmił z całkowitym spokojem, zwracając się do Ryndy. Zerknęłam na ekran laptopa. Siedemnasta czterdzieści siedem.

– Ryndo, musisz podpisać kilka dokumentów. Dzisiaj mogę wstępnie zrobić kilka rzeczy na miejscu, a jutro wybiorę się do biura BioCore. Bardzo ułatwiłoby mi sprawę, gdybyś uprzedziła rodzinę o mojej wizycie.

– Pójdę z tobą – zaproponowała.

– Lepiej, żebym poszła sama. Może ktoś powie mi coś, o czym nie wspomniałby w twojej obecności. Gdybym potrzebowała wstępu do pomieszczeń zastrzeżonych albo dostępnych tylko dla rodziny, wtedy z pewnością cię ze sobą zabiorę.

– To co mam teraz robić? – zapytała bezradnie, jednak nie mnie, lecz Rogana.

– Podpisz, co masz podpisać, i wracaj do domu na wypadek, gdyby Brian zadzwonił czy wrócił – odpowiedział Rogan. – Nie jesteś sama, Ryndo. Nevada ci pomoże. Ja też.

– Nienawidzę cię za to, że zabiłeś mi matkę – oświadczyła z napięciem.

– Wiem. Nie dało się temu zapobiec.

– Mój świat się rozpada, Connorze. Jak to możliwe, że wszystko wokół mnie zamienia się w gruz?

– Tak to już jest z Rodami.

Drgające ramiona Ryndy znieruchomiały, a kobieta odwróciła się w moją stronę.

– Gdzie mam podpisać?

Pomogłam jej uporać się z papierami, wyjaśniłam opłaty i warunki kontraktu. Podpisała wszystko i poszła po dzieci.

Rogan odczekał, aż się oddali, a potem podszedł do mnie.

– Ktoś musi ją odwiedzić – powiedziałam. – I trzeba pilnować jej domu.

Trudno było wyrokować, w jakim kierunku potoczy się śledztwo, a zawsze lepiej dmuchać na zimne.

– Zajmę się tym – obiecał i pocałował mnie. Był to niespodziewany, gwałtowny, żarliwy pocałunek, który palił jak ogień.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie, ujrzałam w jego oczach smoka. Rogan gotował się na wojnę.

– Twoja babka jest w mieście – oznajmił, wkładając mi do ręki pendrive'a. – Musisz się zdecydować do wieczora.

Odwrócił się i wyszedł, a ja nadal spalałam się we wspomnieniu jego pocałunku. Wreszcie odetchnęłam głęboko i wpięłam pendrive'a do laptopa.



2

Siedzieliśmy całą rodziną przy dużym stole. Tym razem zajęłam miejsce u szczytu. Po mojej prawej stronie piętrzył się plik papierów przykryty teczką – wydrukowana zawartość pendrive'a.

Siostry usiadły przy mnie, Catalina po prawej, Arabella po lewej stronie. Catalina, która za tydzień kończyła osiemnaście lat, była poważną, spokojną brunetką. Lubiła matematykę, ponieważ ta była logiczna, i nie znosiła znajdować się w centrum uwagi. Arabella, jeszcze piętnastolatka, wysportowana blondynka o wydatnym biuście i krągłym tyłku, w ogóle nie znała takiego słowa jak „spokój”. Jej konikiem były nauki humanistyczne i kryminalistyka. Swoje problemy rozwiązywała, robiąc piekielne awantury innym. Licealne koło dyskusyjne, które pechowo dla siebie zlekceważyło Arabellę jako pierwszorocznika i odrzuciło jej kandydaturę z powodu braku miejsc, od tej pory żyło w nieustannym strachu przed nią.

Bernard, starszy z moich dwóch kuzynów, zasiadł obok Cataliny. Bern miał posturę zawodowego łamignata – ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i bary, z którymi ledwie mieścił się w co węższych drzwiach. W liceum uprawiał zapasy, a teraz kilka razy w tygodniu chodził na judo, twierdząc, że potrzebuje ruchu, żeby zrównoważyć jakość godziny siedzenia przed komputerem i klepania kodów. Jako mały chłopiec miał złote loczki, potem włosy mu ściemniały, a przyszczyżone na krótko tworzyły artystyczny nieład.

Młodszy kuzyn, Leon, był przeciwieństwem swojego brata. Szczupły, ciemnowłosy, żywiółowy, przerzuczał się na przemian z sarkazmu w ekscytację lub totalne ponuractwo z szybkością, z jaką jego szesnastoletnie ciało produkowało hormony. Czcił

starszego brata jak idola, zaś siebie uważał za karłaka bez krzty magii. Wiedziałam dobrze, że to nieprawda, ale postanowiłam utrzymać to w tajemnicy najdłużej jak się da, ponieważ z jego talentem mógł robić tylko jedno, a nie było to zajęcie, jakiego byśmy dla niego chcieli. Na razie poza mną o magii Leona wiedzieli tylko Pluskwa – Roganowy spec od inwigilacji, oraz mama. Mamie powiedziałam tylko dlatego, że w pewnym momencie talent Leona mógł się nagle objawić, więc ktoś jeszcze musiał wiedzieć, z czym mamy do czynienia, gdyby akurat wtedy nie było mnie w pobliżu. Oczywiście Leona też trzeba prędzej czy później uświadomić. Oby później.

Mama siedziała na drugim końcu stołu. Służyła w wojsku, dostała się do niewoli, została ranna i w konsekwencji tego kulą. Od tamtej pory zaokrągliła się nieco, a dłuższe, brązowe włosy nosiła zaplecione i spięte na karku. Odziedziczyłam po niej brązowe oczy. To właśnie mama była naszą ostoją po śmierci taty. Dopiero teraz zaczynałam rozumieć, ile musiało ją to kosztować.

Obok mamy siedziała babcia Frida. To z nią wiązało się jedno z moich najwcześniejszych wspomnień – siedziałam na podłodze w jej warsztacie i bawiłam się samochodzikami, a babcia, wtedy jeszcze siwiejąca blondynka, nuciła pod nosem, naprawiając jakiś wielki pojazd. Większości ludzi ktoś pachnący towotem kojarzy się z mechanikiem. Mnie z babcią.

Moja rodzina.

Tak bardzo ich wszystkich kochałam. Za wszelką cenę musiałam zapewnić im bezpieczeństwo. Szykowały nam się niezapomniane święta.

– Victoria Tremaine się o nas dowiedziała – oznajmiłam.

Słowa gruchnęły na stół jak paleta cegieł. Arabella pobladła. Catalina przygryzła wargę. Bern znieruchomiał. Niczego nieświadomy Leon na widok ich reakcji zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi. Wszyscy milczeli.

Talent prawdołowcy, który posiadałam, stanowił rzadkość. W całych Stanach Zjednoczonych żyły tylko trzy Rody cechujące się tego rodzaju magią. Ród Tremaine'ów, choć najmniejszy z nich, budził największą grozę. Składał się z jednej osoby – Victorii Tremaine. To właśnie ona nas znalazła.

– Na ile to pewna informacja? – Mama otrząsnęła się jako pierwsza.

– Victoria próbowała wykupić nasz zastaw.

Mama zaklęła.

– Myślałem, że właścicielem zastawu jest Ród Montgomerych – zdziwił się Leon.

– Oni udzielili nam pożyczki pod zastaw firmy, a właścicielem hipoteki magazynu był prywatny bank, od którego zastaw wykupił Rogan – wyjaśnił mu Bernard cierpliwie.

– W takim razie szybkie wprowadzenie – przerwałam im, żeby zapobiec odbieganiu od najważniejszego. – Tata był jedynym dzieckiem Victorii. Urodził się bez magii, za co matka go nienawdziła. Uciekł od niej zaraz po skończeniu liceum, poznał naszą mamę i oboje pilnowali, żeby się nie wychylać, żeby nie mogła nas znaleźć. Ale dowiedziała się o nas. A ponieważ jest jednoosobowym Rodem, linia Tremaine'ów przestanie istnieć wraz z jej śmiercią.

– Jak to możliwe, że nic o tym nie wiedziałem? – oburzył się Leon. – Czy tylko ja nie wiedziałem? Czemu mi nie powiedzieliście?

Uciszyłam go gestem ręki.

– Chodzi o to, że jesteśmy jej bardzo potrzebni. Jest jedynym żyjącym Magnusem w Rodzie.

– Ród jest wszystkim – wtrącił Bernard cicho. – Victoria będzie chciała, żebyście z dziewczynami przeszły kwalifikacje na Magnusów i zapewniły podtrzymanie Rodu.

– Zaraz, zaraz! – wyrwał się znowu Leon. – Jak to możliwe, że Ród Tremaine’ów nadal istnieje, skoro ma tylko jednego Magnusa?

– Podczas każdej kwalifikacji Magnusa Biuro Centralnego Rejestru sprawdza, czy w jego rodzinie są też inni Magnusowie – zaczęła tłumaczyć Catalina. – Jeśli oprócz niego jest jeszcze jeden, rodzina otrzymuje status Rodu. Statusu nie traci się, dopóki żyje ostatni Magnus z ostatniej kwalifikacji.

No proszę, moja siostra doksztaciła się w temacie Rodów.

– Wiecie, co potrafię – powiedziałam.

A potrafiłam całkiem sporo. Wykrywanie kłamstw było tylko jedną z umiejętności, które obejmował mój talent. Potrafiłam rozłupać ludzki umysł jak orzech, żeby wydobyć informacje. I wcale nie musiałam pozostawiać owego umysłu całego i zdrowego.

– A Victoria umie to co ja i jeszcze więcej, nie mówiąc o tym, że robi to wszystko lepiej. Ja dopiero poznaję możliwości swojego talentu. Ona ćwiczy je, odkąd nauczyła się trzymać w palcach krede. Victoria posiada moc, pieniądze i zasoby ludzkie, których nam brak. Zrobi wszystko, żeby położyć łapę co najmniej na mnie i Catalinie.

Babcia Frida zasłoniła dłonią usta.

Bernard, zwykle niewzruszony niczym głąz podczas burzy, teraz otworzył szeroko oczy ze zgrozy.

– Pomyślcie tylko, co mogłaby zrobić z talentem Cataliny!

Potworne, niewyobrażalne rzeczy. Takie, za których zrobienie moja łagodna, dobroduszna siostra znienawidziłaby siebie.

– A jeśli wyjdzie na jaw magia Arabelli... – zawiesiłam głos.

Nawet nie chciałam o tym myśleć. Zamknęliby ją, nafaszerowali lekami odurzającymi i trzymali pod kluczem do końca jej dni. Nigdy już nie zobaczyłaby słońca. Nigdy by się nie śmiała, nie kochała, nie żyła normalnym życiem.

O nie, babka nie dostanie moich siostrzyczek w swoje szpony. Nie dopuszczę do tego.

Catalina pochyliła się do przodu z oczami błyszczącymi zdecydowaniem.

– Jakie mamy opcje?

Zerknęłam na mamę. Siedziała nieruchomo z ponurą miną.

– Możemy się ugiąć i przeczekać – powiedziałam. – Co oznacza, że i ty, i ja będziemy musiały podporządkować się żądaniom Victorii. I zrezygnować z pracy w agencji.

Catalina skrzywiła się. Rodzice budowali Agencję Detektywistyczną Baylorów przez siedem lat. To nie była tylko firma. To był trzon i przyszłość naszej rodziny.

– Pewnie przez dłuższy czas nie będziemy widywać mamy – brnęłam dalej – ani babci, ani Bernarda, Leona... – Na tę myśl zdjęła mnie groza. – Będziemy musiały robić to, co nam każe. Czyli ja przesłuchiwać i bebeszyć ludziom umysły – mówiłam drewnianym głosem, żeby nie zarażać ich dodatkowo swoimi emocjami. – Ale kiedyś przecież Victoria umrze. Jest stara. – I wcale nie brzmiało to makabrycznie. Absolutnie. – A my przejmujemy kontrolę nad Rodem Tremaine’ów.

– Kiedyś, czyli kiedy? – zapytał Leon. – Ile to potrwa?

– Nie wiem. Ma koło siedemdziesiątki, może dziesięć, może dwadzieścia lat.

– Poproszę bramkę numer dwa – zażądała Arabella.

– Ja też – poparł ją Bern. – Pierwsza opcja odpada.

– Możemy z nią walczyć – ciągnęłam. – Ale musimy być świadomi, że Victoria ma do dyspozycji więcej pieniędzy, ludzi, wszystkiego.

– Ale przecież Rogan by nam pomógł, prawda? – zapytała Arabella.

Następne słowa przyszły mi z trudem.

– Tak. Z tym że nie możemy wiecznie liczyć na ratunek Rogana. – Nie była to prawda. Rogan zrobiłby wszystko, żeby mi pomóc.

– Z pewnością nie powinniśmy wiecznie liczyć na jego wsparcie – powiedziała mama, a kiedy wszyscy na nią spojrzeli, dodała: – To nie jego problem, tylko nasz.

– Jeśli zdamy się na jego pomoc w każdej trudnej sytuacji – podjęłam – zacznę nas z nim wiązać, a w końcu postrzegać jako jego stronników czy podwładnych. Wraz z ochroną dostaną się nam jego wrogowie, a to potężni ludzie.

– A jeśli wasz związek się pochrzani, zostaniemy z ręką w nocniku – dopowiedział Bern.

– Dokładnie.

– Czyli nie chcemy się poddać, ale nie możemy też walczyć ze złą babcią – podsumowała Arabella. – Mamy jakieś trzecie wyjście?

– Mamy. Możemy zostać Rodem.

Siostry i kuzyni gapili się na mnie w bezbrzeżnym zdumieniu. Co prawda wspomniałam już o tym kiedyś, ale akurat byliśmy zajęci rozwiązywaniem sprawy morderstwa i innymi ważnymi rzeczami, na przykład przeżyciem.

– Łooooo – jęknął Leon.

– Absolutnie nie – stwierdziła stanowczo mama. – Musi być jakiś inny sposób.

Odchyliłam się na oparcie.

– Status nowego Rodu zapewni nam na jakiś czas immunitet. Trzyletnią ochronę przed atakami ze strony innych Rodów. To wystarczy, żebyśmy się wzmocnili i wypracowali jakieś zaplecze.

– Victoria zastosuje się do zasady immunitetu? – wyraziła wątpliwość Catalina.

– Rogan twierdzi, że tak. Ochrona nowo powstałych Rodów leży w interesie magicznej społeczności, bo inaczej czekałaby ją degradacja w wyniku zawierania małżeństw pomiędzy spokrewnionymi osobami. Najwyraźniej to zasada, której Magnusowie nie łamią bez względu na okoliczności. Dzięki temu zyskalibyśmy czas na stworzenie bazy zasobów, zawiązanie sojuszy i inne działania w stylu Rodów.

– Nie mówisz chyba poważnie – nie dowierzała mama.

– Owszem, jak najpoważniej.

– Chyba nie jesteś aż tak naiwna, Nevado. Victoria z pewnością nie będzie się trzymała żadnych zasad. Ta kobieta to potwór.

Popatrzyłam mamie prosto w oczy.

– Wiem, że może nas zaatakować, mamó, ale musiałaby to zrobić tak, żeby żaden ślad nie prowadził do niej. Status Rodu znacznie utrudni jej nękanie nas. – No i jako Ród będziemy mogli sprzymierzać się z członkami magicznych elit jak równy z równym.

– Nabijasz im niepotrzebnie głowy wizjami stworzenia Rodu. A może powiesz im, co to tak naprawdę oznacza? Opowiedz na przykład o Baranovskim.

– Mama ma rację – zwróciłam się do młodych. – Świat Rodów jest niebezpieczny. Pamiętacie tę gałę, na którą pożyczaliśmy suknię? To było bardzo ekskluzywne przyjęcie. Gospodarz, Gabriel Baranovski, pił szampana na galerii przy schodach, a David Howling zamienił płyn w jego przetyku w lodowe ostrze, które przebiło gardło od wewnątrz.

– Chytrze – skomentował Leon z uznaniem.

Popatrzyliśmy na niego potępiająco.

– No co? Mówię tylko, że to sprytne – bronił się Leon. – Lód się rozpuszcza i nie pozostaje żaden ślad. Żadnych odcisków palców, narzędzia zbrodni, niczego.

Musiałam mu powiedzieć o jego magii. Nie dało się tego uniknąć. Tak po prostu działał jego umysł i nie dało się go przeprogramować. Może zrobić to teraz, przy okazji, i będzie z głowy?

Mama chrząknęła znacząco, wbijając we mnie ostrzegawcze spojrzenie. Zupełnie jakby czytała mi w myślach.

– A kiedy Baranovski dławił się własną krwią, staczając ze schodów, nikt nie rzucił mu się na pomoc – ciągnęłam. – Nikt nawet nie krzyknął. Zastępy Magnusów odwróciły się jak jeden mąż i ruszyły do wyjść, bo wiedzieli, że rezydencję zamkną po zabójstwie, a to byłaby dla nich niedogodność. – Odczekałam chwilę, żeby to do nich dotarło. – Magnusowie nie będą zważali na wasz młody wiek, nie będą dla was łagodniejsi. Będą chcieli nas wykorzystać, posłużyć się nami, zmanipulować, zniszczyć. Możecie stać na środku sali, przed całym Zgromadzeniem, a jeśli jakiś Magnus przywoła watahę dzikich wilków, żeby was rozszarpały, wątpię, czy ktoś wam pomoże. Tak będzie wyglądało nasze życie, jeśli staniemy się Rodem. – Po ich ponurych minach widziałam, że niechęć i sceptycyzm wobec pomysłu biorą górę. Spodziewałam się sprzeciwu mamy, ale musiałam przekonać chociaż siostry. – Jeśli jednak się zdecydujemy, w ciągu trzech lat jesteśmy w stanie zgromadzić siły. Victoria jest w mieście, idzie po nas, tu i teraz. Jedyne, co ją powstrzymuje, to mur ludzi Rogana wokół nas. Musiałaby go sforsować, a nie chce od razu wszczynać wojny z Rodem Roganów.

– Pakujcie się – zarządziła mama. – Wasza piątka stąd wyjeżdża.

– Ale mamó! – zdenerwowała się Arabella. – Nie możemy ot tak wyjechać!

– To nie podlega dyskusji – ucięła mama.

Przypuszczałam, że tak zareaguje.

– Nie zamierzam rzucać studiów – oświadczył Bern.

– Przecież was tutaj nie zostawimy! – sprzeciwiła się Catalina. – Chyba nie sądzisz, że porzucimy ciebie i babcię na pastwę tej kobiety?

– Bez dyskusji. – Mama utwardziła ton.

– Gdzie mają jechać? – zapytała babcia nieco piskliwie, łamiącym się głosem. – Znasz takie miejsce, Penelopo, gdzie ta suka ich nie znajdzie? Wie, jak wyglądają. Zna ich imiona, numery ubezpieczeń. Potrafi z każdego wyciągnąć prawdę. Czy na tej planecie istnieje miejsce, gdzie nie sięgają jej władza i pieniądze?

– Mamó! – jęknęła mama, wyraźnie oszołomiona.

– Dwadzieścia sześć lat temu mówiłam ci, że jeśli go poślubisz, zapłacisz za to wysoką cenę. Mówiłam ci, żebyś go zostawiła. Ale ty nie słuchałaś. Wychowałam dzieci na wojowników. Nie oczekuj, że teraz podwiną ogony i uciekną.

– Zrobią, co im każe – wycodziła mama. – Jestem ich matką.

Babcia łypnęła na nią krzywo.

– Taaak, bo w moim wypadku to zadziało.

Mama otworzyła usta i zamknęła je z kłapnięciem.

– Jakie trzeba spełnić warunki, żeby uzyskać status Rodu? – zapytała Catalina konkretnie.

– Przynajmniej dwóch członków rodziny musi przejść testy kwalifikacyjne na poziomie Magnusa – odpowiedziałam. – Prawdopodobnie ty i ja.

– A co, jeśli się nie zakwalifikuję? – zaniepokoiła się Catalina.

– Ja pójdę! – ogłosiła Arabella.

– Nie! – zareagowaliśmy jednocześnie.

– Bo co?

– Dobrze wiesz co – syknęła mama. – Znow mam ci pokazać ten film dokumentalny?

Arabella nabrała powietrza. O-ho!

– Nie zamierzam ukrywać się do końca życia. Nikt przecież nie zobaczy, co potrafisz!

– Grzmotnęła piąstką w blat. – Pójdę na test.

Po minie mamy poznałam, że jeśli zaraz nie zażegnaj kryzysu, znow pęknie i każe nam udać się na wygnanie.

– Wiemy, że potrafisz kontrolować swoją magię – powiedziałam.

– No właśnie! – podkreśliła Arabella.

– Ale inni o tym nie wiedzą. Ludzie boją się twojego talentu, bo ostatnia osoba, która się z nim urodziła, popadła w szaleństwo. Jedynym sposobem na to, żeby ich przekonać, że nie stanowisz zagrożenia, jest pokazanie im, że nad tym panujesz i że my jako rodzina panujemy nad tobą. A na to trzeba czasu. Daj nam te trzy lata, w ciągu których ustalimy swoją pozycję jako Ród, a po ukończeniu osiemnastu lat będzie mogła podejść do testu.

– Nevado! – warknęła mama.

– Ale nowa pozycja oznacza też – kontynuowałam – że przez trzy lata wszyscy będą się nam bacznie przyglądali, ergo, musisz przestać zachowywać się jak narwany bachor.

– Właśnie – poparła mnie Catalina. – Koniec z wybuchami złości, wrzaskami, nabijaniem ludziom siniaków i rozpoczynaniem afer na Twitterze.

– Dobra. – Arabella skrzyżowała ramiona na piersi. – Ale obiecacie! Obiecacie, że jeśli będę się zachowywała, za trzy lata podejść do testu.

– Obiecuję.

Tym razem mama huknęła w stół.

– No to już wiadomo, po kim to ma – zauważył Bern.

– A co innego możemy zrobić, Penelopo? – zapytała babcia.

– Cokolwiek, co nie skończy się zamknięciem Arabelli i utrzymywaniem w śpiączce do końca życia? – warknęła mama.

– Oczywiście trzeba również załatwić inne formalności – podjęłam. – Każdy, kto podchodzi do testu, musi dać próbkę DNA, żeby dało się stwierdzić pokrewieństwo między nami. Będziemy musieli wypełnić wniosek, wyznaczą nam termin procesu, potem poddamy się testom, a jeśli je przejdziemy, staniemy się Rodem.

– I tyle? – zadziwił się Leon.

– Tak. – Położyłam rękę na stosie formularzy. – Tyle. O ile się na to zdecydujemy. Musimy pamiętać, że z tego nie można się wycofać.

– A co, jeśli okaże się, że nie jesteśmy Magnusami? – martwiła się Catalina. – Wyjdziemy na idiotki, którym marzyła się ranga Magnusów, ale nie przeszły testów, i tracimy klientów.

– Spokojnie, i ty, i ja mamy magię na odpowiednim poziomie.

– Ale przecież mogą nawet nie rozpoznać mojego talentu – drążyła Catalina. – A jeśli działanie mojej magii nie ustąpi i ludzie zostaną już pod jej wpływem? A jeśli...?

– Och, zamknij się już – ofuknęła ją Arabella. – Sprawiałaś, że cała armia płatnych morderców siedziała na podłodze i słuchała twojej opowieści jak dzieci w przedszkolu. A teraz nic im nie jest.

– Ja też chcę się zarejestrować – oświadczył Bern. – Może nie mam talentu w randze Magnusa, ale ostatnio testowali mnie, jak miałem dziesięć lat. Od tamtej pory moja magia się wzmocniła.

Leon melodramatycznie osunął się na oparcie krzesła.

– Jasne, wywyższajcie się tu wszyscy, przechwalajcie się swoją magią. Ja sobie tutaj posiedzę i pozawijam swoją karłaczkość w sreberka.

Już otwierałam usta, ale ugryzłam się w język. To nie była odpowiednia pora, żeby wyskakiwać z kolejną rewelacją.

– Musi być inny sposób, Nevada – upierała się mama.

– Nawet jeśli, to ja o nim nie wiem – powiedziałam. – I Rogan też nie. Naprawdę, mamo, gdybym знаła inne wyjście, na pewno wolałabym nie ujawniać naszej magii. Tylko tak możemy zapewnić bezpieczeństwo całej rodzinie.

– Nigdy nie będziemy bezpieczni, jeśli to zrobimy – mruknęła mama.

– To prawda, to bardzo duża zmiana dla nas wszystkich – Nie to powiedziała, ale musiałam teraz pociągnąć temat. – I dlatego uważam, że powinniśmy głosować. Powinniśmy wspólnie podjąć decyzję, bo wszyscy poniesiemy jej konsekwencje. A potem koniec z marudzeniem, musimy działać razem. Czy ktoś chce jeszcze coś dodać?

Cisza.

– Dobrze. Kto za stworzeniem Rodu, ręka w górę.

Sama podniosłam rękę, a wraz ze mną Bern, Arabella, Leon i babcia.

– Kto za ucieczką i ukrywaniem się?

Mama.

Popatrzyłam pytająco na Catalinę.

– Wstrzymuję się od głosu.

– Nie możesz – obruszyła się Arabella. – Choć raz w życiu zdecyduj się, w tę czy we w tę.

Catalina wzięła głęboki oddech.

– Głosuję za Rodem.

– Głupcy – prychnęła mama. – Wychowałam bandę głupców.

– Może i jesteśmy głupcami, ale za to twoimi, ciociu – zapewnił ją Leon.

Podniosłam plik papierów upstrzonych gęsto znacznikami w miejscach od podpisów.

– Potrzebuję waszych podpisów.

– Chwileczkę! – Babcia chwyciła za telefon. – Musimy uwiecznić tę wiekopomną chwilę dla potomnych!

Cała rodzina skupiła się przy mnie, a babcia Frida ustawiła tryb samowyzwalacza i zrobiła nam zdjęcie – ja w centrum, z formularzami przed sobą i długopisem w rękę, otoczona wianuszkami bliskich. Żołądek zmienił mi się w bryłę lodu.

Kochałam ich bezgranicznie i miałam nadzieję, że podjęłam właściwą decyzję.

...

Biuro Centralnego Rejestru Rodów mieściło się w niewysokim wieżowcu z czarnego szkła na Old Spanish Trail, naprzeciwko Głównego Urzędu Statystycznego. Asymetryczna konstrukcja odchyłała się w tył, a elewacja dodatkowo podkreślała

dziwny kształt. Kiedy Rogan zatrzymał stalowoszarego range rovera na parkingu, zobaczyłam budowlę od przodu. Jej sylwetka przypominała gęsie pióro.

Promienie zachodzącego słońca igrały na taflach ciemnego szkła. Poza naszym SUV-em na parkingu było niewiele samochodów.

– Jesteś pewien, że zastaniemy go w biurze? – zapytałam.

– Tak.

– Ale są święta...

Rogan spojrzął na mnie.

– Czeka na nas, bo zadzwoniłem i go o to poprosiłem.

Zacisnęłam palce na teczce z dokumentami tak mocno, że pobieleły mi knykcie. Ostatnia szansa, żeby się wycofać.

Rogan przechylił się i wziął mnie za rękę, jednocześnie otuliła mnie jego magia.

– Mam zawrócić? – zapytał.

– Nie. – Z trudem przełknęłam ślinę przez ściśnięte gardło. – Miejmy to już za sobą.

Wysiedliśmy i ruszyliśmy do budynku. Drzwi rozsunęły się przed nami ze szmerem i wkroczyliśmy do nowoczesnego holu. Ściany wyłożono czarnym granitem, na szarych, polerowanych płytach na posadzce lśniły złote linie magicznego kręgu. Strażnik spojrzął na nas znad kontuaru i skinął głową. Rogan poprowadził mnie obok jego stanowiska do wind.

Teczka z formularzami z każdym krokiem robiła się cięższa. Szalejące mi w głowie wątpliwości nie chciały zniknąć.

– Czy to właściwa decyzja?

– Jedyna rozsądna, zapewniająca twojej rodzinie bezpieczeństwo.

– A jeśli nie przejdę testu?

– Mierzyłaś się z Olivią Charles, manipulatorką w randze Magnusa, i ją pokonałaś – przypomniał spokojnie. – Z pewnością przejdiesz każdy możliwy test.

– Dziękuję, że jesteś przy mnie.

Nie odpowiedział. Jakiś czas temu powiedział mi, że według niego kiedy tylko staniemy się Rodem, z pewnością od niego odejdę. Uważał, że nasze magie nie są kompatybilne i przez to nasze dzieci mogłyby nawet urodzić się bez talentu na poziomie Magnusa. Uważał, że to początek naszego końca, lecz mimo to towarzyszył mi teraz. Oczywiście był idiotą, jeśli myślał, że dam mu się wykręcić. Był mój, był moim Connorem.

Winda stanęła i wyszliśmy na korytarz z szeregiem pozamykanych drzwi. Tylko jedno, na samym końcu, stały otworem. Ruszyliśmy właśnie ku nim. Rozciągało się za nimi wielkie okrągłe pomieszczenie. Na dopasowanych do kształtu ścian drewnianych regałach stały książki, całe tysiące książek. Półki piętrzyły się trzy kondygnacje w górę, a dostępność na każdy poziom zapewniały galerie zabezpieczone balustradami. Pośrodku pomieszczenia ustawiono ciemne skórzane kanapy, a na wprost wejścia stał kolisty kontuar.

Siedzący za nim starszy mężczyzna czytał książkę. Śniada skóra wskazywała na latynoskie pochodzenie, miał całkiem siwe włosy i był ubrany w trzyczęściowy garnitur z muszką w szkocką kratę. Słyszając nasze kroki, uniósł głowę znad lektury, uśmiechnął się i zeskoczył z krzesła. Zwrócił na nas przesłonięte wielkimi okularami oczy, bardzo ciemne, prawie czarne, lśniące jak kawałki obsydianu.

– Panna Baylor – przywitał mnie. Głos miał łagodny, uprzejmy, zdecydowanie wykształconego człowieka. – Nareszcie.

– Przepraszam, że tak w same święta...

Uśmiechnął się szerzej, ukazując białe zęby.

– Proszę się nie przejmować. W końcu to moja praca. Zajmę się tym z przyjemnością. Byłem w centrum, w tunelach, kiedy runął stary kompleks sądów. Zawdzięczam wam życie, pani i panu Roganowi.

Z pogrążonej w cieniu bocznej niży wyłonił się mężczyzna i bezszelestnie do nas podszedł. Po dwudziestce, miał na sobie kosztowne buty i elegancki garnitur, czarny krawat, a śnieżnobiała koszula wydawała się jeszcze bielsza w kontraście do jasnobrązowej skóry. Jego dłonie i szyję pokrywały czarno-szare tatuaże. Ciemnobrązowe włosy, krótko wystrzyżone po bokach i dłuższe na środku, zaczesane gładko do tyłu, odsłaniały pociągłą, przystojną twarz o błyszczących inteligencją oczach barwy whisky. Wyglądał na niebezpiecznego człowieka i wydawał się nieco smutny, jak gangster z epoki prohibicji na pogrzebie.

– Nie codziennie dostaje się szansę zarejestrowania nowego Rodu – ciągnął urzędnik rejestru. Pochylił się ku mnie z uśmiechem, jakby chciał się podzielić jakąś tajemnicą. – Szczególnie jeśli ma tworzyć go prawdołowca. Miło mi panią poznać. Obaj z Michaeliem jesteśmy niezwykle podekscytowani pani wizytą, prawda, Michaelu?

Michael skinął głową.

Archiwista założył lniane rękawiczki i odwrócił się ku piedestałowi, na którym pod szklanym kloszem spoczywała wielka księga. Uniósł klosz, dźwignął oprawne w skórę tomiście i położył je na kontuarze. Okładkę księgi zdobiło misterne złote godło.

– Jakie piękne – zachwyciłam się.

– Tak. To dzieło osiemnastowiecznych holenderskich introligatorów. Teksańskie Rody wpisuje się do tej księgi od czasów przedkonstytucyjnych. – Ostrożnie otworzył rejestr na pustej stronie. – Jeśli przejdziecie próby, wasz Ród zostanie wpisany na tę kartę.

Przewertował strony do czerwonej zakładki. Widniały tam cztery kolumny wykaligrafowanych imion i nazwisk. Niektóre przekreślone.

– To ci, którzy nie przeszli kwalifikacji? – zapytałam.

– Tak. Czy wypełniła pani odpowiednie formularze?

Podaliśmy mu teczkę. Otworzył ją i zaczął przeglądać dokumenty.

– Gdzie drugi świadek? – zapytał Rogan.

– Spóźnia się. Zważywszy na niezwykle okoliczności, postanowiłem wyznaczyć kogoś o całkowicie nieposzlakowanej opinii. Kogoś, czyje nazwisko budzi respekt. Myślę, że będą państwo mile zaskoczeni.

– Świadek nadania statusu Rodu bierze na siebie pewne zobowiązania – powiedział mi szeptem Rogan.

– Jakie?

– Oczekuje się od nas doradztwa i wsparcia.

Archiwista skończył sprawdzanie i podniósł głowę znad formularzy.

– Dał nam pan trudne zadanie, panie Rogan. Już znalezienie odpowiedniego testu dla prawdołowcy było niełatwym wyzwaniem, ale jeszcze trudniejszym okazała się sama klasyfikacja talentu młodszej panny Baylor. Muszę przyznać, że magia pani siostry jest zaiste niezwykła. Zalicza się oczywiście do kategorii magii umysłu, ale do jakiego podzbioru? W pierwszej chwili można by umieścić ją wśród specjalizacji psychonicznych, jednakże dotychczas nie zmanifestował się talent psychoniczny wzbudzający autentyczną miłość. Bardzo sumiennie przejrzelismy z Michaeliem nasze zasoby i inne archiwa. W ruch poszły przysługi, prośby o udzielenie dostępu do baz

danych, konsultacje z zagranicznymi archiwistami. Ale daliśmy radę, nieprawdaż, Michaelu?

Michael ponownie przytaknął.

– Musieliśmy sięgnąć niezwykle głęboko, jednak wreszcie znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. W Grecji. Istnieje tam jeden Ród, jeden jedyny, w którego historii pojawił się podobny talent. Tylko w linii żeńskiej. Ostatnia udokumentowana manifestacja miała miejsce w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Najwyraźniej towarzyszyły jej pewne tragiczne okoliczności.

– Jakiego rodzaju okoliczności? – zaniepokoiłam się.

– Rzeczona dama brała udział w obronie swego miasteczka przed armią Imperium Rosyjskiego. Według historii stanęła na skalistej wysepce u brzegów i przyzywała do siebie cały batalion wroga. Utopiła w ten sposób trzy kompanie zmotoryzowanej piechoty, zanim paru żołnierzom udało się dotrzeć do wysepki. Rozszarpali ją na strzępy, niestety, dosłownie.

O Boże, Catalina... Wyobraziłam ją sobie stojącą na tej wysepce. Właśnie tak postąpiłaby na miejscu tamtej kobiety.

– Okropność – westchnął archiwista. – Od tamtej pory w Rodzie nie zarejestrowano żeńskich potomków. Pewne dobrze zorientowane źródła uważają, że to raczej kwestia wyboru niż natury.

– Dokonują aborcji żeńskich płodów? – zapytał Rogan zimno.

– Takie krążą plotki. Ród odmówił kontaktu, kiedy próbowaliśmy zasięgnąć u nich informacji. To niezwykle hermetyczna rodzina. Tak więc pozostaliśmy zdani na siebie i po głębokim zastanowieniu postanowiliśmy stworzyć dla panny Cataliny Baylor nową specjalizację. – Archiwista zawiesił głos dla lepszego efektu. – Zostanie zaklasyfikowana jako syrena.

Catalinie się to wybitnie nie spodoba.

– Och, to takie ekscytujące. Jeśli ten talent przetrwa w waszej rodzinie, może oznaczać to początek nowej gałęzi magii. Klasyfikacja talentów rzadkich może ulec zmianie. Do prób panny Cataliny sprowadzamy potężnego Magnusa-antystazera.

Podczas gdy magowie-egidy blokowali kule i ataki fizyczne, antystazerzy specjalizowali się w obronie przeciw atakom mentalnym. Cóż, to powinno uspokoić Catalinę.

– Z którego Rodu? – dopytywał Rogan. – Ze Smithów?

– Nie, przyjedzie Alessandro Sagredo.

Rogan aż unióśł brwi. Popatrzyłam na niego pytająco.

– To najsilniejszy zarejestrowany Magnus tej specjalizacji – wyjaśnił.

– Nie chcemy ryzykować – włączył się archiwista. – Niestety, obecnie jest bardzo zajęty, musimy więc odsunąć procedurę na parę dni. Wasze próby odbędą się dokładnie za tydzień, w przyszłą niedzielę.

Do archiwum wmaszerował mężczyzna około sześćdziesiątki, ale muskularny. Miał na sobie czarne spodnie, czarny T-shirt i narzutkę, która na miano bluzy zasługiwała tak, jak porsche na określenie „jakieś auto”. Okrycie miało klapy, jak w marynarce, stylową linię eleganckiego trenczu i kosztowało pewnie więcej niż nasza miesięczna rata hipoteki.

Mężczyzna miał śniadą cerę i czarne falowane włosy poprzetykane suto srebrnymi pasmami siwizny. Rysy jego twarzy znamionowały siłę i śmiałość – szerokie czoło, czarne brwi, wydatny nos i kwadratowa żuchwa osłonięta niedługą, szpakowatą brodą. Błyszczące inteligencją orzechowe oczy spoglądały na świat z lekką dozą humoru.

Podczas pierwszego naszego spotkania pomyślałam, że przypomina ulubionego wujaszka, który posiada winnicę gdzieś w Hiszpanii czy Grecji, spędza dużo czasu na polu i często się śmieje. Tak było, zanim dowiedziałam się, kim jest.

– Dobry wieczór, panie Duncan – powitał go z uśmiechem archiwista.

W procesie założycielskim mojego Rodu świadkami mieli być Szalony Rogan, znany jako Plaga Meksyku, oraz Linus Duncan, ekspreszwodniczący Izby Reprezentantów Zgromadzenia, które rządziło Rodami w Teksasie. Dobry Boże...

– Wiem, spóźniłem się, przepraszam. – Jeden z najpotężniejszych ludzi w Teksasie pospiesznie podszedł do kontuaru. – Niektórzy ludzie bywają irytująco trudni. Co mnie ominęło?

– Nic ważnego – zapewnił go archiwista.

– Dzień dobry, majorze – przywitał Duncan Rogana.

– Pułkownik – skinął mu głową Rogan.

Archiwista sięgnął po pióro, odchrząknął i z iskrą w oku zerknął na mnie zza okularów.

– Proszę, Michaelu.

Michael uniosł rękę, w której trzymał kamerę cyfrową.

– Konieczne jest słowne potwierdzenie woli przystąpienia do procesu rejestracyjnego – zwrócił się do mnie konfidencjonalnym tonem. – Proszę powiedzieć wyraźnie te słowa: „Ja, Nevada Baylor, wnioskuję o przeprowadzenie oceny i formalne ustalenie mocy mojej rodziny”. Gotowa?

Potwierdziłam z trzepotem serca.

Archiwista dał znak Michaelowi, który stuknął w przycisk nagrywania. Starszy urzędnik uniosł pióro i spojrzał na mnie. Całkiem zaschło mi w gardle, ale zdołałam poruszyć ustami.

– Ja, Nevada Baylor, wnioskuję o przeprowadzenie oceny i formalne ustalenie mocy mojej rodziny.

– Ja, Linus Duncan, głowa Rodu Duncanów, poświadczam złożenie wniosku – wyrecytował Duncan.

– Ja, Connor Rogan, głowa Rodu Roganów, poświadczam złożenie wniosku – powtórzył za nim Rogan.

– Wniosek złożono. – Archiwista zanotował na stronie datę, a potem napisał: „Wnioskująca Nevada Baylor osobiście oraz w imieniu Cataliny Baylor i Bernarda Baylora. Świadcowie: Linus z Rodu Duncanów, Connor z Rodu Roganów”. – Wniosek przyjęto – ogłosił.

Michael opuścił kamerę i odłożył ją na bok.

– To tyle – dodał urzędnik.

– Moje gratulacje, panno Baylor – zwrócił się do mnie Linus Duncan.

– Dziękuję, że zechciał pan być moim świadkiem.

– Cóż, skoro wskakuje się do wilczej nory, warto mieć w niej sojusznika. Nawet jeśli jest stary i ma stępione kły.

Roganowi drgnął mięsień na twarzy. Nic nie powiedział, ale i on, i Michael wpatrywali się w Linusa, jakby zaraz miały mu wyrosnąć rzeźbione kły plus pazury.

– Mam nadzieję, że się pani powiedzie – dodał Duncan.

– Dziękuję.

W tym samym momencie usłyszeliśmy stukot kobiecych szpilek odbijający się echem na korytarzu.

– Spodziewa się pan kogoś? – zapytał Rogan urzędnika, ale ten pokręcił przecząco głową.

Chwilę później do archiwum weszła Victoria Tremaine oraz podążający za nią dwaj mężczyźni w garniturach. Na mój widok przystanąła i wbiła we mnie spojrzenie. Ja również utkwiałam w niej wzrok. Widziałam ją na filmach, ale nigdy na żywo.

Szczupła, nienagannie ubrana, miała twarz z rodzaju tych, o których bez względu na wiek mówiło się „piękna struktura kości”. Wysokie kości policzkowe, silny, ale kobiecy zarys żuchwy, wąski nos, duże oczy. Przy takich rysach większość kobiet uznano by za piękne. Ale nie moją babkę. Ona robiła wrażenie twardej i okrutnej, jak welociraptor w ludzkiej skórze. Nawet platynowe włosy obcięte na zmysłową chłopczycę nie łagodziły jej wizerunku. Słowa „bezbronność” czy „niepewność” z pewnością nie istniały w jej słowniku. A kiedy odwróciła się, by popatrzeć gniewnie na Rogana, ujrzałam w jej profilu profil taty. Ten sam ostry nos.

Rogan przysunął się do mnie, stając po mojej prawej stronie, a Linus Duncan zrobił to samo po lewej.

– Ta farsa zaszła już za daleko – oznajmiła Victoria. – Ta dziewczyna jest moja. Należy do mojego Rodu.

– Nie – zaprotestowałam. – Nie jestem ani twoją, ani niczyją własnością.

– Złożyła wniosek do urzędu stanowego o ustalenie jej mocy – rzekł archiwista. – Została wpisana do księgi. To oficjalne.

– Linusie? – warknęła Victoria.

– Jestem świadkiem – odpowiedział. – Zobowiązuje mnie to do jej ochrony, Victorio. Sama wiesz, jak to działa.

– Zabieram ją stąd – syknęła Victoria Tremaine, wbijając w niego spojrzenie przymrużonych oczu.

– Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić. – Oczy archiwisty zrobiły się całe czarne, białka zniknęły.

W przerwach pomiędzy regałami zadrgały cienie, gęstniejąc szybko, mrok zaczął wsączać się przez ściany, pożerając światło niczym żywy potwór utkany z czerni. Budząca grozę prastara moc. Włoski zjeżyły mi się na karku.

Dłonie Michaela zapłonęły błękitnym ogniem, który intensywną jasnością odpychał kłębiącą się pod sufitem falę mroku.

– Znasz zasady, Victorio – zagrzmiał archiwista głosem czystej magii. – Nie wolno ci się kontaktować z żadnym członkiem rodziny Baylorów. Nie wolno ci w żaden sposób zakłócić prób. Nie życzymy sobie żadnych nieprzyjemności.

Kąciki ust Victorii zadrgały gniewnie. Zwróciła na mnie groźny wzrok.

– Jesteś małą idiotką. I pożałujesz tego, co zrobiłaś.

Potem przeniosła spojrzenie na Rogana.

– Trzeba było do mnie oddzwonić. Myślisz, że jest twoja, ale nie zdołasz jej przy sobie zatrzymać. Zostawi cię natychmiast, kiedy do Zwoju zaczną napływać zapytania.

Odwróciła się i wymaszerowała z archiwum wraz ze swoimi dwoma rottweilerami w garniturach.

– No, ostro się zaczyna – skwitował Duncan. Wyjął portfel, a z niego wizytówkę, którą mi wręczył. Biały kartonik zawierał tylko numer telefonu. – Na wypadek gdybyś potrzebowała pomocy albo rady. Dzwoni o każdej porze.

– Dziękuję. – Schowałam wizytówkę.

Ciemność zniknęła. Archiwista uśmiechnął się do mnie.

– Miło było panią poznać, pani Baylor. Będę miał panią na oku. W razie problemów będziemy przy pani, prawda, Michaelu?
Michael swoim zwyczajem przytaknął.

...

W drodze do samochodu nie zamieniliśmy z Roganem ani słowa. Słońce już zaszło, a bezkres teksańskiego nieba rozciągał się nad nami niczym czarny ocean upstrzony gwiazdami. Rogan ruszył natychmiast, kiedy trzasnęłam za sobą drzwiczkami.

Nocne miasto przepływało za oknem, podczas gdy w głowie odtwarzałam sceny z urzędu – składanie wniosku, moje nazwisko wykaligrafowane na pustej stronie starej książki, jaszczurzy wzrok mojej babki, żywą czerń na suficie... Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste, jakby przeżył to ktoś inny.

Zerknęłam na Rogana. Wydawał się dziwnie zdystansowany. Siedział za kierownicą, tuż obok, lecz pełen rezerwy, jakbym była kimś obcym.

– Dzwoniła do ciebie? – przerwałam milczenie.

– Zostawiła wiadomość.

– Co powiedziała? – zapytałam po chwili, kiedy stało się jasne, że nie zamierza rozwinąć wypowiedzi.

– Że jeśli pomogę jej ściągnąć cię do Rodu Tremaine’ów, odda mi cię.

– Uroczo. A ja miałam po prostu na to przystać?

– Miałyby twoje siostry. Albo matkę – stwierdził tonem luźnej pogawędki. – Myślę, że nóż na gardle mamy szybko nakłoniłby cię do współpracy.

Connor zniknął, a na jego miejscu pojawił się Szalony Rogan, zimny, wyrachowany, w razie konieczności nawet okrutny.

– Co to za Zwój?

– Zwój to jeden z trzech głównych rejestrów DNA. Będziesz musiała dostarczyć archiwizację próbki DNA, żeby dowieść pokrewieństwa pomiędzy Cataliną i sobą. Kiedy je złożysz, wybierzesz rejestr, w którym znajdują się twoje dane. Zsekwencjonują geny całej twojej rodziny.

– Te dane wykorzystuje się później do kojarzenia związków?

– Głównie tak. Oraz do ustalania ojcostwa, jeśli zachodzą wątpliwości.

Przepaść pomiędzy nami rosła. Odsuwał się ode mnie. Nadal myślał o kompatybilności i dzieciach. Próbował dać mi wolną drogę?

– Zatrzymaj się, proszę – poprosiłam.

Zjechał na pas awaryjny i stanął. Rozpięłam pas, przechyliłam się i pocałowałam Rogana. Jego usta paliły żywym ogniem. Nie reagował, więc postarałam się bardziej, muskając koniuszkiem języka jego wargi, pragnąc poczuć jego smak.

Jego pas gwałtownie się rozpiął, a Rogan wsunął mi dłoń za głowę i przyciągnął mocno do siebie. Otoczyła mnie jego magia, stapiając się z moją. Przepelił mnie smak Connora, upojny, kipiący pożądaniem, mocą, potrzebą. Syciłam się nim, topniałam. Delikatne muśnięcia języka stały się zaborcze, wplątane we włosy palce przytrzymywały mnie mocno. Pocałunek zaczął nabierać niebezpiecznych nut, ostrzeżenia, że skoro posmakowałam smoczego żaru, spłonę w nim i już nigdy nie będę taka sama, a on odcisnie na mnie niezmazywalne piętno. Sprawiał, że zapragnęłam rzucić ubranie i wtulić się w niego naga.

Strumień magii spłynął mi po karku jak wrzący miód, wypalając na skórze szlak rozkoszy. Jęknęłam, nie odrywając się od ust Rogana.

– Jesteś moja – wyszeptał chrapliwie. – Nie pozwolę ci odejść.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

– Rozumiesz, co mówię, Nevada? Nie odsunę się. Łudziłem się, że będę w stanie to zrobić, ale nie mogę i nie chcę.

Przesunęłam opuszkami po jego policzku.

– A czemu uważasz, że bym ci na to pozwoliła?

Przygarnął mnie do siebie, pomagając mi usiąść sobie na kolanach. Zaczął całować szyję, a magia ześliznęła się wzdłuż kręgosłupa błogim żarem, rozpalając ogień w dole brzucha. Zapragnęłam go w sobie poczuć...

Z tyłu zamigotały czerwono-niebieskie światła.

Rogan sapnął sfrustrowany.

Zbliżał się do nas gliniarz z latarką.

Czmychnęłam na swój fotel i zakryłam twarz dłonią.

Rogan opuścił szybę.

– Tak, panie władzo?

– Zepsuł się panu samochód, panie Rogan?

– Nie – odwarknął.

– A więc proszę jechać. Jest ciemno, stanowi pan zagrożenie dla innych użytkowników drogi.

Ło! Najwyraźniej trafiliśmy na jedyne funkcjonariusza policji w Houston, który nie bał się Rzeźnika z Meridy.

– Panno Baylor – zwrócił się do mnie policjant – pozdrowienia od prokurator Jordan.

O...

– Proszę o odjechanie z pasa awaryjnego – powtórzył funkcjonariusz, robiąc krok w tył. Nie wyglądało na to, żeby zamierzał wracać do radiowozu.

Lenora Jordan, prokurator generalna hrabstwa, w czasach liceum była moją idolką. Bezkompromisowa, nieprzekupna, stała na straży bezpieczeństwa publicznego jako ostatnia linia obrony przed działalnością przestępczą, szczególnie tą uskutecznianą przez członków elity magicznej. Po raz pierwszy ujrzałam ją lata wcześniej w wiadomościach, idącą po stopniach przed budynkiem sądu na spotkanie szalejącego Magnusa fulgurkinety, który otoczył się siecią błyskawic, nie chcąc wejść na salę sądową, gdzie miał zostać postawiony w stan oskarżenia pod zarzutem molestowania dzieci. Lenora podeszła do kryminalisty, przyzwała łańcuchy i skrępowała go nimi przed kamerami. A potem zawlokła do sądu.

Nie przypuszczałam, że kiedyś poznam ją osobiście, ale tak właśnie się stało. Nie rozczarowałam się, a na żywo była jeszcze bardziej przerażająca. Nawet Rogan traktował ją z ostrożnym respektem, jaki należy się wyłodniałemu tygrysowi.

– Czy to było przyjacielskie klepięcie po ramieniu? – zastanawiałam się. – Żeby dać mi znać, że wie o wniosku rejestracyjnym?

– Tak. Jedź dzisiaj ze mną do domu.

– Nie mogę. Dużo się dzieje, muszę być z rodziną. Będą mnie wypytywali o wiele rzeczy.

– Poczekam.

– Nie wiem, ile mi to zajmie.

– Poczekam – powtórzył.

Dałabym wiele, żeby z nim jechać. Żeby zabrał mnie do sypialni, rozebrał i kochał się ze mną do utraty zmysłów. Żeby zasnąć obok niego, w jego muskularnych ramionach, czując za plecami jego twardego tors. Żeby rano, zaraz po przebudzeniu, znów się z nim kochać. Odmowa dla mnie samej była bolesna.

– Rogan...

– Nevada... – Moje imię brzmiało w jego ustach jak pieszczoła.

– Właśnie wywróciłam ich życie do góry nogami. Muszę być z nimi. Muszę być u siebie, gdyby któraś z siostr zapukała do mnie w środku nocy, potrzebując pocieszenia. Gdyby mama nie mogła zasnąć i przyszła sprawdzić, czy ja śpię. Nie mogę teraz jechać do ciebie, a ty nie możesz zostać u mnie, bo zaraz zaczęłabym jęczeć i krzyczeć z rozkoszy, a takiego słuchowiska moja rodzinka teraz nie potrzebuje.

Po minie widać było, że wybitnie mu się to podoba.

– O czym myślisz? – zapytałam.

– Planuję twoje porwanie i przetrzymywanie cię w niewoli aż do prób.

– Już tego próbowaliśmy, z marnym skutkiem.

– Naprawiłem klimatyzację w piwnicy – kuśił.

– A łańcuch naoliwiłeś?

– Nie, ale mam gdzieś jakieś kajdanki.

– O nie – zaprotestowałam. – Hm, no może. A kto je będzie miał założone?

Uśmiechnął się szeroko.

– Muszę iść – powiedziałam, kiedy dojechaliśmy pod magazyn. Tak bardzo nie chciałam się z nim rozstawać.

Otworzył usta, ale położyłam na nich palec.

– Proszę, nic nie mów, a szczególnie nie wypowiadaj mojego imienia. Inaczej nie będę w stanie wysiąść, a muszę.

Rozciągnął w uśmiechu wargi pod moim palcem. To był podstępny uśmiezek, złowieszczy i pociągający, który przydał mu demonicznego uroku.

– Rogan... mówię serio. Nie wypowiadaj mojego imienia, nie całuj mnie na pożegnanie i nie patrz na mnie... właśnie tak. Przestań tak na mnie patrzeć. Jutro zaczynam śledztwo w sprawie porwania męża twojej eksnarzeczonej, muszę się wyspać.

Nadal nie byłam w stanie wyjść z samochodu. Przyciągał mnie do siebie jak magnes. Nie chodziło o przecudowny seks ani o jego wygląd, choć jedno i drugie miało w tym spory udział. Chodziło o to, jak na mnie patrzył przekonany, że tego nie widzę. Jakbym była centrum wszechświata. Dla tego spojrzenia gotowa byłam zrobić wszystko. Myśl, że mogłabym tak mocno kogoś pokochać, przerażała mnie, więc zawzięcie walczyłam o zachowanie każdego okruchu niezależności, jaki mi pozostał.

– Czuję w tym rękę cezara – rzekł trzeźwo.

Miałam to samo przeczucie. Jednak zakładanie czegokolwiek bez dowodów nie przysłużyłoby się sprawie.

– Wydaje się to zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Najpierw ginie matka Ryndy, a niedługo potem znika jej mąż. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że to jego nie pierwszy raz. Zdarzało mu się to już, gdy robiło się nerwowo, a z pewnością sytuacja Ryndy jest teraz trudna.

Wbił we mnie to swoje Roganowe spojrzenie.

– Masz mi powiedzieć, jeśli znajdziesz jakiegokolwiek powiązanie pomiędzy zniknięciem Briana a spiskiem. Ale nie kiedyś tam, przy okazji, tylko natychmiast.

– Tak jest, majorze. Miałam pana pocałować na dobranoc, no ale teraz to nie mogę. Nie wolno bowiem spoufalać się ze swoim przełożonym.

– Ha, ha. Ale zabawne – burknął.

Otworzyłam w końcu drzwiczki i wysiadłam.

– Nevado... – zawołał za mną, zawierając w tym jednym słowie obietnicę położenia całego świata u mych stóp.

Nie przestałam iść.

Jego głos pieścił mnie niczym dotyk.

– Wracaj, żebyś mógł pocałować cię na dobranoc.

– Nie słyszę cię. – Rzuciłam się biegiem do drzwi, wpadłam do środka i zamknęłam szybko za sobą. To były bardzo grube, masywne drzwi. Przecież nie mogłam przez nie słyszeć śmiechu Rogana. Musiałam sobie to wyobrazić. Tak, zdecydowanie sobie to wyobraziłam.

Ruszyłam w głąb domu. W kuchni paliło się światło. Dobiały stamtąd głosy. Moi bliscy nie spali, czekali na mnie.

Jutro musiałam iść do BioCore. Jutro znów miałam spotkać się z Roganem. Ale najpierw musiałam przetrwać ten wieczór. Westchnęłam, wyprostowałam plecy i wkroczyłam do kuchni na rozmowę z rodziną.



Rano słońce świeciło radośnie na jasnym, błękitnym niebie, a moja głowa pękała, jakby ktoś walił w niej młotem kowalskim. Z uwagi na czekający mnie ciężki dzień zaraz po otwarciu oczu łyknęłam dwa ibuprofeny, ale kuźnia nie zawiesiła działalności.

Wczoraj od progu zostałam zarzucona milionem pytań. A kiedy opowiedziałam, co działo się w archiwum, ostrzelano mnie gradem kolejnych. Mama wypytywała mnie o Victorię Tremaine, Leon chciał wiedzieć, czy kiedy otrzymamy status Rodu, dostanie w końcu broń, Catalina usiłowała dowiedzieć się wszystkiego na temat prób, Arabella była zainteresowana poziomem boskości Michaela, a babcia opowiadała, jak spotkała Linusa Duncana podczas wojny, i zastanawiała się, czy nadal ma „te szkockie kurwiki w oczach”. Z kuchennej sali przesłuchań udało mi się uciec dopiero przed drugą. Powlokłam się na górę, zrzuciłam ciuchy i padłam na łóżko, natychmiast odpływając w niebyt. Śnił mi się Rogan. Obudziłam się po godzinie i nie mogłam przez chwilę zrozumieć, dlaczego nie ma go w łóżku obok mnie. A po całej tej pełnej wrażeń nocy wpęzłam do biura, jakbym ciągnęła za sobą buldożer.

Cornelius siedział już przy swoim biurku. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Gładko uczesane jasne włosy. Nawet w najgorszych chwilach Cornelius był zadbany. Zawsze schludny, porządnie ubrany, opanowany. Nikt nie podejrzewałby go o ściągnięcie na kobietę stada szczurów, które pożarły ją żywcem.

Dzisiaj co prawda nie przyprowadził żadnych gryzoni, ale ze szczytu regału z książkami łytał na mnie bursztynooki Szpon, jego myszołów.

Cornelius podniósł wzrok znad ekranu laptopa, a jego poważne niebieskie oczy rozszerzyły się na mój widok. Dzisiaj założyłam na siebie czarny kostium od Armaniego, kosztowną popielatą bluzkę i czółenka Stuarta Weitzmana, które były na tyle wygodne, że w razie czego mogłam w nich biegać. Wyprostowałam włosy i związałam je w kok. Nałożyłam też makijaż, przykładając się do tego najbardziej, jak byłam w stanie przy dręczącym mnie bólu głowy.

– Wyglądasz jak agentka CIA – skomentował.

– Skąd wiesz? Miałaś z jakąś do czynienia?

– Nie, ale tak je sobie wyobrażam.

– To jest strój mający wzbudzać u klienta ufność w moje kompetencje – wyjaśniłam.

– Mam takie dwa szaleńczo drogie zestawy, jeden na pierwszą rozmowę, drugi, kiedy odbieram zapłatę. Poza tymi okazjami oba wiszą w pokrowcach w głębi szafy.

– Zamierzasz robić wrażenie na jakimś kliencie?

– Klientkę już mamy. Muszę zrobić odpowiednie wrażenie na Rodzie jej powinowatych. Zaginął jej mąż, a jeśli jego krewni są w to zamieszani, chcę wydać im się na tyle poważnym zagrożeniem, żeby skupili się na mnie zamiast na niej. Chciałabym, żebyś mi towarzyszył. W ramach zdobywania doświadczenia. A przy okazji podniesiesz moją wiarygodność.

– Oczywiście. – Cornelius wstał z fotela.

– Naszym klientem jest Rynda Sherwood. Z domu Charles.

Cornelius zastygł w bezruchu.

– Przyszła wczoraj po południu – wyjaśniłam. – W sprawie zaginięcia męża.

– Czy... ona wie? – wydukał Cornelius, odzyskawszy mowę.

– Wie, że byłam przy tym ja i Rogan. Nie wie dokładnie, jak Olivia zginęła ani kto to zrobił. Oczywiście zrozumieć, jeśli nie zechcesz ze mną iść.

– Ale czemu zwróciła się akurat do ciebie?

– Bo znajomi matki się od niej odwrócili, a Ród Sherwoodów nie za bardzo przejmuje się zniknięciem Briana. Nie miała innych opcji.

– Myślisz, że to zaginięcie jest powiązane ze spiskiem, w który była zamieszana jej matka?

– Nie wiem. Może. A może jej mąż jest zestresowanym pracoholikiem, który się załamał pod presją i postanowił zrobić sobie kilka dni przerwy.

Cornelius pogrążył się w zamyśleniu.

– I chciałam ci też powiedzieć, że złożyłam wniosek o rejestrację Rodu.

Zamrugał, zaskoczony.

– Gratuluję.

– I muszę też wspomnieć, że Victoria Tremaine jest moją babką. I nie była zachwycona takim obrotem sprawy, a choć obowiązują ją teraz pewne zasady, nie mogę zareczyć, że będzie ich przestrzegała.

– Denerwujesz się tym?

– Owszem. – Nie miałam powodu kłamać. – Gdybym mogła, ukryłabym się gdzieś do czasu prób, ale niestety, obiecałam Ryndzie, że poszukam jej męża.

– Nie mogłabyś się ukryć – powiedział Cornelius cicho. – Teraz kiedy twoje nazwisko znalazło się w księdze, wszyscy będą obserwowali ciebie i całą rodzinę, ale szczególnie ciebie. Będą chcieli zobaczyć, jaki Ród stworzycie. A najważniejsze jest pierwsze wrażenie.

– Pierwsze wrażenie?

Cornelius odpowiedział dopiero po chwili.

– Gdy ktoś złoży formalny wniosek o rejestrację nowego Rodu, jest on odczytywany przed Zgromadzeniem, a bardziej z duchem czasu, ogłaszają to poprzez listę mailingową.

Fantastycznie. Każdy teksański Ród znajdzie moje nazwisko w swojej skrzynce mailowej.

– Czyli wszyscy się o tym dowiedzą?

– Tak. Robi się to po to, by powstrzymać ingerencję innych Rodów w proces.

– Powiadamia się ich też o rodzaju magii przystępujących do testów?

– Tak.

A więc wyszło szydło z worka. Już cały Teksas wie, że jestem prawdołowcą.

– Jesteś teraz na cenzurowanym.

Miał rację. Ukrywanie się nie wchodziło w grę. Nie mogliśmy wyjść na tchórzy.

– Dziękuję ci, Corneliusie. – Byłam mu naprawdę wdzięczna.

– Nie ma sprawy.

– To jak, idziesz czy zostajesz?

Nawet się nie zawahał.

– Idę. Wezmę tylko kubek termiczny z kawą.

...

Siedziba BioCore znajdowała się w klockowatym budynku przy Post Oak Circe, po drugiej stronie Hotelu Houstońskiego. W przeciwieństwie do przeważających w centrum drapaczy chmur ciemno szklona, przysadzista konstrukcja zajmowała sporo gruntu i była niewysoka.

Zaparkowaliśmy od frontu. Kilka tygodni wcześniej Rogan rozłupał moją mazdę na kawałki i obrzucił nimi atakujących nas magów. W zamian dostałam niebieską honde, która jak odkryłam to później, była opancerzona aż po czubek dachu. Babcia Frida miała sporo zabawy, tuningując ten samochód. W razie ataku, czy to magicznego, czy fizycznego, wystarczyło się w nim ukryć jak w twierdzy.

Uświadomiłam sobie, że machinalnie rozglądałam się w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia – przygody z Roganem zaszczyliły we mnie paranoję.

Ruszyliśmy w stronę ciężkich szklanych drzwi, Cornelius ze Szponem na ramieniu. Mój towarzysz miał ściągniętą twarz, ale trudno powiedzieć, czy z koncentracji, zdenerwowania, czy może jednego i drugiego. Żadna z opcji mi nie odpowiadała. Zależało mi, żeby roztaczał wokół siebie aurę spokoju i profesjonalizmu.

– Nie myślałeś przypadkiem, żeby zainwestować w drewnianą nogę i trójgraniasty kapeluszek?

– Nie, czemu? – zadziwił się.

Wskazałam na jego odbicie w szklanych drzwiach. Przyjrzał mu się.

– Hm, może i Szpon przypomina odrobinę papugę, ale ze mnie żaden pirat.

– To kwestia nastawienia – podpuszczałam go. – Wyobraź sobie, że ten budynek to hiszpański galeon wyładowany zrabowanymi skarbami, a ty jesteś kapitanem pirackiej załogi.

Cornelius ponownie przejrzał się w szybie, obejmując wzrokiem doskonałą fryzurę, gładko wygolone policzki, garnitur na miarę, po czym otworzył usta i wychrypiał:

– Arrrrggghh.

Z uśmiechem pchnęłam obrotowe drzwi.

Weszliśmy do sterylnego holu w kształcie półksiężyca. Białe ściany, ultranowoczesne oświetlenie, posadzka z czarnego marmuru. W najszerszej części rogalika znajdowały się ledwie widoczne na jasnej ścianie zarysy podwójnych drzwi. Na lewo od nich przy kontuarze recepcyjnym siedziało dwóch ochroniarzy w oliwkowych mundurach. Popatrzyli na nas, krzywiąc się na widok Szpona. Podałam im nasze nazwiska i powiedziałam, że chcę się zobaczyć z Edwardem Sherwoodem. Niższy ze strażników podniósł słuchawkę telefonu i powiedział coś cicho.

Czekaliśmy.

Drzwi zaszumiały, otwierając się, i wyszedł ku nam wysoki mężczyzna. Przed czterdziestką, miał brązowe włosy i kwadratową szczękę. Poruszał się jak były atleta, który nadal utrzymywał formę, bo nie umiał odpuścić. Dopasowany szary garnitur podkreślał szerokie barki. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że gdyby stanąć mu na drodze do czegoś dla niego istotnego, po prostu przeszedłby po człowieku, nie tracąc przy tym nic z tego obojętnego spokoju, bo przecież to nic osobistego. Rozpoznałam go ze zdjęć, które przeglądałam dzisiaj rano – Edward Sherwood, starszy brat Briana.

Spokój w oczach, pewny krok, ani śladu napięcia w linii szczęki czy barków. Jeśli miał coś wspólnego ze zniknięciem brata, to albo był całkowicie pewien, że nie wyjdzie to na jaw, albo był doskonałym aktorem.

– Dzień dobry, panno Baylor – przywitał się głosem tak samo opanowanym jak wszystko w nim. – Rynda uprzedziła, że pani przyjdzie.

– Dzień dobry.

Podaliśmy sobie ręce. Miał pewny uścisk. Ciekawa byłam, czy czytał okólnik Zgromadzenia i czy zapamiętał moje nazwisko.

– Dziękuję, że zechciał się pan z nami spotkać z tak niewielkim wyprzedzeniem. – Wskazałam Corneliusa. – To jeden z naszych detektywów, Cornelius Harrison.

Corneliusowi Edward również podał rękę.

– Przejdźmy w bardziej dogodne miejsce. Proszę za mną. – Skierował się ku drzwiom, które rozsunęły się przed nami i zamknęły po przejściu. Otworzyłam szeroko oczy.

Znaleźliśmy się w gigantycznym atrium, labiryncie skrzyń uprawowych i donic, ustawionych tak gęsto, że wiodła przez nie tylko kręta kamienna ścieżka. Pomieszczenie było wysokie na trzy kondygnacje a powierzchni nawet nie byłam w stanie ocenić. Z pewnością zmieściłoby się tu kilka naszych magazynów.

Edward zaczął iść ścieżką, więc otrząsnąwszy się ze stuporu, ruszyłam pospiesznie, żeby za nim nadążyć. W kilku skrzyniach rosły stare drzewa pokryte różnymi rodzajami grzybów – pęki białych zwisających sznurków, przypominające dziwny mop albo ultranowoczesny żyrandol; żagwiowce we wszystkich kolorach, od antracytowego poprzez jaskrawą zieleń po intensywny bordowy; gniazdo węzowatej plechy, która mogła być równie dobrze istotą pozaziemską; masa jasnożółtej grzybni i tak dalej, i tak dalej.

Pnie i omszałe głązy pokrywały plamy porostów i śluzowatych pleśni w barwach tęczy. Niektóre z nich fosforyzowały w półcieniu. Z korzeni wyrastało jeszcze więcej grzybów o różnych formach i kolorach, ametystowe, indygo, fluorescencyjna zieleń. Jeden osnuty białą pajęczyną niczym welonem, inny przypominał kawałek wapienia krwawiącego z otworów jaskrawoczerwoną wydzieliną. Na ścianach osłoniętych płytami pleksi gigantyczne kolonie bakterii tworzyły abstrakcyjne obrazy.

Czułam się, jakbym znalazła się na obcej planecie. Gapiłam się na to wszystko oszołomiona.

Szpon zerwał się do lotu z ramienia Corneliusa i śmignął między drzewa.

– Proszę wybaczyć – rzekł Harrison przepraszającym tonem. – Jest nieco przytłoczony.

Edward uśmiechnął się uspokajająco.

– My biomagowie musimy liczyć się z dziwactwami swoich podopiecznych. Natura jest nieprzewidywalna.

– Macie z bratem tę samą specjalizację? – Dane mówiły, że obaj są botanomagami.

– Tak, ale ja jestem dendromagiem. Mam talent do drzew owocowych. Brian jest mykomagiem, to jego królestwo. – Edward zatoczył ręką, wskazując kosmiczny krajobraz. – Tędy, proszę.

Skręciliśmy w prawo. Za zakrętem grzybowa kraina kończyła się nagle. Przed nami szemrał strumień wypływający z sadzawki z karpiami koi, zasilanej wodą spadającą z kamiennej ściany. Obok rozciągał się bajkowy sad. Część z rosnących w skrzyniach drzew kwitła, na innych wisały złote jabłka, brzoskwinie czy czereśnie.

Edward powiódł nas przez japoński mostek do owocowego ogrodu.

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego to nie ja jestem głową Rodu. Każdemu nasuwa się takie pytanie, jednak z uprzejmości nikt go nie zadaje. Jestem najstarszy i posiadam talent w randze Magnusa.

– Czemu nie stoi pan na czele Rodu? – zapytałam.

– Ponieważ to Brian urodził się w czepku. Farmaceutyki oparte na grzybach przynoszą dużo więcej pieniędzy niż smaczne jabłka.

Edward wyciągnął rękę ku drzewu, które pochyliło się, muskając jego dłoń liśćmi.

– Nie przeszkadza to panu? – zapytałam

– Już nie.

Kłamstwo.

Posadzka nagle się urwała. Ścieżka nadal istniała, tyle już nie kamienna, a porośnięta trawą. Przed nami rozciągała się połać zieleni. Wejście tam w czółenkach nie wchodziło w grę. Obcasy zapadałyby się w ziemię przy każdym kroku. Edward patrzył, czekając, co zrobię.

Zułam buty, wzięłam je do ręki i weszłam na trawnik. Żywy dywan pod moimi stopami był chłodny. Musiałam działać ostrożnie. Edward był Magnusem, więc jeden fałszywy krok i mógł nas stąd wyrzucić. A Rynda zasłużyła na odpowiedzi.

– Panie Sherwood – zaczęłam – Rynda zleciła naszej agencji odnalezienie męża.

– Byliśmy w najwyższym stopniu zaskoczeni, biorąc pod uwagę pani udział w śmierci jej matki – powiedział Edward.

No dobrze, skoro ten temat mamy już z głowy...

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. Niektóre z poruszanych przeze mnie kwestii mogą być drażliwe. Wszystko, co nam pan powie, będzie poufne, choć nieobjęte tajemnicą zawodową.

– Postaram się odpowiadać szczerze. W granicach rozsądku, oczywiście.

Czekałam na znajome brzęczenie, ale magia milczała. Mówił prawdę.

– Kiedy po raz ostatni widział pan brata?

– W czwartek późnym popołudniem, tuż przed osiemnastą. Zamieniliśmy parę słów na temat zebrania budżetowego, zaplanowanego na następny dzień. Pytałem, czy weźmie w nim udział, ale odparł, że będzie zajęty swoimi badaniami. Potem wyszedł z biura. Wstałem, żeby popatrzeć na drzewa rosnące po drugiej stronie parkingu. To

pomaga mi myśleć. Stałem przy oknie, kiedy wyszedł, wsiadł do swojego samochodu i odjechał.

Prawda. Obiecujący początek.

– Niepokoi się pan zniknięciem brata?

– Oczywiście.

Kłamstwo. Cóż, nie chwał dnia przed zachodem słońca.

– Martwię się o Ryndę i dzieci – dodał sam z siebie.

Prawda.

Ścieżka doprowadziła nas na brzeg sadzawki, gdzie mniej więcej w kręgu stały trzy drewniane ławki, jakie można kupić w każdym markecie ogrodniczym. Za ławkami umieszczono trejaże, po których pięły się kwitnące powojniki. Wielkie, bordowe, białe, fioletowe i niebieskie kwiaty roztrząsały delikatny amalgamat woni.

– Zapraszam. – Edward wskazał mi ławkę.

Usiadłam, a Cornelius przyłączył się do mnie. Edward zajął siedzisko naprzeciwko.

Panował w tym miejscu niesamowity spokój. Mogłabym tak siedzieć na tej ławce całymi godzinami, czytając książkę, wdychając woń powojników, spoglądając na sadzawkę i rozkoszując się dotykiem jedwabistej trawy pod stopami. I właśnie dlatego nas tu przyprowadził. To była jego dziedzina. Czuł się tutaj swobodnie i liczył, że piękno otoczenia złagodzi rozmowę.

– Brian już jako dziecko jak ognia bał się kłopotów – zaczął Edward. – Żadne dziecko nie lubi popadać w tarapaty, ale Briana to wręcz przytłaczało. Nasz ojciec miał surowe metody wychowawcze, tak został sam wychowany i nie znał niczego innego. Gdy Brian coś przeszkrobał, tak się bał reakcji ojca, że uciekał. Ukrywał się całymi godzinami tak, że nikt nie umiał go znaleźć. Na początku takiego zniknięcia wszyscy czekali, aż sam się pojawi. Kilka godzin później, gdy wciąż go nie było, matka zaczynała panikować, przekonana, że musiało mu się przytrafić coś strasznego. Potem cały dom zaczynał go szukać, czasami przez całą noc, a gdy w końcu ktoś go znalazł, wszyscy byli zbyt zmęczeni i czuli zbyt wielką ulgę, żeby go besztać.

– Uważa pan, że Brian się ukrył?

– Tak.

Prawda.

– Z jakiego powodu?

Edward odchylił się na oparcie ławki.

– BioCore prowadzi niezwykle ważne badania. Przeciętny człowiek nie zwraca uwagi na to, ile zawdzięczamy antybiotykowi. Niską śmiertelność z powodu zakażeń pooperacyjnych przyjmuje się obecnie za coś naturalnego. Angina, zapalenie płuc, infekcje dróg moczowych stały się ledwie niedogodnościami, rzadko budzą lęk. Mimo łatwości przemieszczania się po całym świecie nie wybuchają już zarazy i epidemie. Poczuliśmy się nazbyt pewnie. A to błąd.

– Natura zawsze znajdzie sposób – podsumował Cornelius.

Edward skinął potakująco głową.

– Prawda jest taka, że obserwujemy raptowny wzrost antybiotykoodporności patogenów. Nasze cudowne leki przestają działać. To dzieje się dzisiaj, teraz. Przegrywamy bitwę. Szczep prątków MDR-TB odpowiedzialnych za gruźlicę lekooporną nie przejawia wrażliwości na większość antybiotyków. Oporne szczepy gronkowca złocistego, odporne enterokoki, wielooporna pałeczka zapalenia płuc. Lista jest długa. Mógłbym wymienić więcej nazw, ale wszystkie one oznaczają jedno: wkrótce wizyta w szpitalu z powodu zakażenia dróg oddechowych czy nieskomplikowanej resekcji

wyrostka robaczkowego może skończyć się śmiercią. Wyścig w poszukiwaniu nowych leków trwa. Brian znajdował się w czołówce. Posługiwał się magią, żeby umożliwić szybką mutację grzybów w odpowiedzi na kontakt z bakterią. Pracował nad nowymi antybiotykami. To lukratywna, lecz niebezpieczna dziedzina badań.

– Panuje w niej konkurencja – domyśliłam się.

– Ogromna. Obiecałem szczerą. Udział Olivii w morderstwie senatora Garzy oraz wywołany tym rozgłos odbił się na nas negatywnie. Brian ożenił się z Ryndą ze względu na kontakty biznesowe jej matki. Obecnie ci ludzie się do nas nie przyznają.

Jakby Rynda była trędowata. Wszystko, co wiązało się z jej matką, było skażone.

– Dwóch naszych głównych inwestorów wycofało finansowanie. To znaczne kwoty. Ogromny kontrakt, którego negocjacje właśnie dobiegły końca i czekał tylko na podpisy, zawarto z naszym głównym konkurentem. Mamy nawet problemy ze zdobyciem niezbędnych próbek wirusów.

– Zmagacie się z problemami finansowymi? – zapytałam.

– Owszem. – Wydawał się tym dziwnie nieporuszony. – Przetrywamy. To chwilowe komplikacje. Znajdziemy innych inwestorów, będą inne kontrakty. Ale na razie sytuacja jest napięta. Bardziej, niż sądzi Rynda.

Nie pokrywało się to ze słowami Ryndy, która twierdziła, że Brian był spokojny, ale Edward nie kłamał.

– Brian był świadomy powagi sytuacji?

W oczach Edwarda coś mignęło. Pogarda? Złość? Trudno powiedzieć, bo za szybko zniknęło.

– Brian to geniusz. Jego domeną są jednak nauka i badania. Finanse firmy i działanie od strony administracyjnej to moja odpowiedzialność. Dwa dni temu uświadomiłem mu, jak wygląda sytuacja. Zazaczyłem też, że nie jest całkiem beznadziejna. Ale jak już wspomniałem, Brian łatwo popada w przygnębienie. Takie zniknięcie leży w jego charakterze. Wróci, kiedy kłopoty rozwiążą się poza nim. A jak mówiłem, potrafi się świetnie ukrywać.

Nieźle ziółko z tego Briana.

– Czy Brian dysponuje gotówką albo ma dostęp do innych kont poza osobistymi? – zapytał Cornelius.

– Nie byłbym zaskoczony. Lubi mieć coś w zanadru na czarną godzinę.

– Czy Brian i Rynda mieli jakieś problemy małżeńskie?

– Rynda bardzo się stara, żeby być idealną żoną. Wychodzi naprzeciw jego potrzebom, a Brian nie jest wybuchowy. Mój brat to cichy, wrażliwy człowiek, lubi spokój i rutynę.

Nie odpowiedział na pytanie.

– Czy Brian w jakikolwiek sposób wyrażał swoje niezadowolenie czy rozczarowanie małżeństwem? – docisnął Cornelius.

– Każdemu raz na jakiś czas zdarza się ponarzekać na małżeństwo – rzekł Edward wymijająco. – Ostatnio nie mówił nic takiego.

– Ostatnio czyli?

– Od około dwóch lat.

Prawda.

– Uważa pan, że brat mógłby zostawić żonę? – zapytałam.

– Nie.

Znów prawda.

– Czy Rynda stała się obciążeniem dla BioCore?

Edward pochylił się na ławce z nagłym skupieniem.

– Rynda nie jest obciążeniem nigdy i dla nikogo. Jest kobietą dobrą, uroczą, o anielskiej cierpliwości. Jest bystra i empatyczna. Mamy szczęście, że należy do rodziny. Jest ogromnym wsparciem dla nas wszystkich.

A więc Edward Sherwood pokazał nareszcie swoje prawdziwe oblicze. Widać trąciłam jego czułą strunę. Nie martwił się o brata, ale wystarczyło, że poruszyłam temat Ryndy, a gotów był bronić jej zębami i pazurami. Interesujące.

– Porwał pan brata, panie Sherwood?

– Nie niżę się do odpowiedzi na to pytanie – odparł z oczyma płonącymi oburzeniem.

– Panie Sherwood – zaczęłam – Rynda bardzo to wszystko przeżywa. Przyszła do mnie dlatego, że wszyscy inni jej odmówili. Pragnę rozwiązać tę sprawę tak sprawnie, jak to możliwe, żeby zminimalizować stres, który jest jej udziałem. Im szybciej wyeliminuję pana z kręgu potencjalnych podejrzanych, tym szybciej zaczniemy szukać prawdziwego wyjaśnienia zniknięcia pana brata.

– A skąd pewność, że powiem prawdę? Przecież mógłbym panią okłamać.

– Potrafię świetnie oceniać charakter człowieka. Czy porwał pan swojego brata?

– Nie. – Mięśnie na zaciśniętych szczękach zafalowały.

Prawda.

– Czy zabił go pan lub zadał rany fizyczne?

– Nie.

– Czy zlecił pan komuś uprowadzenie lub skrzywdzenie Briana?

– Nie!

– Czy wie pan, gdzie przebywa Brian?

– Nie.

– Czy wie pan, gdzie może się znajdować?

– Nie.

– Czy kontaktował się z panem od czasu zniknięcia?

– Nie.

Za każdym razem prawda. Podniosłam się z ławki.

– Dziękuję, panie Sherwood.

Edward wstał. Gotował się z wściekłości, ale panował nad emocjami, zaciskając je jak w pięści.

– Skończyliśmy?

– Tak.

Wyciągnął telefon i przyłożył go do ucha.

– Margaret? Zejdź na dół, proszę, żeby wyprowadzić moich gości.

...

Margaret zaprowadziła nas do wyjścia. Cornelius zatrzymał się po drodze pod wielkim drzewem, pierwszym, które ujrzelśmy po wejściu do atrium. Drzewo porastały kiście grzybów o lśniących żółtych kapeluszach. Cornelius przypatrywał się drzewu przez moment, przywołał Szpona i opuściliśmy budynek BioCore.

– Co o tym sądzisz? – zapytałam, gdy wyjeżdżaliśmy z parkingu.

– Wydawał się szczery.

– Mówił prawdę. Prawie za każdym razem. Nie porwał brata i nie ma pojęcia, gdzie Brian się znajduje. I jest zakochany w szwagierce.

– Poślubiła niewłaściwego brata. – Cornelius pokiwał głową.

– Czemu tak uważasz?

– Zauważyłaś to drzewo, przy którym się zatrzymałem? To z żółtymi grzybami? To opieńka miodowa – ciągnął, kiedy przytaknęłam. – Odpowiednio przyrządzona jest wyśmienita. Ale przyrządzona niewłaściwie staje się trująca. To pasożyt fakultatywny. Zabija porażoną roślinę, a potem bytuje na jej szczątkach. – Cornelius zawiesił głos. – Tam rośnie na jabłoni.

Brian Sherwood mógł wybrać jakiekolwiek drzewo dla tego grzyba, ale zaraził nim drzewo owocowe. W dodatku takie, które rosło przy samym wejściu atrium i nie dało się go przeoczyć.

– Edward musi codziennie obok niej przechodzić – kontynuował Cornelius. – Czuje, jak jabłoń powoli umiera, toczona chorobą, i nic nie może na to poradzić.

– Dziękuję. Nie zauważyłabym tego.

– Cieszę się, że na coś się przydałem. – Uśmiechnął się.

– Okrucieństwo Briana zdaje się wyrażać w biernej agresji – podsumowałam. – Do tego jest tchórzem. Ucieka za każdym razem, kiedy robi się gorąco, zostawiając rozwiązanie problemów żonie i bratu.

– Czemu jedziemy tak wolno?

– Bo Edward Sherwood mówił prawdę. Widział, jak brat wyjeżdża z parkingu swoim samochodem, a więc cokolwiek się stało, musiało zajść na pięciokilometrowym odcinku tej drogi. Nie chcę niczego przegapić.

– A czego wypatrujemy?

– Czegokolwiek nietypowego. Odłamków szkła. Kawałków gumy z opony.

– Czym jeździł?

– Mercedesem S550, srebrny metalik.

– Pewnie powinienem to wiedzieć – skrzywił się Cornelius. – Poprawię się.

– To moja wina – westchnęłam. – Wszystkie informacje są w emailu. Na początku każdej sprawy robimy zestawienie wszystkich istotnych dla nas informacji i Bern wrzuca to na skrzynkę, żebyśmy mieli dostęp z każdego urządzenia. Powinnam ci o tym powiedzieć, ale dotychczas zajmowaliśmy się tym rodzinnie i nigdy nie miałam pracownika z zewnątrz na stałe.

– Myślisz, że Brian został porwany? – zapytał.

– Na razie skłaniam się ku wersji, że rzucił wszystko w diabły i zwiął na parę dni, żeby odetchnąć. Firma znalazła się na skraju katastrofy finansowej, u syna jak dotąd nie objawił się talent magiczny, a żona, która miała być przepustką do elity Rodów, stała się pariasem. Wydaje się, że zamydlił wszystkim oczy, jaki to on nie jest wrażliwy i wycofany, ale po tym, co powiedziałaś o drzewie, zaczynam podejrzewać, że w jego reakcjach jest sporo wyrachowania...

Wjechaliśmy na most. Jedna z barierek przed nami była odrobinę wgięta, jakby coś w nią uderzyło. Zatrzymałam samochód i wysiadłam, żeby przyjrzeć się temu bliżej. W miejscu wgłębienia widniała smuga srebrzystego lakieru. Schyliłam się i zrobiłam komórką zdjęcie tego fragmentu. Poza tym wszystko wyglądało normalnie.

– Co teraz? – zapytał Cornelius.

Rozejrzałam się. Po drugiej stronie ulicy działała pręźnie nowa stacja benzynowa.

– Pójdziemy tam – wskazałam budynek – i poprosimy o nagrania z monitoringu.

Trzy minuty później rozmawialiśmy z kierownikiem. Jedna z ich kamer obejmowała zasięgiem interesujące nas miejsce, bo znajdowało się przy wyjeździe z ich parkingu, a nagrania przechowywano na serwerze przez trzy miesiące. Zaczęłam się targować. Kierownik zażądał dziesięciu tysięcy dolarów. Zapytałam, czy mam się pojawić u niego z glinami i nakazem, w efekcie czego nie dostanie ani grosza. On na to, że zdobycie nakazu trwa. Kazałam mu wygłować moje nazwisko. Przez chwilę kierownik i sprzedawca oglądali nagranie Szalonego Rogana niszczącego centrum, jakby był demonem z piekieł. Stało na dwóch setkach plus dziewiętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć za pendrive'a. Machnęłam ręką na ten rozbój w biały dzień, bo wołałam się skupić na ważniejszych kwestiach.

Wetknęłam pendrive'a do swojego laptopa i odtworzyłam nagranie w trybie przyspieszonym.

Siedemnasta.

Siedemnasta trzydzieści.

Siedemnasta czterdzieści pięć.

Przełączyłam na normalną prędkość odtwarzania. O siedemnastej pięćdziesiąt jeden na obrazie pojawił się srebrny mercedes. Potem czarny SUV, chyba GMC Yukon, wjechał mu w tył, spychając na barierkę. Z mercedesa wysiadł mężczyzna, prawdopodobnie Brian Sherwood, aczkolwiek dla całkowitej pewności Pluskwa będzie musiał wyostrzyć obraz.

Z yukona wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich uniósł rękę, a Brian upadł i skulił się na ziemi. Paralizator. Obcy kierowca wziął leżącego w ramiona jak dziecko i zaniósł go do swojego samochodu. Jego pasażer wsiadł za kierownicę mercedesa Sherwooda. O siedemnastej pięćdziesiąt dwa oba samochody odjechały.

Cornelius uniósł brwi.

Wzięłam telefon i zadzwoniłam do Ryndy.

– Tak? – Była roztrzęsiona.

– Miałaś rację. Brian został uprowadzony.

– Wiem! – krzyknęła histerycznie. – Porywacze właśnie dzwonili!



4

Brian i Rynda Sherwoodowie mieszkali w Hunters Creek Village, w posiadłości, którą biura nieruchomości opisały jako „uroczy dom dla aktywnych rodzin”. Dom kupili cztery lata wcześniej, ale pośrednicy zachowują swoje ogłoszenia na stronach na wieczność. Działka, na której stał budynek, miała prawie pół hektara. Na prawie ośmiuset metrach kwadratowych powierzchni mieściło się sześć sypialni, pięć łazienek, basen, zadaszone patio oraz coś określonego mianem „vine grotto”, a co trudno mi sobie było wyobrazić. Umysł uparcie podsuwał mi disneyowskie scenografie jaskiń nadmorskich, w których zamiast wody chlupotało wino.

Dom został sprzedany za trzy i pół miliona, co było przeciętną ceną okolicznych nieruchomości. Po drodze zdążyłam się napatrzeć dłaczego. Jechaliśmy przez las. Wokół ćwierkały ptaszki. Po rosnących sporadycznie pomiędzy dębami palmach śmigwały wiewiórki. Aż trudno było uwierzyć, że Houston znajduje się zaledwie dwie minuty jazdy stąd.

Pod domem zaparkowałam przy znajomym szarym range roverze – Rogan dotarł tu przed nami. Widać Rynda lub któryś z jego ludzi go wezwali. To dobrze. Jego słowa bardziej ją przekonywały niż moje.

– To samochód Rogana? – zapytał Cornelius.

– Uhm.

– Nie przeszkadza ci to?

– Odrobinę. – W końcu nie jestem robotem. – Staram się jednak zachować właściwą perspektywę.

Przekrzywił głowę, czekając, aż rozwinę.

– Rynda właśnie straciła matkę i odwrócili się od niej znajomi. Przypuszczam, że w tej sytuacji mąż był dla niej oparciem, a teraz i on zniknął. Jest matką, skupioną bez reszty na chronieniu dzieci. Z Roganem znają się od pieluch. Należy w zasadzie do rodziny i dysponuje zasobami oraz magią, która pozwoli przeżyć jej i jej dzieciom. To naturalne, że się do niego zwróciła.

– Raczej nie postrzeżę go jako członka rodziny – wyraził wątpliwość Cornelius.

– Niech sobie go postrzeżę, jak chce. Dla mnie liczy się tylko to, jak Rogan postrzeżę mnie.

Powiedział, że mnie kocha, i nie kłamał. Zresztą uwierzyłabym mu nawet, gdyby magia nie zapewniła mi o jego szczerości. Rogan był niebezpieczny, czasem nieprzewidywalny i zawsze uparty. Gdyby mógł, przejeżdżałby po ludziach buldożerem, żeby osiągnąć swój cel. Ale nie potrafiłam sobie go wyobrazić w roli zdradzającego faceta. Był na to zbyt prostolinijski. To nie leżało w jego naturze.

Podeszliśmy do wejścia. Drzwi zastąpił nam uzbrojony strażnik. Nie należał do byłych wojskowych twardego Rogana. Wyglądał jak skrzyżowanie kulturysty ze strażnikiem parku narodowego. Oliwkowe bojówki zatknął w cholewki jasnych wojskowych butów, a szaro-zielona bluza militarna opinała się na jego szerokiej klatce i potężnych barach. Ubranie musiał szyć na miarę, bo w normalny rozmiar by się nie wcisnął. U pasa, zapiętego na zaskakująco wąskiej tali, wisiały kabura z pistoletem, kajdanki i krótkofalówka. Całości dopełniały lustrzane okulary przeciwsłoneczne i baseballówka z wyszytym logo Sherwood Security i herbem rodowym. Kosztowny ochroniarz.

– Nevada Baylor i Cornelius Harrison – przedstawiłam nas.

Wymamrotał coś do radia i za chwilę otworzył drzwi.

Wnętrze domu było równie piękne, co otaczające go tereny. Miejsce roilo się od umundurowanych fanów siłowni, którzy zatrzymywali się na moment, by na nas popatrzeć, prezentując pełen wachlarz twardejskich spojrzeń. Przez niewielki przedpokój przeszliśmy do ogromnego salonu. Delikatne meble, cudownej urody orientalny dywan z zaparkowaną na nim zabawkową ciężarówką, pistolet na wodę pod sofą i rysunki dzieci w pięknych, nowoczesnych ramach. Honorowe miejsce zajmowała gigantyczna choinka, mieniąca się bielą i złotem.

Rynda stała pośrodku pokoju, obejmując się ramionami. Rogan bardzo blisko niej, trzymał jej dłoń na barku. Z jego oczu biło ciepło, a na twarzy malowała się troska.

– Nagraliście rozmowę? – zapytałam, kiedy podniósł na mnie wzrok.

– Tak. – Rynda podniosła telefon i dotknęła ikony odtwarzania.

„Znacie nasze żądania” – rozległ się męski głos i nagranie się urwało.

– Powiedzieli coś jeszcze?

– Nie.

– Wiesz, czego chcą?

– Nie! – Oczy Ryndy wypełniły się łzami. – Przecież gdybym wiedziała, już dawno bym im to dała! Mają mojego męża!

Nie kłamała.

– Pakuj dzieci i siebie – polecił jej Rogan. – Mam bezpieczną bazę w mieście.

Właśnie zaproponował jej przeniesienie się do swojej kwatery głównej.

– Nigdzie się stąd nie ruszę – zaprotestowała Rynda. – To mój dom.

Twarz Rogana stężała w masce pod tytułem „dość tych bzdurow”. Lada moment miał zacząć wydawać jej rozkazy, a ona się sprzeciwiać. W końcu była Magnusem. Lekko pokręciłam głową, patrząc na niego.

– Usiądźmy – zaproponowałam pojednawczo. – Wszyscy jesteście zdenerwowani, więc uspokójmy się trochę, weźmy głębszy oddech.

Usiadłam. Rynda poszła za moim przykładem, zajmując miejsce naprzeciwko, na bogato zdobionej sofie. Oddychała zbyt szybko. Była bliska hysterii. Musiałam odwrócić jej uwagę.

– Te rysunki na ścianie to Kyle’a?

– Tak. – Zmarszczyła brwi. – Mama dała je do oprawy.

– Ma duży talent.

– Dziękuję – odpowiedziała automatycznie.

– A ten pistolet na wodę?

– To Jessiki. Uwielbia się z nim zacząć na brata.

– Gdzie teraz są dzieci?

– W pokoju zabaw, ze Swietlaną.

Jej oddech się pogłębił.

– Kim jest Swietłana?

– To niania z agencji.

– Skąd masz namiary do agencji?

– Wszystkie mamy z okolicy z niej korzystają. Nie pamiętam, kto konkretnie mi ją polecił.

– Kiedy dokładnie zadzwonili? – Mówiłam spokojnie, łagodnym tonem.

– Dwanaście po dziesiątej – odpowiedziała, sprawdzivszy telefon.

– Rozpoznałaś głos?

– Nie.

– Posłuchaj jeszcze raz, zastanów się.

– Nie – powtórzyła po chwili.

– Czy Brian miał jakichś wrogów?

– Już ci mówiłam, nie.

– Ryndo – wtrącił się Rogan – ktoś w biały dzień na środku ulicy uprowadził Magnusa. To musi być inny Ród, bo nikt inny by się na to nie zdobył. Może Brian o czymś wspominał? Może był na kogoś zły?

– Brian nie bywa zły – westchnęła Rynda.

– Który Ród jest waszą największą konkurencją? – zapytałam.

– Ród Rio. Ale Brian raczej nie znał szczegółów, bo to Edward zajmuje się biznesem od tej strony. Brian tylko hoduje grzyby.

Rogan spojrział na mnie pytająco.

– Edward jest czysty – powiedziałam.

– Myślałaś, że to Edward? – Rynda potrząsnęła głową. – Edward nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił.

Zadzwonił telefon Ryndy.

– Przełącz na głośnik – poprosiłam.

Odebrała i dotknęła odpowiedniego symbolu. Ostrożnie wyjęłam jej aparat z dłoni.

Ten sam męski głos, spokojny, opanowany.

– Jeśli nam tego nie oddasz, twój mąż wróci do domu w kawałkach.

– Nazywam się Nevada Baylor – przejęłam inicjatywę. – Mam zezwolenie na prowadzenie negocjacji w imieniu Ryndy.

– Żadnych negocjacji.

– Usiłujemy wyjść naprzeciw waszym żądaniom, zależy nam, żeby Brian wrócił do domu cały i zdrowy. Potrzebujemy jednak dowodu, że żyje i że rozmawiamy

z właściwymi ludźmi. Na naszym miejscu też chcielibyście się co do tego upewnić, prawda?

Moment ciszy i inny, miększy głos:

– Rynda?

– Brian! – Rynda rzuciła się do telefonu, ale Rogan ją przytrzymał. – Brian, nic ci nie jest?

– Daj im to, czego chcą. Proszę.

Połączenie przerwano.

Rynda ukryła twarz w dłoniach.

– FBI... – zaczęłam.

– Nie – przerwali mi równocześnie Rogan, Rynda i Cornelius.

No jasne, po co wzywać zawodowców, którzy specjalizują się w uprowadzeniach?

Co za głupota!...

– Zadzwoń znowu – próbowałam. – A co, jeśli go zabiją?

– Nie zabiją – orzekł Rogan pewnie. – Zadali sobie niemało trudu, porywając go, a to oznacza, że zależy im na okupie. Zabijając go, stracą kartę przetargową.

– Ryndo – zwróciłam się do gospodyni, oddając jej telefon – kiedy zadzwonią znowu, musisz nawiązać więź emocjonalną. To niezwykle ważne. Zadawaj im pytania, a jeśli odpowiedzą, powtarzaj po nich, pytając, czy dobrze zrozumiałaś. Postaraj się tak pokierować rozmową, żeby w którymś momencie zgodzili się z tobą. Muszą przywyknąć do myśli, że jesteś po ich stronie. Wykorzystaj swoją magię. Wiem, że to trudne, ale nie możesz się denerwować i wpadać w histerię. Przekonaj ich, że jesteście w tym razem i że chcesz, żeby im się udało. Sprowokuj ich, żeby powiedzieli ci, o co im chodzi.

Odebrała ode mnie telefon i skinęła potakująco głową.

– Ze mną będziesz bezpieczniejsza – obstawał przy swoim Rogan. – Dzwonią na komórkę, nie musisz być w domu.

– Nie bądź śmieszny, Connorze. Jestem Magnusem w domu, który został zbudowany jak twierdza, mam tu armię strażników. Dzieci i tak są przerażone, a ty chcesz, żebyśmy przenieśli się do twoich koszar? Nie. Zostaję tutaj i czekam z dziećmi na powrót taty do domu.

Rogan spochmurniał, a jego oczy zaczęły ciskać gromy.

– Wobec tego ściągnę tu swoich ludzi.

Rynda podniosła na niego wzrok, a spod tej jej kruchości wyłoniła się nieugiętość.

– Nie zgadzam się. Mamy własną ochronę. Doceniam propozycję, ale nie. Muszę zająć się dziećmi. Jeśli chcesz pomóc, znajdź mojego męża.

I cóż było powiedzieć po takim dictum?

Po wyjściu odetchnęłam głęboko.

– Może wyjaśnicie mi, czemu nie wezwaliśmy FBI?

– Przez porwanie Neumanna – odpowiedział Cornelius.

– To było w latach osiemdziesiątych, George’a Neumanna porwał rywalizujący Ród – doprecyzował Rogan. – W sprawę włączono FBI i agencja straciła wtedy czterdziestu ludzi. Nikogo nie skazano.

– Jak to możliwe?

– Koneksje i pieniądze na najlepszych adwokatów – wzruszył ramionami Rogan. – FBI nie angażuje się od tamtej pory w porwanie członków Rodów. To sprawy Rodów i zajmują się tym sami.

Pięknie. Kolejna zaleta posiadania statusu Rodu, której nie brałam pod uwagę – w razie kłopotów nie licz na policję.

Rogan wystukał coś na swoim telefonie.

– Mogłaś pomóc mi ją przekonać, żeby przeniosła się do mnie – rzekł z wyrzutem.

– Rynda jest matką i empatką. Wie aż nadto dokładnie, jak przerażone są jej dzieci. Uważa, że stabilne, znane środowisko pomoże się im wyciszyć. Teraz nawet wołami nie wyciągniesz jej z domu. – Przesunęłam dłonią po twarzy. – Możesz podesłać jej negocjatora jako wsparcie?

– Jest w drodze. Również jest empatą. Ale na wiele się nie przyda. Rynda jest najlepszym negocjatorem na świecie. Tyle że do tej pory nie musiała korzystać z tego talentu. Ale świetnie sobie poradzi.

– Nie bardzo rozumiem jej postawę – wyznał Cornelius. – Jej matka nigdy nie wahała się sięgnąć po magię, a Rynda się przed tym wzbrania.

– Rynda ma bardzo łagodną naturę – wyjaśnił Rogan. – Już w dzieciństwie zrozumiała, że przez jej magię ludzie czują się przy niej nieswojo. A zależy jej na dobrym samopoczuciu innych. Teraz będziemy wiedzieć, kiedy zadzwonią.

– Sklonowałaś jej telefon?

Rogan puścił mi oko.

– Dotarliśmy do nagrania z porwania Briana – oznajmiłam. – Wysłałam je Bernowi. Pewnie pchnął je już do Pluskwy.

– I nie pokazałaś mi go? – Rogan aż przestał pisać na telefonie.

– Przy Ryndzie? Żeby ją jeszcze bardziej zdenerwować? – Skręciłam do swojego samochodu.

– Gdzie teraz jedziesz? – Rogan szybko mnie dogonił.

– Do BioCore. Muszę przekonać Edwarda Sherwooda, żeby skontaktował się z Rodem Rio w mojej obecności, żebym mogła ich wykluczyć z grona podejrzanych.

– To nie Rio – stwierdził Rogan z przekonaniem. – Przejrzałam finanse BioCore. Sherwoodowie nie stanowią obecnie konkurencji dla kogokolwiek.

– Tak, ale muszę mieć absolutną pewność.

– Pojadę z tobą.

Mógł się przydać, w razie gdyby Sherwoodowie spuścili mnie i Corneliusa po brzytwie. Co innego wykopać za drzwi prywatnego detektywa i Wybitnego z pośledniego Rodu, a co innego odmówić Szalonemu Roganowi.

Udałam, że się namyślałam.

– Dobrze, ale obiecaj, że nie rozwalisz żadnego budynku.

Smok uśmiechnął się niewinnie.

– Obiecuję.

...

Po drodze zreferowaliśmy Roganowi nasze dzisiejsze odkrycia z porannej wizyty. Zaparkowałam na tym samym miejscu, po czym, tym razem we troje, pomaszzerowaliśmy do wejścia. Strażnicy nadal tkwili na swoich posterunkach. Niższy podniósł się na nasz widok.

– Nie wolno państwu przebywać na terenie BioCore – oznajmił.

– Proszę powiadomić pana Sherwooda, że mam informacje o jego bracie – powiedziałam. – I zaanonsować Szalonego Rogana.

Rogan łypnął na ochroniarza spode łba, aż ten pobladał. Drugi strażnik chwycił za słuchawkę i wyrzucił z siebie parę pospiesznych słów.

Tymczasem Rogan z uwagą przyglądał się rozsuwanym drzwiom.

– Zostaw je w spokoju – mruknęłam.

– Chciałem tylko zobaczyć to grzybiaste drzewo.

– Stań tutaj, zobaczysz je, kiedy Edward do nas wyjdzie.

Parę minut później białe panele rozsunęły się, ukazując wyraźnie wkurzonego Edwarda.

– A więc to ty za tym stoisz – zwrócił się bez wstępów do Rogana. – I przyprowadziłeś ze sobą swoją pupilkę, która grzebie ludziom w głowach.

Czyli Edward przejrzał okólnik Zgromadzenia, dowiedział się, kim jestem, i poznał nazwiska świadków wniosku statusowego. Ciekawe, ile osób zdążyło już się zorientować, że jestem prawdołowczynią. Poczulałem znajomy niepokój. Przez całe życie utrzymywałam to w sekrecie, bo nie chciałam skończyć jako żywy wykrywacz kłamstw. Teraz to już nie miało znaczenia. Po otrzymaniu statusu Rodu mogłam kazać spadać na drzewo każdej trzyliterowej agencji, która chciałaby mnie zmusić do odwalania ich czarnej roboty.

– Nevada nie jest niczyją pupilką – stwierdził Rogan – A już na pewno nie moją.

A potem się uśmiechnął. Doskonale wiedziałam, co oznacza ten uśmiech i że jeśli się nie wtrączę, Edwardowi zaraz spadnie na głowę sufit.

– Nie denerwuj się – włączyłam się do gry. – Pan Sherwood jest po prostu zazdrosny, bo jest zakochany w Ryndzie, a ty byłeś jej narzeczonym.

Twarz Edwarda przybrała odcień pięknej purpury. Usta otworzyły się, ale nie dobiły się z nich żaden dźwięk. Cornelius nie krył uśmiechu.

Rogan przyglądał się Edwardowi z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Jak już mówiłem, Nevada nie jest niczyją pupilką. Porwano ci brata. Chcesz zobaczyć nagranie?

Edward, odzyskawszy zdolność mowy, uznał, że owszem, chce. Przeszliśmy do jego biura, gdzie odtworzył zapis z kamer stacji benzynowej. Najpierw zaklął, a potem przez pięć minut ciskał gromy na głowę brata. Padły słowa „idiota”, „kretyn”, „sto razy mu mówiłem, że powinien mieć ochroniarza”. Później stanowczo sprzeciwił się skontaktowaniu się z Rodem Rio, bo nie chciał, żeby Sherwoodowie wyszli na słabeuszy. Potem z ust Rogana padło trochę cyfr i Edward w końcu przyznał, że już słabszy rodowy biznes wydać się nie może.

Spotkanie z rodziną Rio zajęło nam cztery godziny, głównie dlatego, że siedziba ich firmy znajdowała się po drugiej stronie miasta, a korki były zabójcze. Rozmawialiśmy z głową Rodu, jej trzema synami, dwiema córkami i małżonkami całej szóstki. Nikt nie wiedział nic na temat porwania Briana, nikt go nie zaplanował, nie brał w nim udziału, wszyscy mówili prawdę.

W drodze powrotnej do bazy Pluskwa przesłał Roganowi świeże informacje. Razem z Bernem dokonali cudu, obrabiając nagranie, i namierzili samochody Briana oraz porywaczy jadące na zachód. Kidnaperzy opuścili miasto, wjeżdżając na tereny małych miasteczek i pustkowi ciągnących się aż do San Antonio. Tam ślad się urywał. Poprosiłam Rogana, żeby prowadził, a Cornelius i ja zabraliśmy się do przeglądania raportu Berna. Kuzyn przeczeszał portale społecznościowe i włamał się na konta Briana. Rezultaty zniechęcały.

– Porwanie musi się jakoś wiązać z Olivią – stwierdziłam. – Życie Briana było nudne jak flaki z olejem. Szedł do pracy, wracał do domu, żadnych romansów, radykalnych poglądów politycznych czy religijnych, żadnych przyjaciół i wrogów.

– Człowiek-grzyb – podsumował Rogan.

– Nie bądź złośliwy. Korzystał z jednego portalu społecznościowego.

– O?

– Z Pinterest.

– Proszę powiedz, że miał tam porno.

– Przeglądał i gromadził zdjęcia grzybów – wyjaśnił Cornelius z tylnego siedzenia.

– Nie rozumiem, dlaczego Rynda za niego wyszła – westchnął Rogan.

– Mówiłeś, że zrobiła to, bo pragnęła stabilności. – Czegoś, czego Rogan nie był w stanie jej zapewnić, nawet gdyby się starał.

– Tak, ale chodzi mi o to, czemu z nim została. To żadna stabilność, to powolne obumieranie. – Rogan skręcił i minął budkę strażniczą. – Rynda pragnęła miłości. Pragnęła być kochana. Potrzebowała kogoś, kto by wspierał ją i otaczał troską. A najważniejsze, kogoś, kto stałby przy niej bez względu na wszystko. A dostał się jej dupek, który złośliwie dręczy swojego brata i daje nogę na widok nadciągających problemów, zostawiając wszystko na jej głowie.

– Jeszcze nie jest za późno. Zawsze możesz stać się dla niej tą męską opoką – samo mi się wyrwało.

Rogan zaparkował przed magazynem i popatrzył na mnie tymi swoimi niesamowitymi błękitnymi oczyma.

– Jesteś zazdrosna.

– No co ty – skłamałam.

Zerknęła przez ramię na Corneliusa, który rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że nic nie wie i nie chce się w to mieszać.

Rogan przez dłuższą chwilę mi się przyglądał, a potem wybuchnął śmiechem. Zdołałam wysiąść z samochodu, nie trzaskając drzwiami. Na placyku stało obce volvo. Mieliliśmy gościa.

Volvo uniosło się, polewitowało i delikatnie wylądowało przed drzwiami wejściowymi. Odwróciłam się. Rogan stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o maskę hondy.

– Podoba mi się to, że jesteś zazdrosna.

– Odłóż samochód z powrotem na miejsce.

– Rozważę to, jeśli zgodzisz się zjeść dziś ze mną kolację.

Tak!

– Nie. Nie negocjuję z terrorystami.

– Jeśli nie przyjmiesz zaproszenia, będę zmuszony uciec się do jakiegoś melodramatycznego gestu, na przykład przyjdę pod twoje okno z boomboxem i będę ci puszczał kłliwe kawałki.

– A skąd w tych czasach weźmiesz boomboxa?

– Gdzieś tam wyżebram.

Udałam, że rozważam jego propozycję.

– Przyjedź po mnie o szóstej.

– Będę o siódmej. Jest piąta, a praca zajmie ci jeszcze co najmniej godzinę. Przyjemnego oddawania próbek.

– Jakich próbek?

Volvo znów oderwało się od ziemi i wróciło na swoje miejsce. Miało zindywidualizowaną rejestrację – ATCG105 – co nic mi nie powiedziało.

Rogan oderwał się od maski mojego samochodu i oddalił w stronę swojej kwatery głównej.

Cornelius otworzył drzwiczki i wyrzłał ostrożnie.

– Co tam?

– Sprawdzam tylko, czy można bezpiecznie wysiąść.

Otoczają mnie komedianci. Westchnęłam i udałam się do biura.

• • •

W salce konferencyjnej czekał na mnie mężczyzna. Towarzyszył mu Bern, który słysząc, jak wchodzę, podniósł głowę znad laptopa i pomachał mi na powitanie.

Mężczyzna miał około czterdziestki i sylwetkę maratończyka, był wysoki, szczupły i długonogi. Czarny tradycyjny garnitur uzupełniały czarna koszula i połyskliwy czarny krawat. Oprawki okularów nie odstawały kolorem od reszty. Ciemne włosy zaczesywał do tyłu. Na tle tego ciemnego stroju wyróżniały się jasnoniebieskie oczy.

– Nevado, to pan Fullerton, przedstawiciel Zwoju – przedstawił go Bern. – Mówi, że przyszedł na zlecenie Biura Rejestru, żeby pobrać próbki DNA.

Przeszył mnie dreszcz niepokoju. Wcześniej czy później Arabella również będzie musiała poddać się testom i kto wie co nas w związku z tym czeka. W naszej krwi kryły się potwory, a kiedy wyjdą na jaw, będzie za późno, żeby coś na to poradzić.

Pan Fullerton wstał i wyciągnął do mnie rękę, którą uściśnęłam. Dłoń miał suchą, cieplą, a uścisk silny.

Idący za mną Cornelius zatrzymał się w progu sali konferencyjnej.

– Dobry wieczór, panie Harrison – przywitał go Fullerton. – Jak się ma pańska córka?

– Dobry wieczór – odpowiedział Cornelius. – Matylda czuje się dobrze.

– Miło mi to słyszeć.

– Przechodziłem testy dwukrotnie – wyjaśnił mi Cornelius. – Raz jako dziecko, drugi, kiedy zostałem ojcem. Mam z tobą zostać?

– Będę ci wdzięczna.

Cornelius zajął miejsce przy stole. Fullerton i ja również usiedliśmy.

– Dam znać Catalinie – powiedziałam, sięgając po telefon.

Parę minut później do sali weszła moja siostra i bez słowa siadła obok Berna.

– Jak pani wie, pani Baylor, przed procedurą testu należy oddać próbkę do badań genetycznych. Biuro Rejestru wymaga badań w podstawowym zakresie, które mają jedynie na celu potwierdzenie podanego w formularzu pokrewieństwa pomiędzy członkami przyszłego Rodu. Innymi słowy, musimy ustalić, czy pani oraz pani Catalina jesteście siostrami, a pan Bernard jest pań kuzynem.

– Czy zdarzają się błędne wyniki? – zapytała Catalina.

– Biuro Centralnego Rejestru Rodów przeprowadza skrupulatne badania, ale oczywiście błędu ludzkiego nie da się całkowicie wykluczyć – odpowiedział Fullerton. – Z tego powodu BCRR potwierdza wyniki w niezależnym laboratorium, zazwyczaj w jednej z komercyjnych firm prowadzących rejestry danych. I w tym właśnie miejscu wkraczam ja. Reprezentuję spółkę Zwój, posiadającą największą w Ameryce Północnej

bazę danych genetycznych. Dzisiaj jestem tutaj na zlecenie BCRR, jednakże korzystając z okazji, chciałbym przedstawić naszą ofertę. Oferujemy badania w znacznie szerszym zakresie. Tworzymy dokładny profil genetyczny rodzin, przeprowadzamy sekwencjonowanie w kierunku predyspozycji do chorób genetycznych. Na zlecenie jesteśmy w stanie stworzyć wielopokoleniowe drzewo genealogiczne Rodu. Oferujemy również usługę doboru potencjalnych partnerów pod kątem największych szans na potomstwo ze wskazanymi talentami.

W głowie usłyszałam echo głosu Rogana: „Nasza magia nie jest kompatybilna, Nevado...”. Ciekawe, na ile było to dla niego istotne. Może bardziej, niż się do tego przyznawał? Brian nie mógł znieść myśli, że jego syn może nie być Magnusem.

– Ale przecież nie możecie tego zagwarantować – zauważyłam. – Genetyczne dopasowanie nie daje pewności... uzyskania dziecka o oczekiwanych cechach magicznych, prawda?

– Fenomen magii nadal nie został do końca zgłębiony – przyznał Fullerton. – Jednakże nasze badania w dużym stopniu zwiększają prawdopodobieństwo pojawienia się potomstwa posiadającego magię z pożądaną dziedziny. Ujmując kwestię statystycznie, jesteśmy w stanie z osiemdziesięciosiedmioprocentową pewnością określić prawdopodobieństwo narodzenia się potomstwa o magii żywiołów, magii mentalnej bądź magii sfer. To oczywiście ogólne statystyki. Konkretniej wyliczamy szanse dla poszczególnych połączeń.

– Jak to się odbywa? – dopytała Catalina.

– Jeśli się państwo zdecydują na przyjęcie oferty naszej firmy, pobiorę próbki DNA, dostarczę je do naszego laboratorium, gdzie zostaną przeanalizowane. Rezultaty takiej analizy są utajnione. Nawet nakaz sądowy nie jest w stanie zmusić nas do ujawnienia wyników. Posiadają państwo całkowitą kontrolę nad informacjami, które dostarczamy. Jeśli inny Ród rozważyłby potencjalne skolidowanie się z waszą rodziną, może wystąpić o udostępnienie waszego profilu podstawowego. W takim wypadku zostaniecie o tym zawiadomieni i możecie przyjąć lub odrzucić ich wnioski. Nie udostępniamy niczego bez waszej zgody. Jeśli ją wyrazicie, a zainteresowany Ród uzna wasz profil za rokujący, mogą wnioskować o profil pogłębiany. I znów, możecie się na to zgodzić bądź odmówić. – Fullerton zamilkł i pochylił się, spoglądając na nas w skupieniu. – Wasze dane genetyczne są u nas całkowicie bezpieczne. Jeśli dowiemy się o jakiegokolwiek próbie uzyskania nieautoryzowanego dostępu ze strony innej agencji, jak również próbie analizowania nielegalnie zdobytego materiału czy sprzedaży wyników pokątnych analiz, bezwzględnie ścigamy osoby naruszające waszą genetyczną prywatność.

– Pozywacie ich? – zapytała Catalina.

– Nie, likwidujemy ostatecznie.

Catalina spojrzała na mnie okrągłymi oczyma.

– To standardowa praktyka – potwierdził Cornelius cicho. – Tak postępuje każda większa agencja rejestrowa.

– Zapewnienie dyskrecji klientom to dla nas sprawa najwyższej wagi – podkreślił Fullerton. – Kradzież próbek traktujemy z należytą powagą. Prawo nakazuje nam przedstawić państwu listę naszych najpoważniejszych konkurentów.

Z leżącej na blacie teczki wyjął kartkę z nazwami firm.

– Mam nadzieję, że rozważycie naszą ofertę. Jak wspomniałem, posiadamy największą bazę danych na tym kontynencie. Sekwencjonujemy próbki sześćdziesięciu procent Rodów w naszym kraju, w tym Rodu Roganów.

Rozbawił mnie ton jego ostatniej wypowiedzi.

– Jeśli jest pani zainteresowana dostępem do profilu konkretnego Rodu, jesteśmy w stanie niezwłocznie przetworzyć taki wniosek. Jeśli nie posiadamy w bazie profilu danego Rodu, nawiązujemy współpracę z firmą, która go stworzyła, w którym to wypadku proces wydłuża się o kilka dni. Zajmiemy się waszym Rodem z najwyższą atencją, pani Baylor. Naszą dewizą jest dyskrecja.

– A co, jeśli inny Ród wystąpi o udostępnienie profilu z powodów innych niż skologacenie? – zapytałam.

– Również poinformujemy państwa o wpłynięciu takiego wniosku.

– Nawet jeśli to bardzo potężny Ród?

– To nieistotne. Nasi klienci mają równe prawa, podpisujemy z nimi identyczne kontrakty i mamy dla wszystkich jedną stawkę. Bez względu na to, czy Ród ma jednego, czy dziesięciu żyjących Magnusów, każdy traktujemy tak samo.

– A jaka to stawka?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów opłaty początkowej, za pierwszy rok, oraz dwadzieścia tysięcy za każdy następny. Każdy dodatkowy profil w Rodzie to kolejne dwadzieścia tysięcy.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powtórzyła zdławionym głosem Catalina.

Fullerton uprzejmie milczał.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie przypominałam sobie, żebym kiedykolwiek wypisywała czek na taką kwotę. To jedna szóstka naszego rocznego budżetu plus całe oszczędności na czarną godzinę. Zerknęłam na Corneliusa.

– Płaci się nieco więcej za bezpieczeństwo i wygodę, jaką daje profil w największej bazie, ale opłaty w innych rejestrach są porównywalne – powiedział.

– Bern?

– Moim zdaniem bierzmy i miejmy to z głowy.

– Catalina?

– Okej, skoro to konieczne.

Wstałam i poszłam do gabinetu po książeczkę czekową.



5

Stałam w łazience, przeglądając się w lustrze. Miałam na sobie obcisłą jasnozieloną sukienkę i delikatne czarne sandałki, migoczące diamentkami. Wysokie obcasy dodawały mi przynajmniej siedem centymetrów wzrostu. Rogan nadal będzie mnie sporo przewyższał, ale już mniej o te siedem centymetrów.

Moje włosy nie lubiły wilgotnego powietrza Houston, więc wyprostowałam je i teraz opadały miękką lśniącą falą wokół twarzy. Zrobiłam doskonały makijaż – puder, róż, tusz i szminka, dokładnie tak, jak chciałam. Nie znosiłam podkładu, ale cera na szczęście dzisiaj postanowiła współpracować i nie uraczyła mnie żadnym wykwitem.

Sukienka wydała mi się nieco nazbyt prosta. Pomyślałam, że przydałoby się coś błyszczącego na dekolt, ale że nie miałam niczego takiego pod ręką, musiałam obyć się bez świecidełek.

Sprawdziłam wyświetlacz komórki. Prawie siódma.

Ostatnie muśnięcie grzebieniem, pryśnięcie perfumami i... gotowe.

Złapałam torebkę i stukając obcasami, zeszałam z mojego apartamenciku na antresoli. W pokoju telewizyjnym Leon i Arabella grali na konsoli w Wrestle-Manię.

– Dawaj! – krzyczała siostra. – A masz! A masz! A masz!

Jej zawodniczka grzmociła właśnie krzesłem napakowaną postać Leona. Babcia Frida siedziała w rogu kanapy, racząc się herbatką.

Odchrząknęłam.

Dzieciaki zapauzowały grę i odwróciły głowy.

– Jedenaście na dziesięć! – oceniła Arabella.

Leon podniósł oba kciuki.

- No, ta sukienka aż krzyczy „nie odbijesz mi faceta” – zawyrokowała babcia.
- Do kogo krzyczy? – zaciekawiła się Arabella.
- Do Ryndy Sherwood – odpowiedziała babcia.
- Babciu! – jęknęłam.
- Ej! Czemu ja o niczym nie wiem? – obruszyła się Arabella.
- Nikt nikomu nie odbija żadnego faceta. Ryndzie porwano męża. Poza tym Rogan

wcale jej nie...

Komórka piknęła. Rogan!

Przesunęłam palcem po wyświetlaczu.

Coś mi wypadło, daj mi godzinę.

- O nie – jęknęła babcia. – Nie, nie, nie. To coś złego. Odwołał randkę?

- Nie. Przesunął.

- Martwisz się – odgadła babcia.

- Uhm. – Rogana mogło zatrzymać tylko coś naprawdę poważnego. Ogarnęły mnie złe przecucia.

- Napisał, gdzie jest?

- Nie. – Podejrzywałam, że napisał SMS-a pomiędzy rzuceniem w kogoś autobusem a zawaleniem biurowca.

- Załóż się, że jest z Ryndą. – Babcia z takim rozmachem odstawiła filiżankę, że porcelana aż zadzwoniła o blat. – Powinnaś zadzwonić do tego babska i kazać się jej odwalić.

- Tak! Wygarnij suce! – zagrzewała mnie Arabella.

- Przede wszystkim to nie żadna suka, tylko klientka, której wprowadzono męża.

Poza tym to wy odwalcie się od mojego życia miłosnego.

- Wygarnij jej! – upierała się Arabella.

- Powiedz jej, że Rogan jest twój! – poparła młodą babcia.

- Nie pozwól sobie odbić faceta! – poparł je Leon.

Spojrzałyśmy na niego zdziwione.

- No co? Czuję się wykluczony.

- Od. Wal. Cie. Się. Serio.

Wyobcasikowałam z pokoju telewizyjnego i uciekłam do biura, jedyne miejsce, do którego nikt za mną nie pójdzie.

Rogan musiał mieć naprawdę dobry, rozsądny powód, żeby się spóźnić. A kiedy się pojawi, z pewnością mi go wyjaśni. A jeśli złapał jakiś trop i mnie o tym nie powiadomił... pożałuje. Współpraca ma być obustronna.

Cornelius nadal siedział w biurze. Skąpany w żółtawym świetle lampki czytał coś na laptopie, popijając kawę. Drzwi do swojego gabinetu zostawił otwarte. Zastukałam w szklaną taflę.

- Jeszcze pracujesz?

Podniósł oczy i uśmiechnął się do mnie.

- Matylda ma zostać na noc u Diany.

Progres. Parę tygodni temu siostra Corneliusa ledwie zauważała bratanicę.

- Pierwszy raz?

- Tak. Siostra się denerwuje. – Wskazał na telefon. – Wysłała mi już sześć wiadomości. W końcu musiałem jej przypomnieć, że jest Magnusem i głową Rodu.

Magnus czy nie, pięciolatki potrafiły być naprawdę przerażające. Sama zajmowałam się siostrami, kiedy były w tym wieku, i do tej pory miewam po tym koszmary.

– A ty? Też się denerwujesz?

– Nie. Wierzę w nie. Dadzą sobie radę. Ale pomyślałem, że korzystając z wolnego wieczoru, popracuję nad sprawą. Chciałbym się poduczyć. Lubię to robić, nawet jeśli nie mam żadnych kwalifikacji. Na razie.

– Też tak myślałam, kiedy zaczynałam – powiedziałam, opierając się o ścianę. – Wyobrażałam sobie, że będzie jak w filmach albo serialach kryminalnych. Że będę taranowała drzwi w kamizelce kuloodpornej albo ścigała ludzi po ulicach. Okazało się, że nawet policja rzadko to robi. Wiesz, jak rozwiązuje się najwięcej morderstw? Ktoś siedzi całymi godzinami przed ekranem, oglądając nagrania z monitoringu, tygodniami wypytuje ludzi z sąsiedztwa, zdobywa kilka informacji, a potem po cichu dokonuje aresztowania.

– Jednym słowem trzeba cierpliwości – podsumował Cornelius z namysłem.

– Ogromnej cierpliwości. Do tego skrupulatności i drobiazgowości. Czasami trzeba śledzić kogoś przez kilka tygodni, żeby dostać dwudziestosekundowe okienko na zrobienie zdjęć, jak ćwiczy na ławeczce w siłowni, które udowodnią, że pracownik usiłuje wyłudzić odszkodowanie za wypadek w pracy. Większość ludzi uznałaby to za śmiertelnie nudne zajęcie.

– To dlatego wozisz w samochodzie tyle książek?

– Tak. Ale i tak kocham tę pracę, nawet gdy jest nudna.

– Wydaje mi się, że ja też ją pokocham – stwierdził Cornelius.

Uśmiechnęłam się, poszłam do gabinetu i siadłam przy biurku. Zegar drwił ze mnie beczelnie – dziewiętnasta szesnaście. Żadnych nowych wiadomości od Rogana.

Niedobrze.

W tej sprawie z uprowadzeniem męża Ryndy coś śmierdziało. Gdy o tym myślałam, miałam motyle w brzuchu, jakbym stała gdzieś bardzo wysoko i przechylała się przez barierkę. To zbyt duży zbieg okoliczności, że jej męża porwano tak niedługo po śmierci matki.

Teoretycznie miało to sens. Wraz ze śmiercią Olivii zniknęły jej koneksje i wpływy. Znajomi za wszelką cenę starali się zdystansować od Rodu Charlesów. Zdezorientowani Sherwoodowie próbowali odnaleźć się w tym nowym układzie towarzyskim. Jeśli Brian miał wrogów, nadarzyła im się doskonała okazja, by uderzyć.

Problem w tym, że Brian nie miał wrogów. Jego rodowy interes chwiał się jak kolos na glinianych nogach. Nawet największy konkurent nie był zainteresowany, żeby go dobić.

Uprowadzenie dla okupu było przestępstwem rzadko popełnianym w krajach posiadających sprawne służby porządkowe. W Stanach Zjednoczonych prawie się nie zdarzało. Najbardziej ryzykowne dla bandytów było odebranie okupu, ponieważ wymagało bezpośredniego kontaktu z rodziną i czającą się wszędzie policją. Na dodatek Rody posiadały ogromne środki pozwalające na zatrudnienie ekspertów i całej armii ochroniarzy, więc w tym wypadku porwanie stawało się jeszcze bardziej ryzykowne. Poza tym każdy Ród stanąłby na głowie, żeby nie ugiąć się przed żądaniami porywaczy. I nie chodziło wcale o aspekt finansowy, a o utratę wpływów i władzy.

Na porwanie głowy Rodu mógł zdecydować się jedynie desperat. No chyba że porywacz sam był Magnusem. Albo grupą Magnusów biorących udział w spisku, który miał na celu zdestabilizowanie sytuacji w kraju i stworzenie nowego ładu – nowego

Rzymu. Ludzie stojący za spiskiem mieli dość obecnego porządku. Drażniły ich ograniczenia i odpowiedzialność narzucane przez prawo obowiązujące w demokratycznym społeczeństwie. Dzięki posiadanej magii i pieniądзом znajdowali się u szczytu władzy, ale to im nie wystarczało. Nie chcieli rządzić pod czujnym okiem instytucji i opinii publicznej, nie, pragnęli władzy absolutnej. Żadnej krytyki poczynają ani pociągania do odpowiedzialności za łamanie prawa. Pragnęli cesarstwa, na którego czele miał stanąć nowoczesny cesarz.

Do wyznawców tych przekonań należała Olivia Charles. Natknęliśmy się na ten spisek, gdy Adam Pierce usiłował spalić Houston, chcąc wywołać zamieszki. Gdy ten plan się nie powiódł, konspiratorzy wprowadzili w życie inny, mniej oczywisty. Olivia Charles wraz z Davidem Howlingiem dokonali zamachu na senatora, żeby wykorzystać jego tragiczną śmierć do wywarcia politycznych nacisków na swoich przeciwników w Zgromadzeniu. Kiedy i to nie poszło po ich myśli, bo przeszkodziliśmy im z Roganem, usiłowali posłużyć się incydentem, aby wywołać niepokoje społeczne. Ostatecznie Dawid oraz matka Ryndy zginęli za swoją sprawę. My jednak nadal nie wiedzieliśmy, kim jest cesarz. Olivia i Howling zabrali informacje do grobu.

Olivia Charles była filarem miejscowej elity magicznej. Jeśli brała w czymś udział, nawet jeśli był to spisek mający na celu wywrócenie porządku społecznego, zawsze stała na czele. Nie zgodziłaby się na pośledniejszą rolę. Naiwnością byłoby wierzyć, że porwanie Briana stanowiło odosobniony incydent, ale i tej możliwości nie należało ostatecznie wykluczać. Tata zawsze ostrzegał nas przed wyciąganiem pochopnych wniosków. W ten sposób najłatwiej popełnić błąd, a w naszej branży błędy są kosztowne – mogą skutkować utratą reputacji, małżeństwa, a czasem nawet życia.

Powinłam sprawdzić, co u Ryndy. Nawet mnie na myśl o tym, w jakiej znalazła się sytuacji, ścisnęło w żołądku, a przecież byłam kimś z zewnątrz. Porwano jej męża. Na jej miejscu odchodziłabym od zmysłów. Wzięłam telefon i wybrałam numer Ryndy.

Sygnał.

Kolejny sygnał.

Sygnał.

Coś było nie tak.

Sygnał.

Sygnał.

„Dodzwoniłeś się do Ryndy Sherwood. Po usłyszeniu sygnału zostaw wiadomość”.

Cholera jasna. Poderwałam się z fotela i pomaszzerowałam do pokoju socjalnego, gdzie trzymałam zapasowe obuwie.

– Co się stało? – zapytał Cornelius zza swojego biurka.

Zrzuciłam błyszczące sandałki i wzięłam sportowe buty.

– Rynda nie odbiera.

– Może nie słyszała? – podsunął Cornelius.

– Na ten numer dzwonili porywacze, ten telefon to obecnie najważniejszy przedmiot w jej życiu. Jestem pewna, że nie rozstaje się z nim ani na moment. Na pewno by odebrała, gdyby mogła. – W dodatku powierzyła mi odnalezienie męża. Z całą pewnością odebrałaby połączenie ode mnie.

Cornelius wstał i złapał kurtkę.

Wybrałam międzystanówkę. O tej porze obwodnica okazała się zakorkowana jak diabli, ale w mieście było gorzej. Od domu Ryndy dzieliło mnie piętnaście kilometrów, a ja jechałam jak wariatka.

Cornelius odjął telefon od ucha.

– Nadal nie odbiera.

W ciągu ostatnich dwóch minut dzwoniliśmy do niej trzy razy.

– Spróbuj zadzwonić do Edwarda Sherwooda.

– Nie odbiera.

– BioCore?

Gdyby ludzie zjeżdżali mi z drogi, dotarłabym na miejsce w kwadrans.

– Usiłuję skontaktować się z Edwardem Sherwoodem – powiedział Cornelius do telefonu. – To sytuacja awaryjna, dotyczy jego bratowej.

Biała ciężarówka zajechała mi drogę. Zahamowałam gwałtownie, o włos unikając zderzenia.

– Cornelius Harrison. Pani Sherwood znajduje się w niebezpieczeństwie... Jestem Wybitnym z Rodu Harrisonów. Mówię, że żona głowy waszego Rodu znajduje się w niebezpieczeństwie. Róbcie to, co do was należy, i wyślijcie tam wsparcie.

Cornelius spojrzął ze złością i niedowierzaniem na aparat.

– Edward już wyszedł, a ten idiota mówi, że dostał polecenie, żeby nie wpuszczać mnie do budynku. Rozłączył się.

W sznurze samochodów zrobiła się luka, zdołałam więc wepchnąć się na prawy pas. Pruliśmy międzystanową, a potem zjechałam na Wirt Road i pomknęłam nią jak pocisk. Wzięłam ostry zakręt na Memorial Drive i przyspieszyłam na prostej. Drzewa, upiorne plamy cieni w zapadającym mroku, śmigały po obu stronach drogi.

Wcisnęłam przycisk na kierownicy i wymówiłam wyraźnie słowa:

– Telefon, Rogan.

Zestaw głośnomówiący posłusznie wybrał numer.

Sygnał.

Odbierz, proszę.

Sygnał...

– Tak?

– Rynda nie odbiera.

Zaklął.

– Gdzie jesteś?

– Dwie minuty od niej.

– Jesteś sama?

– Z Corneliusem.

Znów zaklął.

– Czemu nie wzięłaś wsparcia?

– Jakiego wsparcia? Edward też nie odbiera.

– Mam dwunastu ludzi w kwaterze.

– To twoi ludzie. Przecież nie pójde tam i nie zacznę im wydawać rozkazów.

Jak niby sobie to wyobrażała? Miałabym ogłosić: „Hej, jestem dziewczyną Rogana, chciałabym, żebyście ze mną pojechali i zaryzykowali życie w obronie jego byłej narzeczonej, której parę dni wcześniej nie chcieliście wpuścić do bazy...”. Tak, z pewnością rzuciliby wszystko i pognali za mną. To byli jego ludzie, nie moi. Nie mieli wobec mnie żadnych zobowiązań i nie mogłam wymagać od nich lojalności.

Milczał przez moment.

– Jadę do ciebie. Moi ludzie zaraz tam będą. Nie szarżuj sama, nie daj się zabić.

Rozłączył się.

Skręciłam w długi podjazd Ryndy. Blask reflektorów omiół ciało w mundurze ochrony Sherwoodów, rozciągnięte na drodze, z rozrzuconymi rękami. Pochylał się nad nim jakiś stwór o zaokrąglonym, pokrytym futrem grzbiecie oraz palczastych łapach zakończonych szponami. Istota podniosła głowę, a dwie pary jasnożółtych ślepi lypnęły na mnie groźnie znad koszarnej paszczy pełnej szpiczastych, rekinich zębisk. Ze szczęk wisiały strzępy krwistego mięsa.

Staranowałam bestię. Opancerzona honda grzmotnęła w stwora, miażdżąc go. Wstrząs uderzenia rozszedł się w samochodzie falą drgań. Coś z plaśnięciem łupnęło o podwozie. Coś zazgrzytało o metal. Zahamowałam i cofnęłam, przejeżdżając to ponownie. Zachrzęściły gruchotane kości. Jeszcze raz zatrzymałam się i ruszyłam naprzód, miażdżąc stwora po raz trzeci. Jeśli nadal żył, z pewnością nie był zachwycony. Przyspieszyłam.

– Czy to było stworzenie ze sfer?

Cornelius, z oczami jak spodki, przełknął z trudem ślinę.

– Cornelius?

– Tak.

Mag przyzywający sięgnął głęboko do magicznego świata i wydobyl z niego tę istotę i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Przyzywacze na poziomach Przeciętnym i Znaczącym potrafili wyłowić stamtąd maskary, ale te znikwały natychmiast, gdy mag się zdekoncentrował. Wybitni potrafili ściągnąć parę sztuk, lecz gdy do sfer sięgali Magnusowie, cokolwiek stamtąd sprowadzali, pozostawało w naszym świecie, póki tego nie odesłali z powrotem. Mieliliśmy już z Roganem do czynienia z istotami ze sfer magicznych. Trudno było je zabić. Żalowałam, że wcześniej nie sprawdziłam, co z Ryndą.

Drzwi wejściowe stały otworem. Wylewające się z nich światło padało na dwie leżące pod progiem, skulone sylwetki, kobietą i męską, obie w zaplamionych krwią mundurach ochrony. Coś obgryzło trupom wargi i uszy.

Podjechałam tak blisko wejścia jak się dało, wyłączyłam silnik, zgasila światła, otworzyłam schowek i wyjęłam z niego mój baby desert eagle oraz zapasowy magazynek. Dwadzieścia cztery pociski. W schowku leżał też zapasowy sig.

– Posługiwałaś się kiedyś bronią, Corneliusie?

– Nie, boję się broni.

Nie było tematu. Nie chciałam, żeby miał napad lęku i przypadkiem strzelił mi w plecy.

– W domu jest jeszcze siedem stworów – rzekł Cornelius. – Czuję, jak się poruszają.

– To porządnie opancerzony samochód. Będziesz w nim bezpieczny.

– Zapomnij, że mnie tu zostawisz. Muszę przynajmniej spróbować się do czegoś przydać.

– Myślałam, że magowie zwierząt nie mogą kontrolować stworzeń sferycznych?

– Nigdy z żadnym nie próbowałam się zaprzyjaźnić.

– Wątpię, by chciały się zaprzyjaźniać z kimkolwiek. – Byłam pewna, że raczej wolały zabijać i pożerać swoje ofiary.

– Chcę iść z tobą. – Cornelius zrobił zaciętą minę. Zaciśnięte usta, zwarte mocno szczęki, zdecydowane spojrzenie. Znałam ten wyraz twarzy. Widywałam go u Rogana, Leona i własnego ojca. Tak wyglądali mężczyźni, którzy podjęli jakąś decyzję i żadne siły świata, logika, rozsądek czy przekonywania nie zdołałyby ich od niej odwieść.

Polecenie pozostania w samochodzie na nic by się nie zdało, bo i tak poszedłby za mną. Nie mogłam go przed tym powstrzymać, a nie było czasu na kłótnie.

– Trzymaj się za mną.

Skinął głową na znak, że zrozumiał.

Wyszedłam z samochodu i z bronią w gotowości podeszłam do drzwi. Zmusiłam się, żeby sprawdzić ciała. Ochroniarze byli martwi. Bardzo martwi. Ktoś zabrał ich broń. W nozdrza uderzył mnie smród krwi, ohydny, słonawy, z nutą czegoś, co kojarzyło mi się z zapachem ozonu podczas burzy. Opanowałam mdłości i przekroczyłam ciała, wchodząc do jasno oświetlonego korytarza.

Kosztowne marmurowe płyty podłogowe kalała krew, odcinając się jaskrawą czerwienią od lśniącej, kremowej posadzki. Kilka rozmazanych smug – ktoś pośliznął się na własnej krwi, próbując uciekać. Okrągła kałuża o pierzastych krawędziach, jakby przyściśnięto w tym miejscu pędzel – ktoś w tym miejscu uderzył głową. Długi rozmazany ślad prowadzący w stronę salonu – ktoś ciągnięty po podłodze rozpaczliwie orał zakrwawionymi palcami. Tylko nie Rynda albo dzieci. Tylko nie oni.

Sunęłam przy ścianie, omijając ślady, gratulując sobie w duchu zmiany butów. Uznałam to za najlepszą decyzję wieczoru.

Przedemną otworzył się widok na przestronny salon. Wywrócona choinka leżała na podłodze niczym zielona strzała, wskazując czubkiem środek pomieszczenia, gdzie kilka metrów dalej dwa stwory żerowały na ciele leżącym na dywanie. Kreatury miały około półtora metra długości od głowy do nasady chwytneho ogona, który mimo smukłego, charciego tułowia upodobał je do małp. Postawa – przykucnięta na tylnych nogach – wzmacniała to podobieństwo. Nastroszona szaroniebieska sierść sterczała niczym szczecina dzika. Stwory przestały grzebać czarnymi upazurzonymi łapami we wnętrznościach młodego chłopaka i odwróciły ku mnie łby zwieńczone nietoperzymi uszami.

Ich ofiara miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Śmierć zamroziła oblicze chłopaka w maskę grozy. Wiedział, że koniec jest nieunikniony. Może nawet czuł, jak zaczynają go żywcem pożerać. Zapłonął we mnie gniew. Nie zamierzałam dopuścić, żeby stwory kontynuowały ucztę.

Przyzwane czy nie, istoty przypominały zwierzęta, co oznaczało, że miały oczy umiejscowione w okolicach mózgu. A mózg był doskonałym celem.

Wystrzeliłam.

Pistolet huknął, a pierwszy pocisk rozorał bok pyska jednego ze stworzeń. Spudłowałam. Drugi trafił prosto w prawe górne oko. Małponietoperz wyrzucił się w tył.

Szybko wypaliłam do drugiego. Kule przeszły łeb, przebijając kości i chrząstki.

Dwa wystrzały.

Trzeci.

Małponietoperz runął na pysk.

Pierwszy postrzelony stwór drgnął spazmatycznie, obryzgując dywan juchą. Ostrożnie przekroczyłam ciało chłopaka i wpakowałam dwa dodatkowe naboje w potylicę stwora na wypadek, gdyby postanowił wstać. Opróżniłam jeden magazynek do połowy.

Cornelius dotknął mojego ramienia i wskazał w stronę kuchni, pokazując jeden palec.

Na piętrze coś zatupotało. Dotarło do nas słabe echo głosów.

Gdybyśmy od razu ruszyli na górę, a stwór z kuchni postanowił iść za nami, znaleźlibyśmy się w kotle. Atak na tyły to nic przyjemnego.

Zrobiłam kilka kroków w stronę kuchni, wychodząc zza rogu. Z wyspy skoczył na mnie ciemny kształt. Zdążyłam raz pociągnąć za spust, zanim upadłam pod jego ciężarem. Uderzenie plecami o podłogę wydusiło mi z płuc całe powietrze. Bestia wbiła mi pazury w ramiona, przytrzymując, a koszmarna paszcza rozwarła się niczym szczęki pułapki mającej zatrzaskać się na mojej twarzy. Owiał mnie ozonowy odór.

Coś grzmotnęło stwora, zmiatając go ze mnie. Przetoczyłam się na bok. Cornelius przeszedł nade mną i uderzył istotę w łeb patelnią.

Stwór usiłował wstać, ale Harrison łomotał go patelnią raz po raz, niczym młotem. Krew bryznęła na ściany i kreatura znieruchomiała na podłodze.

Cornelius wyprostował się, a ja wstałam i popatrzyłam na truchło. Cornelius ogłądał je z namysłem, ważąc w dłoni zabójcze naczynie.

– Ale że niby boisz się broni? – wydyszałam.

– Palnej. To co innego – odszepnął. – Zwierzęta zabijają, używając własnych mięśni. To wydaje się bardziej prawdziwe.

Mój nowy pracownik był kryptodzikusem, jednak nie zamierzałam narzekać. Z otwartymi ramionami i wdzięcznością przyjął tę niespodziewaną dzikość.

– Dziękuję.

Skinął poważnie głową.

Ruszyłam ku schodom. Cornelius trzymał się za mną.

– Jakies postępy w nawiązywaniu przyjaźni? – zapytałam cicho.

– Nie. Mają bardzo prymitywne umysły. Zupełnie jakbym próbował zaprzyjaźnić się z owadem. Wyczuwam tylko ich głód.

Wyżej schody zataczały szeroki łuk. Z głębi domu na piętrze dobiegł nas niski warkot, od którego zjeżyły mi się włoski na karku. A potem głos, kobiecy, napięty, lecz zbyt cichy, by rozróżnić słowa. Rynda.

Pokonaliśmy łuk i zaczęliśmy iść korytarzem w stronę głosu. Zerknęłam na Corneliusa, który pokazał cztery palce. Cztery stwory. Cztery naboje w magazynku. Potrzebowałam znacznie więcej. Wypięłam zasobnik i wsunęłam zapasowy. Teraz miałam trzynaście strzałów. Dwanaście kul w magazynku, jedna w komorze. Musiałam uważnie liczyć.

Krótki korytarz skręcał w lewo do drugiego salonu.

– ...wykrwawi się! Nie ma potrzeby uciekać się do przemocy – przekonywała kogos Rynda drżącym głosem.

– Oddaj mi plik i będzie po wszystkim – naciskał mężczyzna.

– Skąd mam wiedzieć, że nas nie zabijesz?

– Grasz na zwłokę, licząc, że ten, kto strzelał na dole, cię uratuje.

Wprasowałam się w ścianę przed drzwiami. Nie mogłam zajrzeć do pokoju, a kiedy tam wejść, będę musiała działać błyskawicznie.

– Uwierz mi, mam spore doświadczenie w tym, co robię. Nikt cię nie uratuje, Ryndo.

Cornelius opuścił powieki i zaraz uniósł je powoli. Jego oczy stały się bardzo niebieskie i jarzyły się prawie jak u kota.

– Twój rycerz w lśniącym zbroi dogorywa właśnie z flakami na wierzchu. Ale najwyraźniej ci na nim nie zależy.

Rozległ się jęk drugiego mężczyzny.

– Przestań! – krzyknęła Rynda.

– Upieraj się dalej, to zobaczysz, jak go pożerają żywcem.
– Zostaw go!
– Nie ma sprawy. Wybierz dzieciaka. Wezmę któreś zamiast niego.
– Nie ośmielisz się, Vincencie.
– Och, doskonale wiesz, że to zrobię. Daj mi ten pieprzony plik. Nuży mnie już ten twój matczyzny heroizm. Dobra, więc ja wybiorę. Niech będzie ta mała.
– Mamo! – krzyknęła dziewczynka.

Wpadłam do pokoju. Ktoś wcisnął pauzę w czasie, jednym spojrzeniem objęłam całe pomieszczenie. Na lewo brunet w czarnym ubraniu, stojący ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Magnus, przyzywacz. Vincent.

Obok niego bestia o niebieskiej sierści nakrapianej czarnymi i jasnoniebieskimi cętkami. Metr w kłębie, prawie dwa długości, z szeroką kryzą wąsów na karku, krótkim szerokim pyskiem pełnym ostrych kłów i łapami wielkimi jak moja dłoń. Przypominała trochę tygrysa.

Dwa małponietoperze przycupnęły za Vincentem, jeden u jego stóp, drugi na stole. Trzeci kuczał w pewnej odległości z boku, nad leżącym Edwardem. W brzuchu najstarszego Sherwooda ziała rana, a stwór zanurzał w nią pazury. Szeroko otwarte oczy Edwarda przepełniało cierpienie.

Blada jak śmierć Rynda stała z nim, tuląc do siebie dzieci.

Zabicie Vincenta naprawiłoby wszystko, co niewłaściwe w tej scenie.

– Uciekajcie – warknęłam do Ryndy i strzeliłam.

Świat ruszył z miejsca. Małponietoperz siedzący u stóp Vincenta wyprostował się gwałtownie, zasłaniając maga i przyjmując na siebie przeznaczoną dla niego kulę. Nacisnęłam spust o ułamek sekundy za późno.

Wpakowałam trzy pociski w stwora. Jego łeb odskakiwał za każdym razem, ale bestia nadal stała.

Czwarty.

Piąty.

Rynda stała sparaliżowana, jak jeleni oslepijony światłem reflektorów. Cholera.

Stworzenie torturujące Edwarda przesadziło susem swoją ofiarę i rzuciło się w moją stronę. Wystrzeliłam sześć razy, celując w czaszkę bestii. Runęła na ziemię, a ja wymierzyłam z powrotem w pierwotny cel. Pierwszy małponietoperz leżał martwy, a jego miejsce zajął ostatni, zasłaniając ciałem maga.

Został mi jeden nabój. Trafiłam stwora w lewe dolne oko, wypięłam magazynek, wyciągnęłam poprzedni...

– Nie radzę – stwierdził Vincent.

Kotowaty potwór warknął. Był to dziwny dźwięk, coś pomiędzy parsknięciem wkurzonego tygrysa a głuchym rykiem lwa morskiego. Jaskrawoniebieskie wąsy na karku wyprężyły się na pełną długość piętnastu centymetrów, a zgrubiałe końcówki rozjarzyły się błękitem. Wielka paszcza rozwarła się, a ostre zęby znalazły się o włos od córki Ryndy.

– Zabawiliśmy się, a teraz rzuć magazynek – polecił mi Vincent.

Posłusznie rozwarłam palce, pozwalając zasobnikowi upaść na podłogę.

– Teraz broń.

Przykucnęłam, odkładając pistolet.

– Kopnij.

Trąciłam stopą broń, która szurnęła kawałek w lewo. Na tyle mały, że zdołałabym jej dopaść. Gdyby udało mi się zbliżyć do Vincenta, mogłabym go porazić.

Ostatni małponietoperz, żywa tarcza Vincenta, przysiadł, odsłaniając maga. Vincent był mniej więcej w wieku Rogana, przystojny, o ciemnych oczach, mocno zarysowanej zuchwie i ocienionych zarostem policzkach z dołeczkami – jednym słowem wytwór pokoleń doskonale dobranych genów w odpowiednich miejscach.

Gdybym teraz się na niego rzuciła, małponietoperz rozerwałby mnie na strzępy.

– Nie wierzę, że to mówię. – Przewrócił oczami. – Ty tam, żwawy sekretarku, rzuć patelnię!

Patelnia huknęła o posadzkę.

Vincent uśmiechnął się.

Ten leniwy, pewny siebie uśmieszek mówił wszystko. Nikt z nas nie miał ująć z tego z życiem. Przyzywacz zamierzał zabić mnie, Corneliusa, dobić Edwarda, a potem pozbawić życia Ryndę i dzieci. Vincent należał do ludzi, którzy czerpali przyjemność z posiadania władzy nad innymi, a nie było większej niż rozporządzanie ich życiem i śmiercią. Pewnie nie będzie się spieszył, najpierw zabawi się jak kot myszką, a dopiero potem zabije.

– Następnym razem gdy ktoś każe ci uciekać, Ryndo, weź sobie jego radę do serca – powiedział.

Powinnałam być przerażona, ale gotowałam się z wściekłości.

– O, pewnie, trzeba mieć jaja, żeby zastraszyć dwoje małych dzieci – prychnęłam.

– Kolejna idiotka z moralnymi skrupułami. – Spojrzał na mnie. – Co za czasy. Może zgłosisz się na pierwszy ogień zamiast smarkuli?

– Jasne. – Miałam tylko jedną szansę. Pchnęłam ku niemu magię i złapałam go w jej kleszcze.

Szok zmienił rysy Vincenta. Mag próbował się poruszyć – bezskutecznie. Jego umysł włączył się w uścisku mojej woli. Do diabła, był strasznie silny.

Drżałam z wysiłku, starając się przytrzymać jego umysł, wbić się w niego. Nasze wole starły się ze sobą. Miałam wrażenie, jakbym próbowała utrzymać wąż strażacki, z którego woda tryska pod ogromnym ciśnieniem. Mój przeciwnik był Magnusem i posiadał niesamowitą moc. Potrzebowałam całej siły, żeby go utrzymać. Nie mogłam się nawet poruszyć.

Musiałam zadać jakieś pytanie, inaczej przegram. Pytanie zmusi Vincenta do próby ukrycia prawdy i pozbawi części mocy.

Z moich ust dobył się niski, przesycony magią głos:

– JAK SIĘ NAZYWASZ?

Niech to szlag. Mogłam zapytać o coś bardziej przydatnego.

Jego twarz wykrzywiła się z wysiłku, starał się wydrzeć z mojej mocy.

Dwa przywołane stwory gapiły się na niego skonfundowane.

Wymykał mi się.

Corneliusie, teraz. Zrób coś. Cokolwiek. Ryndo, uciekaj. Ratuj dzieci. No dalej.

Mag odsłonił zęby. Kazał swoim stworom zerować na ludziach. Chciał zabić dzieci, które niczym nie zawiły. Furia dodała mi sił. Zmiażdżyłam opór Vincenta.

– Vincent Harcourt – wychrypiał głucho.

U podstawy czaszki poczułam straszny ból, który spłynął w dół jak fala rozgrzanego ołowiu. Zaczęłam szczełukać zębami. Napięcie kruszyło mi kości, jakby ktoś przesunął mi po kręgosłupie wielką tarką.

– CZEGO CHCESZ OD RYNDY?

Świat zaczął się chwiać. W rogach pokoju wirowała czerń, wzbierała, grożąc, że mnie pochłonie. Nie mogłam teraz zemdleć. Musiałam ze wszystkich sił trzymać się

przytomności.

Na czoło Vincenta wystąpił pot. Magiem wstrząsały dreszcze. Jego jaźń otwierała się z wolna, a w czeluściach umysłu natknęłam się na mur zaklęcia. Zrobiłam kiedyś coś podobnego, tyle że postawiłam jedynie iluzję zapory. Ta była rzeczywistą, przesyconą magią twierdzą.

– Jej...

Moja magia musnęła zaklęcie, a ja o mało nie cofnęłam się jak oparzona. Wyczułam w nim coś znajomego. Zapora została postawiona przez prawdołowcę.

– ...matka...

Wysliznął mi się. Zatoczyłam się, porażona bólem, który eksplodował mi w czaszce.

– Pieprzona suka – warknął Vincent.

Małponietoperz zaatakował, zamachnął się na mnie łapą. Szarpnęłam się w tył, ale drasnął mnie pazurami, zostawiając czerwoną, palącą szramę na udzie.

Wielki kotopodobny stwór skoczył, lądując przede mną, i zbił małoponietoperza z łap. Mniejszy stwór przeleciał w powietrzu i wylądował na moim pistolecie. Próbował się dźwignąć, ale tygrysostwór dał susa w jego stronę. Wielka łapa uniosła się i jednym machnięciem rozplątała małponietoperza. Podłogę zalała czerwona jucha.

– Co, do kurwy...?! – ryknął Vincent.

– Pakt został zawarty – powiedział Cornelius niezmiernym, nieobecny głosem.

– Pakt ci w dupę! Jest mój!

Magia wystrzeliła z Vincenta, chwytając kotowatego stwora.

Przypadłam do leżącego małponietoperza i spróbowałam go zepchnąć z mojej broni, ale ciężkie truchło ani drgnęło. Ręce ślizgały mi się od krwi.

Cornelius i Vincent stali naprzeciwko siebie, tygrysostwór u boku maga zwierząt. Magia wirowała pomiędzy mężczyznami, niewidoczna, lecz wyczuwalna.

Zaparłam się nogami, odepchnęłam cielsko małponietoperza, złapałam śliski od krwi pistolet i obróciłam się, żeby podnieść magazynek.

Cornelius otworzył usta i wyśpiewał długi dźwięk, który brzmiał jak niski przeciągły koci głos.

Vincent zagarnął rękami powietrze. Magia oddaliła się od Corneliusa, iskrząc, a nad ziemią utworzył się kłęb dymu przebity błyskawicą. Przyzywacz tworzył portal.

Wsunęłam magazynek do pistoletu. Już po tobie, sukinsynu.

Rynda krzyknęła. Wystrzelił z niej strumień mocy i uderzył w Vincenta.

Pociągnęłam za spust. Padły dwa wystrzały.

Przyzywacz szarpnął się ułamek sekundy przed tym, zanim lufa wypuła nabój. Z twarzą wykrzywioną czystą grozą wypadł przez okno w deszczu szklanych odłamków.

Nie!

Zerwałam się na równe nogi i podbiegłam do okna. W dole rozciągało się oświetlone podwórko. Tafla wody w basenie była idealnie gładka. Pierwsza moja kula drasnęła go w ramię. Druga przeszła obok. Celowałam w głowę. Gdyby Rynda nie zrobiła tego czegoś... Nieważne. Vincent zniknął.

Rynda opadła na kolana przy Edwardzie. Dzieci płakały. Sherwood uniósł z trudem głowę i próbował coś powiedzieć, ale Rynda złapała go za rękę.

– Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze. Wyjdiesz z tego.

Niebieski stwór otarł się łbem o dłoń Corneliusa.

Vincent uciekł. Miałam ochotę cisnąć pistoletem o ścianę. Nie zrobiłam tego, choć naprawdę bardzo chciałam. Wyciągnęłam komórkę i wybrałam numer alarmowy.

Ekipa Rogana wyprzedziła pogotowie o cztery minuty. Na miejsce przyjechała też doktor Daniela Arias. Zastała mnie przyciskającą zwiniętą kurtkę Corneliusa do rany na brzuchu Edwarda. W tym czasie dzieci ryczały, mimo że Rynda robiła co w jej mocy, żeby je uspokoić, a potworne kocisko wydawało z siebie demoniczne odgłosy, które według Corneliusa były czymś w rodzaju mruczenia. „Kocisko” nie było właściwym określeniem istoty. Owszem, było w niej coś kociego, jakiś rys potężnego tygrysa, ale pysek składał się z poczwórnych nozdrzy, a wąsy tworzące kryzę na karku poruszały się niezależnie. Bestia patrzyła na mnie z taką świadomością, jakby była inteligentniejsza od każdego ziemskiego zwierzęcia. To było dziwne. Bardzo dziwne i niepokojące.

Ludzie Rogana ustabilizowali stan Edwarda i przenieśli nas do pokoju, w którym nie leżały żadne śmierdzące truchła monstrów nie z tego świata. Przydzielili nam strażnika z karabinem, obstawili okolicę i zaczęli systematycznie przeczesywać dom oraz posiadłość. Cornelius zabrał swojego nowego pupila i poszedł im pomóc.

Zadzwoiłam do domu, opowiedziałam Bernowi, co się stało, i poszukałam pobieżnych informacji na temat Vincenta Harcourta. Okazało się, że nasz napastnik jest jedynym dziedzicem Rodu Harcourtów, przyzywaczem w randze Magnusa. Nienotowany, niekarany, z majątkiem ocenianym na pięćdziesiąt milionów dolarów. Przywoływanie nie było szczególnie cenionym talentem, nie miało wielkiego zastosowania w naszym świecie, ale Harcourtowie najwyraźniej mimo to dobrze sobie radzili.

Rynda nie puszczała ręki Edwarda, dopóki rannego nie zabrano do karetki.

– Wyjdzie z tego – zapewniła nas Daniela. – Rana nie była groźna. Głównym zagrożeniem jest zakażenie.

– Dziękuję – powiedziałam.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

Doktor Arias i mnie nie było po drodze. Przestrzegala mnie, że związek z Roganem to kiepski pomysł, a ja jej nie posłuchałam. Mało tego, groziłam jej. Biorąc pod uwagę, że była ode mnie ze dwadzieścia centymetrów wyższa i zbudowana jak kobieta mogąca powstrzymać konia w galopie, w retrospekcji uznałam, że zagrożenie jej nie należało do najmądrzejszych moich pomysłów. Ale bardzo chciałam być z Roganem i jej rady potraktowałam jak zamach na nasze szczęście.

A Rogan nadal się nie pojawił. Niepokój dręczył mnie coraz bardziej.

– Czy jakaś część tej krwi, którą masz na sobie, jest również twoja? – zapytała lekarka.

– Niewielka.

– A więc masz otwartą ranę i jesteś pokryta krwią istoty ze sfery.

– No tak.

– Planowałaś mi o tym powiedzieć?

– W sumie tak.

– Kiedy?

– No właśnie miałam mówić. – Niechybnie mnie zabije...

– Jak to się stało, że nikt poza tobą nie jest ranny i nie jest unurzany we krwi?

– No...

Sięgnąwszy do torby, wyciągnęła wielką butlę wody i drugą, odkażaczką.

– Pokaż.

Podciągnęłam sukienkę. Na lewym udzie czerwieniły się trzy świeże zadrapania.
– To tylko draśnięcia. Tu i może na barkach. – Byłam pewna, że pazury stwora przebiły mi skórę.

Doktor Daniela z westchnieniem wyjęła strzykawkę i fiolkę z płynem.

– Co to?

– Antytoksyna. Tamtejsze stwory mają gruczoły jadowe pod pazurami. Boli cię?

– Nie.

– A powinno. – Daniela zerwała folię ze strzykawki, założyła igłę i wbiła ją w gumowy korek na fiolce. – Jeśli zneutralizujemy jad, zacnie boleć za jakieś dziesięć minut.

Zaczęło boleć jak diabli. Jakby ktoś przypalał mi udo rozpalonymi prętami i dźgał nimi ramiona. Daniela dokładnie zdezynfekowała rany i skleila skórę klejem medycznym. Żadna z ran nie była głęboka, ale i tak bolało piekielnie.

Potem lekarka zabrała się do oczyszczania moich rąk i nóg. Kiedy skończyła, czułam się, jakby wyszorowano mnie gąbką do czyszczenia przypaleń. Z pewnością byłam czysta. Za to sukienka była w oplakany stan. Nie dało się opatrzyć ran na barkach bez jej ściągnięcia, więc rozcięła rękawy. Bolało prawie tak, jak po podaniu antytoksyny.

– Gotowe – orzekła Daniela.

– Dziękuję.

Znów wbiła we mnie baczne spojrzenie przymrużonych oczu.

Wstałam i podeszłam do kanapy, na której siedziała Rynda z dziećmi. Smyki zwinęły się przy niej jak kocięta. Kyle w końcu zasnął. Rynda okryła go kocem. Jessice, skulonej w kątku, też zamykały się oczy.

Starając się za bardzo nie krzywić, usiadłam naprzeciwko nich na podnóżku. Rynda podniosła na mnie oczy. Wyglądała, jakby przeszła gehennę tam i z powrotem.

– Opowiedz mi wszystko – poprosiłam.

– Teraz?

– Tak.

– Przygotowywaliśmy się do snu. Poszłam do łazienki, a po chwili przyszła do mnie Jessica i poskarżyła, że Kyle uciekł. Zaczęłyśmy go szukać. Wtedy przyjechał Edward.

Głos jej się załamał. Pociągnęła nosem.

– Chciał mnie przeprosić. Czuł się fatalnie, bo myślał, że Brian znów uciekł, jak to miał w zwyczaju. Pomógł mi szukać Kyle'a. Znaleźliśmy go w gabinecie Briana. Nie chciał iść spać, powiedział, że nie zaśnie, dopóki tata nie wróci do domu. Usłyszałam wystrzał na dole, więc zamknęłam drzwi na klucz. Wtedy przez okno wskoczył jeden z tych stworów. Edward chwycił krzesło i uderzył go nim. Ten potwór rzucił się na niego i Edward upadł. A potem wszedł Vincent.

Prawda.

– Kim jest Vincent? – Wiedziałam, kim jest, ale nie szkodziło posłuchać, co Rynda ma na jego temat do powiedzenia.

– To dziedzic Rodu Harcourtów. Chodziliśmy razem do szkoły. Już wtedy był łobuzem, a wyrósł na podłego sukinsyna.

– To brzydkie słowo – zauważyła sennie Jessica.

Rynda pocałowała ją we włosy.

– To bardzo zły człowiek i na nie zasługuje.

– Czego chciał?

– Jakiegoś pliku. Jakiegoś pliku matki. Tłumaczyłam mu, że nie mam jej rzeczy. Jej dom jest nadal zaplombowany na czas śledztwa. Nie mam do niego dostępu. Nie uwierzył mi. Powiedział, że wie, że mam ten plik.

– Wiesz, o czym mówił?

– Nie mam pojęcia. – Potrząsnęła stanowczo głową. – Kazał jednemu z tych potworów kłapać paszczą przy szyi mojego dziecka. Przecież dałabym mu wszystko.

– Czy twoja matka miała powiązania z Harcourtem?

– Nie wiem! Nie wiem, naprawdę! – Rynda podniosła głos. – Nie wiem, w co była zamieszana moja matka. Wszyscy zakładają, że wiedziałam, ale ja nic nie wiem! Nie zwracała mi się. Nie prosiła o radę. Zostawcie mnie wszyscy w spokoju! Choć na chwilę!

Prawda.

– Ocaliła ci życie – wytknęła Ryndzie stojąca za mną Daniela. – A teraz próbuje znaleźć twojego męża. Może być tak na chwilę przestała się nad sobą użalać i zaczęła współpracować?

Rynda otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

Miałam ochotę uściskać Daniellę. Pewnie złamałaby mnie w pół, ale to nic.

– Myślałam, że zginiemy – chlipnęła Rynda. – To chciałaś usłyszeć?

– Co to było to na samym końcu?

– Emanacja. Poczuł wszystko to, co ja czułam przez niego. Cały mój strach, moją rozpacz. Nie robię tego często. To bardzo brutalne, takie przerzucanie swoich emocji na innych. Po prostu tylko to mi przyszło do głowy.

– Dziękuję.

Wstałam.

Wartownik przy drzwiach wyprostował się jak struna. Do pokoju wszedł Rogan.

Rynda zerwała się i podbiegła do niego. Zarzuciła mu rękę na szyję.

No nie, naprawdę?

– To było okropne – załkała.

– Pakuj się – polecił Rogan, delikatnie oddając uścisk. – Zabieram ciebie i dzieci z tego domu.

– Dobrze – pisnęła.

Nie powiedział nic więcej. Rynda stała jeszcze przez chwilę, obejmując go, aż w końcu opuściła ramiona i odsunęła się.

Rogan popatrzył na mnie. Na moje sportowe buty, pociętą, zakrwawioną sukienkę, opatrunki na rękach i nogach. A potem znalazłam się w jego ramionach.



6

Rogan wsadził mnie do swojego samochodu. Mówiłam, że mogę prowadzić, ale udał, że nie słyszy. Corneliusowi jakimś cudem udało się po złożeniu wszelkich możliwych siedzeń zapakować kotostwora do forda explorera. Oznajmił, że kotowaty to samiec i mamy się do niego zwracać per Zeus.

Rynda jeszcze przed naszym wyjściem otrząsnęła się na tyle, żeby zadzwonić do szefa ochrony Sherwoodów. W rezydencji pojawiło się szybko kilka osób w mundurach ochrony, żeby zabezpieczyć dom. Przyjechał z nimi sam szef. Cornelius uznał, że to doskonały moment, by opowiedzieć Ryndzie, że kiedy dzwoniłszy do BioCore, ten sam szef ochrony trzasnęła słuchawką. Rynda wymierzyła ochroniarzowi siarczysty policzek. Ludzie Rogana zabrali wszystkie komputery Sherwoodów, zapakowali Ryndę, dzieci i rzeczy do opancerzonego samochodu i nasz mały konwój wyruszył w drogę do bazy. Na przedzie jechały dwie ATV Rogana, potem Rynda i Cornelius, a ja i Rogan na końcu.

Jechaliśmy w samochodzie sami. Lubiłam obserwować, jak prowadzi. Robił to pewnie, spokojnie, skupiając się na drodze. Lubiłam wodzić wzrokiem po zarysach jego muskularnych ramion, podobało mi się, jak włącza lewym kciukiem długie światła i że zerkna na mnie co chwile, upewniając się, czy jest mi wygodnie. Jedyne, co mi się nie podobało, to ten mrok w jego oczach. Widywałam go już przedtem. Zawsze źle wróżył.

– To z mojego powodu?

Nie odpowiedział.

– Przeze mnie jesteś taki struty?

– Trucie się implikuje zamartwianie się i użalanie, a to nie w moim stylu.

– To skąd to zamyslenie?

– Zastanawiam się, jak zabiję Harcourta.

Rogan nie tolerował zagrożenia, a Vincent Harcourt stanowił zagrożenie. Nawet nie chciałam analizować, jak blisko śmierci znalazłam się dzisiaj wieczoru.

– Jest bardzo silny. Pochwyciłam go magią i wyrwał mi się po dwóch pytaniach. Trzymałam go może z dziesięć, góra piętnaście sekund.

– Przyzywanie to magia opierająca się na woli.

Podobnie jak prawdołówstwo. To wyjaśniało, dlaczego Vincent tak mocno stawiał opór.

– Victoria Tremaine usmażyłaby mu mózg – westchnęłam. – A ja ledwie zdołałam przytrzymać go te paręnaście sekund. – I byłam wykończona. Zostały mi marne resztki mocy. Ogarniało mnie znajome uczucie świadczące o przeforsowaniu się.

– Zrobiłaś więcej, niż można oczekiwać. Zyskałaś wystarczająco dużo czasu dla Corneliusa, żeby mógł użyć swojej patelni bojowej, i dla Ryndy, żeby zabrała dzieci i uciekła.

– Cornelius zaprzyjaźnił się z Zeusem – broniłam pracownika. – A Rynda była w szoku.

Zmilczał, ale jego oczy pociemniały jeszcze bardziej.

– Rogan, jestem cała i zdrowa. A co ważniejsze, dzieciom nic nie jest.

– Gdyby Cornelius się otrząsnął i rozłupał czerep temu sukinsynowi, korzystając z tego, że go zajmowałaś, prowadzilibyśmy teraz zupełnie inną rozmowę. Żadne z nich nie wykazało na tyle przytomności, żeby złapać za broń czy wziąć nogi za pas.

– Nie możesz obwiniać Corneliusa o brak reakcji. Był zafascynowany tym kotowatym stworzeniem. To wewnętrzny przymus. On nie myśli w ten sposób co my, a ostatecznie wkroczył i załatwił sprawę po swojemu.

– Potrzebujesz lepszego partnera.

Głównie potrzebowałam kogoś, kto nauczy mnie zasad działania i ograniczeń mojej magii. Prawdołowców nie było wielu i pilnie strzegli swoich tajemnic. Uczyłam się, ćwiczyłam, ale ledwie zaczynałam stawiać pierwsze kroki.

– W umyśle Vincenta trafiłam na zaporę. Zakłęcie wydawało się znajome. Podobne do tego, które nałożyłam na Augustine'a.

Tydzień temu Victoria Tremaine wzięła na cel Augustine'a, Magnusa, właściciela potężnej agencji detektywistycznej, w której zaciągnęłam pożyczkę pod zastaw naszej firmy. Augustine pomógł ocalić małą dziewczynkę przed powolną śmiercią w cierpieniach, umożliwiając mi zajrzenie do umysłu oprawcy. Victoria odkryła, kto jest prawdołowcą zamieszany w tę głośną medialną sprawę, i namierzyła Augustine'a. Żeby go chronić i jednocześnie chronić siebie i rodzinę, stworzyłam zaporę w umyśle Augustine'a. Był to podstęp, fałszywa zaporą, ale wyglądała na tyle prawdziwie, że Victoria musiałaby zaatakować Augustine'a bezpośrednio, żeby to odkryć. Postanowiła jednak uniknąć otwartej napaści.

– Też była fałszywa? – zapytał Rogan.

– Nie, u niego była prawdziwa.

– Lepszy partner – powtórzył Rogan, kiwając głową jakby do siebie. – Ktoś sprawny, wyszkolony w boju. Kto przedłoży twoje bezpieczeństwo nad swoje życie.

– Czyli kto?

– Czyli ja.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że od tej pory nie ruszasz się beze mnie. Pracujemy razem, jak przedtem.

– Connor...

Wziął mnie za rękę i ścisnął swoimi silnymi palcami.

– Powinienem tam być, przy tobie – powiedział chrapliwie. – A ja byłem w niewłaściwym miejscu. Mogłaś zginąć. Sama myśl o tym przeraża mnie do szaleństwa.

– Nie zginęłam. – Oddałam uścisk.

Nie puścił mojej ręki.

– A swoją drogą, to gdzie byłeś?

– Pluskwa doszukał się, że samochód porywaczy jechał jakąś wiejską drogą. Wziąłem paru ludzi i pojechaliśmy sprawdzić okolicę.

Uznał, że Briana mogą przetrzymywać gdzieś w pobliżu tej drogi.

– Znaleźliście coś?

– Prowadzi do pięciu gospodarstw. Możliwe, że to jedno z nich, zakładając, że go tam wysadzili. Porwanie wiąże się ze spiskiem, więc ślad będzie dobrze ukryty.

– Co może być w tym pliku?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli znajduje się na którymś z komputerów z domu Ryndy, Pluskwa go znajdzie.

– Bernard zrobi to szybciej.

– Dobrze. Niech szukają razem. Przepraszam, że mnie przy tobie nie było.

– Nie mam do ciebie pretensji. To moja praca. O nic cię nie obwiniam, Connor. Z wyjątkiem tego, że nie powiedziałeś mi o tym nowym tropie. To nie fair. Ty wymagasz, żebym informowała cię o wszystkim. – Obniżyłam tembr głosu, usiłując naśladować Roganowy sposób mówienia. – Nie nazajutrz, nie kiedy będzie ci wygodnie, ale bezzwłocznie.

Nie przyjął fajki pokoju. Najwyraźniej uparł się, żeby się obwinać.

– To jak? Nadal mamy dzisiaj randkę? Spędzimy razem ten wieczór? – zapytałam.

– Bezapelacyjnie. Ten wieczór, jutrzejszy i każdą chwilę w najbliższej przyszłości. Nie ruszysz się nigdzie beze mnie.

Ech, a ja wzięłam go za romantyka.

– A może opakujesz mnie w folię bąbelkową?

– Jeśli znajdę taką, która jest kuloodporna.

– Rogan...

– Żadnych ale. – Zerknął we wsteczne lusterko i zmarszczył brwi.

Odwrociłam się, spoglądając przez tylną szybę. Zbliżał się do nas wielki, czarny jeep wrangler. Mocno stuningowany, o podwyższonym podwoziu i gigantycznych kołach. Zderzak na zamówienie, listwa z reflektorami i maskownica, która wyglądała jak pełna kłów paszcza z literą M pośrodku. Jeep najwyraźniej zamierzał odgryźć nam tylny zderzak.

Sięgnęłam do schowka i wyjęłam swój pistolet. Amunicję uzupełniłam dzięki uprzejmości ludzi Rogana.

Jeep błysnął światłami.

– Znajomy?

– Ród Madero. Prawdopodobnie Dave Madero. – Oczy Rogana załśniły niebezpiecznie. Coś kalkulował w tej swojej głowie.

– Czemu błyska światłami?

– Uprzedza, że zamierza użyć działa EMP. – Rogan włączył zestaw głośnomówiący.

– Rivera?

– Majorze? – zabrzmiał z głośników głos Rivery.

– Jedźcie beze mnie. Muszę się czymś zająć.

– Tak jest.

Rogan skręcił w Kempwood Drive. Jeep zrobił to samo.

– Nie uciekamy?

– Nie. Impuls EMP zatrzymałby samochód na środku autostrady. Jest duży ruch, nie będę ryzykował. Coś mogłoby ci się stać.

Rogan zjechał na skrajny prawy pas i śmignął wzdłuż drzew oddzielających drogę od parku Agnes Moffitt.

– Maderowie to najemnicy – wyjaśnił Rogan. – Dave ma talent utwardzania skóry warstwą magii i nadnaturalną siłę. Widziałem, jak wjeżdża w niego SUV pędzący z prędkością stu kilometrów na godzinę. Samochód się wokół niego owinął. Strzelanie do niego jest bezcelowe. Pociski nie przebijają utwardzonej skóry, ale na wszelki wypadek wszędzie bierze ze sobą egidę.

Maga ochronnego, zdolnego stworzyć osłonę z magii, która absorbuje ostrzał. No fantastycznie.

– Co zrobiłeś temu Maderze? – zaciekawiłam się.

– Nie chodzi mu o mnie.

Victoria Tremaine. Przeszył mnie dreszcz niepokoju.

Ściana drzew urwała się i Rogan skręcił ostro w prawo na Hammerly Boulevard. Range rover podskoczył na krawężniku. Rogan wjechał na rozległy trawnik i zatrzymał się.

Jeep stanął kilkanaście metrów od nas. Zapadł już zmrok, ale latarnie parkowe oświetlały alejki i skwery.

Drzwi kierowcy otworzyły się i z jeepa wysiadł mężczyzna. A przynajmniej istota o kształcie mniej więcej mężczyzny. Dave musiał mieć ponad dwa metry wzrostu, napakowany mięśniami tors i gigantyczne bary. Miał na sobie luźne czarne spodnie i czarną koszulkę, która opinała się na bicepsach chyba szerszych niż moje uda. Jasne włosy miał ostrzyżone na rekruta. Wyglądał jak karykatura człowieka, jak ożywiona figurka superbohatera.

– Jest prawdziwy?

– Jak najbardziej – przytaknął Rogan i zgasił silnik.

Od strony pasażera wysiadła kobieta. Najpewniej egida.

– Jeśli zdołam do niego podejść, porażę go.

– Nie ma mowy. Większość mocy zużyłaś na Vincenta. Umrzesz, jeśli spróbujesz porazić Dave'a. – Otworzył swoje drzwi. – Zostajesz w samochodzie.

– Rogan!

Wyskoczył na trawę. Akurat, zostaną. Wysiadłam, obeszłam samochód i wymierzyłam w Dave'a Maderę.

– Babka chce z nią porozmawiać. – Głos Madery pasował do reszty, był niski, głęboki i niespieszny. – Twoja magia na mnie nie zadziała, Rogan. Nic, co tu jest w okolicy, nie wyrządzi mi wielkiej krzywdy. Daj mi dziewczynę i rozejdziemy się w zgodzie.

– Nie.

– Jarzę. Nie chcesz wyjść na łajzę. Ale i tak ją dostanę i odstawię do babki. Stara mówiła, że dziewczyna ma być żywa. Ale nie mówiła, w jakim stanie, i nie wspominała nic o tobie. Zostawiła to mnie. Daj mi ją po dobroci, to się przypadkiem nie poobija.

Och, ależ miałam ochotę do niego postrzelać.

Rogan nie odpowiedział.

– Jak sobie chcesz.

Skóra Madery zafalowała i pociemniała, przybierając odcień czerwieni. Mag ruszył z wolna w stronę Rogana. Rogan obserwował, jak się zbliża. Po co w ogóle wysiadał z samochodu? To prawda, że potrafił zadawać ból i ranić gołymi rękami, ale kopniaki i ciosy nie wyrządzą krzywdy Dave'owi, za to Rogan porani się o twardą skórę Madery. Zrobiłabym wszystko, żeby mu tego oszczędzić.

Egida postąpiła naprzód z bronią w rękę. Była w moim wieku, miała rude włosy i spoglądała na Rogana niepewnie, z wyraźną obawą.

Musiałam się nią zająć. Rogan i tak miał pełne ręce roboty.

Wymierzyłam w dziewczynę i uruchomiłam tryb mojej matki.

– Pociągnij za spust, a cię zabiję.

– Jestem egidą.

– Wiem. A ja nie pułduję.

Chciała coś powiedzieć, ale zamknęła usta. Postarałam się wyglądać na zdeterminowaną, co było o tyle łatwe, że naprawdę byłam zdecydowana na wszystko. Nie mogła strzelać i jednocześnie podtrzymywać tarczy. Obserwowałam jej broń, gotowa wystrzelić, gdyby tylko lufa drgnęła.

– Nie możesz...

– Przekonajmy się. Spróbuj.

Została na miejscu, opuściła broń.

Dave Madero rozluźnił barki i zaczął obchodzić Rogana. Był od niego sporo wyższy i przynajmniej dwukrotnie cięższy. Rogan miał potężną muskulaturę, ale przy Davie przypominał nieopierzonego nastolatka.

W końcu i on się poruszył, zwinnie, z gracją, nie spuszczać oczu z przeciwnika. Jego postawa zaczęła się zmieniać, jakby ten cywilizowany mężczyzna, który przed chwilą prowadził samochód, przekształcał się w dzikiego barbarzyńcę. Zbliżał się do Dave'a miękko, jak polujący drapieżnik. Na ten widok aż włos zjeżył mi się na karku.

Dave zwolnił. Musiał zdać sobie sprawę, że Rogan zmierza do konfrontacji.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał. – To nie będzie przyjemne. Myślisz, że to będzie walka, że będziesz zadawał ciosy, może wyprowadzisz parę kopniaków i zrobisz na niej wrażenie. Ale to nie tak. Nie wiem, co tam ćwiczyłeś, ale żadne kung fu czy tai chi ci nie pomoże. To nie dojdzie. Nie będziemy składać sobie ukłonów. A twoja lalka będzie miała gorzej, kiedy przegrasz.

– Przestań mleć ozorem, tylko bierz się do roboty – rzucił Rogan lodowatym tonem.

– Nie ma sprawy. Twój pogrzeb, ty rządź się.

Zamachnął się. To był powolny szeroki prawy sierpowy. Rogan odchylił się, robiąc unik.

Dave wyprowadził lewy, ale ten ominął tors Rogana ze sporym zapasem.

– Ruszasz się jak mucha w smole – stwierdził Rogan.

Dave wywrócił oczami.

– Z każdym pokoleniem jesteście więksi, powolniejsi i głupsi – ciągnął Rogan.

– Paplaj sobie, paplaj. Zobaczmy, jak ci pójdzie, kiedy połkniesz wszystkie zęby.

Krążyli przez chwilę, aż Dave wyrzucił prawą pięść hakiem. Rogan odsunął się płynnym ruchem.

– Kiedy jakiś Ród potrzebuje wielkiego, tępego młotka, dzwonią do ciebie, a ty biegniesz na każde wezwanie. Bierzesz każdą robotę. Porwanie. Tortury. Rozbój. Obojętne, byle dało się załatwić brutalną siłą. Jesteście Rodem bezmózgich mięśniaków.

Trącił czułą strunę, bo Dave zacisnął szczęki. Rogan celowo drażnił Madere.

– Niedługo zaczniecie wydawać na świat potomstwo całkiem pozbawione mózgow.

– Skończyłeś? – warknął Dave.

– Prawie. Właśnie się zastanawiam, kiedy zaczniecie nosić obrożę. W tym pokoleniu czy dopiero w następnym?

Dave zadał błyskawiczny cios, którego Rogan uniknął dosłownie o włos.

Prosty, prosty, prawy.

Rogan nie przestawał się poruszać. Dave pchał go na jeepa. Na ten widok egida czmychnęła im z drogi i stanęła z boku, nie zdejmując palca ze spustu.

Dave wyprowadził prosty cios otwartą dłonią, zmieniając go w hak. Rogan uchylił się. Dave wyprowadził mocarny prawy, a Rogan odskoczył i pięść Dave'a grzmotnęła w maskę jeepa. Zazgrzytał metal. Maską wygięła się pod uderzeniem. Dave warknął i odepchnął samochód drugą ręką. Wóz odczulił się trzydzieści metrów dalej, aż pod drzewa.

Oblał mnie zimny pot. Wystarczył jeden celny cios, a nawet muśnięcie, i po Roganie.

– Przypominam, że walczysz ze mną – powiedział Rogan.

– Przez ciebie uszkodziłem mojego cukiereczka – burknął Dave. – Nagraibileś sobie. Już nie żyjesz.

Nie żartował. Naprawdę mógł zabić Rogana. Ruszył na niego jak rozwścieczony byk, zasypując go gradem ciosów.

Prosty, prosty, krzyż.

Lewy prosty. Prawy hak.

Lewy hak, prawy krzyż, lewy hak w tułów.

Ostatni hak musnęła Rogana w bok, posyłając go kilka metrów w tył. Rogan upadł na trawę, przetoczył się i zerwał na nogi. Fala lęku uderzyła mnie w pierś i spłynęła w dół aż do nóg.

Dave napierał, Rogan się cofał, unikając tornada ciosów. Dave parł naprzód, wykonywał zamach po zamachu, dysząc coraz ciężiej i szybciej. Twarz spurpurowiała mu z wysiłku, chwycił powietrze łapczywymi haustami.

Prosty, prawy z góry, hak, krzyż.

Rogan tym razem zrobił krok naprzód, prześlizgując się pod pięścią przeciwnika, założył mu dźwignię w łokciu i napał całym ciężarem, skrecając. Rozległ się chrzęst stawu i David zawył z bólu jak ranne zwierzę.

Rogan odskoczył, a Dave wyprostował się z twarzą wykrzywioną z bólu i wściekłości. Prawe ramię zwisało bezwładnie. Rogan złamał mu łokieć.

Pobladła egida wzdygnęła się na ten widok.

Sprawna ręka Madery wystrzeliła ku szyi Rogana, ale ten uchylił się w ostatnim momencie i wykorzystując chwilowe osłabienie równowagi przeciwnika, znów prześliznął się zwinnie do przodu i z obrotem uwięził biceps Dave'a pod pachą. Chwycił go za przegub i znów zachrząściły łamane kości. Dave z wrzaskiem upadł, ale Rogan, nie puszczając jego nadgarstka, przerzucił nogę nad jego ręką i szarpnęła zakleszczone ramię. Trzask i ryk. Dave darł się wniebogłosy. Egida zakwilila jak umierający ptak.

– Rogan, przestań – zawołałam. – Wystarczy!

– Wystarczy? – zapytał Rogan Dave'a.

– Pierdol się – stęknął Madero.

– Dave! – krzyknęła egida.

– Nie wystarczy. Zostały jeszcze dwie nietknięte nogi.

Rogan złapał Dave'a za nogę, obrócił ją i napał z góry na wyprostowane kolano przeciwnika. W tej pozycji mógł je z łatwością złamać.

Egida pchnęła broń po trawie i spojrzała na mnie oczyma przepęnlionymi rozpaczą.

Podbiegłam do Rogana i kucnęłam przy nim.

– Dostyc. Proszę. Proszę.

– Masz dość? – zapytał Rogan Maderę.

Dave jęknął. Jego twarz przybrała barwę śliwki, łapał powietrze jak wyjęta z wody ryba.

Położyłam dłoń na napiętej łydce Rogana.

– Rogan, proszę, przecież on nawet nie może ci odpowiedzieć.

Dave zdołał unieść rękę i opuścił ją bezwładnie, uderzając dłonią o ziemię.

Rogan puścił Dave'a i odsunął się jednym płynnym ruchem.

– Zapomnij, że ona istnieje – Jego głos mógłby zamrozić całą Zatokę Meksykańską. –

Bo następnym razem nie zdoła mnie powstrzymać. I przekaz braciom, że jeśli choć spojrzą w jej stronę, zrównam wasz Ród z ziemią i zaoram kości każdego Madery.

Dave nieco zapadł się w sobie, jego skóra przybrała bardziej ludzki kolor. Zlany potem, chciwie wciągnął do płuc powietrze, a potem obrócił się na bok i zwymiotował.

Egida uklękała przy nim z butelką wody w ręce.

Wzięłam Rogana pod ramię.

– Jedźmy do domu.

Wróciliśmy do samochodu, ale tym razem ja siadłam za kierownicą. Ruszyłam popieszcnie, nie chcąc, by Rogan przypadkiem się rozmyślił i wrócił dokończyć sprawę z Maderą.

Oparł się wygodnie, z całkiem spokojną miną, choć musiał być obolały.

– Wszystko w porządku?

Potaknął skinieniem głowy.

– Bardzo boli? – drążyłam.

– Przeżyję.

Dave znalazł się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. Daniela powiedziała mi kiedyś, że Rogan najbardziej nienawidzi uczucia bezsilności. Zrobiłby wszystko, żeby go uniknąć. Mocno przeżył to, że pojechałam do Ryndy, podczas gdy on był na drugim końcu miasta, czuł się bezradny, bał się o mnie. Potrzebował to odreagować. Wyżyć się na kimś. I akurat Dave nawinął mu się pod rękę i był dla mnie zagrożeniem. Rogan pokonał go, ale łamałby mu kości jedna po drugiej, gdybym go nie powstrzymała.

Wojna w Belize odcisnęła trwale piętno na Roganie. Każdy żołnierz wracał zmieniony, ale jego rozbiła w mak, a musiał się pozbierać i stworzyć na nowo, żeby przetrwać. Armia zrobiła z niego broń ostateczną. Posyłali go do miasta, tam musiał sięgnąć w najmroczniejsze zakamarki duszy, gdzie kryła się jego szalona magia. A potem wypuszczał ją, a miasta rozpadały się w gruzy. Budził grozę. Ludzie nadawali mu straszne przydomki. Rzeźnik z Meridy. Plaga Meksyku. Huragan. Jakby nie był człowiekiem, tylko jakimś koszmarnym potworem z baśni, który ożył w rzeczywistym świecie. A potem utknął w dżungli, w głębi terytorium wroga z żołnierzami, którzy mogli przeżyć tylko dzięki niemu. Mógł wykorzystać swoją magię i uratować się, lecz reszta jego towarzyszy by zginęła. Dlatego nie użył mocy. Wyszedł wraz z nimi z tego zielonego piekła, ale tylko nieliczne osoby wiedziały, ile kosztowały go te tygodnie spędzone w Belize. Po czymś takim nie miał szans na powrót do normalnego życia.

Opuścił armię, jednak nie potrafił się odnaleźć w cywilu. Pięć lat niczego nie zmieniło. Nadal tkwił w wojsku, w przeszłości.

– Bałaś się?

– Tak.

– Przepraszam.

– Nie musiałeś dopuszczać do bezpośredniej konfrontacji.

– Musiałem. – W jego oczach błysnęło zrozumienie. – Zaraz, nie bałaś się mnie.

Bałaś się o mnie?

– Oczywiście!

– Widziałem, jak walczy Dave. Kiedy otacza się pancerzem, nie może się pocić. Nie ma wiele czasu, bo zaczyna się przegrzewać. Im więcej się rusza, tym szybciej się grzeje.

– Mimo to jest śmiertelnie niebezpieczny.

– Przecież nie rzuciłem się na niego bezmyślnie. Przekalkulowałem ryzyko.

No jasne, to zmienia postać rzeczy, nieprawdaż?

– Mogłeś wyrwać drzewo i go nim złoić.

– To rozwiązałyby kwestię Dave'a, ale nie jego rodziny. Do Maderów nie przemawiają takie subtelności jak telekineza. Do nich trafia się przez połamane kości i brutalną siłę. Wysłałem im wiadomość na tyle prostą, że nawet oni nie zinterpretują jej błędnie.

O, zapewne nie. I z całą pewnością nie przyjmą już zlecenia od Victorii Tremaine.

– Istnieje różnica pomiędzy samoobroną i torturowaniem. Rozumiem, dlaczego połamałeś mu rękę. Ale nie było potrzeby łamać mu nóg.

Nic nie powiedział.

– Czasami może się tak zdarzyć, że znajdę się w niebezpieczeństwie – powiedziałam ostrożnie.

– Wiem.

– I zawsze po czymś takim nawinie ci się pod rękę jakiś Dave.

– Wiem... W końcu nauczę się z tym sobie radzić... inaczej. Ale zawsze, bez względu na wszystko, będę stawał w twojej obronie.

To było zwykłe stwierdzenie faktu. Och, Connor.

– Dziękuję, że mnie powstrzymałaś. Tam nie byłem tym zachwycony, ale teraz się cieszę.

Chyba nikt poza mną nie byłby w stanie tego zrobić. Gdyby byli z nim tylko jego ludzie, pewnie by nie przestał. I następnym razem, gdy mnie przy nim nie będzie, połamie nogi jakiemuś Dave'owi.

Zrozumiałam, dlaczego Ryndzie tak zależało na zyskaniu jego względów. Działała w stanie najwyższej paniki, a wiedziała, że jeśli Rogan się o nią zatroszczy, to nie cofnie się przed niczym, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Gdybyśmy kiedyś założyli rodzinę...

Dzieci? Naprawdę brałam pod uwagę urodzenie mu dzieci? Wyobraziłam sobie, jakie mogłyby być. Bystre, śliczne i zabójcze. I nieznośne. Małe demoniątko, które wszędzie wejdą, wszystkiego spróbują i nie będą rozumiały słowa „nie”.

Jego oczy znów zaszyły mrozem. Po śmierci swoich ludzi, których zabiła Olivia, Rogan pograżył się w mroku. Przepelniały go chłód, ciemność i żądza zemsty. Wywlekłam go wtedy z tego strasznego miejsca i nie zamierzałam pozwolić, żeby znów go wessało.

Minęliśmy wartownię i zaparkowałam przed jego kwaterą główną. Rozpiął pas i przyjrzał mi się uważnie. Atmosfera aż wibrowała jego napięciem, energią i czającym się w nim mrokiem.

– Nie nad wszystkim potrafię zapanować – zaczął.

– Wiem.

– Ale będę się starał.

– To wystarczy.

Zajrzałam w jego pociemniałe oczy i dostrzegałam wzbierającą burzę. Był bez reszty skupiony na mnie. Świat poza mną nie istniał. Posiadłam niepodzielną uwagę smoka. Zaparło mi dech w piersiach.

Pochylił się. Zamierzał mnie pocałować.

Przepełniła mnie ekscytacja z niewielką domieszką instynktownego niepokoju.

Jego usta dotknęły moich. Parzyły. Rozchyliłam wargi. Wtargnął językiem i poczułam jego smak, niepowtarzalny smak Rogana, męski, surowy, nieodparty. Objął dłonią mój kark, wplótł palce we włosy i wpił się we mnie zaborczo, uwodzicielsko.

Magia przesunęła się po mojej skórze aksamitnym dotykiem, budząc rozkosz, a potem spłynęła wzdłuż kręgosłupa, rozpalając każdy nerw.

Mój pas odsłodził, a ja siedziałam oszołomiona, kiedy Rogan wysiadł, obszedł samochód i otworzył mi drzwi. Przyjęłam wyciągniętą rękę. Jego palce zamknęły się na moich. Poprowadził mnie do budynku, przez parter zazwyczaj pełen kręcących się ludzi, teraz pusty, i na piętro, na którym minęliśmy stanowisko Pluskwy, półkolistą ścianę ekranów, przez gabinet, aż na tyły, gdzie znajdowały się schody wiodące na drugie piętro. Otworzył metalowe drzwi, a kiedy weszliśmy, usłyszałam, jak zamykają się ze szcękaniem.

Rozpościerała się przede mną wielka połać pokrytej żywicą betonowej posadzki. Na otwartej przestrzeni stało wielkie łóże przykryte szarym, wełnianym kocem. Wznosząca się po drugiej stronie półokrągła szklana przegroda prawdopodobnie skrywała łazienkę i prysznic.

Ścianę z drzwiami otynkowano i pomalowano ciemnoszarą farbą, a przed nami rozciągała się ściana szklana. Duże tafle dymnych szyb pięły się dziewięć metrów w górę aż po sufit. Tyle razy widziałam ten budynek i nie zdawałam sobie sprawy, że lśniąca nadbudówka to przejrzyste szkło. Z zewnątrz wydawało się, że to czarna, nieprzenikniona elewacja.

Podeszłam do przeszklenia. Zmierzch przerodził się już w ciemną noc. Nad nami rozpościerało się rozgwieżdżone niebo, skrzące się niczym brylanty na aksamitnej czerni. Skarb, którego pozazdrościłby każdy smok.

Rogan stanął za mną, otaczając mnie ramionami, i przyciągnął do siebie. Słyszałam, jak wciąga zapach moich włosów. Czulałam wybrzuszenie w jego spodniach, napierało na mnie długie, twarde, a kiedy przycisnęłam się do niego mocniej, ocierając, z ust Rogana wyrwał się chrapliwy jęk pełen tęsknoty i pożądania. Kolana się pode mną ugięły. Odgarnął mi włosy z karku i zaczął całować szyję, wywołując przeszywające impulsy elektryczne. Magia muskała moją skórę, delikatna, niespieszna, gorąca. Pod palcami czulałam jego twarde, napięte mięśnie.

Dłonie przesunęły się po moich piersiach, pieszcząc, drażniąc, wywołując falę przyjemności. Jęknęłam, pragnąc więcej.

Suwak zamka sukienki zjechał w dół, a tkanina opadła mi do stóp. Ciepłe palce gładziły mój brzuch. Niżej. Proszę.

Haftki stanika rozpięły się, ramiączka zsunęły z barków, a kiedy opuściłam ręce, biustonosz spłynął na ziemię.

Twarde opuszki potarły moje sutki, wywołując tak intensywne doznanie, że drgnęłam gwałtownie.

Pocałował mnie pod prawym uchem, drażniąc, rozpalając jeszcze bardziej. Spojrzałam w dół, na jego dłonie, i na brzuchu zobaczyłam ciemne smugi. Krew przywołanego stwora.

– Rogan...

– Tak?

Pocałował mnie znowu, pozbawiając nieomal tchu.

– Jestem cała we krwi.

Zamarł natychmiast, a potem obrócił mnie do siebie przodem.

– Coś cię boli?

– Nie, jestem tylko brudna.

Popatrzył na zaschniętą juchę na moim brzuchu.

– Zajmę się tym.

Zaprowadził mnie za szklaną przegrodę pod prysznic, składający się z trzech wykafelkowanych ścianek najeżonych dyszami. Odkręcił kurek i z dysz trysnęły krzyżujące się strumienie. Kabina wypełniła się parą. Zdjęłam bieliznę i weszłam w ścianę wody. Jakbym wstąpiła do raję. Woda zmoczyła mnie od stóp do głów, spływała po włosach, przyklejając je do skóry. Na początku zbierała się pod stopami ciemna, ale w chwilę później była już czysta, przejrzysta. Obmyłam twarz, usuwając resztki makijażu i odwróciłam się.

Rogan obserwował mnie jak zahipnotyzowany.

Zrobiłam krok w jego kierunku, pozwalając, by strugi bryzgały mi na piersi i brzuch i spływały, moczając włoski. W środku też byłam mokra.

Aż zaklął.

– Co?

– Jesteś taka piękna.

Zdjął koszulkę i rzucił ją na podłogę. Był taki mocarny, złota skóra opinała wyczelowane mięśnie. Szerokie barki i potężny tors zwięzający się w wąską talię i płaski brzuch. Zapragnęłam dotknąć tych rzeźbień. Spodnie opadły, odsłaniając muskularne nogi. Był gotowy, nabrzmiały, niecierpliw. Rogan stał przede mną nagi, atletyczny, emanujący brutalną siłą i mocą swojej magii. A jego oczy pałały pożądaniem.

Wyciągnęłam ku niemu ramiona.

Wszedł w strugi wody. Nasze ciała się zetknęły, magia otuliła mnie, wirując na mojej skórze, gorąca, aksamitna, spływała pieszczotą po szyi, piersiach, opływała pośladki, zsuwała się pomiędzy nogi. Pocałował mnie gwałtownie, zaborczo, zamykając w mocnym uścisku. Nasze języki splotły się, znów poczułam jego smak i aż zakręciło mi się w głowie.

Objęłam go, czując pod palcami stalowe mięśnie pleców. Błądził dłońmi po moim ciele, podsycając żar, który coraz boleśniej domagał się ugaznienia.

Nie przerywając pocałunku, pchnęłam go na ścianę, zlakniona, by poczuć go w sobie.

Uśmiechnął się nie tyle seksownie, co wręcz drapieżnie. Był wcieleniem moich fantazji. Przesuwałam dłońmi po jego piersi, brzuchu i niżej, aż z jego ust wyrwał się jęk. Przemóżne pragnienie w moim wnętrzu stało się nie do zniesienia.

Dotykałam jedwabistego, twardego członka, napierałam sutkami na szeroką pierś, aż w końcu opadłam na kolana. Otoczyłam go wargami, ledwie obejmując ustami, i zaczęłam ssać. Jęknął głucho, podciągnął mnie i chwyciwszy pod pośladki, posadził sobie na biodrach. Wsunął dłoń w wilgotny żar, odnajdując palcami wrażliwy punkt. Przeszła mnie fala rozkoszy, a kiedy do palców dołączyła magia, wygięłam się w ekstazie, ocierając o jego dłoń.

Oparł mnie o chłodne płytki, wszedł we mnie jednym ruchem, głęboko, prosto w jądro przyjemności, i stopiliśmy się w jedność.

Poruszał się we mnie nieustępliwym, doprowadzającym do szaleństwa rytmem. Eksplozja ekstazy zagłuszyła wszystko inne. Nie przestawał, dopóki nie dołączył do mnie. Kiedy uniosłam powieki, patrzył na mnie zachłannie, jakby nie chciał uronić nic z widoku mnie. Przywarłam do niego, całowałam szyję, usta. Zadrżał, szczytując, a fala jego rozkoszy porwała mnie ze sobą, znów zalewając błogim spełnieniem. Wtopiłam się w niego, obezwładniona upojeniem tak intensywnym, że omal nie zaczęłam krzyczeć.

– Jesteś dla mnie wszystkim – powiedział mi do ucha.

Chciałam odpowiedzieć, że on też jest całym moim światem, że nie pozwolę mu pograżyć się w mroku, że niepotrzebnie się boi, bo nigdy przestanę o niego walczyć i nigdy go nie zostawię. Ale echa wspólnego spełnienia odbierały mi dech tak, że zdołałam wymówić tylko jedno:

– Kocham cię.

...

Coś irytująco piszczało. Poruszyłam się i uniosłam głowę. Leżący obok Rogan zaklął, ostrożnie zdjął sobie moją dłoń z piersi i wstał z łóżka. Padliśmy na nie po wyjściu spod prysznic, na wpół mokrzy, a ja zasnęłam wtulona w niego, spełniona, szczęśliwa, w bezgranicznym poczuciu bezpieczeństwa.

Zamrugałam, aż wzrok mi się wyostrzył. Rogan wygrzebał telefon ze sterty ubrań leżącej przed wejściem pod prysznic i odebrał.

– Wolniej. – Wrócił do łóżka i odsunął słuchawkę od ucha.

Piskliwy głos Ryndy było słycać na głośniku. W tle wyło dziecko.

– ...nie mogę go uspokoić. Proszę. Błagam. Pomóż. Proszę, Connor.

Westchnęłam i opadłam na poduszki.

– Jestem zajęty – powiedział Rogan.

– Chociaż z nim porozmawiaj, ma cztery lata, proszę...

Rogan zrobił minę, jakby chciał cisnąć telefonem o ścianę.

– Zaraz przyjdę.

Zakryłam sobie twarz poduszką.

Poduszka została zdjeta, a Rogan pochylił się nade mną.

– Zaczekaj tu na mnie.

– Niech zgadnę, kolejny problem, który tylko ty możesz rozwiązać?

– Kyle wpadł w histerię. Umieściłem ją z dziećmi w sąsiednim budynku. Zajmie mi to pół minuty.

– Właśnie się kochaliśmy, a ty idziesz teraz do swojej byłej narzeczonej.

– Zaraz wracam. Dzisiaj śpimy razem, w tym łóżku. Nieodwołalnie.

– Idź. – Machnęłam ręką.

Założył dzinsy i koszulkę.

– Zaczekaj tu na mnie.

Wyszedł.

To nie tak, że Rynda nim celowo manipulowała. Przywykła, że zawsze jest ktoś, kto pomoże jej w kłopotach. Najpierw matka, potem mąż, a teraz Rogan. Należała do tych ludzi, którzy widząc kipiący na kuchence garnek, idą powiedzieć o tym komuś innemu, zamiast zgasić palnik. A potem są z siebie dumni, że tak energicznie zareagowali.

A z drugiej strony Rogan z pewnością zażegna ten problem. W tym się specjalizował.

Zerknęłam na budzik stojący na szafce nocnej. Dwudziesta druga zero trzy. O, myślałam, że jest dużo później. Musiałam odpłynąć na chwilę przed telefonem Ryndy. Szkoda, że już mi się nie chciało spać.

Przez jakiś czas gapiłam się w rozgwieżdżone niebo nad głową. Noc była taka piękna. A byłaby jeszcze piękniejsza, gdybym mogła ją podziwiać z Roganem.

Mój telefon został w samochodzie. Tyle się działo, że zapomniałam go wziąć. Pomieszczenie wokół było prawie puste. Żadnych mebli, tylko pod oknem leżała sterta książek.

Dwudziesta druga dziesięć.

Wstałam i wzięłam do ręki książkę z wierzchu. „Nasze wewnętrzne potwory. Analiza magicznie indukowanej przemiany”. Smaczny kąsek. Zabrałam książkę, wróciłam do łóżka, zapaliłam lampkę i zaczęłam wertować strony. Magia oddziaływała na ludzi w nieprzewidywalny sposób. Kiedy półtora wieku wcześniej wynaleziono serum Ozyrysa, rozdawano je jak cukierki. Nie wiedziano dokładnie, jak działa. Niektórzy uważali, że obdarza mocami, inni, że tylko uaktywnia drzemiące w nas talenty. Jednak mechanizm działania był mniej istotny niż efekty. Niektórzy ludzie po przyjęciu serum nabywali potężnych mocy, inni zmieniali się w potwory. Tych, których magia wypaczyła, musiano zabijać.

Teraz, sto pięćdziesiąt lat później, przemiana w potwory zdarzała się rzadko. Znałam jeden taki przypadek. Cherry, narkomanka, wzięła pieniądze za udział w badaniach prowadzonych przez instytut należący do któregoś z Rodów. Poddali ją ekspozycji na jakąś substancję i teraz Cherry żyła w mętnych wodach Dziury, zalanej części Houston, żywiąc się zębami. Była bardziej aligatorem niż człowiekiem.

Dwudziesta druga dziewiętnaście. Niezłe pół minuty.

Otuliłam się kocem i zaczęłam czytać książkę. Znałam wiele z opisywanych w niej przypadków. Na przykład Niemca, Orra, prawdziwego minotaura. Orr był stukniętym facetem, który potrafił zamieniać się w bykopodobną bestię. Jako minotaur był hojnie wyposażony, co wykorzystał, grając w wyjątkowo obrzydliwych filmach pornograficznych. Został aresztowany za znęcanie się nad zwierzętami, a w sądzie argumentował, że jest ofiarą magicznej dyskryminacji, a jego prawa zostały pogwałcone. Przegrał, dostał wyrok sześciu lat więzienia. Potem wyjechał z kraju.

Jeraldine Amber, znana jako Banshee z Bangoru. Gdy posługiwała się swoją magią soniczną, przemieniała się w dziwnego stwora o białych włosach i czarnych oczach. Poza tym była całkiem normalna, a choć talent przekazała dzieciom, nie przechodziły one metamorfozy. Tak w każdym razie twierdziły.

Dwudziesta druga trzydzieści pięć. No chyba sobie w kulki lecis, Rogan.

Przewróciłam stronę. Bestia z Kolonii. Znałam tę historię tak dobrze, że sama mogłabym o niej napisać książkę. Misha Marcotte, Belgijka, odkryła swój talent tuż po dwudziestce. Potrafiła przyjmować postać gigantycznej bestii, stwora wyjątego

z najgorszych koszmarów. W tej formie była w zasadzie niezniszczalna, ale nie panowała nad sobą. Po przeistoczeniu wpadała w amok. Belgijska armia wraz Francuskim Legionem Magów usiłowały ocenić jej umiejętności, ale podczas trzeciej przemiany Misha zatraciła całkiem człowieczeństwo. Przekroczyła granicę belgijsko-niemiecką i pustoszyła Kolonię, omal nie zrównując jej z ziemią, zanim udało się ją powstrzymać. Sposób, w jaki to osiągnięto, pozostawał tajemnicą, ale najbardziej prawdopodobne pogłoski mówiły, że utopiono ją w Renie. Jej historia stała się ostrzeżeniem dla wszystkich magów metamorfów.

Krążyły też plotki, że ostatecznie wróciła do ludzkiej postaci, nie utonąła i jest przetrzymywana gdzieś w ukryciu, w stałym odurzeniu. Wierzyłam im. Magnusowie nigdy nie marnowali potężnych talentów, mając nadzieję na poszerzenie wiedzy czy zdobycie większej władzy dzięki nim.

Zatrzasnęłam książkę. Dwudziesta druga czterdzieści osiem. Czekałam już prawie godzinę. Miałam dość. Bez sensu tak tkwić samotnie, nago, w ciemności. Musiałam sprawdzić, co u bliskich.

Wyszłam z łóżka. Na myśl o założeniu zakrwawionej sukienki zrobiło mi się niedobrze. Za żadne skarby. Przecież Rogan musiał tu mieć jakieś ubrania.

Przeszukałam pokój. Okazało się, że szklana przegroda skrywa nie tylko prysznic, ale również niewielką garderobę. Na regałach leżały równiutko złożone T-shirty i spodnie dresowe, a na drążku wisiało kilka koszul i absurdalnie kosztownych garniturów, w rzędzie, łatwo dostępnych. Trudno się pozbyć wojskowych nawyków.

Założyłam koszulkę. Sięgała mi do połowy uda. Wzięłam też spodnie dresowe, które po założeniu okazały się oczywiście za wąskie w biodrach i dużo za długie. Podwinęłam nogawki. Ujdzie. Resztki sukienki, stanik oraz majtki przesunęłam kopniakiem do sterty ubrań przy prysznicu. Lubiłam ten biustonosz, ale nie zamierałam paradować z nim w ręce po całej bazie. Przy odrobinie szczęścia na nikogo nie powinnam się natknąć, ale wolałam nie ryzykować.

Wzłam brudne adidasy, wyszłam ze studia i zeszałam na piętro. Pluskwa królowała w swoim fotelu, skąpany w blasku dziewięciu ekranów komputerowych, wiszących po trzy w rzędzie na półkolistej ścianie.

Zamrugał na mój widok, zaskoczony. Pluskwa zawsze wyglądał tak, jakby zapodział gdzieś posiłek i musiał go desperacko odnaleźć, ponieważ znajdował się na skraju śmierci głodowej. Zanim Rogan przekonał go, żeby dla niego pracował, Pluskwa był w fatalnym stanie. Rój, który wojskowi przyzywacze ściągnęli z magicznych sfer i związali z nim, miał zabić go w półtora roku. Jedynie ochotnicy mogli zostać rojarzami i dostawali za to wielkie pieniądze. Pluskwa nigdy nie powiedział, dlaczego się zgłosił ani co zrobił z kasą, ale po półtorarocznej służbie wciąż żył. Kiedy go poznałam, mieszkał w opuszczonym budynku na zalanym terenie, który to budynek naszpikował pułapkami. Stał jedną nogą w grobie – wychudzony, brudny, ogarnięty paranoją, wyszukiwał informacje w zamian za działkę equazolu, wojskowego środka, który wedle słów Pluskwy był jednym, bo uciszało na chwilę rój. Jedyną istotą, która dotrzymywała mu towarzystwa i zakotwiczała w rzeczywistości, był Napoleon, bękart francuskiej buldożki, która puściła się z jakimś kundlem.

Rogan wydobyl Pluskwę z dziury, w której ten wiódł swoją marną egzystencję. Teraz Pluskwa był nieco pełniejszy, miał porządnie przyszczyżone, czyste włosy i przyzwoite ubranie. Wydawał się też spokojniejszy. Paranoja nieco ustąpiła. Potrafił rozmawiać bez wcześniejszego rozbiegania. Napoleon, również czysty i mocno

zakończony, pochrapywał na miniaturowej sofce ustawionej przy fotelu swojego pana. Mebelek był obity czerwoną tkaniną w heraldyczne lilie.

– Wychodzisz? – zapytał Pluskwa.

– Owszem.

– Nie rób tego.

– Muszę.

– Co ja mu powiem, kiedy wróci? – zaniepokoił się.

Rogan kazał mu mnie pilnować czy co?

– Powiedz mu, co chcesz.

Przemaszerowałam przez pomieszczenie, kierując się ku schodom na dół. Na parterze paliło się światło. Czterech mężczyzn i dwie kobiety prowadzili przyciszoną rozmowę. Umilkli na mój widok.

Rozpoznałam Nguyen Hanh, Azjatkę, która była głównym mechanikiem Rogana, oraz Michaela Riverę, zastępcę Rogana. Latynos, po trzydziestce, miał niesamowity uśmiech. Zazwyczaj uśmiechał się, kiedy kogoś zabił.

– Wychodzisz? – zapytał mnie Rivera.

– Tak. – Boże, oszczędź mi.

– Czemu? – indagowała Nguyen.

– Bo idę do domu.

– Ale major jeszcze nie wrócił – stwierdził Rivera.

– Zauważyłam.

– Nie możesz nigdzie iść. Powiedział nam, że zaraz wróci i mamy cię pilnować pod jego nieobecność. Jak mamy cię pilnować, jeśli opuścisz teren bazy? – argumentował Rivera.

– Przecież mieszkam po drugiej stronie ulicy, więc nadal możecie mnie pilnować. – Wskazałam na stojące otworem wrota magazynu. – Nigdy nie zamykacie tych drzwi, więc będziecie widzieć, jak idę te dwadzieścia metrów do domu.

– Wkurzy się, jeśli wyjdiesz – rzucił jakiś szatyn, którego nie znałam.

Rivera spojrział na niego, a potem odwrócił się do mnie i wyszczerzył w uśmiechu.

– Może jednak na niego zaczekasz?

– Nie mogę, naprawdę.

Ruszyłam na Riverę, który zszedł mi z drogi. Wymaszerowałam z bazy, kierując się do naszego magazynu.

– To przez tę babę, tę Sherwood – dobiegł mnie męski głos.

– Jasne, że tak – przytaknęła Nguyen. – Od razu mówiłam, że będą przez nią hece.

Przeszłam przez ulicę, wprowadziłam kod do zamka, weszłam do biura i zamknęłam za sobą drzwi. Co za piekielny dzionek. Telefon zostawiłam w samochodzie pod domem Ryndy, broń w samochodzie Rogana, a bieliznę w jego studiu. Dziwnie się czułam, paradując bez majtek, ale brakiem telefonu przejmowałam się bardziej. Pewnie fakt, że bardziej nieswojo czułam się bez telefonu niż bez majtek, wiele powiedziałyby o mnie specjaliście.

Nie poznawałam sama siebie. Zawsze pilnowałam telefonu i broni, zawsze miałam je przy sobie. I majtki też.

Otworzyłam drzwi prowadzące do przestrzeni mieszkalnej. W magazynie panowała cisza. Ciemność korytarza rozpraszało jedynie światło w kuchni. Przy czworogu nastolatków w domu zawsze ktoś buszował w nocy po lodówce, więc zostawialiśmy dla nocnych głodomorów włączoną lampkę stołową. Dzisiaj jednak z kuchni nie dochodziły żadne odgłosy.

Normalnie w środku tygodnia po dwudziestej trzeciej młodzi leżeli już w swoich łóżkach, postanowiłyśmy jednak z mamą, że do czasu prób nie będą chodzili do szkoły. Gdzie się wszyscy podziali?

Pokonałam na palcach hol, skręciłam w prawo, przeszłam krótki korytarzyk i zapuściłam żurawia do Kurzej Stółki, niewielkiego pokoiku zbudowanego w magazynie, w którym Bernard władał niepodzielnie swoim sprzętem komputerowym. Dobięły stamtąd głosy.

– ...na prawo... na budynku...

– Mam.

Aha. Drużyna Baylorów ocalała świat przed kosmicznymi zombi, zdejmując jedno po drugim cyberpociskami. Innym razem pewnie bym się do nich przyłączyła, ale nie dzisiaj.

Wychyliłam się jeszcze bardziej i dojrzałam sylwetkę Berna. Nie miał na głowie słuchawek, a jego twarz, oświetlona blaskiem ekranu, była zacięta, zaś brwi zmarszczone. Bez reszty skupiał się na tym, co miał przed sobą. Pewnie przeglądał zawartość dysków Ryndy, szukając upragnionego przez porywaczy pliku.

Wróciłam po cichu do kuchni pewna, że jeśli coś znajdzie, zaraz mnie powiadomi.

Mój telefon leżał na stole, pod lampą, oświetlony niczym przynęta. Pewnie Cornelius go przyniósł. Ha! Ucieszyłam się, biorąc aparat do ręki. Jedno nieodebrane połączenie. Dotknęłam ikony poczty głosowej.

„Tu Fullerton ze Zwoju. Proszę oddzwonić w dogodnej chwili, bez względu na porę”.

Żołądek ścisnął mi się w twardą kulę. Było po jedenastej. Ale prosił o pilny kontakt. Oddzwoniłam.

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Dobry wieczór, pani Baylor.

– Dobry wieczór.

– Zakończyliśmy analizę państwa DNA. Wyniki potwierdzają pokrewieństwo podane w formularzu. Mogą państwo przystąpić do testów.

Odetchnęłam z ulgą.

– Otrzymaliśmy już dwie prośby o udostępnienie podstawowego profilu. A ponieważ czekają państwa rzeczony próby, pozwoliłem sobie zawiadomić panią natychmiastowo.

– Niech zgadnę, Victoria Tremaine?

– Tak, to ona wystosowała jeden z wniosków.

– Odmawiam. – Nie zamierzałam udostępniać Victorii nawet najmniejszego skrawka informacji o naszej rodzinie.

– Odnotowane.

– A drugi? Z Rodu Rogana? – Patrzcie państwo, czyżby jednak sprawdzał kompatybilność genetyczną?

– Nie. Od Rodu Shafferów.

– Shafferów? – W kraju istniały trzy Rody prawdołowców. Największy strach wzbudzał Ród Tremaine'ów, ponieważ moja zła babka działała w branży, operując swoim talentem z subtelnością katowskiego topora. Ród Lin był najliczniejszy. A Shafferowie znajdowali się gdzieś pośrodku i niewiele o nich wiedziałam.

– Tak. Zatwierdza pani prośbę czy odrzuca?

– Z jakiego powodu mogli złożyć wniosek?

– Może ich być wiele – odrzekł Fullerton ostrożnie.

– Jest pan ekspertem, a dla mnie to wszystko jest nowe. Pytam tylko o pana przypuszczenia.

– Profil podstawowy można wykorzystać w wielu celach. Nie zawiera on jednak informacji na tyle szczegółowych, by na ich podstawie snuć jakieś konkretne plany. Jednakże jest użyteczny do wykluczania pokrewieństwa.

No tak.

– Uważa pan, że chcą sprawdzić, czy nie jesteśmy spokrewnieni z ich Rodem?

– Tak podejrzewam. Prawdołówstwo to niezwykle rzadki talent. W ramach gestu dobrej woli udostępnił państwu swój profil podstawowy do wglądu.

– Porównał je pan?

– Tak, wasze Rody nie są spokrewnione.

Rozważyłam tę kwestię. Jeśli nie udostępnię Shafferom profilu, mogą się zastanawiać, czy nie jestem jakimś ich potomkiem z nieprawego łoża. Więc jeśli pozwolę im to sprawdzić, uspokoją się, że nie było żadnych sekretnych romansów, i zostawią nas w spokoju.

Ech, gdyby to było takie proste... Zapora w umyśle Vincenta została postawiona przez jakiegoś prawdołowcę.

Poczułam się, jakbym usiłowała grać w szachy na ślepo.

– Dobrze. Udzielię im dostępu do naszego podstawowego profilu.

– Oczywiście.

– I dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Baylor. Miłego wieczoru.

Rozłączyłam się. Na to to już za późno.

Poczułam, że przyda mi się teraz porządna drzemka. Odwróciłam się.... i stanęłam oko w oko z opartą o framugę mamą.

Nie miałam co prawda bielizny, ale przecież przez spodnie nie było tego widać, więc prawdopodobieństwo, że zapyta mnie, gdzie zgubiłam majtki, było zerowe.

– O co chodziło?

– Jeden z Rodów prawdołowców prosił o dostęp do naszego skróconego profilu genetycznego. Fullerton uważa, że chcą sprawdzić, czy przypadkiem nie jesteśmy spokrewnieni.

– I co?

– Ryndę zaatakował dzisiaj przyzywacz.

– Cornelius nam opowiadał.

– Natknęłam się na blokadę w jego umyśle postawioną przez jakiegoś prawdołowcę. – Oparłam się o krawędź stołu i jak mama, zaplotłam ramiona na piersi.

– Porwanie Briana jest powiązane ze spiskiem mającym na celu stworzenie Nowego Rzymu. Vincent, ten przyzywacz, wyznał, że okup, którego żądają od Ryndy, jest związany z jej matką, a matka Ryndy po uszy tkwiła w tym spisku. Gdy Adam Pierce poszukiwał części artefaktu, dowiedzieliśmy się, że informacje o miejscu ich ukrycia zostały powierzone pewnej rodzinie, a ich umysły obłożono zaklęciem ochronnym. Jakiś prawdołowca mógł zajrzeć za zaporę tak samo jak ja i wydobyć dla Adama wiedzę o lokalizacji fragmentów.

– Podejrzewasz, że ten Ród...

– Shafferów – podsunęłam.

– Shafferów, jest w to zamieszany?

– Nie wiem – westchnęłam. – Zaklęcie było bardzo potężne. Zajrzeć za nie mógł tylko Magnus. Logika podpowiada, że musi pochodzić z jednego z trzech Rodów ze

Stanów Zjednoczonych. Bo to tutaj ludzie mają najwięcej do stracenia. To oznaczałoby Linów, Shafferów albo Victorię Tremaine. Nasz profil genetyczny nie mógł pojawić się w oficjalnym rejestrze wcześniej niż parę godzin temu, a Shafferowie natychmiast wystosowali prośbę. Dałam im dostęp. Zobaczymy, co zrobią z tymi danymi.

– To rozsądne? A jeśli pokażą je waszej babce?

– Nawet jeśli, to co? Najwyżej potwierdzą to, co i tak już wie. Jesteśmy jej wnuczkami. – Wzruszyłam ramionami. – Przecież próbkę taty też zbadano zaraz, jak się urodził. Pewnie opierając się tylko na niej, jest w stanie przewidzieć nasz genotyp.

– Nie podoba mi się to – zasępiła się mama. – Właśnie przed tym światem uciekliśmy z waszym tatą. I nie bez powodu. Twój ojciec nienawidził takiego życia. Jest pełne niebezpieczeństw i nie chciał mieć z nim nic wspólnego. I nie chciał, żeby jego dzieci żyły w tym świecie.

Poczułam śmiertelne znużenie.

– Co mam zrobić, mam? Wplątaliśmy się w aferę z tym spiskiem i jedynym wyjściem jest ujawnienie go. To wszystko jest strasznie pogmatwane, a ślad z prawdołowcą jest jedyną nicią, za którą możemy podążyć.

– Nie chcę tylko, żebyś się tą nicią udusiła. Nie powinniśmy w ogóle występować o status Rodu.

– Nieco za późno na takie przemyślenia. Mam, przecież ja tylko staram się nam zapewnić bezpieczeństwo. Ciągłe mnie krytykujesz, ale jaka była inna opcja? Przecież musieliście brać z tatą pod uwagę, że babka kiedyś się o nas dowie. Jaki mieliście plan na taką okoliczność?

Milczała.

– No właśnie. Nie mieliście żadnego planu na wszelki wypadek.

Mama pobladła.

– Mogliśmy uciec.

Znowu to samo. Miałam tego dość.

– Nie. Ty i tata mogliście się ukrywać, bo było was tylko dwoje. Ale my nie możemy uciekać. Teraz jest nas więcej, my, Catalina i Arabella, chłopcy i babcia Frida. To siedem osób. Niby gdzie mielibyśmy się ukryć w siedmioro? A może powinniśmy się rozdzielić i dać Victorii szansę na złapanie najsłabszego z nas, żeby mogła nas potem szantażować? Sama wiesz, że to fatalny pomysł. Wy myśleliście, że będziecie się ukrywać już na zawsze. Ale to tak nie działa. Magia w końcu się objawia. To nieuniknione. Mój talent jest częścią mnie. Jestem Magnusem, prawdołowczynią, tak jak moja babka.

– Nie jesteś taka jak ona – zaprzeczyła mama ostro.

– Owszem, mam to po niej. Teraz to do mnie należy zapewnienie bezpieczeństwa młodemu. Tyle że przez to, że się z tatą ukrywaliście, nie przeszłam szkolenia, niewiele wiem o mojej magii. W tym roku pierwszy raz w życiu skorzystałam z kręgu. I nawet nie wiedziałam, że mogę posłużyć moją magią w jakiś inny sposób niż do wykrywania prawdy. Wszystko to spadło na mnie nagle, a ja nawet nie mam narzędzi, żeby nas bronić. To samo zrobiłaś Catalinie i Arabelli, a teraz obie robimy to Leonowi. Nie możesz wsadzić nas pod klosz i zakazać używać naszych talentów, mam. Przecież od tego można zwariować. A może, zamiast krytykować każdą moją decyzję, trochę mi pomożesz? Bo bardzo potrzebuję pomocy.

Odrzuciłam się i wyszłam z kuchni przez drugie drzwi.

Leżałam w łóżku. Spodnie dresowe zdjęłam, gdy tylko znalazłam się w swoim pokoju. Ale koszulkę zostawiłam. Założyłam bieliznę i wśliznęłam się pod koldrę.

Gdy po sprzedaży domu przenieśliśmy się do magazynu, rodzice wybudowali mi apartamencik na antresoli – pokój z łazienką – do którego można się było dostać tylko drewnianymi schodami. Ostatni człon, trzymetrową drabinkę, ku rozpaczy siostr mogłam wciągnąć na górę, skutecznie uniemożliwiając im zawracanie mi głowy, gdy nie miałam na to ochoty. W sypialni miałam nawet spore okno. Był to mój azyl, gdy chciałam uciec od świata, bezpieczna przystań, gdzie mogłam się skryć, gdy byłam zmęczona i przytłoczona. Teraz nagle poczułam się w nim samotna. I łóżko wydało mi się takie jakieś za duże i puste...

Pięknie. Jakim cudem tak szybko przywykłam do sypania z Roganem? Na palcach jednej ręki mogłam policzyć noce, które spędziliśmy razem.

A jednak Rogan nie wystąpił o możliwość wglądu w moje DNA. Nie mogłam się zdecydować, jak się z tym czuję. To zależałoby od tego, dlaczego tego nie uczynił. Bo może kochał mnie tak, że nie obchodziło go nasze genetyczne dopasowanie, ale mogło być tak, że nie traktował związku ze mną na poważnie i nie brał pod uwagę małżeństwa.

Czy ja w ogóle chciałabym wyjść za Szalonego Rogana?

Normalnie małżeństwo oznaczało wyłączność, ale w świecie Magnusów romanse nie były niczym wyjątkowym. Przeciwnie, traktowano je jakoś coś całkowicie naturalnego. Zrobiłabym nieomal wszystko, żeby być z Roganem, ale dzielenie się nim byłoby ponad moje siły.

Coś stuknęło w szybę.

Może nietoperz.

Stuk. Stuk. Stuk.

Wysłałam z łóżka i wyrzuciłam na zewnątrz. W szybę od drugiej strony uderzał mały kamyczek. Stuk. Stuk. Stuk.

Popatrzyłam w dół. Na chodniku stał Rogan.

No cóż, o wilku... myśląc.

Otworzyłam okno. Kamyk spadł na ziemię.

– Co chcesz? Usiłuję spać.

– Prosiłem, żebyś na mnie zaczekała.

– Czekałam. Godzinę. Musiałam iść do domu.

– Jesteś zła.

Naprawdę, panie Bystry?

– A niby czemu miałabym być na ciebie zła? Tylko dlatego, że zaraz po seksie wyskoczyłeś z łóżka, pobiegłeś do swojej byłej narzeczonej i zniknąłeś na dwie godziny?

– Jedną.

Zerknęłam na zegarek przy łóżku.

– Godzinę i dwadzieścia dwie minuty.

– Dziecko wpadło w histerię. A kiedy tam dotarłem, obudziła się też mała i zaczęła płakać. A potem rozpłakała się Rynda.

– I co? Położyłeś wszystkich do łóżeczek i utuliłeś do snu?

Zgrzytnął zębami.

– Uspokoilem, a kiedy przestali płakać, wyszedłem.

– Super. Gratuluję zażegnania kryzysu. A teraz idę spać.

– Prosiłem, żebyś na mnie zaczekała, a ty wyszłaś.

– A niby co miałam tam robić? Ciebie nie było. A ja jeszcze mam własne łóżko.

– A jak według ciebie miałem postąpić? Wysłuchać jej szlochów, a potem kazać jej spierdalać, bo wolę sobie poleżeć z tobą w łóżku?

– Aha, to teraz ja jestem ta zła, tak?

– No cóż... trochę. Poszedłem zrobić coś dobrego, a ty się o to wściekasz. Chyba trochę przesadzasz.

O nie, nie powiedział tego?!

– Nevado, jako głowa Rodu mam pewne obowiązki i czasem będę musiał wyjść z łóżka bez względu na to, co tam robimy, i zając się pewnymi sprawami.

– A więc utulanie w płaczu byłej narzeczonej to sprawa rodowe, tak?

– Znam ją od dziecka.

– Uhm.

– Jest dla mnie jak rodzina.

– Tak? A ja kim dla ciebie jestem?

Uświadomił sobie, że wszedł na minę.

– Tak się składa – ciągnęłam – że ja również zostałam głową Rodu i masz rację, czasem to oznacza, że kiedy coś nagłego wyskakuje, trzeba wyjść i się tym zająć. Nie mogę godzinami leżeć smętnie w twoim łóżku i czekać, aż łaskawie skończysz ocierać łezki innej kobiecie i postanowisz wrócić. Mam do rozpatrzenia wnioski o wgląd do profilu i porwanie do rozwiązania.

– Jakie wnioski? – warknęła. – Kto z nimi wystąpił?

– Najwyraźniej nie ty. Jeśli nie pamiętasz, nie zechciałeś sprawdzić naszego genetycznego dopasowania.

– Kto, Nevado?

– Myślisz, że jeśli odpowiednio długo będziesz warczał, to ci powiem? Nie reaguję zbyt dobrze na zastraszanie. Może powinieneś raczej posmarować.

– Kto.

Był jak pies, który złapał kość. Wiedziała, że nie odpuści, jeśli mu nie powiem, a w sumie nie miało to wiele wspólnego z tym, o co poszło. Niech ma.

– Tremaine i Shafferowie.

– Zgodziłaś się?

– Nie na prośbę Victorii.

– A Shafferów?

– Tak.

Zamilkł. Jego twarz zmieniła się w maskę lodu.

– Masz rację. Będziesz głową Rodu. I równie dobrze od razu możesz zacząć robić plany.

Na litość boską...

– Prosilili o wgląd do profilu, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy spokrewnieni. Obawiali się, że mogę być nieślubnym dzieckiem kogoś z ich Rodu.

– Prosilili o to, żeby upewnić się, czy nie ma przeszkód w zawarciu małżeństwa – burknęła. – Tak to się zaczyna.

Wychyliłam się przez okno i rozkoszowałam się każdym słowem, które wypowiedziałam:

– Chyba troszkę przesadzasz.

Szczęknęły otwierane drzwi i rozległ się głos Cataliny:

– Mama mówi, że albo macie się przestać kłócić, albo zacząć uprawiać seks, bo jest noc i reszta z nas usiłuje spać. Możecie sami wybrać!

Trzask zamykanego okna.

– Już dobrze – syknęłam. – Już kończymy. Tylko jeszcze jedno pytanie: czy w twojej świetłej głoworodowej opinii problem Ryndy był sytuacją awaryjną? Czy absolutnie nie była w stanie poradzić sobie z nim bez ciebie, czy może skorzystała z okazji, żeby zaangażować cię emocjonalnie i móc ewentualnie liczyć, że zajmiesz się nimi, w razie gdyby Brian nie wrócił? A jeśli sytuacja naprawdę była tak pilna i poważna, to czemu nie zabrałeś mnie tam w ramach wsparcia?

Zatrzasnęłam okno. No. Wyrzuciłam to z siebie.

Przez chwilę stał z zadartą głową, a potem odwrócił się i przeszedł na drugą stronę ulicy.

I bardzo dobrze. Idź sobie.

Rzuciłam się na łóżko. Cóż, popisałam się.

Na zewnątrz coś lupnęło.

Co znowu?

Wstałam i podeszłam do okna. Rogan stał na środku ulicy, a obok niego przelatywał strumień palet i wielkich opon, które układały się pod moim oknem, piętrząc się jedna na drugiej.

Odebrało mi mowę.

Sterta rosła z niewiarygodną szybkością, tworząc rampę. Budował wejście do mojego pokoju.

Szarpnęłam za klamkę.

– Czyś ty zwariował?

– Nie – rzucił z zaciętą miną.

– Zużywasz gigantyczne zasoby magii.

Po minie poznałam, że ma to gdzieś.

Rzeka opon skończyła się w połowie drogi do okna. Potem przestały nadlatywać palety. Skończył mu się budulec.

I znów ktoś otworzył gdzieś drzwi.

– Mama mówi.... – zaczęła moja siostrzyczka.

Od budynku po drugiej stronie ulicy oderwała się drabina pożarowa i poszybowała w moją stronę, ustawiając się na stercie. Kilka worków cementu grzmotnęło u jej stóp, kotwicząc ją i stabilizując.

Catalina bez słowa zamknęła drzwi.

Rogan wkroczył na rampę, wspiął się po drabinie i stając w oknie, wyciągnął do mnie rękę.

– I co to ma niby znaczyć?

– Porywam cię z powrotem do mojej pieczary. Śpisz dzisiaj u mnie. I pozostałe noce też.

– Czyżby?

– Tak.

– A mam coś do powiedzenia w tej kwestii?

– Zawsze masz. Jeśli powiesz „nie”, usunę się.

Przybrał tę swoją magnusową minę, nieprzeniknioną i zdystansowaną. Ale zdradzały go oczy. Ledwie nad sobą panował, dosłownie wisiał na włosku.

Cóż, mogliśmy to przegadać albo mogłam nadal w samotności użalać się nad swym zranionym ego. Naciągnęłam pierwsze lepsze spodnie dresowe, wsunęłam stopy

w kapcie i podałam mu rękę.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka.

...

Kto, do diabła, mógł dzwonić do mnie o tej porze?

Podniosłam palec.

– Chwileczkę.

Telefon przesybował przez pokój i zatrzymał się przede mną.

Wzięłam go i odebrałam.

– Nevada Baylor.

– Jesteś... – powiedział Vincent Harcourt.

Przełączyłam rozmowę na głośnik. – Jak to miło, że zrobiłeś sobie przerwę w zastraszaniu dzieci i zadzwoniłeś.

– Akurat mam chwilkę.

Od jego tonu aż zabołały mnie zęby. Był taki zadufany.

Rogan wziął mnie za rękę i razem zeszliśmy po drabinie, a potem po rampie na dół.

– Widziałem, że zamierzasz przystąpić do testów.

Mało mu było, że omal zamordował dzieci Ryndy, Edwarda i wybił całą ochronę. Musiał na dodatek wydzwaniać do mnie po nocach i grać mi na nerwach.

– Myślisz, że jesteś tak silna, żeby być Magnusem?

– Może ty mi powiesz? – mówiłam po drodze do bazy. – Opowiedz, jak to było, kiedy stałeś, nie mogąc się ruszyć, i ze wszystkich sił próbowałeś nie wpuścić mnie do umysłu. Jak ci się wydaje, jestem Magnusem?

Oczy Rogana zabłyśły dumą. Uśmiechnął się leniwym, pełnym satysfakcji uśmiechkiem, patrząc na mnie, jakbym stała w sali balowej w sukni za dziesięć tysięcy dolarów, a nie na środku ulicy w jego za dużym T-shircie.

– Trafiony – przyznał Vincent. – Szkoda, że nie dożyjesz testów. To mogłoby być interesujące.

– O, przechodzimy do fazy z pogrózkami?

– Nie, przechodzimy do gratisowej lekcji zasad. Nie wiesz, na czym polega ta gra, więc ci to wyjaśnię. Jesteś już trupem. Twoja matka jest trupem.

Oczyma wyobraźni ujrzałam mamę leżącą na podłodze w miejscu Edwarda Sherwooda, a przy niej grzebiącego w jej wnętrznościach małponietoperza. Ty sukinsynu.

– Twoja słodka siostrzyczka jest trupem.

O, zapłaci mi za to.

– Druga siostrzyczka jest również trupem.

Druga? Zmieścił ocenę poziomu słodyczy moich sióstr i groźbę zabicia ich w jednym zdaniu? Cholera jasna, że też nie mam pod ręką broni i jego jednocześnie.

– Ci dwaj smarkacze, którzy z wami mieszkają, też są trupami.

Dotarliśmy do budynku sztabu Rogana. Czworo ludzi siedziało tam nadal, w tym Nguyen i Rivera. Na dźwięk głosu Vincenta Rivera ożywił się jak rekin, który zwietrzył krew. Rogan pokręcił głową.

– Ten zoomag jest trupem...

– Marnujesz mój czas – przerwałam mu. – Czemu nie powiesz, że trupami są wszyscy moi krewni i przyjaciele. Tak byłoby krócej i efektywniej.

– Pyskata jesteś – zaśmiał się cicho.

– A ty jesteś psychopatą.

– Oj, mówisz to tak, jakby to było coś złego. A dla ludzi o naszej pozycji to, praktycznie rzecz biorąc, wymóg.

– Cóż, David Howling był w tym lepszy.

– Nie zawsze będziesz miała koło siebie Rogana, który odwali brudną robotę.

– To nie on zabił Howlinga. Ja to zrobiłam. Walczyliśmy i przegrał. Następnym razem, kiedy się spotkamy, wydrę każdy ohydny sekret z twojej głowy i zrobię z nich publiczną wystawę. A kiedy skończę, będziesz się kiwał na ziemi i szlochał, jak inni. Potraktuj to jako gratisową lekcję pogroźek, Vincencie.

Nguyen zamrugwała, zaskoczona, a Rivera przezornie się cofnął.

Wyciągnęłam telefon do Rogana. Ręce mi się trzęsły, a wraz z nimi aparat. Rogan wziął go ode mnie, a ja zacisnęłam dłonie w pięści, żeby powstrzymać drżenie.

– Nevada ma rację – powiedział. – Musisz popracować nad gadką.

– O, dobrze, że jesteś, Rogan, nie będę musiał do ciebie dzwonić.

– Też się cieszę – oznajmił Rogan zwodniczo lekko. – Długo się nie widzieliśmy, może się spikniemy?

– To samo sobie myślałam. Od dawna planuję do ciebie wpaść.

– Zapraszam w każdej chwili – uśmiechnął się Rogan.

– Nie zabijesz nas wszystkich, Rogan.

– Ale ciebie na pewno, Vincencie. Resztą się nie przejmuj, i tak nie dożyjesz zakończenia tej sprawy.

– Zobaczymy. Ach, kuzynka cię pozdrawia.

– Przekaż jej, że za nią tęsknię.

Vincent przerwał połączenie.

– Harcourtowie oficjalnie się go wyparli – zwrócił się Rogan do mnie. – Jaką godzinę temu. Twierdzą, że nie wiedzą, ani gdzie jest, ani co robi.

– O, jakże dogodnie.

– Myślałam, żeby rano wybrać się do Harcourtów – nadal mówił tonem lekkiej konwersacji. – Ja bym zapukał, a ty zadałabyś im parę pytań, co ty na to?

– Tak, tak, bardzo chętnie.

– Załatw to – polecił Rogan Riverze.

– Tak jest.

Rogan powiódł mnie schodami na piętro.

– Wie, że wiemy, kim jest. Będzie się spodziewał jakichś ruchów z naszej strony, na przykład rozmowy z rodziną.

– Owszem – przyznał Rogan.

Pluskwa nie odezwał się na nasz widok.

– Na jego miejscu zaatakowałbym bazę jutro, zaraz po naszym wyjściu.

– Wziąłem to pod uwagę.

– A co, jeśli robi to dzisiaj w nocy?

– Nie zaatakuję dzisiaj – stwierdził Rogan z przekonaniem, prowadząc mnie wyżej, na poddasze. – Dzisiejsze przywołanie wiele go kosztowało. W tego rodzaju magii liczy się ilość materii, jaką ściąga się do naszego świata. Jedna duża istota odpowiada kilku mniejszym. Vincent przyzwał dziewięć stworzeń, do tego musiał bronić się przed tobą

i stoczył pojedynek z Corneliusiem o kontrolę nad Zeusem. Jest wyczerpany i nie zaryzykuje w tym stanie ataku na bazę, w której jestem. Musi najpierw odzyskać siły.

– A co z Corneliusiem? Jest sam.

– Cornelius został na noc w bazie. Umieściłem go w tym samym budynku, co Ryndę z dziećmi. Matyllda jest z jego siostrą i bratem w rodzinnej posiadłości na wsi. Zadzwoń do nich, jadąc tutaj. Rodzeństwo Corneliusa przyjedzie tu rano, żeby zobaczyć jego nowego pupilka.

– Kiedy zdążyłeś się o tym wszystkim dowiedzieć?

– Kiedy załatwiałem sprawę z Ryndą. Miałem ci o tym wszystkim powiedzieć, ale obraziłaś się i wyszłaś.

Weszliśmy do studia.

– A co, jeśli nasz planowany zajazd na Harcourtów zaszkodzi Brianowi? Bo przecież to on jest dla nas priorytetem.

– Nie zaszkodzi. Nie wierzę, żeby Vincent przejmował się rodziną, a nawet jeśli, to on zaczął tym sfuszerowanym atakiem na Ryndę, więc spodziewa się reakcji z naszej strony.

Rogan zamknął drzwi i odwrócił się do mnie. Stałam i patrzyłam na niego.

– No dalej, wyrzuć to z siebie. Tłamsisz to w sobie od rozmowy z Vincentem.

– Groził mojej rodzinie – wycedziłam. – Kazał temu potworowi pożerać człowieka żywcem, na oczach dzieci, które musiały patrzeć, jak potwór krzywdzi ich stryjkę. I czerpał z tego przyjemność, widziałam to w jego oczach. Był gotów zabić tam wszystkich, łącznie z tymi małymi dziećmi. To potwór. A potem zadzwonił tutaj, udając człowieka, który chce sobie uprzejmie pokonwersować. Jest jak seryjny morderca, który zabiwszy kogoś w biały dzień, myje ręce i idzie na bal przebierańców.

– Jest socjopatą. Zawsze był.

– Ale to niepojęte, jak można robić takie straszne rzeczy i nawet nie zdawać sobie sprawy, że ma się problem? Nie miał żadnych oporów, żadnych wyrzutów sumienia. To nie może być jego pierwszy raz. Jak to możliwe, że do tej pory nikt nie zdał sobie sprawy, że jest chory?

– Był użytecznym narzędziem dla swojego Rodu. I ta użyteczność przewyższała dotychczas problematyczność wybryków. Wymierzali mu kary, przeprowadzali pogadanki dyscyplinujące, ale ostatecznie był im potrzebny. Samo to, że Harcourtowie mają takiego Vincenta, skutecznie odstraszało inne Rody przed nieprzyjawnymi zapędami.

– I z tym jeszcze bardziej nie mogę się pogodzić. – Obróciłam się i zaczęłam krążyć po studiu, bojąc się, że jeśli czegoś nie zrobię, czegokolwiek, to wybuchnę. – Co to za świat, w którym potrzebne są takie monstra jak Vincent? W którym uznaje się je za „użyteczne”? W którym Dave może sobie porwać kogoś prosto z ulicy, nie obawiając się, że ktoś zareaguje? Czy widzisz, jak strasznie ten świat jest popieprzony? – Przystanąłam. – I ja wciągam do tego świata moje siostry i kuzynów? Przeraża mnie to, Connor. Przeraża mnie to do szaleństwa.

– Żyjąc w tym świecie, nie widzi się, że to nienormalne – powiedział cicho. – Sam, dopóki nie wstąpiłem do wojska, myślałem, że wszyscy tak żyją. Ale o to właśnie teraz walczymy, Nevado, żeby to nie stało się normalnością dla wszystkich. Jeśli spisek osiągnie swój cel, Vincent będzie robił, czego jego chora dusza zapagnie, bez żadnych ograniczeń.

Nagle uszła ze mnie cała para. Klapnęłam na łóżko.

– Im głębiej w las, tym mam coraz mniej opcji – poskarżyłam się. – Jeszcze nawet nie jesteśmy Rodem, a już muszę się przejmować, czy wyglądamy na wystarczająco silnych, żebyśmy nie stali się ofiarami ataków. Każda moja decyzja od tej pory ma być podyktowana zdobyciem większej magii, większej siły, większych pieniędzy, i to tylko po to, żebyśmy mogli przetrwać.

Rogan kucnął przy mnie i ujął moje dłonie.

– Bo jeśli mi się nie uda, własna babka nas zniszczy. Już nie tylko zapewnienie dachu nad głową i wykarmienie rodziny spoczywa na moich barkach, muszę też chronić życie najbliższych. I chcę zabić Vincenta Harcourta, zanim naśle na mamę swoje bestie, które rozszarpią ją na kawałki. Wciąż mam koszmary po zabiciu Davida, a już chcę uśmiercić Vincenta, bo czuję, że nie mam innego wyjścia. I nawet wybranie sobie męża ma się opierać na jakichś głupich obliczeniach prawdopodobieństwa, według których Rynda jest lepszą partią ode mnie...

Zagalopowałam się. Zamilkłam.

– Kochasz mnie?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

– Tak.

– Kochasz swoją rodzinę?

Tak

– Zrobiłabyś wszystko, żeby ich chronić?

– Oczywiście.

– Więc cała reszta nie ma znaczenia, Nevado. To niczego między nami nie zmienia. Ja kocham ciebie, ty mnie. Jesteśmy razem i nie dbam o żadne genetyczne dopasowanie. Kiedyś powiedziałaś, że dla ciebie to też nieistotne. Czy to się zmieniło?

– Nie.

– No to wszystko w porządku. W każdym świecie czają się różne zagrożenia. Napady, strzelaniny, wypadki samochodowe, narkotyki, przemocowe związki. Każdy jest na nie narażony, niezależnie od tego, czy jest Magnusem, czy nie. Takie jest życie. Różnica polega na tym, że teraz jesteś bardziej świadoma różnych niebezpieczeństw. – Uścisnęła mi palce. – A Victoria stanowiła zagrożenie dla twojej rodziny, zanim w ogóle się urodziłaś. Twój ojciec nie uciekł od niej dlatego, że była czułą, kochającą matką. Poznał twoją mamę i ożenił się z nią, nie dbając o genetykę. Co najmniej dorównujesz mocą Victorii, nie masz tylko jej wiedzy i doświadczenia, a to można nadrobić.

Odetchnęłam głęboko.

– Wiem, że to wszystko dzieje się szybko – ciągnął. – Przez ostatnie dwa dni wiele się wydarzyło. Stanełaś oko w oko z babką, złożyłaś wnioszek o przystąpienie do testów, przyjęłaś zlecenie Ryndy, walczyłaś z Vincentem i omal nie zginęłaś. Potrzebujesz czasu, żeby to wszystko przetrwać. Ale teraz jesteś tutaj, ze mną i dopóki jesteśmy razem w tym pokoju, nic ci nie grozi. Obiecuję, że już nigdzie się stąd nie ruszę, choćby się paliło i waliło, a jeśli tak, to wyjdziemy stąd razem.

Zarzuciłam Roganowi ramiona na szyję i mocno się do niego przytuliłam. Bijące od niego ciepło i siła podniosły mnie na duchu.

Objął mnie mocno.

– Jestem z tobą. Wszystko będzie dobrze.

Długo tak siedzieliśmy wtuleni w siebie.



Wstawaj – powiedział mi Rogan do ucha.

Uniosłam raptownie powieki. Przez moment miotalam się w pościeli, ale po chwili usiadłam, mrugając, półprzytomna.

Obserwował mnie z rozbawieniem, sam już ubrany w ciemne spodnie i luźną koszulkę. Przez przeszkloną ścianę do studia wlewało się światło. Zasnęłam!

Rano. Harcourtowie. Resztki snu wyparowały ze mnie jak kamfora. Otrzeźwiałam w tempie ekspresowym.

– Arabella ci to podrzuciła. – Położył na łóżku dużą torbę.

Rozsunęłam zamek. Baby desert eagle, cztery zapasowe magazynki, bielizna, swetry, dzinsy, skarpety... Kosmetyczka ze szczoteczką do zębów, dezodorantem, kosmetykami. Kondomy o smaku gumy balonowej. O, zapłaci mi za to.

– Masz dziwną minę – skomentował Rogan.

– Właśnie się zastanawiam, czy to oznacza, że zostałam eksmitowana z własnego domu. – Biorąc pod uwagę moją wczorajszą rozmowę z mamą, istniało takie prawdopodobieństwo.

– A to byłby interesujący obrót spraw. – Rogan zaplótł ramiona na piersi. – Czyli to by oznaczało, że jesteś bezdomna.

– To nie jest śmieszne.

– Wręcz komiczne. Jak z telenoweli brazylijskiej. Wykluczona przez rodzinę, pchnięta w ramiona szalonego milionera paranoika...

Rzuciłam w niego poduszką. Zawisła w powietrzu o włos od jego twarzy. Odepchnął ją delikatnie, pochylił się i pocałował mnie. Poduszka opadła na miejsce.

– Jestem twoją ostatnią deską ratunku. Staw czoła faktom. Tylko dzięki mnie możesz odbić się od dna, chwycić stery rodzinnego interesu i pokonać swoją złą babkę.

– Już dzierzę stery rodzinnego interesu. – Wysłałam z łóżka i spostrzegłam, że Rogan nie ma butów. Na stole leżał kawałek kredy. Ostatnio kiedy widziałam go w takim stroju i miał kredę, odprawił rytuał, żeby doładować się magią. – Będziesz robił Klucz?

– Tak, potrzebuję mocy. Rano do prokuratorury wpłynął wniosek o uznanie zasadności zastosowania Kazusu Werońskiego.

Zastosowanie Kazusu Werońskiego oznaczało, że stan Teksas przyjmuje do wiadomości, że pomiędzy Rodami toczy się spór, i umywa od sprawy ręce. Dawało to Roganowi swobodną możliwość zaatakowania Harcourtów w imieniu Ryndy.

– Uznali go?

– Dowiemy się za mniej więcej godzinę.

– Nie złożyłeś go osobiście?

Lenora Jordan, prokurator generalna hrabstwa Harris, nie należała do ulubionych osób Rogana. Uważał, że jest niebezpieczna, i z tego względu wołał osobiście załatwiać z nią sprawy.

– Przecież obiecałem, że zostanę z tobą.

No tak. Skoro obiecał, to przecież został. Proste.

– Poza tym, gdybym tam poszedł, Lenora z pewnością nie omieszkałaby mi wyjaśnić, jaką głupotą jest pomaganie córce Olivii Charles. A ja mam alergię na pouczenia. Wysłałem tam ekipę prawników. Mam ważniejsze rzeczy na głowie.

– Zakładasz, że Harcourtownie odmówią spotkania z nami? A Ród Rio nie miał z tym problemu...

– Rio to badacze i botanicy. A Harcourtownie to magowie bojowi. Uważają, że wygrają tę bitwę, ale walczyliby nawet, gdybym zapukał do ich drzwi z tysięczną armią. Nie mogą sobie pozwolić, żeby wyjść na słabeuszy.

No tak, oni nie mogli sobie pozwolić, żeby wyjść na słabych, Rogan nie mógł pozwolić sobie nie zareagować na atak Vincenta, a ja, że Vincent dopadnie kogoś z moich bliskich. Każde z nas nie mogło sobie na coś pozwolić, wobec tego wszyscy pójdziemy na wojnę. Będą ranni, może nawet ktoś zginie. A gdybyśmy po prostu odsunęli na bok dumę, nie doszłoby do tego wszystkiego.

– Jak dobrze znasz Vincenta? – zapytałam.

– Całkiem nieźle. Chodziliśmy razem do liceum, był dwie klasy niżej. Miał reputację łobuza i skłonności do okrucieństwa.

– Jak dla mnie coś tu nie ma sensu. Porywacze zadzwonili, chcąc negocjować. Powiedzieliśmy im, że jesteśmy gotowi na współpracę. Zazwyczaj w tym momencie zaczyna się etap powolnych negocjacji. A tu ni stąd, ni zowąd pojawia się Vincent i miażdży wszystko jak walec.

– Zniecierpliwiał się. Jak mówiłem, nie jest mistrzem planowania i wyczekiwania. Rynda go rozżościła, więc uznał, że zastosuje swój markowy sposób wywierania presji.

– To czemu od razu nie wpadli do nich do domu i nie zabrali dzieci jako zakładników? Brian i Rynda daliby im absolutnie wszystko. Żadne z nich nie posiada talentu bojowego. Po co porywać Briana? To nie wygląda na zagranie w stylu Vincenta.

– Bo to nie on jest mózgiem. Ktoś trzyma go na krótkiej smyczy i wykorzystuje w tej operacji. – W oczach Rogana zaświeły niebezpieczne błyski. – A wczoraj w nocy urwał się z tej smyczy.

– Kto jest na tyle potężny, żeby powściągnąć zapędy Vincenta Harcourta i nakazać mu się trzymać planu?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć. – Rogan przekrzywił głowę, namysławiając się nad czymś.

– No? – ponagliłam go.

– Ród Harcourtów stosuje jedną strategię: przyzywają horde potworów ze sfery magicznej i rzucają ją na wroga. Walka będzie krwawa i chaotyczna.

– Nie zmienię zdania. Vincent groził mojej rodzinie.

– Może chociaż założysz kamizelkę kuloodporną?

– Dobrze – zgodziłam się i spojrzałam na kredę, którą miał w ręku. – Masz jej więcej?

Uśmiechnął się i drugi kawałek przeleciał z końca studia i zawisł przede mną.

– Co za nią dostanę?

– Kolację. Ty i ja dzisiaj wieczorem. – Zasłużyłam na dobrą kolację, którą mi obiecał. Mogłabym się ładnie ubrać, pomalować. Poza tym uświadomiłam sobie, że jestem strasznie głodna. Nie jadłam nic od wczorajszego lunchu! Postanowiłam sprawdzić, w co Rogan zaopatrzył kuchnię na dole.

– Sprzedane.

Pocałowałam go i złapałam wiszącą w powietrzu kredę.

...

Kręgi magiczne stosowano do wszystkiego, od dostrojenia magii po przekierowanie mocy w konkretne zaklęcie. Należało rysować je odręcznie, inaczej traciły właściwości, więc większość Magnusów uczyła się je kreślić, odkąd byli w stanie utrzymać kawałek kredy w palcach. Ja nie należałam do tej większości. Samo rysowanie równego koła na podłodze było naprawdę trudne. Rysowanie kręgu ładującego przypominało mękę gdzieś pomiędzy siódmym a dziewiątym kręgiem piekła. Taki krąg składał się z dużego koła, z mniejszym w środku i trzema kolejnymi w tym mniejszym, stykającymi się ze sobą i ułożonymi w trójkąt. Kolejne trzy powinny znajdować się naprzeciwko nich, ale na zewnątrz głównego okręgu. Dwadzieścia minut później wyprostowałam obolałe plecy. Naklęłam się przy tym rysowaniu tak, że Pluskwa, który przyszedł mi potowarzyszyć przy pracy, aż uniósł brwi. Tyle dobrze, że zanim zaczęłam, zdążyłam splądrować kuchnię i pożreć zagrabione ciastko z jabłkiem.

W końcu rozebrałam się do stanika sportowego i szortów, co miało umożliwić mi zmaksymalizowanie ładowania, wstąpiłam do kręgu i usiadłam. Moc uderzyła w krąg. Kredowe linie zabieliły się i zbladły. Moc płynęła do mnie początkowo leniwie, ale potem strumień nabrał wartkości i wlewał się we mnie w stałym tempie. Zamknęłam oczy i odprężyłam się.

– To jest trochę krzywe – ocenił Pluskwa.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na kółko, które wskazywał.

– Jest wystarczająco równe.

– Mogłaś poprosić majora, żeby ci pomógł.

O, gdyby Rogan się do tego zabrał, krąg byłby gotowy w trzy minuty, a każde kółko wyglądałoby jak od cyrkla.

– Muszę umieć to sama.

Zerknęłam w lewo, gdzie otwarte fabryczne wrota dawały widok na zalany słońcem betonowy taras. Na tarasie mogłam zobaczyć Rogana, który poruszał się

w narysowanym przez siebie kręgu, robiąc wykopy, uderzenia i wypadki. Robił to z ogromną gracją, choć nie była to lekkość tancerza, a zwinność zabójcy skupionego na wykonaniu zadania. Jego stopy stanowiły broń, jego dłonie cięży jak ostrza, a potem uderzały niczym młoty, niszcząc niewidzialnych przeciwników. Klucz Rodu Roganów był kluczem wojownika, a kiedy Rogan się w nim poruszał, konstelacja nasyciała go dzikością, gwałtownością, budząc Szalonego Rogana. Fascynowało mnie to, jednocześnie przepelniając lękiem i przyciągając jak magnes, dlatego narysowałam swój krąg w miejscu, skąd mogłam obserwować Rogana.

Miałam nadzieję, że nacieszę oczy tymi widokami w samotności, ale Pluskwa zainstalował się na sofie za moimi plecami, z Napoleonem pod pachą i laptopem na kolanach. Przy świadkach czułam się nieswojo, kikując tak na Rogana. Zamknęłam oczy i starałam się skupić na magii, bijącej z kręgu jak żar z asfaltu w upalny dzień.

– Wszystko gra? – zagaił Pluskwa.

– Uhm.

– Między wami okej?

– Uhm.

– Rozmawiacie normalnie?

Niech to szlag. Otworzyłam oczy i skrzywiłam się przez ramię do Pluskwy.

– Dobra komunikacja to podstawa zdrowego związku – wyrecytował.

– Tak, wszystko między nami w porządku.

– Już się nie kłóćcie?

– Już nie. Pluskwa, usiłuję się naładować. Muszę się skoncentrować.

Pluskwa poważnie skinął głową.

Odwrociłam głowę, kątem oka zahaczając o Rogana, po czym znów zamknęłam oczy.

– A seksik? Satysfakcjonujący?

– Nie wierzę, że zadałeś to pytanie...

Pluskwa i Napoleon odsunęli się nieco dalej ode mnie.

– No co? Chcemy mieć tylko pewność, że na pewno jest wam dobrze.

– My?

– Nooo... Ja i Napoleon.

Kłamstwo.

– Pluskwa, natychmiast odwróć do mnie laptopa. I nie waz się wciskać żadnych klawiszy.

Pluskwa przytulił komputer do łona.

– Nie.

– Masz tam Riverę i Nguyen?

– Nie.

Kłamstwo.

– Okej, więc powiem to głośno i wyraźnie. Gotowi? Odstosunkujcie się od mojego związku!

– Spoko, spoko. – Uniósł ręce.

– Jeśli naprawdę chcesz pomóc, rzuć parę informacji o Harcourtach.

– A o czym tu informować? Owen Harcourt, sześćdziesiątka na karku, Ella Harcourt, pięćdziesiąt pięć, Alyssa Harcourt, dwadzieścia trzy lata, i Liam Harcourt, osiemnaście. Każde przyzywacz w randze Magnusa. To będzie krwawa łaźnia.

– W porządku. Teraz się koncentruję, więc siedź cicho.

Zamknęłam oczy i przez parę minut błogiej ciszy zanurzałam się coraz głębiej w strumień mocy.

– Goście, goście – uprzedził Pluskwa.

Odwrociłam się. Po stopniach wchodziła Rynda. Przeszła przez pomieszczenie i usiadła na drugiej kanapie. Miała na sobie czarne markowe dżinsy i różową jedwabną bluzkę, która skromnie zakrywała jej piersi, jednocześnie rozchylając się głęboko pomiędzy nimi. Pluskwa udawał, że jej nie widzi. Napoleon łypał na nią złowrogo.

Rynda przyjrzała się mojemu kręgowi i bardzo pilnie zmilczała. Tak, wiem, jest trochę krzywy.

Siedziałam w ciszy. Minuty przeciągały się. Pluskwa walił w klawiaturę tak mocno, że słyszałam każde kliknięcie.

– Idziesz z Roganem do Harcourtów? – zapytała Rynda.

– Tak.

– To rozsądne?

– Rogan będzie mnie potrzebował przy przesłuchaniu.

– Harcourtowie mają reputację brutalnych ludzi – powiedziała. – To będzie zajadła walka. A ty nie jesteś magiem bojowym.

– Dzięki za troskę, ale dam sobie radę.

Zamilkła na chwilę, a potem spojrzała na Pluskwę.

– Możesz mi przynieść kubek kawy?

– Nie.

Zamrugła, zdziwiona.

– Jestem ekspertem inwigilacji, nie kelnerem – podkreślił Pluskwa z nienaganną dykcją i bardzo oziębłe. – Kawa jest na kuchennym blacie, tam. Weź sobie.

Rynda otworzyła usta i zamknęła je, nic nie mówiąc.

– Nevada? – zwrócił się do mnie Pluskwa.

Tylko nie to. Nie rób tego...

– Może kawki?

– Nie, dzięki. – Dupek.

– Bo jakbyś miała ochotę, to tylko powiedz, przyniosę ci.

Rynda wstała i poszła do kuchni, po drodze zerkając na Rogana.

– Jesteś okrutny – mruknęłam.

– Pozwij mnie – odszepnął Pluskwa.

Rynda wróciła z parującym kubkiem i znów zasiadła na kanapie. Pluskwa wrócił do agresywnego łupania w klawiaturę. Rynda przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem odchrząknęła wyraźnie. Pluskwa nadal jej nie zauważał. Rozpraszało mnie to napięcie między nimi.

– Kyle czuje się lepiej? – zapytałam.

Drgnęła zaskoczona.

– Tak – odpowiedziała.

– Bardzo się cieszę. – No. Troszkę jakby lepiej.

– Nie wiedziałam, że byłaś z Connorem, kiedy dzwoniłam.

No i wracamy do krępującej atmosfery.

Uśmiechnęłam się i odwróciłam w stronę tarasu i Rogana.

– Wiem, że jesteście parą – podjęła Rynda. – Ale ja potrzebuję go teraz bardziej niż ty. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

O, co to, to nie. Dość.

– Owszem, jesteśmy z Roganem razem. – Staralam się mówić najłagodniej jak to możliwe. – Ale ty nie należysz do tej sfery naszego życia.

– Znam go dłużej niż ty.

– Ryndo, rozumiem, że jesteś chwilowo sama, bez Briana, i że się boisz. Ale Rogan nie nadaje się na plan awaryjny. Nie jest typem faceta drugiego wyboru.

– To groźba? Próbujesz mnie odstraszyć?

– Ależ skąd – westchnęłam. – Jesteś moją klientką, która znajduje się pod ogromną presją. To nie jest rozmowa w typie „odwal się od mojego faceta”. Po prostu mówię, że to, co jest pomiędzy mną i Roganem, to głębokie i szczere uczucie. Nie mam nawet pretensji, że próbujesz przyciągnąć jego uwagę, i nawet gdyby jakimś cudem udało ci się go omotać, nie byłabym na ciebie zła tak jak na niego. Nie o to chodzi.

Tak mocno zacisnęła usta, że jej wargi pobieleały.

– A więc o co?

– Założmy, że uda ci się uwikłać Rogana w jakąś relację. Co potem?

Nie odpowiedziała.

– Ulżyło ci, kiedy zerwał zaręczyny?

– To sprawa osobista.

– Ulżyło ci, bo tak naprawdę nie chciałaś z nim być. Jest brutalny i przerażający. Pragniesz tego poczucia bezpieczeństwa, które daje jego obecność, ale nie kochasz mężczyzny, który je zapewnia. A ja owszem, kocham jego wraz z tą jego brutalnością.

– Nie znasz mnie – stwierdziła Rynda. – Nie wiesz o mnie niczego.

– Zapytałaś, więc odpowiedziałam. I powiem ci jeszcze jedno. Jeśli zawsze będziesz polegała na innych, oczekiwała, że zapewnią ci poczucie bezpieczeństwa, to nigdy go nie uzyskasz. Jesteś Magnusem, kobietą, matką. Sama zadbaj o to, żeby czuć się pewnie. Weź odpowiedzialność za siebie. Może i mój krąg jest krzywy, ale jest mój. Sama nauczyłam się, jak go tworzyć, najpierw z książek, później ćwicząc. Nie prosiłam Rogana, żeby go za mnie narysował, bo nie musiałam.

Rynda wstała z kubkiem w rękach, podeszła do wielkich drzwi i stanęła, przyglądając się, jak Rogan wykonuje ostatnie sekwencje ruchów Klucza. Kiedy skończył, wrócił do pomieszczenia. Po drodze skinął Ryndzie na powitanie.

– Dzień dobry.

– Nikt mnie tu nie lubi, Rogan – poskarżyła się miękim, łamiącym się głosem. – Twój ludzie mnie nie lubią.

– Nie muszą – odrzekł. – Ważniejsze, że będą bronić ciebie i dzieci, ryzykując przy tym życie.

– Czuję się tu jak nieproszony gość.

– Nie jesteś nieproszonym gościem. Ja cię tu zaprosiłem.

Skuliła się.

– Możemy porozmawiać? Na osobności...

Wskazał gestem ręki taras. Wyszła na słońce, a on podążył za nią. Podeszli na sam skraj betonowej płyty, Rynda przez cały czas mówiła coś z wyraźnym napięciem na twarzy.

– Mogę ci powiedzieć, co mu mówi – zaproponował Pluskwa.

– Dzięki, nie skorzystam.

– To sekunda roboty. Dwa klawisze. – Podniósł laptopa i zakołysał nim przede mną.

– To nie misja kosmiczna.

– Nie.

Pluskwa westchnął z głęboką irytacją.

- Nie ciekawi cię to?
 - Nie.
 - Jak to?
 - To, co ona mówi, jest nieistotne. Wystarczy, że ufam Roganowi.
- Zamknęłam oczy i pozwoliłam magii wpłynąć we mnie.

...

- Nevado? - Głos Rogana wyciągnął mnie ze studni mocy w kręgu.

Otworzyłam oczy. Rogan kuczał przy kręgu. Miał na sobie mundur polowy, ale nie w ciemnozielone plamy kamuflażu czy też jaśniejsze, w wersji pustynnej, tylko szaro-czarne. Szeroką pierś opinała kamizelka kuloodporna, a skomplikowany zestaw komunikacyjny otaczał szyję niczym kołnierz, kończąc się cieniutkim drucikiem mikrofonu przy ustach. Obok stał mężczyzna mniej więcej w wieku mojej mamy, chyba Japończyk, o szerokich barkach, ale nie nadmiernie napakowany. Szpakowate włosy miał przycięte króciutko, prawie do gołej skóry, do tego bródka, wąsy i bystre, przenikliwe oczy. W typowej panterce w wersji miejskiej wyglądał, jakby mundur terenowy nosił przez większość życia.

- Klepnęli nam Kazus Weroński - oznajmił. - Gotowa?

Magia płynęła we mnie, silna i potężna. Czułam się dzięki niej mocna, skupiona. Chętnie posiedziałabym w kręgu jeszcze ze dwie godziny, ale chwilowo to musiało mi wystarczyć. Wstałam.

Pluskwa podał mi ubranie - skarpety, buty taktyczne i mundur taki jak Rogana, tylko szaro-beżowy. Miejska wersja kamuflażu. I na deser hełm.

- Idziemy na wojnę?

- Idziemy na prawie wojnę, taką, na jaką pozwala nam prawo - odrzekł Rogan.

- Mam swoje ubranie.

- Ale w tym wtopisz się w oddział. Będzie mniejsze prawdopodobieństwo, że wyłuskają cię spomiędzy żołnierzy i wezmą na cel.

Wskazałam brodą jego mundur.

- Tobie jakoś nie przeszkadza ewentualne wyłuskanie.

- Ja muszę się wyróżniać, żeby skupiali się na mnie. Będę miał egidę.

Mogłam stać i się wyklócać albo po prostu założyć mundur i przestać wszystkich wstrzymywać. Wzięłam zestaw. Starszy mężczyzna przyglądał mi się bacznie.

Rogan podał mi swój telefon.

- Twoja mama dzwoniła. Kilka razy.

- Mówiła, czego chce?

- Nie, ale to chyba pilne.

Świetnie. Zabrałam telefon, mundur i umknęłam do gabinetu, żeby się ubrać i zadzwonić do mamy.

Odebrała natychmiast.

- Co się dzieje?

- Rogan zamierza zaatakować Ród Harcourtów.

- Przed kwaterą stoją dwa zmodyfikowane transportery bojowe. Widzę, jak jego ludzie je ładują. Zabiera tyle broni, co na małą wojnę.

– Nie ma wyjścia. Harcourtowie to przyzywacze. Będziemy mieli do czynienia z bandą istot sferalnych.

– Idziesz z nim?

Przygotowałam się na moją osobistą potyczkę.

– Tak.

– Idę z tobą.

– No co ty, mamó?

– Bez dyskusji – Rozłączyła się.

Dokończyłam ubieranie, dopasowałam porządnie kamizelkę, założyłam hełm i wyszłam.

– Mama do nas dołączy.

– Bardzo się cieszę – stwierdził Rogan niestropiony.

Zeszliśmy na parter. Grupa ludzi w pełnym rynsztunku czekała przy dwóch opancerzonych transporterach. Niektórzy mieli na sobie miejskie mundury terenowe, inni bardziej tradycyjne, we wzór panterki. Zachowywali się, jakby to była ich druga skóra. Trzeci pojazd, potężna taktyczna ciężarówka o zwiększonej mobilności, stał za nimi na jałowym biegu, z wyładowaną po brzegi wzmocnioną skrzynią okrytą zabudową z zielonej plandeki.

Rivera pojawił się przy mnie i wręczył karabin.

– Ruger AC 556, trzy tryby: samopowtarzalny, trzystrzzałowa seria i ogień ciągły.

Major uznał, że ci się spodoba.

Wzięłam broń i machinalnie sprawdziłam.

Z magazynu wyłoniła się mama ze swoją „lekką pięćdziesiątką”, karabinem wyborowym Barrett M82, oraz Leonem, który truchtał za nią jak podeksycytowany szczeniak.

– Młody jedzie ze mną – oświadczyła. – Potrzebuję obserwatora.

– Dziękuję, że postanowiliście nas wesprzeć – skwitował ich pojawienie się Rogan.

Kiedy w końcu przypominałam sobie, żeby zebrać szczękę z chodnika, pospiesznie wdrapałam się na transporter.

...

Jazda opancerzonym transporterem była tak samo komfortowa jak przejażdżka czołgiem. Czułam, jakbym siedziała na worze ziemniaków, który drga i podskakuje na każdym najmniejszym wyboju. W wozie znajdowały się dwie długie ławki wzdłuż boków. Siedziałam obok Rogana, na samym skraju, a mama i Leon naprzeciwko nas. Japończyk zajął miejsce obok mnie i od początku przypatrywał się uważnie moim bliskim. W głębi ciągnęły się dwa szeregi ludzi w mundurach i hełmach. Dobiegały mnie urywki ich rozmów przerywane śmiechami.

Mama miała bardzo dziwną minę. Lekko uniesione kąciki ust, a głęboka bruzda pomiędzy brwiami, obecna tam niezmiennie od trzech dni, całkiem się wygładziła. Mama siedziała spokojnie, odprężona jakby jechała na piknik na plaży. Jej oczy przybrały kontemplacyjny wyraz. Za to Leon nie mógł usiedzieć na miejscu, rozpierała go energia. Wyglądał, jakby miał ochotę wyskoczyć z wozu i biegać wokół niego przez całą drogę.

Japończyk dotknął zestawu słuchawkowego i powiedział głębkim głosem:

– No dobrze.

Zestaw słuchawkowy w hełmie przeniósł mi jego słowa prosto do ucha.

Rozmowy ucichły.

– Dla tych, których nie było, i dla tych, co nie uważali na odprawie. Harcourtowie mają siedzibę w umocnionym obiekcie. Budynek ma kształt litery U o dwóch wydłużonych skrzydłach. Wejście znajduje się pomiędzy nimi. Do środka prowadzi jedna droga, przez wejście od frontu. Teren pomiędzy skrzydłami to pole ognia. Kiedy wejdziemy, obrońcy rozpoczną ostrzał z obu stron. Potem otworzy się główna brama i Harcourtowie wypuszczą empeesy.

MPS to skrót od magicznie przywołanych stworów. Pamięć podsunęła mi natychmiast rozwartą tuż przed twarzą paszczę małponietoperza. Zimny dreszcz spłynął mi po plecach. Wyprostowałam się.

– Snajperzy, łącznie z panią Baylor i jej obserwatorem, wysiądą wcześniej i zajmą stanowiska w apartamentowcach Magnolie, budynki A i F. Ich zadanie polega na eliminacji strzelców z obu skrzydeł obiektu Harcourtów. Po dotarciu na miejsce transportery ustawią się w barykadę, a wy zajmiecie pozycje za nią. Major stanie za wami w kręgu. Melosa osłania majora. Tom i Li Min osłaniają was z góry. Harcourtowie stosują taktykę blitzkrieg. Rzucą na nas zmasowane siły, próbując przełamać naszą obronę. Musimy utrzymać pozycje, dopóki major nie skończy kręgu i nie uruchomi młyna.

Czym, u diabła, jest ten młyn?

– Utrzymacie pozycję bez względu na to, co wyskoczy na nas z tej bramy. Zrozumiano?

– Tak jest, panie sierżancie! – odpowiedział mu chór głosów.

– Major i młodsza pani Baylor to VIP-y. Mają przeżyć. Zrozumiano?

– Tak jest, panie sierżancie.

Japończyk oparł się o ściankę za plecami i zwrócił do mnie:

– Sierżant Serducho. Proszę trzymać się mnie.

Skinęłam głową.

Transporter ryczał. Minuty mijały. Rogan wziął mnie za rękę. Nic nie powiedział, po prostu trzymał mnie za rękę.

– Co to jest młyn? – zapytałam cicho.

– Zakłęcie rodowe Roganów.

Zakłęcia rodowe należały do zaklęć najwyższego poziomu. Wyzwalały niewiarygodnie potężną moc, ale wymagały ogromu przygotowań i nakreślenia skomplikowanych kręgów.

Leon szczerzył się jak głupi do sera.

– Tylko żadnych głupot, Leon – ostrzegłam.

– No co ty. – Zacierał z podniecenia ręce i uśmiechał się diabelsko.

– Po wszystkim musimy pogadać. – Popatrzyłam na mamę, upewniając się, czy zrozumiała.

– Serducho to od nazwiska czy ksywka? – zapytał Leon sierżanta.

– Przydomek, z wyboru.

– Czemu tak?

– Bo mam wielkie serce.

Leon postanowił się zamknąć.

Brałam już udział w strzelaninach, ale taka jazda na nią to całkiem co innego. Kotłowało się we mnie napięcie, miałam ochotę skoczyć, krzyczeć, działać. Karabin

ciężył mi w dłoniach. Adrenalina buzowała w żyłach, choć walka jeszcze się nie zaczęła. A mama nadal tkwiła w tym swoim ogrodzie błęgiego spokoju. Sierżant Serducho miał prawie taką minę jak ona. Rogan uśmiechał się do siebie pod nosem. Dobrze, że chociaż Leon został ze mną.

Wiercił się niecierpliwie na swoim miejscu i podrygiwał.

– Czemu nie rąbnijemy w nich rakieta? Byłoby szybciej i skuteczniej.

– Ponieważ zasady Kazusu Werońskiego zobowiązują do unikania strat cywilnych – wyjaśnił Rogan. – Odłamki po eksplozji nie rozróżniają żołnierzy i cywilów.

– A co by było, gdybyśmy rąbnęli w nich rakieta? – nie ustępował Leon.

– Zawlekliby mnie i Nevadę przed Zgromadzenie i musielibyśmy się tłumaczyć. W zależności od skuteczności naszej argumentacji zostalibyśmy zwolnieni po zapłaceniu grzywny, skazani na odsiadkę lub pozbawieni życia.

– Ale przecież jesteś Szalonym Roganem, Magnusem?

– Magnusowie też muszą trzymać się swoich zasad – pouczyłam kuzyna. Sama właśnie je poznawałam i żadna nie przepęłniała mnie szczęściem.

– Przejrzeć broń! – zarządził Serducho.

Sprawdziłam karabin i amunicję. Miałam trzydzieści pocisków w magazynku karabinu i trzy zapasowe zasobniki w kieszeniach. Hełm wydawał mi się zbyt ciężki i czułam zbierające się na czole krople potu.

– Proszę się nie martwić. – Serducho pochylił się ku mnie. – Będzie dobrze. Proszę obserwować mnie, patrzeć, co robią inni, wykonywać rozkazy i wyjdzie pani z tego cała.

Wyciągnęłam telefon i napisałam wiadomość grupową do siostr, Berna i babci Fridy:

Kocham Was bardzo.

Tyle. Chciałabym powiedzieć im dużo więcej, ale to musiało wystarczyć. Wyłączyłam telefon.

Transporter stanął. Mama podniosła się i skinęła na Leona. Wypiął się z pasów i ruszył w stronę bocznych drzwi. Ogarnęło mnie przerażające przecucie, że już nigdy ich nie zobaczę.

Mama wbiła w sierżanta swój snajperski wzrok, chłodny i nieobecny.

– Dopilnuj, żeby moja córka przeżyła.

– Zadbam o nią – obiecał.

– Kocham cię, mamó – powiedziałam. – Przepraszam.

– Ja też cię kocham. Oddychaj, dziecko.

Mama wyszła, trzasnęły drzwi i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Zadzwoił telefon Rogana. Odebrał i przełączył na głośnik.

– Dzień dobry, Liamie, miło, że dzwonisz.

– Tak jak mówiłem wcześniej, nie wiem, gdzie jest Vincent. Sugeruję więc, żebyście zawrócili do domu.

– Wolę porozmawiać z tobą osobiście.

– Nie ma mowy.

– Nalegam.

– To przestań. W rezydencji jest czworo Magnusów. Czy życie twoich ludzi tak niewiele dla ciebie znaczy? Wydaje im się pewnie, że wpadną tu i skopią nam tyłki, ale

obaj wiemy, że to nie będzie tak wyglądało. Jeśli ci na nich zależy, zabierz ich z powrotem do domu.

– Wzrusza mnie twoja troska o moich ludzi. Jeśli chcesz uniknąć rozlewu krwi, otwórz bramę i porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie.

– Zapomnij. Nie wejdiesz do mojego domu i z nikim nie będziesz rozmawiał. Jeśli myślisz, że jak rzucisz nam tu swoje mięso armatnie, to się przestraszymy, grubo się mylisz. Nikt się tu ciebie nie boi, Rogan. Jeśli będziesz się upierał przy tym idiotycznym pomysłu, zmieciemy was z powierzchni ziemi.

– O, to poważna obietnica – uśmiechnął się Rogan.

– Rób jak chcesz, to twój pogrzeb.

Liam Harcourt rozłączył się.

Rogan schował telefon do kieszeni na piersi i uściśnił moją rękę.

– Trzymaj się.

Wóz skręcił ostro, aż przesunęły mi się wnętrzności. Tylna kłapa transportera opadła, tworząc rampę. Rogan już był w ruchu, biegł z przodu, jego widok błyskawicznie przesłoniły mi postaci w mundurach. Sierżant pochylił się ku mnie.

– Za mną! Ruszaj się!

Złapałam karabin i wybiegłam z wozu.

...

Oślepiło mnie słońce. Kule śmigwały wokół nas jak rozdrażnione pszczoły, zasypując transporter gradem metalicznych uderzeń. Przestrzeń wokół nas pulsowała błękitnym blaskiem tarcz podtrzymywanych przez dwie egidy.

– Naprzód! – ryknął sierżant Serducho.

Pognałam za żołnierzami, którzy rzucili się do blokad ciężkiej płyty umocowanej z boku pojazdu. Zaczepy szczęknęły i metalowa tafla opadła, tworząc platformę przytwierdzoną do burty wozu.

– Do góry!

Wskoczyłam na platformę, wciskając się pomiędzy żołnierzy. Podnośniki zapiszczały, windując nas w górę. Żołnierze odczepili drugą część płyty od wozu, zamki szczęknęły i pancerna osłona podjechała do góry. Serducho szarpnął za dźwignię, otwierając znajdującą się w osłonie wąską kłapę, i zabezpieczył uchwyt, żeby nie opadła. Na wysokości oczu miałam teraz szczelinę strzelniczą, szeroką na pół metra i wysoką na jakieś trzydzieści centymetrów. Jej dolna krawędź znajdowała się na równi z dachem wozu, tak że mogłam o niego wygodnie oprzeć karabin.

Przed nami rozciągała się zalana słońcem połać betonowego podjazdu. Po obu stronach wznosił się mur, a jakieś dwieście metrów za nim nad krawędzią wystawał drugi. Otwór w murze zagradzała masywna, czarna brama, jakby wyjęta z jakiejś potężnej twierdzy.

– No, chłopcy i dziewczęta, gotować broń – wykrzykiwał sierżant obok mnie. – Odbezpieczyć.

Przestawiłam przełącznik w tryb ciągłego ognia.

Obok rozbrzmiała kolejna seria rozkazów, potwierdzanych okrzykami.

– Roger, góra. Rodriguez, odległość od celu?

– Dwieście jedenaście metrów! – odkrzyknął mężczyzna.

– Ogień na komendę!

Serducho pochylił się ku mnie.

– Działamy w dwuosobowych zespołach. Ty jesteś ze mną. Kiedy powiem, strzelasz. Jak skończy ci się amunicja, mówisz „pusto” i cofasz się dwa kroki. Jeśli broń się zatnie, mówisz „zacięta” i cofasz się dwa kroki. Zrozumiano?

– Tak. – Serce biło mi za szybko.

Masywne wrota rozchyliły się, ukazując w pęknięciu pośrodku ciemność absolutną.

– Na komendę – powtórzył Serducho.

Ręce mi drżały. Nabrałam powietrza głęboko, aż do brzucha, przytrzymałam i powoli wypuściłam, koncentrując się bez reszty na wydechu.

Szczelina poszerzyła się, a w czerni coś się zakotłowało.

Wdech... wydech. Wdech... wydech. Nie działało.

Skrzydła rozwarły się i na słońce wychynęła patykowata noga, szara, plamista, barwy starego betonu.

– Spokojnie – powiedział Serducho, a jego głos zabrzmiał mi echem w hełmie.

Istota ukazała się w pełnej okazałości. Cztery patykowate odnóży, zgięte guzłowatymi kolanami w górę, podtrzymywały korpus pochylony z tyłu ku dołowi, jak u konika polnego. Wiszące pomiędzy nimi niekształtne cielsko przypominało wór mięsa. Stwór nie miał wyodrębnionej głowy, oczu ani nosa, jedynie paszczę, okrągły otwór wyposażony w pierścienie stożkowatych zębów. Był to potwór stworzony do pożerania.

Istota zatoczyła się naprzód, a za nią jedna po drugiej wysypywały się kolejne.

Dzieliło nas dwieście metrów, więc monstra musiały być wielkości mniej więcej... niewielkich samochodów.

Pierwszy stwór znieruchomiał, a z nasady przednich odnóży wystrzeliły dwa pierzaste bicze, jakby czułki. Skierowały się w naszą stronę, a za nimi wystrzelił cały las wici. Och Boże.

– Spokojnie – napominał Serducho.

Stwory ruszyły na nas.

Runęły bezładną masą w wirze odnóży, rozwierając okrągłe paszcze.

– Odległość! – krzyknął sierżant.

– Dwieście metrów! – rozległ się męski głos gdzieś po lewej ode mnie.

Zaczęły mi się pocić dłonie.

– Sto dziewięćdziesiąt!

Zaschło mi w ustach. Czekanie było torturą.

– Sto osiemdziesiąt!

Obejrzałam się przez ramię. Pod osłoną błękitnej tarczy utrzymywanej przez Melosę Rogan kreślił kredą zawiły wzór kręgu.

– Patrz przed siebie – warknął Serducho.

Błyskawicznie odwróciłam się w stronę hordy. Uderzyła mnie w nos fala ozonowego smrodu, podobnego do tego w domu Ryndy.

– Sto siedemdziesiąt!

Wzięłam na cel jedno z pędzących na nas strazydeł. Strzał w workowate cielsko pewnie na nic się zda. Lepszym celem są nogi. Przystawiłam karabin na tryb serii trzech strzałów.

– Sto sześćdziesiąt!

Zaczęłam oddychać wolniej. Skupiłam się na odnóżach.

– Sto pięćdziesiąt!

– Ognia! – ryknął sierżant.

Pociągnęłam za spust. Pierwsza seria poleciała za szeroko. Wymierzyłam ponownie i strzeliłam. Lewa noga istoty złamała się z chrupnięciem. Namierzyłam drugą i pociągnęłam za spust. Stwór gruchnął na ziemię.

Jego miejsce zajął inny. Wymierzyłam, strzeliłam. Pieprzyć Harcourtów, ich potwory i groźby Vincenta. Byłam córką swojej matki i nie pudłowałam.

Przed nami piętrzyły się cielska. Z prawej poleciał w nie granat. Leżące kreatury uniosły się w powietrze, zasypując okolicę szczątkami i żółtą mazią.

Przełączyłam w tryb ognia ciągłego. Teraz znajdowałam się w zasięgu rażenia, dokładność przestała być tak istotna, a tak było szybciej.

Karabin szczęknął głucho.

– Pusto! – zawołałam, cofając się dwa kroki.

Serducho zajął moje miejsce, podając mi nowy magazynek. Wypięłam pusty i dobiłam pełny. Pojawiła się przy mnie kobieta, wzięła ode mnie zużyty zasobnik i wręczyła nowy.

– Pusto! – ogłosił sierżant i cofnął się.

Wymijając go, podałam mu pełny magazynek.

Monstra nie przestawały nadciągać, wspinając się po truchłach towarzyszy. Dwa ciężkie wielkokalibrowe karabiny maszynowe zainstalowane na transporterach przebudziły się do życia, zasypując hordę gradem przeciwpancernych naboju i siejąc śmierć w potwornych szeregach.

Z gardzieli wrót wylewały się kolejne strumienie istot: żółte, przypominające chude koty z wilczymi łbami, karmazynowe gadopodobne stwory, które biegały szybko na mocarnych zadnich łapach, sześcionogie makabry pokryte wijącymi się jak robale mackami, o tułowiach wyprostowanych na podobieństwo piekielnej wersji centaurów... Pędziły na nas nieprzerwaną rzeką, fala za falą. Czas przestał istnieć. Odmierzały go tylko okrzyki „pusto!” pomiędzy ciągłym terkotem serii.

Odległość pomiędzy pierwszą linią potworów i transporterami kurczyła się szybko. Dzieliło nas od nich najwyżej dziesięć metrów.

Opróżniłam ostatni magazynek, strzelając do mackowatych okropności.

– Pusto! – Odstąpiłam do tyłu, wypięłam zasobnik...

Chwyciłam pełny od gońca, załadowałam...

Wielki niebieski kot, taki jak Zeus, dał susa na wóz i zaatakował. Serducho wystrzelił wprost w niego cały magazynek. Kot z rykiem staranował naszą osłonę. Przykucnął i wsadził łapska przez szczelinę, usiłując chlasnąć sierżanta pazurami.

Rzuciłam się naprzód, wypchnęłam karabin przez otwór i skierowawszy lufę prawie pionowo, wpakowałam całą serię w gardło bestii. Zalała mnie krew. Wielki stwór padł, a światło z wolna zgasało w jego pięknych ślepiach.

– Pusto! – krzyknęliśmy równocześnie z sierżantem.

Goniec nie przybiegł. Wyciągnęłam zasobnik z kieszeni. Serducho zrobił to samo.

Stworzenia wdrapywały się na transporter, warcząc, drapiąc, szorując pazurami o metal, ślizgając się we krwi. Strzelaliśmy na oślep.

Gdzieś z prawej rozległ się wrzask kobiety.

Lśniaca macka wepchnęła się przez szczelinę strzelniczą i owinęła wokół ramienia Serducha. Sierżant wyszarpnął nóż i przeciął ją na pół.

Ostatni magazynek. Potwory zdobywały przewagę.

Poczułam za plecami magię, sunęła w naszą stronę z siłą tsunami. Transporter poruszył się pod moimi stopami. Zachwiałam się i uchwyciłam osłony. Ciężkie, opancerzone wozy rozsunęły się niczym skrzydła otwierającej się bramy.

Odwróciłam się. Rogan stał pośrodku najbardziej skomplikowanego kręgu, jaki w życiu widziałam. Kredowe linie jaśniały bielą.

Horda potworów, straciwszy zainteresowanie wozami, rzuciła się falą ku niemu i rozbiła o krawędź kręgu. Rogan nakreślił zakłęcie wyższego poziomu i wtoczył w nie tak niewyobrażalną ilość mocy, że zewnętrzne granice przestały istnieć w naszym świecie.

Brezent zerwał się ze skrzyni ciężarówki i odleciał na bok, odsłaniając trzy długie metalowe cylindry. Każdy z nich mierzył około dziesięciu metrów i był dwukrotnie szerszy od słupa telefonicznego. Rogan stanął w pozycji maga – dłonie do góry, łokcie zgięte. Cylindry uniosły się, stanęły pionowo i obróciły wokół własnej osi. Na powierzchni pojawiły się dziesiątki ostrzy. Walce ustawiły się poziomo, dwa na spodzie, jeden na nich, i obracając się, popłynęły w stronę bestii. W powietrze zaczęły wznosić kończyny i ochłapy ciała.

Młyn.

Ostrza cięły wszystko, na co trafiły na swojej drodze, mieląc wroga. Krew zalewała beton, zbierając się w kałuże pod leżącymi, rozszarpanymi ciałami. Powietrze wypełnił odór juchy i ozonu.

Kimś szarpnęły torsje. Oszołomiona, nawet nie czułam mdłości. Wpatrywałam się w masakrę oniemiała. Obraz był tak intensywny, tak żywy, że nie dało się od niego odciąć.

Stwory przestały napływać. W mrocznej przestrzeni przed wrotami parę metrów nad ziemią uformował się skrzep magii. Czarny, przesywany oslepiającymi błyskawicami gruzel zaczął się rozrastać, pęcznieć. Coś w środku rozpychało się, torując sobie drogę do naszego świata.

Ostrza zmioły resztki armii potworów i zawisły w pobliżu czarnego bąbla.

Silny impuls magii rozszedł się falą, uderzając mnie w pierś. Serce przestało mi bić. Na ułamek sekundy moje płuca stężały. Zatoczyłam się w tył i udało mi się gwałtownie wciągnąć haust powietrza.

Ciemność rozdarła się, wypluwając z siebie gigantyczną łapę, i wielka stopa lupnęła w beton. Transportery zadrżały.

Za nią pojawiła się druga masywna, czerwono-fioletowa łapa o chropawej powierzchni, a szpony, każdy długości samochodu, wbiły się w chodnik.

Mój umysł odmówił zaakceptowania faktu, że coś tak wielkiego może w ogóle żyć.

W końcu bestia wyłoniła się w pełnej okazałości. Stała przed bramą na czterech łapach rozstawionych szeroko jak u szarżującego warana. Fioletową skórę pokrywały grube kolce, łącząc się na obrzeży barkowej w kostne płyty. Głowa przypominała leb ni to żółwia, ni to jaszczurki, ale paszcza była pełna ostrych zębów. Stwór wbijał w nas koszmarnie, białe ślepie.

Najeżone ostrzami wały ruszyły w stronę giganta i starły się z twardym bokiem. Usłyszałam odgłos szorowania i chrzęst, ale bestia machnęła łapą, odtrącając machinę śmierci. Gargantuiczny stwór uniósł łapę i postąpił krok w naszą stronę.

Łup. Transporter się zatrząsł.

Łup. Kolejny krok.

Ostrza zbliżyły się tym razem do brzucha potwora, lecz nie wyrządziły mu krzywdy. Bestia rozwarła paszczę i zaryczała przeciągle. Uderzyła w nas fala

dźwiękowa. Gdyby nie hełm, zakryłabym uszy dłońmi.

Łup.

Nie mieliśmy gdzie się skryć. Nawet opancerzone pojazdy nie byłyby w stanie go powstrzymać. Wystarczyłoby nadeptanie, żeby zmienić je w metalowe naleśniki. Wokół teren ginął pod warstwą krwawych trucheł, a za sobą mieliśmy mur.

– Strzelać dowolnie! – odezwał się wyraźny głos sierżanta w moim hełmie. – Wszystkim, co macie! Rozwalcie go!

Łup.

– Odwołuję rozkaz – usłyszałam tym razem głos Rogana.

Jeden z wałów grzmotnął na ziemię, a pozostałe dwa uniosły się, wirując tak szybko, że ostrza zlewały się w metaliczne halo. Cylindry wystrzeliły naprzód, wbijając się w oczodoły potwora i wwiercając się w mózg.

Bestia ryknęła.

Stojący w kręgu Rogan drgnął, jakby podnosił jakiś wielki ciężar. Blask linii zaczął przygasać – moc była na wyczerpaniu.

Walce wbiły się głębiej.

Rogan stęknął z wysiłku.

Obracające się cylindry zniknęły w czaszce stwora.

Nie wystarczyło. Bestia nadal się poruszała. Nadal...

Wreszcie kolos zatrząsł się, odchylił łeb do tyłu, zrobił jeden chwiejny krok i runął na ziemię. Beton popękał pod ciężarem cielska na wielkie kawałki jak lodowa pokrywa na jeziorze.

Wypuściłam powietrze z płuc. Nogi ugięły się pode mną i klapnęłam na platformę.

Serducho kucnął i poklepał mnie po ramieniu.

– Spisałaś się – pochwalił mnie.

Uświadomiłam sobie, że coś spływa mi po policzkach. Dotknęłam twarzy i spojrzałam na palce. Łzy zmieszane z krwią potworów.

– Spójrz – szepnęłam, wskazując krwawe pole bitwy. – To straszne. Tyle istnień, tyle śmierci. I po co to wszystko?

– Tak wygląda wojna Rodów – powiedział Serducho i znów poklepał mnie po ramieniu.

...

Zdjęłam hełm. Ktoś podał mi mokry ręcznik, żebym otarła twarz z krwi. Rivera pojawił się przy mnie nagle, jak za sprawą magii. Oddałam mu karabin. Bitwa się skończyła.

Wyjęłam telefon i trzęsącymi się palcami włączyłam przycisk. Miałam dwie wiadomości od sióstr, w których domagały się wyjaśnień, jedną od babci, która pytała o moje samopoczucie, i uśmiechniętą buźkę od Berna.

Zadzwoiłam do mamy. Odebrała natychmiast.

– Mamo?

– Jesteśmy cali, a ty?

– Też. – Omal się nie rozplakałam.

– To dobrze – powiedziała i rozłączyła się.

Rogan wyszedł z kręgu wyraźnie zmęczony. Szedł, jakby bolało go całe ciało. Patrzył na mnie. Ruszyłam w jego stronę. Spotkaliśmy się w połowie drogi pośród jatki.

Przyciągnął mnie do siebie mocno, objął i pocałował w czubek głowy.

Razem poszliśmy w stronę bramy. Ludzie Rogana uformowali wokół nas kordon. Weszliśmy do ponurego budynku. Wnętrze przypominało wielki hangar o wzmocnionych stalą ścianach i betonowej podłodze. Był całkiem pusty, unosił się w nim smród ozonu, a jedynymi śladami po przebywającej tu rzeszy istot były kłęby dziwnego futra, kilka oderwanych macek i kałuże moczu. Na końcu po lewej stronie znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiego korytarza, również w stylu hangarowym, którym dostaliśmy się do kolejnych drzwi.

To, co ujrzałam za nimi, stanowiło taki kontrast, że zaskoczenie na moment odebrało mi mowę. Na pięknej podłodze z miodowego drewna leżał gruby perski dywan w czerwono-czarne wzory, a na wysokich ścianach wisiały obrazy. Jakbym znalazła się nagle w jakimś pałacu.

Rogan dał znak towarzyszącym nam żołnierzom i większość odłączyła się, żeby stanąć na warcie przy wejściu lub zabezpieczyć inne drzwi. Przy nas zostali tylko Rivera i Serducho.

Weszliśmy do dużego holu. Otwarte szeroko drzwi prowadziły do dużego pokoju. Tutaj elegancką podłogę z jasnego drewna również okrywał miękki, kosztowny dywan, ten jednak w spokojnych barwach bieli, beżu i brązów, przetykany złotą nicią. Przy stoliku kawowym ustawiono niezwykle elegancki, wyszukany zestaw wypoczynkowy. Ramy z pięknego, giętego drewna wypełniały ciemnoszare, lśniące poduchy. Jeśli Król Słońce budowałby Wersal w dwudziestym pierwszym wieku, z pewnością uświetniłby jego wnętrza takimi właśnie meblami.

Wokół stolika siedziały cztery osoby. Zanurzony w wygodnym fotelu mężczyzna był przygarbiony i trzymał chusteczkę przy nosie. Owen Harcourt. Siedząca obok kobieta po pięćdziesiątce o mahoniowych włosach, szczupła, w błękitnym garniturze, poklepywała go łagodnie po ramieniu. Żona Harcourta, Ella. Druga kobieta, mniej więcej w moim wieku, o takich samych włosach jak u matki, siedziała na jednej z kanap pochylona do przodu, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Alyssa. Najmłodszy z tej czwórki, Liam, który dzwonił wcześniej do Rogana, pobladał ciemny blondyn, przypominał kolegów Bernarda, którzy wpadali do nas, kiedy skończyły się im pieniądze i potrzebowali domowego posiłku.

Na nasz widok zerwał się z kanapy i wbił oczy w Rogana.

– Ty draniu!

– Siadaj! – warknął Owen.

– Ale, ojciec...

– Siadaj. Przeglaliśmy. Jesteś przyszłością Rodu, nie dawaj im powodu, żeby cię zabili.

Liam klapnął z powrotem na kanapę, zaciskając mocno usta.

Ella podniosła na nas wzrok.

– Oddaliliśmy ludzi, żeby uniknąć dalszego rozlewu krwi. Wygraliście. Ale Vincent to nasz syn. Niczego z nas nie wyciągniecie.

– Napadł na Ryndę Sherwood w jej własnym domu – powiedział Rogan. – Zabił strażników, ciężko ranił Edwarda Sherwooda, a potem torturował go na oczach sześciolatki i czterolatka. Był gotów zabić te dzieci.

– Tego nie wiesz – warknęła Alyssa.

– Ale ja wiem. Byłam przy tym.

Nawet nie zaszczyciła mnie spojrzeniem. Najwyraźniej tak nieistotna osoba jak ja nie zasługiwała na jej uwagę.

– No dalej, bierz się do torturowania nas. – Ella zaplotła ramiona na piersi. – Jesteśmy gotowi.

Rogan westchnął, wyjął z kieszeni kawałek kredy i podał mi go. Piękny perski dywan odsunął się na bok, a ja kucnęłam i narysowałam prosty krąg amplifikacyjny. Obserwowali mnie, kiedy wchodziłam do środka. Skupiłam się, chcąc najpierw ocenić ich siłę.

Omiotła ich moja magia. Stopiłam się z nią, żeby ją odpowiednio dostroić. Już raz to robiłam, kiedy z umysłu Baranovskiego, innego Magnusa, chciałam wydobyć informacje na temat śmierci żony Corneliusa. Magia przepływała, migocząc w moim umyśle. No dalej...

Udało się. Magia wskoczyła na odpowiednie miejsce z satysfakcjonującym, niesłyszalnym pyknięciem. Mentalnym zmysłem wychyciłam całą czwórkę. Jarzyli się bladym, prawie srebrzystym blaskiem, w którego centrum widniały ciemne plamy ich umysłów.

Każde z nich miało niezwykle silną wolę. Byli zmęczeni, lecz osłony myśli podtrzymywali mocno. Które z nich najprawdopodobniej będzie wiedziało coś o Vincencie? Pewnie ojciec. W końcu był głową Rodu. Z pewnością był zorientowany w poczynaniach syna.

Otoczyłam magią Owena, pozwalając jej wnikać w niego. Zesztywniał. Nieźle. Jego umysł otaczał lity mur. Wiedziałam, że jeśli spróbuję sforsować go brutalnie, będzie się opierał na każdym kroku, a nie wiedziałam, w jakim stanie wyszedłby z tych zmagania.

– Najlepiej jeszcze dzisiaj! – burknął Liam.

– Cicho bądź – ofuknęłam go. – Staram się nie zrobić ci z ojca roślinki.

Harcourtowie łypnęli na mnie złowrogo.

– Co to za idiotka? – skrzywiła się Alyssa.

Umysł Owena przypominał granitowy monolit. Ale granit daje się skruszyć. Wystarczy uderzyć w odpowiedni sposób i pęka. Musiałam znaleźć ten sposób.

Uderzyć jak morskie fale uderzają o skały.

Poczułam potrzebę, żeby narysować w moim kręgu symbol fali. Nie widziałam niczego takiego w książkach, wiedziałam jednak, że właśnie tego potrzebuję. Poddałam się temu, skoro moja magia najwyraźniej tego wymagała.

Przykucnęłam i pozwoliłam jej pokierować moją dłonią. Wiodłam ręką, a biały ślad kredy układał się w doskonałą falistą linię po wewnętrznej krawędzi okręgu.

Ella Harcourt zrobiła gwałtowny wdech.

Magia wpłynęła we mnie raptownie silnym, czystym strumieniem, jak z górskiego źródła.

– GDZIE JEST VINCENT? – Głos, który wydobył się z moich ust, był nieludzki.

Liam patrzył na mnie ze zgrozą. Owen opierał mi się, cisnęłam więc w mury obronne jego umysłu pierwszą falę. Rozbiła się o nie, naruszając ich strukturę.

– Tremaine'ówna! – Ella zerwała się na równe nogi, a na jej twarzy strach mieszał się z obrzydzeniem. – Sprowadziłeś tu sukę Tremaine'ów? Czyś ty rozum postradał? To za wiele nawet jak na ciebie!

– O Boże – wyszeptała Alyssa, zasłaniając dłonią usta. – O Boże.

Liam pobladł jak ściana.

– Kocham tatę. – Alyssa nerwowo przełknęła ślinę i wyrzucała z siebie pospieszny potok słów. – Mam tylko jego. Proszę, błagam, nie odbieraj go nam. Proszę! – Odwróciła się gwałtownie. – Mam! Zrób coś!

– Powiemy ci wszystko – zapewniła Ella Rogana. – Tylko zabierz to wynaturzenie od mojego męża.

– Co mam zrobić? – zapytał mnie Rogan.

– Wynaturzenie? – Nie mogłam wyjść ze zdumienia. – Rzuciliście właśnie setki stworzeń z innego świata na bezsensowną rzeź, żeby chronić swojego synalka socjopatę, który wczoraj zmusił swojego potwora do zjadania żywcem człowieka. Na własne oczy widziałam, jak ten stwór grzebał w trzewiach Edwarda Sherwoda przy dwójce malutkich dzieci, które były zbyt tym przerażone, żeby nawet płakać. Potem wasz Vincent zadzwonił do mnie, obiecując, że zabije mi matkę, młodsze siostry, kuzynów i babcię. I to ja jestem wynaturzeniem? Chyba wszyscy jesteście nienormalni. Macie w ogóle w sobie za grosz człowieczeństwa?

Owen poruszył się w uścisku mojej magii i przemówił z ogromnym wysiłkiem:

– Ród... Harcourtów... nie... ma... złych... zamiarów... wobec twojej... rodziny.

Liam ukrył twarz w dłoniach. Trzęsły mu się ramiona.

– Puść go – prosiła Alyssa. – Błagam, puść go.

Ella Harcourt zrobiła krok w tył.

– Uwolnij go, proszę.

Wycofałam magię. Owen zapadł się w fotelu, ciężko dysząc. Bliscy przypadli do niego, otaczając, jakby chcieli chronić go przede mną. Zrobiło mi się niedobrze.

– Gdzie jest Vincent? – zapytał Rogan.

– Nie wiemy – odpowiedziała Ella.

– To prawda – potwierdziłam. – Vincent uprowadził męża Ryndy – zwróciłam się do Harcourtów. – Czego od niego chce?

– Nie wiemy – potrząsnął głową Owen.

Cholera.

– Nie zrobił tego sam – podjął Rogan. – Vincent nie byłby w stanie zaplanować tak skomplikowanej operacji. Woli brutalną siłę. Ktoś nim kieruje. Ktoś na tyle potężny, żeby utrzymać go w ryzach.

– Też tak sądzę – zgodził się Owen.

– A więc wiecie, kto to jest?

Głowa Rogu Harcourtów wyprostował się dumnie w fotelu.

– Uważasz, że gdybym to wiedział, nie podjąłbym odpowiednich kroków? Nie jesteśmy pacholkami innych Rodów, nie słuchamy niczyich rozkazów. Myślisz, że pozwoliłbym mojemu sukcesorowi działać na zlecenie innego Magnusa?

– To Aleksander Sturm – odezwał się Liam.

Oczy wszystkich zwróciły się na najmłodszą latorośl Rodu.

– Jest ze Sturmem. Sturm posiada zbiór średniowiecznej broni białej, w tym miecz kategorii trzynastej w typologii Oakeshotta, Wielki Miecz Wojenny. To poprzednik szkockiego claymore'a. Ten, który należy do Sturma, uważa się za miecz Williama Wallace'a. Vincent wysłał mi jego zdjęcie dwa dni temu.

Owen i Rogan zakłękli zgodnie.



Znów siedziałam w transporterze. Na zewnątrz żołnierze Rogana ładowali cylindry młyna na ciężarówkę. Potrzeba było dwunastu ludzi, żeby dźwignąć jeden taki walec. Rogan został jeszcze u Harcourtów. Najwyraźniej musieli dokonać jakichś formalności. Braliśmy udział w krwawym konflikcie, jatce, której jak widać, należało teraz nadać formalną oprawę. Ta część rodowej polityki wciąż budziła moje niedowierzanie. Nie mogłam zapomnieć, jak Rogan i Cornelius ustalali, komu przypadnie prawo zabicia zabójcy Nari, a potem spisali wszystkie rozstrzygnięcia w kontrakcie.

W transporterze śmierdziało jak w rzeźni, wystarczyło wychylić się, żeby zobaczyć zasłane truchłami pole.

W końcu Rogan wskoczył do wozu, usiadł obok mnie, oparł głowę o burte i zamknął oczy. Przez chwilę milczeliśmy.

– Masz wszystkie potrzebne dokumenty? – zapytałam.

Przytaknął.

– Podpisali zobowiązanie do powstrzymania się od działań odwetowych. Oficjalnie uznali, że wina leżała po stronie ich Rodu, i zgodzili się zamknąć sprawę.

– I będę się tego trzymali?

– Tak. W wypadku złamania ugody Zgromadzenie nałożyłoby na nich surowe sankcje.

– Uhm – mruknęłam i uciekłam spojrzeniem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie.

– Co się dzieje?

– Jak myślisz, oni stworzyli te potwory tak z niczego czy ściągnęli je z jakiegoś istniejącego miejsca, innego świata?

– Tego nikt nie wie.

– Patrz, Connor, tyle zabitych istot, i to wszystko za nic.

Wziął mnie za rękę.

– Czy teraz ludzie w ten sposób będą mnie postrzegali? Jako wynaturzenie?

– Tak postrzegają twoją babkę. Jakies dwadzieścia lat temu Victoria wpadła w szal.

To działo się, jeszcze zanim zostałem głową Rodu, ale mama mi opowiadała, pamięta to.

Mama? Popatrzyłam na niego pytająco.

– No co?

– Twoja matka? Myślałam, że nie utrzymujecie kontaktu.

– Nie, dlaczego? – Zmarszczył brwi. – Rozmawiam z nią przynajmniej raz w tygodniu.

– To czemu... czemu nie jest w to wszystko zaangażowana?

– Bo sobie tego nie życzy. – Wzruszył ramionami. – Matka przeżyła więcej zamachów niż kilku polityków łącznie, długo angażowała się w politykę rodową, a po śmierci ojca, kiedy przejąłem stery interesów, uznała, że ma dość. I trudno się jej dziwić.

– To prawda – przyznałam, tocząc spojrzeniem po polu zasłanym trupami.

– Mama pamięta ten czas, kiedy twoja babka trzęsła światem Rodów. Wiele z nich wtedy ucierpiało. Magnusowie znikali nagle, a potem równie nagle pojawiali się bełkoczący, niespełna rozumu, z usmażonymi mózгами. Ludzi porywano z ulicy, doprowadzano przed oblicze Victorii, a ona ich przesłuchiwała. Ci, którzy przeżyli w jakim takim stanie, nazywali to gwałtem umysłu. Długo do siebie po czymś takim wracali. Niektórzy nigdy nie odzyskali zdrowych zmysłów. Mama uważa, że Victoria poszła na układ z federalnymi, bo za długo pozwalali jej to bezkarnie robić. Plotki niosły, że czegoś szukała, ale nikt, kto zdołał wyjść cało z jej szponów, nie był w stanie nic na ten temat powiedzieć.

– Pewnie szukała mojego ojca. – Czas by się zgadzał.

– Też tak sądzę. – Rogan przeciągnął się i skrzywił, kiedy coś strzeliło mu w piersi. – Pamiętaj, Nevada, ty nie jesteś nią.

– Ale jestem taka jak ona. Widziałeś, jak na mnie patrzyli?

– Tak. Bali się ciebie.

– Byli przerażeni. Przerażeni i obrzydzeni.

Uśmiechnął się smoczym uśmiechem, odsłaniając zęby.

– No ja myślę.

Nie wydawał się tym zmartwiony. A ja przecież budziłam grozę w okrutnych Harcourtach. Byłam potworem, któremu gotowi byli wyznać swoje najmroczniejsze tajemnice, bylebym tylko trzymała się z daleka od ich umysłów.

Hmm...

– Czy to się rozniesie?

– Najprawdopodobniej tak. Twoje nazwisko znajduje się na wniosku kazurowym. – Wyglądał na niezwykle z siebie zadowolonego.

Rozniesie się. Do wieczora możni i potężni Houston dowiedzą się, że korzenie Rodu Baylorów wywodzą się od Victorii Tremaine. To znacznie mniejszy pulę Rodów ostrzących sobie na nas zęby po upływie okresu ochronnego.

– Będzie wściekła. Przecież nie wszyscy wiedzą, że jesteśmy z nią skonfliktowani.

– Tak, będzie wściekła – zgodził się Rogan. – Ale będzie też dumna. Wkroczyłaś do tego świata i nie kiwnąwszy palcem, wygrałaś wojnę z czterema Magnusami. Twojej babce się to spodoba.

Roganowi najwyraźniej też się to podobało.

Przysunęłam się do niego.

– A ty? Nie boisz się sypiać z wynaturzeniem?

Uśmiechnął się pogodnie i odgarnął mi kosmyk włosów z policzka.

– Tam w chacie tańczyłaś na śniegu, a ja zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że nie topnieje pod twoimi stopami. Jesteś jak wiosna, Nevado. Moja wiosna.

Buciorzy Rivery załomotały na rampie.

– Gotowi do powrotu, majorze – zameldował.

– No to jedziemy – powiedział Rogan.

– Tak jest.

Po chwili dobiegło do nas jego gromkie pokrzykiwanie: „Ruszać się! Zwijamy się!”.

Wyjęłam z kieszeni telefon. Bateria padła. Nie naładowałam go rano. No to tyle ze zbierania informacji.

– Co to za Aleksander Sturm? – zapytałam, kiedy do transportera zaczęli wchodzić żołnierze.

– Magnus.

No co ty nie powiesz?

– Jaką magią dysponuje?

– Posiada podwójny talent w stopniu Magnusa, jest fulgur- i aerokineta. Ma potwierdzoną rangę w obu dziedzinach.

Jasny gwint. Sturm władał piorunami i wiatrem.

– Fajne nazwisko.

– Jego pradziadek oficjalnie je zmienił, kiedy zakładał Ród.

Wielki silnik zamruczał. Ruszyliśmy.

– Silny jest?

Twarz Rogana ściągnęła się w maskę Magnusa, neutralną i spokojną.

– Kiedy miałem dwa lata, ojciec miał spotkanie z innymi głowami Rodów, żeby omówić strategię przepchnięcia w Zgromadzeniu uchwały o podjęciu reakcji na wydarzenia w Bośni. Spotkali się w bunkrze, betonowej budowli głęboko pod ziemią, bo paru z nich miało hopla na punkcie bezpieczeństwa.

– A to nowość...

– Gerald Sturm wściekł się, że nie został zaproszony. Wywołał tornado o sile F4 i przez osiemnaście minut utrzymywał je nad bunkrem. Częściowo go odkopał, zerwał dach i fragmenty ścian, a gruz rzucił ponad trzysta metrów dalej. Maxine Abner została wyszana przez szczelinę, ale przeżyła, bo była skoczkiem i przeniosła się w bezpieczne miejsce. Skończyło się to dla niej tylko połamaniem nóg.

– I co?

– W końcu Gerald wyprztykał się z mocy, a kiedy tornado ucichło, musiał stanąć oko w oko z dziesięciorgiem wkurzonych Magnusów. Musiał zapłacić rekompensaty i publicznie ich przeprosić. Ojciec nigdy nie zapomniał, jak siedział w tym bunkrze, podczas gdy niebo zmieniło się w piekło. Jak zresztą żaden z obecnych tam Magnusów. Aleksander Sturm jest potężniejszy od ojca. – Oczywiście Rogana pociemniały. – Musimy wzmocnić obronę.

Transporter zatrzymał się, wsiedli mama i Leon. Mama nie straciła tego frapującego spokoju i pogody ducha, a Leon miał zamglone rozmarzeniem oczy.

Ostatnio w takim stanie widziałam go, kiedy wyprawiliśmy się do Disney World.

– Jak było? – zapytałam.

Kuzyn spojrział na mnie maślanymi oczyma i uśmiechnął się błogo.

– Bosko.

Mama przewróciła oczami.

Zadzwoił telefon Rogana. Odebrał.

– Wolniej, Rynda, nie rozumiem, co mówisz... W porządku. Włóż je do lodu. Jesteśmy w drodze.

Rozłączył się z ponurą miną.

– Przysłali ucho Briana.

...

Ucho dostarczono w woreczku na suwak zapakowanym w żółtą kopertę bąbelkową. Przesyłkę zaadresowano do Ryndy i do mnie i podrzucono pod budkę strażniczą przy Gessner. Rynda zostawiła ucho w woreczku. Ja również, tyle że przełożyłam go na białą kartkę, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Ucho należało do osoby rasy białej, zostało oddzielone jednym precyzyjnym cięciem, jakby skalpelem, ręką doświadczzonego chirurga. Zastanawiające. Coś mi się w tej całej sprawie nie zgadzało.

Siedzieliśmy na piętrze budynku sztabowego Rogana. W chwili przyjazdu wóz opadli poruszeni ludzie i Rogan oddalił się z nimi, zostawiając kwestię ucha na mojej głowie.

Rynda czekała na nas otoczona czułą opieką Pluskwy, który sam wyglądał na nieźle wystraszonego. Dobrze, że mieli na tyle przytomności umysłu, że zdobyli lodówkę i włożyli ucho do lodu.

– Nie wyjdziemy z tego cali, prawda? – zapytała Rynda głucho. – Już nigdy nic nie będzie takie samo.

– Wszystko się ułoży – pocieszyłam ją. – Czy Brian miał przekłute ucho? Może dawniej? Albo miał jakieś blizny, tatuaże, cokolwiek, dzięki czemu moglibyśmy potwierdzić, że to jego?

– Nie pytaj mnie proszę, czy to wygląda na ucho mojego męża – pisnęła Rynda.

– Jesteście zarejestrowani w Zwoju?

Zamrugała, zaskoczona pytaniem.

– Tak. A co?

– Zleć im badanie DNA próbki z ucha. Będziemy mogli rozstrzygnąć, czy należało do Briana.

– Po co wysyłaliby mi ucho kogoś obcego?

Pytanie za milion dolarów.

– Lubię wszystko dokładnie sprawdzić.

– Zadzwoń – Podniosła się. – Sprawdzę przy okazji, co u dzieci. Nic nie wiedzą. Proszę, nie mów im o tym.

– Oczywiście.

Odprowadziłam Ryndę spojrzeniem. Wydawała się taka krucha. Wyglądała, jakby w każdej chwili mogła upaść. Biedaczka.

Pochyliłam się nad uchem, przyglądając mu się w zadumie.

– Co w nim takiego ciekawego? – zapytał Pluskwa, podchodząc.
– Powiem ci, ale obiecaj, że będziesz trzymał język za zębami.
– Rzeczy, które trzymam razem z językiem za zębami, nie zmieściłyby się w tym pomieszczeniu. – Zatoczył ręką.

– Mówię poważnie.

– Słowo harcerza.

– Siadaj.

Usiadł na kanapie, a ja wzięłam ze stolika długopis.

– Załóżmy, że jesteś związany. Złóż ręce razem i tak trzymaj.

Splótł ręce z przodu.

– To nóż. – Pomachałam mu przed nosem długopisem. Jedną ręką chwyciłam go za głowę, a drugą udałam, że obcinam mu ucho. Szarpnęła się w bok. – Widzisz?

– Widzę, ale nie rozumiem.

Podniosłam torebkę i pokazałam mu ucho.

– Jest ucięte idealnie równo. Żadnych rozdarć, nierównych brzegów, zacięć. Musiałby trzymać głowę całkiem nieruchomo. Po co tyle zachodu z trzymaniem głowy, skoro można po prostu ciachnąć i po sprawie?

– Może go uspili?

– Po co? To botanomag, nie jest groźny. To zbędny wysiłek, tak jak trzymanie głowy. Tego Sturma nie znam, ale nie wierzę, że Vincent nie wykorzystał okazji, żeby zadać więźniowi ból. Podnieca go władza nad innym człowiekiem i jego strach. Poza tym usypianie to niepotrzebne ryzyko. Przecież porwany mógłby być uczulony na narkotyki i umrzeć.

Pluskwa zastanowił się nad moimi słowami.

– Jest coś jeszcze – dodałam.

– No? – zaciekawiał się.

– Spójrz na to ucho.

Wbił w nie wzrok i przez chwilę wpatrywał się intensywnie.

– Nic nie widzę.

– Ja też nie.

– Jezu, Nevada, przestań mnie dręczyć i powiedz, o co chodzi.

– No właśnie o to, że nie widać śladów krwi. Jest czyste. Odcinane ucho krwawi.

Mocno.

– Każda rana głowy mocno krwawi.

– No? I gdzie ta krew?

Gapił się na ucho w zadumie.

– Hmm... Może je umyli?

– Jasne, bo jak chcesz przerazić żonę uprowadzonego, żeby zapłaciła ci okup, to wysyłasz jej chirurgicznie oddzieloną, czyściusierną część ciała zamiast krwawego, poszarpanego ochłapu, no nie?

– No fakt. – Pluskwa aż zamrugał, zaskoczony. – To co to oznacza?

Mogło oznaczać jedno z dwojga: albo Brian nie żył, albo to nie było jego ucho.

– No? – ponaglił mnie.

– Idę do domu. Muszę nad tym pomyśleć. Znalazłeś coś na dyskach Ryndy?

– Nie, przejrzeliśmy je z Bernem wczoraj w nocy. Dzisiaj grzebie głębiej. Na razie nic nie mamy. Zdjęcia dzieci, informacje o grzybach, przepisy Ryndy... – Pluskwa aż zamachał rękami. – Słodkopierdząca idealna rodzinka aż do wyrzygania.

– Jeśli coś znajdziesz, zaraz daj mi znać.

– Och nie! Miałem to zatrzymać dla siebie, ale skoro tak ładnie prosisz, to chyba muszę cię poinformować. – Przewrócił oczami.

– Kiedyś ktoś cię przestraszy i tak ci zostanie – ostrzegłam go.

– Ha. Ha. Ha. Tylko na tyle cię stać?

– Mam za sobą ciężki dzień. Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, Abrahamie. Otworzył usta i zamknął je z kłapinięciem. Ha. Widzisz? Znam twoje prawdziwe imię.

– To cios poniżej pasa.

– A owszem.

– Jak się dowiedziałaś?

– Jeśli zapomniałeś, to wiesz, jestem prawdołowcą. Informacje, które zdobyłam, nie zmieściłyby się w tym pomieszczeniu – sparafrazowałam go.

Wsadziłam pojemnik z lodem i uchem pod pachę i ruszyłam na dół. Nareszcie wracałam do domu.

Teoretycznie sukces porwania, czyli uzyskanie okupu, uzależniony był od utrzymania ofiary przy życiu. W praktyce wiele rzeczy mogło pójść źle. Na przykład Vincent wkurzony po nieudanej próbie zastraszenia Ryndy mógł wpaść do kryjówki i zabić go w amoku. Albo rzeczywiście, próbowali uspić Briana, a on przy tym umarł. Albo Brian chciał się im wyrwać i przypadkiem zabił go przy próbie ucieczki. Ta ostatnia opcja wydawała się jednak mało prawdopodobna. Z zebranych informacji wynikało raczej, że Brian nie jest typem ryzykanta-uciekiniera. Ani ryzykanta w ogóle. Bardziej prawdopodobne, że zgodziłby się na każde żądanie porywaczy, załatwienie tego zrzucając na barki innych osób, tak jak spychał na brata prowadzenie interesu, a żonę do roli bufora problemów domowych. Brian wiódł sielankowe życie. Nie naraziłby się w żaden sposób. Poza tym porywacze byli zawodowcami, skoro zdołali w ciągu paru sekund zatrzymać jego samochód, zawinąć go i odjechać. Do tego tak skutecznie zniknęli z radaru, że nawet Pluskwa ich jeszcze nie namierzył. A zawodowcy nie pozbyliby się swojej karty przetargowej.

Jeśli ta przesyłka miałaby być odwetem za akcję z Harcourtami, to ucho byłoby w duży gorszym stanie.

Jeśli natomiast ucho w lodówce nie należało do Briana, to sytuacja wyglądała całkiem inaczej. Może zwyciężył rozsądek i Aleksander Sturm oraz Vincent Harcourt postanowili jednak nie okaleczać innego Magnusa, bądź co bądź głowy Rodu. Vincentowi pewnie sprawiłoby to przyjemność, ale bez przesady, bo ile satysfakcji można się nacerpać z obcięcia ucha takiemu Brianowi? Porwaliśmy nieszkodliwego grzybomaga z ulicy, spraliśmy go i ciachnęliśmy mu ucho. Jesteśmy totalnymi twardzielami, drżycie, narody. Co innego, gdyby wzięli na cel Rogana. Ale Brian? Zamach na niego mógłby co najwyżej wywołać drwiny ze strony innych Rodów.

Chcąc wstrząsnąć Ryndą, przysłaliby jej prawdziwe ucho Briana.

A tak... to oznaczało jedno i wcale mi się to nie podobało.

Wprowadziłam kod zamka cyfrowego, weszłam do magazynu, zamknęłam za sobą drzwi, obróciłam się i zmartwiałam.

Stałam oko w oko z Zeusem. Nidosłownie, bo wielki, masywny łeb miałam na wysokości piersi. Turkusowe ślepia przyglądały mi się z umiarkowanym zainteresowaniem. Cielisko blokowało prawie całą szerokość korytarza. Tuż przede mną stało gigantyczne tygrysyisko sferalne, o zębiskach wielkości noży stołowych i grzywie macek na karku.

Z przerażającą klarownością uświadomiłam sobie, że jestem skąpana we krwi zabitych bestii.

Nawet nie drgnęłam. Mogłam się cofnąć, wypaść na zewnątrz i zatrzasnąć za sobą drzwi, ale otwarcie ich zajęłoby mi sekundę, a to więcej niż wystarczająco dla Zeusa na reakcję.

– Jest bardzo przyjazny – zawołał Cornelius z sali konferencyjnej. – Chce się tylko przywitać.

– Corneliusie...

– Traktuj go po prostu jak pudła.

Co jest nie tak z moim życiem i jak to się stało, że znalazłam się w tym jego punkcie?

Powoli uniosłam rękę i wyciągnęłam ją w stronę Zeusa. Obwąchał mi palce i trącił wielkim nosem.

– Trąca mnie nosem.

– Spróbuj go pogłaskać.

Przesunęłam palcami po szerokim nosie Zeusa, a potem po błękitnym futrze na czole. Wydał z siebie niski pomruk, który mógł być zarówno mruczeniem, jak i oznaczać, że jest głodny. Macki poruszyły się, chwyciły mnie za rękę i zaraz puściły. Tygrysyko lypnęło na lodówkę, którą trzymałam w drugiej ręce.

– Nie.

Zeus mrugnął mahoniowymi rzęsami.

– Nie. To nie dla ciebie.

Otworzył pysk – szczęki rozwierały się, rozwierały, rozwierały... – i oblizwał wargi.

– Absolutnie nie.

Obeszłam go ostrożnie i sunąc pod ścianą, dotarłam do pokoju konferencyjnego. Przy stole przed laptopem siedział Bern. Na jego twarzy odbijało się ogromne znużenie. Kiedy weszłam, Cornelius właśnie wychodził z kuchni, niosąc dwa kubki kawy. Jeden postawił przed Bernardem.

– Dziękuję. – Bern skinął głową do maga zwierząt z wyraźną wdzięcznością.

Cornelius napił się ze swojego kubka.

Zeus trącił mnie nosem w żebra, tęsknie lypiąc na lodówkę.

– Masz w niej coś jadalnego? – zapytał Cornelius.

Pokazałam im zawartość.

– O – skwitował Cornelius. Bern tylko zamrugał, oszołomiony.

Zamknęłam pojemnik, włożyłam go do biurowej lodówki, obok mojego tajnego zapasu soku.

Zeus westchnął smętnie.

Również nalałam sobie kawy i usiadłam przy stole naprzeciwko Berna. Kuzyn popatrzył na mnie ponuro znad laptopa.

– Trzy razy przejrzałam zawartość dysków Ryndy. Przeczytałam od deski do deski całą korespondencję i przeanalizowałam grzybną bazę danych pod kątem ukrytych schematów. Nie ma tam żadnego szyfru. Jeśli ten plik w ogóle istnieje, na dyskach go nie ma.

– Dziękuję, włożyłeś w to wiele pracy.

– Ale niczego nie znalazłem – westchnął Bern.

Zeus usadowił się przy mnie i smętnie wbił turkusowe ślepia w mój kubek.

– Lubi cię – oznajmił Cornelius.

– Matylda go już widziała?

– Nie. Po tym wszystkim, co się działo, zadzwoniłem do siostry i poprosiłem, żeby przyjechali dopiero wieczorem.

Wstałam i podeszłam do lodówki i skrzętnie przejrzałam jej zawartość. Soki, niezbyt świeże winogrona, które powinnam wyrzucić ze trzy dni temu, paczka serowych przekąsek – pałeczki mozzarelli w poręcznym wielopak. Może to?

– Mogę mu dać ser?

– Sądzę, że to ssak, więc tak.

Oderwałam część paczki, wróciłam na miejsce, zdjęłam folię z jednej pałeczki i podsunęłam ją Zeusowi. Bestia podumała przez moment nad serem, po czym otworzyła paszczę. Wsadziłam do niej pałeczkę.

Zeus przeżuwał ją, uważnie smakując.

– Bern, czy mógłbyś jeszcze raz przejrzeć osobistą korespondencję Briana? – zapytałam. – Albo, jeśli masz dość, mogę poprosić Pluskwę.

– Nie mam dość. Czego mam szukać?

– Może ja też bym się na coś przydał? – zaproponował Cornelius.

Zeus trącił mnie pyskiem. Podałam mu kolejny paluch serowy.

– Muszę wiedzieć, czy cokolwiek może wskazywać, że Brian działał w porozumieniu ze swoimi porywaczami.

– A co? – zainteresował się Bern.

Wyjaśniłam im moje podejrzenia co do ucha. W miarę jak mówiłam, mars na czołe Berna pogłębiał się.

– Uważam, że to nie jest ucho Briana. Oczywiście to możliwe, że Brian jest niewinny, a oni w jakiś sposób unieruchomili go i przyłożyli się do idealnej operacji chirurgicznej, ale wątpię, żeby zadali sobie tyle trudu. Niewykluczone też, że nie chcieli go okaleczyć.

– Ale? – Bern zawiesił głos.

– To wymaga zachodu – wyjaśnił Cornelius. – Zdobycie świeżych zwłok nie jest wcale proste, łatwiej byłoby jednak odciąć ucho Brianowi, a Aleksander Sturm nie miałby najmniejszego problemu z odcięciem komuś jakiegokolwiek części ciała, gdyby miał coś tym uzyskać. Jest niezwykle... bezpośredni.

– Jeśli założymy, że to ucho Briana, do osiągnięcia takiego efektu potrzebowaliby mieć pod ręką anestezjologa oraz chirurga. Nie wątpię, że Sturm na to stać, ale to zbędna komplikacja. Dwie dodatkowe osoby zamieszane w porwanie, ryzyko narkozy i tak dalej. Znacznie łatwiej byłoby po prostu odciąć mu ucho ot tak. Jeśli jednak Brian bierze udział w akcji, z pewnością wolałby zachować oboje uszu.

Dałam Zeusowi ostatni kawałek sera i otrzepałam dłonie, pokazując mu, że więcej nie mam.

– Jesteś pewna? – powątpiewał Bern.

– Znając Magnusów, wcześniej pewnie spisaliby kontrakt, a potem się go trzymali.

– To prawda – skrzywił się Cornelius. – Jesteśmy społecznością tygrysów. Zachowujemy pozory uprzejmości i formalizmu, bo jeśli nie ustalimy na samym początku zasad, omyłkowa interpretacja może mieć fatalne skutki.

Tygrysy i smoki, no pięknie. I ja bez moich Srebrnych Trzewiczków.

Ale w sumie, po co komu Srebrne Trzewiczki, skoro można z palcem w nosie usmażyć mózg łobuza. Westchnęłam ciężko.

– Tak więc szukamy jakiegokolwiek powiązania ze Sturmem albo Harcourtem – podsumował Bern.

– Albo kimkolwiek, o kim wiemy, że bierze udział w spisku – dodałam. – Jak na przykład kuzynka Rogana czy Howling.

Naszło mnie wspomnienie. Siedzę w samochodzie z Roganem, pędzimy ulicą i Rogan odbija mocno kierownicą, żeby ominąć Kelly Waller prowadzącą sznureczek dzieci. Zrobiła sobie z nich żywą tarczę. Zdradziła Rogana. Jak dla mnie, karma Kelly była wyjątkowo powolną suką.

– Znasz ten świat lepiej niż my, Corneliusie. Każdy nietypowy szczegół może okazać się ważną wskazówką. Lunch w miejscu, gdzie Brian nigdy nie bywał. Impreza, spotkanie, miejsce, w którym ktoś o jego pozycji nigdy by się nie pojawił.

– To będzie ciekawe – skwitował Cornelius.

– Może jednak włączmy do tego Pluskwę? – zaproponował Bern.

– Nie.

– A mogę spytać czemu?

– Bo Rynda usilnie stara się przyciągnąć do siebie Rogana, co Pluskwę wkurza. Nie znosi jej, więc gdyby się dowiedział, że podejrzewamy Briana o współpracę z porywaczami, a przecież nie wiemy, czy to prawda, rzuciłby to Ryndzie w twarz w najgorszej możliwej chwili, żeby jej dopiec.

Zabrzmiał dzwonek. Ktoś stał przed drzwiami frontowymi.

– Pewnie Zwój, po ucho. – Zerwałam się i wybiegłam na korytarz. – Zaraz wracam.

– Nevada...! – zawołał za mną Bern.

– Chwileczkę. – Sprawdziłam ekran kamery przy drzwiach. Jakiś blondyn w garniturze, ale stał tyłem do kamery, więc nie widziałam twarzy. Hm, ciekawe. Spodziewałam się Fullertona.

Otworzyłam.

Mężczyzna odwrócił się do mnie. Około trzydziestki, o zdecydowanych rysach twarzy, tak przystojnej, jakby została wyrzeźbiona w marmurze. Mocna żuchwa, pełne usta, zgrabny nos i bystre zielone oczy pod ciemnymi łukami brwi. Półdługie włosy, kilka odcieni jaśniejsze od brwi, okalały tę doskonałą twarz, podkreślając bijącą z niej moc. Efekt był oszałamiający. Gdybym minęła tego faceta na ulicy, obejrzałabym się za nim.

– Cześć. Ty jesteś Nevada Baylor?

– Tak.

Odsłonił zęby w uśmiechu. Łooooo...

– Bardzo się cieszę, że mogę poznać cię osobiście. Nazywam się Garen Shaffer.

O kurde.

Trzeba było coś powiedzieć...

– O, co za niespodzianka – wyrzuciłam z siebie błyskotliwie. – Proszę, zapraszam do środka.

Zanim Rogan cię zobaczy i zmiażdży pierwszym lepszym czołgiem, który trzyma na takie okazje na podorędziu w swoim przepastnym garażu.

Cofnęłam się, przepuszczając go. Zeus natychmiast wykorzystał okazję, wepchnął się przede mnie i zmierzył Garena turkusowym łypnięciem.

Garen zamarł.

– Nie przejmuj się nim – poradziłam łaskawie, odpychając Zeusa biodrem. Tygrys nie drgnął. – To nasz ostatni nabytek. Dopiero co go przygarnęliśmy i nie jest jeszcze ułożony. Nie przywykł do gości.

Co za brednie sypały się z moich ust?!

– Wzięliście go ze schroniska? – zapytał Garen z błyskiem w oku.

– Nie, to łup wojenny zdobyty na przyzywaczu. Idź, Zeus, wracaj do Corneliusa.

Bestia zastrzygła uszami.

– Zeus! – zawołał Cornelius i tygrysisko z gracją potruczało do sali konferencyjnej.

Garen w końcu wszedł, mogłam więc zamknąć za nim drzwi. Zaprowadziłam go do mojego gabinetu. Prędzej czy później ktoś doniesie Roganowi, że na moim progu pojawił się członek Rodu Shafferów. Właściwie to pewnie powiadomiono go o przybyciu Shaffera w chwili, gdy ten podjechał do wartowni. Ciekawe, jak to się potoczy.

Usiadłam za biurkiem, a Shaffer zajął fotel dla klienta. Wzbudziłam laptopa. Na ekranie czekała wiadomość od Berna.

Garen Shaffer, sukcesor Rodu, prawdołowca, Magnus.

Coraz lepiej.

Przywołałam zawodowy uśmiech, jednocześnie dyskretnie klikając ikonkę nagrywania na laptopie. Na szafce za moimi plecami znajdowała się ukryta kamera. Bywało, że nasi klienci zapadali na wybiórczą amnezję, a kamera wraz z groźbą pozwu stanowiły skuteczne remedium na tę przypadłość.

– Czym mogę służyć, panie Shaffer?

Odchylił się na fotelu, zakładając jedną długą nogę na drugą.

– Przyszedłem w sprawie zlecenia.

Kłamstwo. Ach, więc mnie sprawdzał.

– To nieprawda. Może spróbuje pan jeszcze raz?

– Mogę?

– Proszę.

Jego magia wezbrała, otaczając go.

– Mam trzydzieści jeden lat.

Moja moc prześliznęła się przez osłonę.

– Owszem.

Zapora zgęstniała.

– Mam trzy siostry.

– Nie sądzę.

Moc wytrysnęła z Garena jak woda z gejzeru, tworząc wokół niego kokon. Do diabła, jak on to robi?

– Jestem jedynakiem.

Otoczka wydawała się nieprzenikalna. Moja moc opasała ją, ale mur trzymał. Próba brutalnego sforsowania go oznaczała konfrontację, moja wola przeciwko jego. Był silny. Bardzo silny. Możliwe, że silniejszy ode mnie, ale trudno było to ocenić, nie sprawdzając. A nagle nabrałam ochoty, żeby się o tym przekonać.

Zignoruj zaporę. Wyobraź sobie, że jest porowata. Wyobraź sobie, że nie istnieje.

Zmrużył oczy.

Jego mur był kamieniem. Ale moja magia wodą. Wśliznęłam się w nieszczelności. Musiałam tylko dać nieść się magii, puścić ją swobodnie...

Kłamstwo.

– Chyba powinniśmy na tym skończyć – oznajmiłam.

Zapora zniknęła, a moc Garena otoczyła teraz mnie.

– Stara się pani wyglądać na silniejszą, niż jest, czy słabszą?

– Ani to, ani to. Nie chcę, żeby pan mógł to sprawdzić.

– Dlaczego?

– Nie ufam panu. – Machnęłam ręką przed twarzą, jakbym odganiała dym. – Proszę trzymać swoją magię przy sobie.

Uśmiechnął się i wycofał.

– Czemu w lodówce jest jakaś lodówka? – zawołała Arabella z głębi biura.

Kiedy w ogóle tam weszła?

– Ręce precz od lodówki i nie waż się dotykać pojemnika.

– Siostra? – zapytał, a kiedy się skrzywiłam, dodał: – Też mam jedną. Bywają uciążliwe.

Arabella wsadziła głowę do gabinetu i pomachała woreczkiem z uchem.

– Czemu masz na sobie mundur? Te plamy to krew? I dlaczego trzymasz w lodówce ludzkie ucho?

Ech. Nic dodać, nic ująć.

Garen uniósł brwi.

– To dowód – burknęłam do siostry. – Wsadź to z powrotem na miejsce.

– No dobra, dobra. – Uciążliwość wycofała się na korytarz.

– Z przyjemnością spotkałbym się z panią na kolacji.

Wskazałam na swój strój.

– Kiepski na to dzień.

– To wobec tego jutro?

Udałam, że rozważam jego propozycję.

– Niestety, jestem zajęta i nie mogę obiecać, że pana nie wystawię.

Poczułam coś ulotnego, jakby pstryknął palcami nad moją dłońią. Używał swojej magii? Czy tak odczuwało się jej działanie?

– To nic, jestem niezwykle cierpliwy.

Prawda. Flirtował ze mną.

– Dobrze, pójdę z panem na kolację w zamian za odpowiedź na jedno pytanie.

Pochylił się, wpatrując się we mnie uważnie tymi swoimi zielonymi oczyma.

– Zgoda.

– Czy czuje pan w jakiś sposób, że uznałam pana odpowiedź za prawdziwą, a jeśli tak, to czy czuje to każdy, czy tylko inni prawdołowcy?

– To trzy pytania.

Cóż, flirt to gra dla dwojga.

– Warte tej kolacji?

Również udał, że się zastanawia.

– Ostro się pani targuje. Tak, nie, tylko prawdołowcy. Nazywamy to brzęczykiem. Nie ma to jak kiedy wracasz do domu z wgniecionym zderzakiem, a rodzice fundują ci brzęczyk w stereo, gdy się spowiadasz. Jutro, osiemnasta?

– Gdzie?

– Bistro Le Cep? Słyszałem, że to najlepsze miejsce, żeby spokojnie porozmawiać.

Nie miałam bladego pojęcia, gdzie to jest.

– Dobrze. Widzimy się jutro o szóstej.

Wstaliśmy oboje. Wyprzedził mnie i przytrzymał mi drzwi, kiedy wychodziliśmy na korytarz. Odprowadziłam go i patrzyłam, jak wsiada do swojego czarnego cadillaca. Cofnął i niczym nie niepokojony, odjechał ulicą.

Arabella stanęła przy mnie, wiodąc spojrzeniem za oddalającym się samochodem.

– Ładniutki.

– Co ty wyprawiasz? Nigdy nie przeszkadzałaś mi podczas spotkania z klientem.

– Bern wysłał mi SMS-a i kazał to zrobić. Napisał, że od dziesięciu minut siedzicie bez ruchu i gapicie się na siebie. Przestraszył się, że coś jest nie tak, i kazał mi sprawdzić.

Sprytnie. Bern z jego budową zapaśnika i barami judoki robił groźne wrażenie, ale niska, pulchna Arabella nie budziła żadnych obaw. Garen nawet się nie domyślał, z jaką łatwością mogła przerobić go na placek.

Dziesięć minut! To pewnie wtedy, kiedy próbowałam przedrzeć się przez jego zasłonę. A wydawało się, jakby to trwało parę sekund. Ciekawe, czy Augustine Montgomery czuł się podobnie. Nie tak dawno musiałam przekonać go, żeby pozwolił mi na postawienie zapory magicznej w swoim umyśle, mającej zapobiec wydobyciu przez Victorię Tremaine informacji na mój temat. Na dowód tego, co mu grozi, sama wydostałam z umysłu Augustine'a kilka poufnych, acz nieszkodliwych danych. Nie zdawał sobie sprawy, że to robię, dopóki po wszystkim mu o tym nie powiedziałam. Zupełnie jakbym wycięła mu wtedy z pamięci fragment czasu.

Poczułam zimny pot na plecach.

Obróciłam się gwałtownie, pognałam do gabinetu i dopadłam laptopa.

– Co się stało? O co chodzi? – zaniepokoiła się Arabella.

Na ekranie pojawiło się nagranie mnie i Garena siedzących naprzeciwko siebie.

– Czym mogę służyć, panie Shaffer?

– Przyszedłem w sprawie zlecenia.

Przyspieszyłam odtwarzanie. Szybkie gesty, cienkie głosiki. Bła, bła, bła... Jest.

Wpatrywaliśmy się w siebie z Garenem. Zrobiłam zbliżenie na siebie i pogłośniłam.

Nic. Siedziałam nieruchomo jak posąg. On również. Nawet najmniejszego poruszenia. Ni słowa. Gapiliśmy się na siebie w milczeniu. Uff, nic mu nie zdradziłam.

Opadłam z ulgą na fotel. Nagle przytłoczyło mnie znużenie.

– Nevada? Co ci jest? – Arabella raptownie wyrwała chusteczkę z pudełka na biurku i rzuciła nią we mnie.

Dotknęłam twarzy. Policzki miałam mokre od łez.

– Chyba jesteś mocno zestresowana – orzekła moja siostra. – Mam awaryjną paczkę papierosów schowaną na takie okazje dla siebie i Cataliny. Został jeden, chcesz?

– Mama cię zabije, jak się dowie.

– Nie dowie się, nie dowie. Przecież jej nie powiesz.

Wstałam i objęłam siostrę mocno.

– Wszystko gra? – zapytała Arabella ostrożnie.

– Nie. Ale będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– Bierz dupę w troki i chodź tu! – wrzasnęła na mnie z ekranu gęba Pluskwy. – Szybko! Szybko! Szybko!

Wypadłam na ulicę i popędziłam do budynku naprzeciwko, z Arabellą dyszącą mi w kark.

...

Przemknęłam przez parter do schodów i wbiegłam na piętro. Rynda stała przy Pluskwie błada jak śmierć, z telefonem przy uchu. Porywaczce.

– ...mnie wystraszyli. Jeszcze nigdy tak się nie bałam. – Przez chwilę słuchała. – Mąż jest dla mnie wszystkim. Przekażę telefon pani Baylor, jest uprawniona do prowadzenia

negocjacji w naszym imieniu. – Rynda wręczyła mi aparat.

– Nevada Baylor.

– Świetnie – odezwał się głos kulturalnego mężczyzny. – Może w końcu do czegoś dojdziemy.

– Złamaliście umowę – oznajmiłam.

Palce Pluskwy zatańczyły na klawiaturze i po chwili głos nieznanego rozległ się z głośników.

– Czyżby?

– Doszliśmy do porozumienia, a wy postanowiliście je zignorować.

– A czego dotyczyło to porozumienie, pani Baylor?

– Wy chcecie okup. Moja klientka chce, żeby jej mąż wrócił do domu cały i zdrowy. Wy liczycie, że nie wmieszamy w to władz, my, że Brianowi nic się nie stanie i że dacie nam czas na dostarczenie wam okupu. Wyszliśmy żądania i zanim mieliśmy szansę na nie odpowiedzieć, napuściliście Harcourta na Ryndę i jej dzieci. A teraz przysłałście nam odcięte ucho. To poważne nadużycie zaufania.

Mój rozmówca milczał przez dłuższą chwilę.

– Incydent w domu Sherwoodów to pomyłka – rzekł w końcu. – Która już się nie powtórzy.

– Czy Brian żyje?

– Tak.

– Musimy to sprawdzić. Przekażcie mu telefon.

– Proszę bardzo.

W telefonie zaległa cisza. Rynda zacisnęła dłonie w pięści.

– Halo. – Cichy głos Briana poniósł się po pomieszczeniu.

Pluskwa podał Ryndzie mikrofon.

– Jak się czujesz? – zapytała drżącym głosem.

– Boli.

– Opatrzyli ci ranę? Sprowadzili lekarza? – pytała Rynda.

– Tak, ale nadal boli. Daj im, proszę, to, czego chcą.

– Kocham cię – powiedziała Rynda. – Staram się, kochanie. Naprawdę, robię, co w mojej mocy. Wytrzymaj jeszcze trochę.

– Ja ciebie też kocham – wyrecytował Brian matowym, pozbawionym emocji głosem. Może to przez ucho? Może był w szoku?

Rynda splotła nerwowo dłonie. Wyglądała, jakby zaraz miała zacząć krzyżeć.

– No, skoro mamy to z głowy, przejdźmy do interesów – zarządził porywacz.

– Byłoby łatwiej, gdybyście powiedzieli, czego mamy szukać – powiedziałam.

– Chyba nie wierzysz, że Rynda jest aż tak naiwna?

– Nie muszę nikomu wierzyć na słowo. Jestem prawdołowcą i mówię ci, że moja klientka nie ma pojęcia, o co wam chodzi. Od Vincenta udało mi się wydobyć tylko tyle, że to coś, co jest związane z jej matką.

Znów milczenie. Najwyraźniej Vincent ich o tym nie poinformował. Ha!

– To powinno wam wystarczyć – odezwał się w końcu mężczyzna.

– Na razie szukamy igły w stogu siana, a nawet nie wiemy, czy chodzi wam o igłę. Bo może chcecie długopis albo jabłko? Przejrzelśmy komputery Ryndy i Briana, niczego tam nie ma.

– Tego nie ma na komputerze. – Do głosu mężczyzny wkradła się nuta zniecierpliwienia. – Jest gdzieś w domu. Albo poza nim, w skrytce bankowej albo innym miejscu, gdzie Olivia mogła to ukryć.

- Czyli mamy znaleźć dla was nie wiadomo co, które jest nie wiadomo gdzie.
- I znajdziecie to, jeśli chcecie, żeby Brian przeżył.
- Ale musimy mieć na to czas.
- Macie czterdzieści osiem godzin.

Spodziewałam się doby.

- I lepiej dobrze je wykorzystajcie. Nie znoszę dzieci płaczących za rodzicami. Jeśli nie dostanę tego, czego chcę, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, zacznę dostarczać wam ich ojca po kawałku.

W pomieszczeniu rozbrzmiał sygnał zakończonego połączenia. Pluskwa wyłączył głośniki.

- Ktoś powinien mu dać nauczkę - oświadczyła Arabella z pokraśnialymi policzkami i zacisnęła zęby. Facet ją poważnie wkurzył.

- Przez najbliższe dwie doby Brian będzie bezpieczny - powiedziałam Ryndzie.

- A co potem? - jęknęła.

- Będziemy się nad tym zastanawiać potem. Dzwoniłaś do Zwoju?

- Tak, wysłali już kogoś.

- Dobrze. Dzisiaj wieczorem przypomnij sobie dokładnie ostatnie parę tygodni.

Wydają się pewni, że to, czego szukają, jest w domu albo w miejscu, do którego masz dostęp. Czy matka dała ci ostatnio coś na przechowanie? Jakiś drobiazg, coś, co wydawałoby się nieważne? I porozmawiaj o tym z dziećmi.

- Dobrze - westchnęła.

- Mogę przepytac dzieci, jeśli chcesz.

- Nie! - zaprotestowała ostro. - Nie, poradzę sobie - dodała spokojniej.

- Dobrze.

Rynda skierowała się w stronę schodów.

Trzymając telefon tak, żeby Pluskwa widział ekran, napisałam wiadomość do Berna. Nie chciałam ryzykować, że Rynda albo ktoś inny nas podsłucha.

Dzwonił porywacz. Jest na 100% pewny,

że tego nie ma na dyskach. Da się sprawdzić, czy przeszukiwali kompa Briana?

Logowanie zdalne z nietypowej lokalizacji?

Jasne.

- Możesz sprawdzić, ile jest kamer przy trasie z BioCore do domu Sherwoodów? - wyszeptałam Pluskwie do ucha.

Mrugnął potakująco i rzucił się do swoich komputerów.

Zadzwoniła moja komórka. Proszę, niech to będzie coś dobrego. Rogan.

No tak. Czekala nas rozmowa o Garenie Shafferze. Wiedziałam, że prędzej czy później to nastąpi.

- Halo?

Odezwał się spokojnym głosem, podszytym magnusowo-opanowanymi nutami.

- Obiecałaś mi kolację.

Potrzebowałam sekundy, żeby się przestawić.

- Tak.

- Podjadę po ciebie za półtorej godziny. Mamy rezerwację.

Rezerwacja oznaczała strój wyjściowy. A ja miałam na sobie zakrwawiony mundur.

- Potrzebujesz sukienki?

A to co za pytanie?

– Nie. Jakąś tam mam.

– No to widzimy się o siódmej.

Wypuściłam powietrze z płuc i rzuciłam się ku schodom, żeby zdążyć wziąć prysznic i się ubrać. Słyszałam jeszcze za sobą głos Arabelli:

– Jakie masz na dzisiaj plany, Lina? Możesz odwołać? Nevada nas potrzebuje.

...

– Mówił, o co chodzi? – zapytała babcia po raz dwunasty.

– Nie.

Siedziałam przy kuchennym stole, usiłując robić coś na laptopie. Bern i Cornelius nadal przeglądali korespondencję Briana, postanowiłam więc pogrzebać w jego grzybowym profilu na Pinterescie.

Kiedy czeka się na ważny telefon, półtorej godziny dłuży się jak tydzień, ale kiedy ze schetanej żołnierki trzeba się zrobić na bóstwo, to samo półtorej godziny to mgnienie oka. Na szczęście siostry postanowiły mi pomóc. W chwili gdy owinięta w ręcznik wyszłam spod prysznic, Arabella zaatakowała moje włosy. Catalina pojawiła się z aerografem do makijażu, który kupiłam jej w zeszłym roku na gwiazdkę, ponieważ wiecznie narzekała na swój nieistniejący trądzik. Kazała mi siedzieć i nie ruszać twarzą. Dzięki pracy siostr miałam w niedługim czasie suche, uczesane włosy i twarz pokrytą mgiełką podkładu. Nie pozwoliłam im na więcej, bo inaczej wyszłabym z policzkami wykonturowanymi na czaszkę i kreskami w stylu Kleopatry. Ale dzięki nim i tak byłam gotowa w rekordowym czasie.

Reszta, czyli pojawienie się, należała do Rogana.

Widać więc o ostatniej porażce Rogana w pojawianiu się odbiła się w rodzinie szerokim echem, bo w miarę upływu czasu zaczęli dołączać do mnie kolejni jej członkowie, aż w kuchni zjawił się pełny komplet. Bern usiadł w kącie i zagłębił się pilnie w lekturze skryptu. Babcia przycupnęła obok mnie z robótką, która miała być prawdopodobnie szalikiem, a przypominała wybitnie węzeł gordyjski. Mama układała w szufladzie z herbatami, czego nie robiła nigdy, odkąd w naszym domu zaistniała owa szuflada. Naprzeciwko mnie Arabella nie odrywała wzroku od ekranu komórki. Catalina klapnęła po lewej ode mnie i zawzięcie pisała SMS-y. Zeus wepchnął się pod stół i rozwalił przy moich nogach. Cornelius był pochłonięty bez reszty sączeniem herbaty. Nawet Leon przydryfował do kuchni i oparłszy się o ścianę, czekał.

Nikt nic nie mówił.

– Tak z ciekawości – odezwał się w końcu Cornelius. – Jeśli Rogan nie przyjdzie, to będziecie grupowo drzeć z niego pasy?

– Tak – odpowiedziała zgodnie i chóralnie moja rodzinka.

Nie przyłączyłam się do nich, tylko westchnęłam.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Stuknęłam w klawisz na laptopie, wyświetlając na ekranie widok z kamery. Przed drzwiami stała kobieta w garsonce, blondynka o włosach zebranych w kucyk. Obok niej ciemnowłosa dziewczynka dźwigająca w ramionach wielkiego białego kota. Swoich podopiecznych pilnował sumiennie doberman. Diana, Matylda, jej kot i Króliś.

– Matylda przyszła – ogłosiłam.

– O, nareszcie. – Catalina wstała i poszła otworzyć. Po chwili wróciła, prowadząc siostrę i córkę Corneliusa.

– Tatuś! – Matyllda wyciągnęła rączki, a Cornelius kucnął i zamknął ją w objęciach. Arabella dyskretnie pstryknęła im zdjęcie. Wcale się jej nie dziwiłam. Matyllda była przesłodkim dzieckiem.

Matyllda zamrugęła. Bardzo przypominała matkę, Nari, ale minę miała zazwyczaj dokładnie taką jak ojciec, poważną, prawie posępną.

Stojąca za nią Diana zmarszczyła brwi.

– Co to ma być?

– Kotuś! – powiedziała Matyllda, patrząc na „kotusia” wielkimi oczyma.

– Ach, mam dla was niespodziankę – powiedział Cornelius.

No tak, nie powiedział im.

Potężne cielsko Zeusa poruszyło się pod stołem i spod blatu wyłonił się ogromny łeb, a nos zatrzymał się tuż przy twarzy dziewczynki. Matyllda otworzyła ze zdumienia usta, a jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– O Boże – jęknęła Diana.

Króliś zamarł, najwyraźniej niepewny, jak zareagować.

Matyllda wyciągnęła rączkę, a Zeus trącił ją nosem. Kiedy dziewczynka się cofnęła, tygrysyko wypełzło spod stołu i wyprostowało się na pełną wysokość. Matylde aż zatchnęło z zachwytu. Zeus pochylił łeb, a ona wyciągnęła ramiona i objęła większą od siebie bestię za szyję.

– Jest taki milusi.

Moje siostrzyczki jednocześnie pstryknęły im zdjęcia.

– Jest... piękny. – Diana przykucnęła i podrapała Zeusa pod brodą. – Te oczy, Corneliusie... Są jak klejnoty. Jakim cudem udało ci się tego dokonać? Przecież to niemożliwe!

– Poczuj go – zachęcił ją Cornelius.

– Czuję. To niesamowite.

Znów zadzwonił dzwonek do drzwi. Zerknęłam na laptopa.

Przed drzwiami tkwił Rogan, a za nim z włączonymi światłami czekał szary mercedes.

Rogan miał na sobie czarny garnitur. Był tak doskonale proporcjonalnie zbudowany, że dopiero gdy stawałam przy nim, przypominałam sobie, jaki jest wielki. Garnitur podkreślał wszystkie jego atuty, wzrost, długie nogi, wąskie biodra i szerokie barki. Ogolił się. Uczesał. Wyglądał jak miliard dolarów.

I bez wątpienia coś knuł.

– Przyszedł! – ogłosiła wszem wobec babcia.

Rodzina, zapomniawszy o niebieskim tygrysie, skupiła się wokół mnie, gapiąc na ekran laptopa.

– Ciasteczko! – orzekła Arabella.

– Zobaczycie, oświadczy się – zatarła ręce babcia.

– Mamo! – jęknęła mama.

– Nie będzie żadnych oświadczeń. To zwykła kolacja. Dajcie mi wstać!

Udało mi się wyrwać.

– O, randka – uśmiechnęła się Diana.

– Wyglądasz jak królowna – zachwyciła się Matyllda.

– Dziękuję! – Ucisnęłam ją, ale już o mnie zapomniała. Zeus był zdecydowanie bardziej fascynujący.

Przemierzyłam biurowy korytarz i wyszłam na teksańską zimę, gdzie czekał na mnie Rogan. Przekrzywił głowę i w tej samej chwili podchwyciłm błysk w jego oku.

– Wyglądasz wspaniale.

Miałam na sobie czarną sukienkę zaprojektowaną przez Adrianę Red, wschodzącą gwiazdę houstońskiego krawiectwa. Kupiłam ją rok wcześniej za trzysta dolarów, tuż po otwarciu pierwszego butiku. Dwa miesiące później młoda aktorka założyła suknię od niej na rozdanie nagród Emmy i projektantka nagle stała się sławna. Teraz już nie mogłabym sobie pozwolić na kreacje Red – ceny jej projektów w ciągu jednej nocy skoczyły trzykrotnie – jednak z tego, co wiedziałam, kupiłam jedną z jej najlepszych prac. Sukienka była prosta, ale opływała moje ciało piękną kaskadą, podkreślając właściwe krągłości w niezwykle elegancki sposób. Sięgała nieco powyżej kolan – doskonała długość, żeby pokazać nogi, ale nie w wyzywający sposób. Dekolt w szpic kończył się niżej, niż pozwalał na to dress code w wypadku oficjalnej kolacji, ale przecież nie szłam na biznesowe przyjęcie. Włosy lekkimi falami opadały mi na plecy. Dzięki obcasom zyskałam dziesięć centymetrów wzrostu. Mój strój może i nie powalał na kolana, ale też niczego nie można mu było zarzucić.

Sądząc z ognistego spojrzenia Rogana, jemu się podobało.

– Ty też świetnie wyglądasz.

– Ale ta sukienka aż prosi się o lśniący akcent. – Wyciągnął z kieszeni podłużne pudełko i uniósł wieczko.

W środku leżał piękny naszyjnik. Cudowny szmaragd nieco większy od mojego kciuka odbił światło lampy znad drzwi i zaskrzył się zapierającą dech w piersiach zielenią o lekkim odcieniu błękitu. Klejnot wisiał na jasnozłotym łańcuszku niczym ła.

– Taaak? – W głosie Rogana pobrzmiwała ostrożna nuta, jakby spodziewał się, że lada moment stanie się coś złego.

– Jest niesamowity – powiedziałam, kiedy odzyskałam zdolność mowy.

Wyjął naszyjnik, a kiedy uniosłam włosy, zapiął mi go na karku. Kamień lśnił na mojej skórze jak mieniąca się kropla.

– Ale tylko na ten wieczór. Nie mogę go zatrzymać.

– Kupiłem go dla ciebie. To miał być prezent pod choinkę.

Po minie Rogana poznałam, że odrzucenie prezentu potraktowałby, jakbym odrzuciła jego. Tak, był to niezwykle cenny szmaragd. Pewnie miałam właśnie na szyi jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów, czyli więcej, niż gdyby zebrać całą moją biżuterię. Ale z drugiej strony, Rogan miał też więcej pieniędzy, niż mógłby zliczyć przez całe życie, więc skoro chciał, żebym nosiła ten naszyjnik, nie zamierzałam mu się sprzeciwiać.

– Dziękuję.

Smok uśmiechnął się, wyraźnie usatysfakcjonowany.

– Jeśli nadal będziesz tak na mnie patrzył, to wątpię, czy dotrzemy na tę kolację.

– No to lepiej wskakujmy do samochodu.

Otworzył mi drzwi i wsiadłam do ciepłego wnętrza mercedesa.

• • •

Restauracja Flanders' Steakhouse znajdowała się na szczycie dwudziestopiętrowego budynku przy Louisiana Street, nieopodal dzielnicy teatralnej. Z jej okien roztaczał się

przepiękny widok. Wysokie szklane tafle ukazywały przepastne niebo, pod którym rozbiegało się rozjarzone ciepłym blaskiem Houston. Wijące się pomiędzy wieżowcami ulice, po których płynął nurt światła, zdawały się unosić w powietrzu.

Wnętrze urządzone w ciepłych brązach, a kute, spiralne żyrandole o świecznikowych żarówkach wypełniały pomieszczenie miękkim, nastrojowym blaskiem. Od czasu do czasu zdarzało mi się bywać na biznesowych kolacjach, wiedziałam więc, że większość tego typu restauracji celowała w bogatą klientelę. Były urządzone albo w typowym rustykalnym teksańskim stylu, ze ścianami obwieszonymi byczymi rogami i krowimi skórąmi, albo w stylu zamkniętego klubu ze wstępem tylko dla członków. Tutaj było naprawdę ładnie.

Nagle dotarło do mnie, że jesteśmy na randce. Naszej pierwszej prawdziwej randce.

Nienagannie ubrany kierownik sali poprowadził nas pomiędzy stolikami, przy których siedzieli eleganccy klienci. Niektórzy musieli być członkami Rodów, ponieważ rozpoznawali Rogana, kiedy ich mijaliśmy. Mnie również zaszczycono kilkoma spojrzeniami, zdumionymi, zaskoczonymi lub otwarcie ciekawskimi. Szczególnie kobiety zwracały na mnie uwagę. Rogan przyciągał spojrzenia płci pięknej wszędzie, gdzie się pojawiał, mnie zaś kobiety taksowały, jakby zastanawiały się, co jest we mnie takiego szczególnego. Staralam się tym nie przejmować, postanowiłam, że nie zepsują mi randki.

Nasz stolik stał na uboczu. Rogan odsunął mi krzesło – ręcznie, nie za pomocą mocy. Żadnych magicznych fajerwerków. Dzisiaj byliśmy tylko my, Nevada i Connor.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie, Rogan pod ścianą, mając widok na całą salę.

Kelnerka pojawiła się przy nas jakby magicznie i położyła przed nami menu.

– Wino? – zapytał Rogan.

Czemu nie?

– Poproszę.

– Na co masz ochotę?

Lubiłam asti spumante. Słodkie, musujące, pięć dolarów za butelkę.

– Czerwone, półwytrawne lub półsłodkie. – Miałam nadzieję, że nie zrobiłam z siebie idiotki.

Rogan zamówił wino z listy. Kelnerka skinęła głową, jakby właśnie została pasowana na rycerza przez jakiegoś króla, i odpłynęła.

Wyszczerzyłam się do Rogana znad karty. Odpowiedział tym samym, wyraźnie się rozluźniając.

Spojrzałam na jadłospis. O rany!

– Umieram z głodu. Nie jadłam nic poza ciastkiem, które rano ukradłam ci z kuchni.

– Nie ukradłaś – zaprotestował. – Wszystkie moje bombolki są twoje.

Przejrzałam listę przekąsek. Ravioli z pieczonymi pieczarkami, carpaccio wołowe, koktajl z owoców morza.

– Coś nie tak? – zapytał Rogan. I znów ta ostrożność czy niepewność w oczach.

– Usiłuję wybrać coś o niskim ryzyku upaknięcia.

Zaśmiał się cicho.

– Nigdy nie widziałem, żebyś upaękała się jakąś potrawą.

– Nieprawda. Upaękałam się lazanią, jak wspinaliśmy się po śmietnikach do tego wieżowca na Sam Houston. I to zgniłą lazanią.

Czemu wspomniałam o zgniłej lazanii? Westchnęłam.

– To się nie liczy. Wdepnęłaś w nią.

Albo raczej się w niej wytarzałam, jednakże nie zamierzałam w tej chwili wyciągać tej sromoty na światło dzienne.

Kelnerka pojawiła się znowu, tym razem z butelką wina. Teatralnym gestem wyciągnęła korek i nalała odrobinę do dwóch kieliszków. Z tego, co widziałam na filmach, teraz powinna nastąpić ceremonia, podczas której trzymając kieliszek w odpowiedni sposób, kręci się nim lekko, a wirujący płyn wacha się albo coś w tym stylu. Zrezygnowawszy z rytuałów, uniosłam kieliszek i upiłam odrobinę wina. Poczulałam na języku delikatny, orzeźwiający smak.

– Wyborne – powiedziałam.

Rogan skinął do kelnerki, która rozpromieniona odsunęła się na bok, jej miejsce zaś zajęła inna. Położyła na stole koszyczek z kilkoma kromkami świeżego, chrupiącego pieczywa, a następnie małe, podgrzane talerzyki z oliwą ziołową w dwóch smakach. Zapachniało tak, że aż mi ślinka napłynęła do ust.

– Zdecydowali państwo, co chcą na przystawkę?

Ogarnął mnie totalny paraliż decyzyjny.

– Zdaję się na ciebie – powiedziałam do Rogana.

Zamówił carpaccio. Jadłam je podczas naszego posiłku w restauracji Takara. Zapamiętał.

Kelnerka skinęła i znów zostaliśmy sami.

Napiłam się wina. Napięcie minionego dnia powoli ze mnie schodziło.

Rogan wyciągnął rękę i splótł nasze palce.

– Hej. – Uśmiechnęłam się.

– Hej. – Również się uśmiechnął i Szalony Rogan odszedł. Miałam przed sobą Connora. Czułam, jakby poza nami świat nie istniał.

– Dziękuję. Potrzebowałam tego po tym koszmarze.

– To ja dziękuję, że tu ze mną przyszłaś. Nie zawsze musi być bojowo i krwawo. Może być też tak.

– Jest cudownie.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Kiedy obsługa postawiła talerze z carpaccio, zamówiłam podwójny stek ze schabu, a Rogan sezonowany stek z antrykotu. Carpaccio było niebiańskie. Jedliśmy je z maczanym w oliwie chlebem.

– Muszę ci wyznać, że dzisiaj wieczorem znajdowałeś się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– O?

– Cała rodzina siedziała w kuchni, czekając, czy się zjawisz. Nie wiem, czybyś przeżył, gdybyś mnie wystawił.

– Twoi bliscy mnie lubią. – Wyszczrzył zęby. – Na pewno zdołałbym ich oczarować i darowałoby mi życie.

– No nie wiem. Byli bardzo zdeterminowani.

– A ja potrafię być bardzo czarujący.

O tak. Potrafił być czarujący. Co nie jest wielkim wyczynem w przypadku tak seksownej bestii. Spokojnie, Nevada, ochłoń.

Sala restauracyjna zafalowała, oddalając się. Światło pociemniało, nabierając złotych tonów. Leżałam w łóżku z Roganem. Byliśmy nadzy, a jego dłoń sunęła w górę mojego uda...

Otrząsnęłam się z projekcji i zdążyłam zobaczyć, jak się we mnie wpatruje.

– Uważaj – powiedziałam, oblizując wino z ust. Jego wzrok zawisł na czubku mojego języka. – Bo możesz podpalić obrus.

Wyglądał, jakby chciał natychmiast zabrać mnie od stolika do samochodu, żeby uprawiać niesamowity seks. Absolutnie bym się nie opierała.

Projekcja zniknęła jak płomyk zdmuchniętej świecy.

Oczy Rogana zaszyły lodem. Na widok zbliżającego się mężczyzny podniósł kieliszek do ust i rozparł się na krześle. Ku nam szedł wysoki, barczysty facet w eleganckim garniturze, poruszał się ze swobodną elegancją. Miał bardzo ciemną skórę, króciutkie włosy i małą bródkę. Przy pierwszym spotkaniu wywarł na mnie ogromne wrażenie. To przez oczy. Jedno spojrzenie w te oczy i od razu było wiadomo, że ma się do czynienia z bystrym, niebezpiecznym człowiekiem.

– Dobry wieczór, Rogan.

– Przysiądziesz się, Latimer?

– Na moment. – Od sąsiedniego pustego stolika przyśliznęło się do nas krzesło.

Latimer usiadł.

– Harcourtowie dzisiaj się ze mną skontaktowali – powiedział. – Zaproponowali sojusz strategiczny na bardzo korzystnych dla mnie warunkach. Mam się spodziewać jakiejś reakcji z twojej strony, Rogan?

Prawda.

– Rozwiązaliśmy pewne wspólne kwestie – powiedział Rogan. – Poza kwestią Vincenta.

– Masz wobec niego jakieś plany?

– Owszem.

– Czy w wyniku tych planów Vincent przestanie zużywać powietrze?

– Owszem.

Latimer odchylił się na oparcie, a krzesło lekko skrzyknęło pod jego ciężarem.

– Dobrze wiedzieć. Życzę miłego wieczoru. – Podniósł się i dopiero wtedy na mnie popatrzył. – Moja propozycja jest nadal aktualna. O każdej porze.

– Dziękuję.

Kiedy odszedł, Rogan spojrzał na mnie z zaciekawioną.

– O co chodziło?

– Kiedy byłem z Augustine'em na balu Baranovskiego, Latimer zobaczył siniaki na mojej szyi i wziął je za efekt przemocy domowej. Ciotka Latimera odwróciła uwagę Augustine'a, a on podszedł do mnie i zaproponował, że zabierze mnie z gali i umieści w bezpiecznym miejscu, gdzie zajmie się mną lekarz.

– Michael Latimer? – mruknął Rogan i aż się wychylił, żeby popatrzeć za oddalającym się Magnusem.

– Naprawdę. Nie kłamał.

– No, no, ciekawe – skwitował Rogan.

Kelnerka przyniosła danie główne.

Kotlet był tak pyszny, że przestałam przejmować się, czy się nim upačkam. Pozostały jednak we mnie resztki przyzwoitości i nie chciałam, żeby ludzie widzieli, jak niczym wygłodniały jaskiniowiec napycham się kawałami mięsiwa, zmusiłam się więc do cięcia go na irtujaco małe kęski.

– Powinniśmy zamówić deser – powiedział Rogan.

Zerknęłam na mój kotlet, który ledwie mieścił się na talerzu i zapewniłby mi sytość na dwa dni.

– Co lubisz najbardziej? – zapytał.

– Nie wiem, jak to się nazywa, ale raz jadłam coś takiego jako dziecko. Mama pojechała na front, a babcia Frida i dziadek Leon zabrali moje siostry i kuzynów na trzy dni do Rockport Beach. Też miałam z nimi jechać, ale zachorowałam i cały dzień wymiotowałam w biurze taty. Byłam nieszczęśliwa. Wszyscy bawili się na plaży, a ja spałam w biurze taty z miską w objęciach. Następnego dnia rano przełknęłam kilka sucharów, a wieczorem byłam już strasznie głodna. Tata zamknął właśnie duże zlecenie, więc zabrał mnie do restauracji. Już nie pamiętam, co jadłam na kolację, ale tata powiedział, że na deser mogę sobie wybrać cokolwiek zechcę. Zamówiłam coś, co nazywało się „skrzynią skarbów”. Przynieśli mi duży sześcian czekoladowy, a kiedy nacisnęłam górę łyżeczką, skorupka czekolady pękła. Była cieniutka jak papier. W środku znajdował się niezmiernie krem z malinami i borówkami. To była najpyszniejsza rzecz na świecie. – Uśmiechnęłam się na wspomnienie. – A ty?

– Mus czekoladowy – odrzekł bez wahania. – W dżungli śnił mi się po nocach. Nie wiem dlaczego, bo nigdy nie przepadałam aż tak za czekoladą. Czasami kiedy nie jedliśmy nic przez kilka dni, budziłem się, czując na języku jego smak. Kiedy się wydostaliśmy, wsadzili nas do śmigłowców i zabrali do Arrow Point, bazy w Belize. Byłem przytomny przez całą drogę, aż do szpitala. Wszyscy biegali dokoła mnie zaferowani, bojąc się, żebym nie umarł na ich dyżurze. W pewnej chwili ktoś mnie zapytał, na co miałbym ochotę. Musiałem im powiedzieć o musie, bo kiedy się ocknąłem w szpitalnym łóżku, czekał na mnie na szafce.

Miałam ochotę go przytulić, ale musiałam zadowolić się pogładzeniem jego ręki.

– Smakował ci?

– Nawet sobie nie wyobrażasz.

Do naszego stolika podeszła młoda kobieta na wysokich, cienkich szpilkach. Około dwudziestki, miała jasne włosy zwinięte na karku w skomplikowanego koka. Do tego nieskazitelną cerę i doskonały makijaż. Również miała na sobie sukienkę koktajlową, jednak w przeciwieństwie do mojej, w zasadzie prostej, jej strój składał się z artystycznie pozszywanych pasków smolście czarnego jedwabiu, a każdy z nich zdobiła złota smużka. Dziewczyna miała na sobie fortunę. Wiedziała, że jest piękną kobietą, i przywykła do podziwu.

Ignorując mnie całkowicie, spojrzała prosto na Rogana.

– Nazywam się Sloan Marcus, Ród Marcusów.

Rogan patrzył na nią z namysłem.

– Jesteśmy trzecim największym Rodem telekinetyków w Teksasie – ciągnęła. – Jestem Magnusem w trzecim pokoleniu. Mam dwadzieścia jeden lat, jestem zdrowa i nieobciążona żadnymi genetycznymi chorobami. Skończyłam Princeton. Jestem tobą zainteresowana. Na prośbę udostępnię ci mój profil.

Właśnie oświadczyła się mężczyźnie, z którym jadłam kolację.

– Moja towarzyszką jest zbyt uprzejma, żeby ci to wyjaśnić, więc pozwól, Sloan, że wezmę to na siebie. Mamy za sobą męczący dzień i po zmyciu z siebie krwi i flaków wyskoczyliśmy tutaj, żeby spędzić miło czas w swoim towarzystwie. Przeszkadzasz nam.

Policzki się jej zaróżowiły. Nie ze wstydu. Ze złości, że spotkała się z lekceważeniem.

– Chyba nie zrozumiałaś. Powiedziałam, że udostępnię ci mój profil.

– On chyba nie chce zapoznawać się z twoim profilem. – Postanowiłam jednak się odezwać. – Nie zajrzał nawet do mojego, chociaż ze sobą sypiamy.

Raczyła na mnie spojrzeć.

– Magnusowie żenią się tylko z Magnusami – oświadczyła.

Uśmiechnęłam się i wróciłam do jedzenia.

Sloan zadarła wyzywająco podbródek.

– Nikt mi nie odmawia.

– Nieprawda – mruknęłam.

– Jak śmiesz?!

– Mówię tylko, że kłamiesz. Prawda jest taka, że ciągle ci ktoś odmawia. Skłamałaś też, jeśli chodzi o wiek, ale tak ładnie się przedstawiałaś, że nie chciałam ci wcześniej przerywać.

Rogan zaśmiał się pod nosem.

– Co ty sobie wyobrażasz, kim ty w ogóle...

– Zostaw nas – przerwał jej Rogan rozkazującym tonem.

Sloan chciała jeszcze coś dodać, ale wokół Rogana zawirowała magia. Smok strzepnęła skrzydła. Sloan cofnęła się chwiejnie, wyraźnie wstrząśnięta, po czym odwróciła się i szybko odeszła na swoich szcudełkach.

Magia Rogana zniknęła.

– Sprawdzales kiedyś naszą kompatybilność? Wcześniej? – zadałam od dawna nurtujące mnie pytanie.

Skrzywił się.

– Musiałbym wystąpić z wnioskiem o dostęp do danych Rodu Tremaine'ów. Myślisz, że Victoria by mi go udzieliła?

– Wątpię. Chociaż z nią nigdy nic nie wiadomo. W końcu chciała ci mnie oddać.

– To prawda.

Chwila na poruszenie tematu Garena była równie dobra, jak każda inna.

– Odwiedził mnie dzisiaj Garen Shaffer.

Rogan z pełnym spokojem kroił swojego steka.

– Sukcesor.

– Zaprosił mnie na kolację, jutro. – Też odkroiłam sobie kawałek mięsa. – Zgodziłam się.

Coś brzęknęło. Rogan nawet nie drgnął. Z doskonałym spokojem konsumował antrykot. Na grubej tafli szkła w rogu, nad głową Rogana, pojawiło się maleńkie pęknięcie.

– Myślenie o przyszłości to godna pochwały zapobiegliwość – skwitował konwersacyjnie. – Rozumiem, że chcesz się zorientować w różnych opcjach.

Co za głupek.

– W tej sprawie ma udział jakiś prawdołowca. Najpierw zajął pod barierę mentalną Marka Emmensa i przekazał Pierce'owi informacje o lokalizacji części artefaktu. Stworzył również zaporę w umyśle Harcourta. Nie przyznano nam jeszcze statusu Rodu, ale gdy tylko nasz profil pojawił się w bazie, Shafferowie rzucili się na niego w ułamku sekundy. Chcę się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

– To dobry powód. Jak każdy inny.

– Jeśli współpracuje z Harcourtem, może wiedzieć, gdzie przetrzymują Briana.

– To logiczne założenie. – Rogan z chirurgiczną precyzją odciął kolejny kawałek mięsa.

– Chciałabym, żebyś obserwował nasze spotkanie.

– Oczywiście. – Zamarł z widelcem w pół ruchu. – Co proszę?

– Będę miała na spotkaniu ukrytą kamerę, przesyłającą obraz na żywo do Berna – powtórzyłam powoli. – Chciałabym, żebyś ty też je oglądał.

Wpatrywał się we mnie bez słowa.

– Spotkanie z Shafferem jest ryzykowne. Dzisiaj w biurze zrobił coś, żeby utrudnić mi rozpoznanie prawdy. Sprawdzał moją magię. Istnieje możliwość, że spróbuje zrobić ze mną to, co ja z Augustine'em, kiedy wyciągnęłam mu z głowy informacje. Jeśli usłyszysz, że zdradzam jakieś poufne informacje albo nieoczekiwanie zaczynam się spowiadać, zadzwonisz do mnie. Mam nadzieję, że dzwonek w razie czego pozwoli mi się wyrwać spod jego wpływu. To oczywiście nie jest pewne, ale...

– Nie miałabyś nic przeciwko, żebym obserwował i podsłuchiwał cię na randce?

– To nie randka.

– Na spotkaniu kolacyjnym?

– Przecież nie prosiłabym cię o to, gdybym miała coś przeciwko – westchnęłam.

Ożywił się jak rekin, który zwietrzył krew.

– A może pójde tam z tobą i usiąde przy innym stoliku?

– Nie.

Zmarszczył brwi.

– Niepokoisz się o swoje bezpieczeństwo. Ja niepokoję się o nie tym bardziej. W ten sposób byłbym blisko, gdyby coś poszło nie tak.

– Nie.

– Czemu nie?

– Bo wystarczy, że Shaffer niewłaściwie odłoży widelec, napadniesz na niego i urzniesz mu łeb jego własną łyżeczką deserową. Albo drobniakami z kieszeni.

– Jaką łyżeczką? Ukręcę mu łeb gołymi rękami.

Dziabnęłam w jego stronę widelcem.

– No to już wiesz, dlaczego musisz dać słowo, że zachowasz bezpieczną odległość.

– Jak dużą?

– Bardzo dużą.

– A dokładniej?

– Rogan, przestań.

Napił się wina. Na twarzy nie drgnął mu nawet mięsień, ale wyraz oczu się zmienił. Pojawiła się w nich czujność.

– Sturm – powiedział cicho.

Zebrałam magię i wypuściłam, otaczając nią stolik.

Zbliżał się do nas wysoki, szczupły mężczyzna. Ciemnobrązowe włosy okalały bladą twarz o brązowych oczach, sięgając prawie na kark. Z pewnością golił się rano, ale zarost już zaczął ocieniać jego szczęki. Nie wydał się tym przejmować. Miał atrakcyjne rysy, ale nie był przystojny. Twarz Augustine'a była doskonale piękna, Rogana emanowała mocą, a w obliczu Sturma przejawiało się skupienie. Z pewnością był człowiekiem, który potrafił cierpliwie planować i obmyślać strategię. A oczy mówiły, że potrafi bezwzględnie wprowadzać je w czyn. Nie dało się na niego nie patrzeć, przyciągał jak magnes. Włączył w moim mózgu jakiś instynktowny alarm, który ostrzegał o niebezpieczeństwie i kazał nie spuszczać z niego oka.

– O, Rogan! Ty tutaj? A to zabawny zbieg okoliczności. I co za niespodzianka. – Mówił z lekką chrypką. Taki głos miałyby wilk w ludzkiej skórze. Cierpliwie, bezwzględny, zmyślny wilk.

– Witaj, Sturm – rzucił Rogan tak obojętnie, jakby na całym świecie nie było nic bardziej mu obojętnego.

Sturm usiadł na dodatkowym krześle. Upiłam wina i poruszyłam moją magią, nitką po nitce oplątując Sturma.

– A już myślałam, że schowałeś się gdzieś w jakiejś pustelni – podjął Sturm. – Bohater wojenny, o duszy napiętnowanej po wsze czasy, unikający nas, zwykłych śmiertelników. A tu proszę, zajadasz się stekiem we Flandersie. I nawet porządnie ubrany. A twoja towarzyszka ma na sobie Egejską Łzę. Jakże się myliłem.

Egejska Łza?

– Założenia bywają niebezpieczne – skwitował Rogan.

– Zaiste. Człowiek czasem zakłada, że ma rację, a nagle okazuje się, że stoi po złej stronie historii. – Sturm uśmiechnął się swobodnie. – Cieszę się, Rogan, że potrafisz jeszcze doceniać przyjemną stronę życia. W końcu to właśnie oznacza bycie Magnusem. Wygoda. Bogactwo. Moc.

– Obowiązek – dopowiedział Rogan w tym samym tonie.

– Nudziarz z ciebie. – Sturm przewrócił oczami. – A co pani sądzi na ten temat, pani Baylor?

– Miłe wnętrze. Doskonały kotlet. Wino również wyborne.

Sturm uśmiechnął się drapieżnie, odsłaniając kły.

– Kotlet. A to dobre. Jest pani przeurocza.

– A jestem. Zna pan może Vincenta Harcourta, panie Sturm?

– Oczywiście.

Mocniej zacisnęłam wokół niego pasma magii.

– Nie wydaje się panu nieco nieobliczalny? Tak, że może zniszczyć starannie obmyślony plan, bo nie potrafi stosować się do poleceń?

Surm roześmiał się tym swoim wilczym śmiechem.

– Status waszej rodziny jako Rodu nie został jeszcze potwierdzony, a pani już tak świetnie gra w tę grę. Nieprawdaż, Rogan?

Rogan tylko napił się wina.

– A ludzie z naszą pozycją muszą świetnie grać, Rogan z pewnością to potwierdzi. Inaczej mogliby wszystko stracić. Ludzi, którzy dla nich pracują, bliskich, ukochanych. Nagle można obudzić się w małym bunkrze, targanym huraganem losu. Czasem jednak strata to sprawa pokoleniowa. Jak się ma twój kuzynek, Gavin?

Rogan uśmiechnął się, a szyba w oknie pękła z dźwięcznym brzękiem. Ten uśmiech wieszczęł śmierć. Dotknęłam palcami dłoni Rogana.

– Przestań, proszę.

– Och, jakący wpływ kobiety. Cóż my, mężczyźni byśmy bez niego zrobili?

– Niektórzy mężczyźni są zbyt niewrażliwi, żeby dostrzec zbliżające się niebezpieczeństwo, panie Sturm. A bywają też tacy, którzy gotowi są zabić, nie bacząc na konsekwencje. Ci mniej wrażliwi powinni pamiętać, że nic im po konsekwencjach, jeśli będą martwi.

Sturm zerknął na okno. Siatka pęknięć zarysowała się w ostre szklane drzazgi. Gdyby spadły, mogłyby pociąć go na kawałeczki, szczególnie gdyby kierował nimi potężny telekineta.

– Chyba zbyt długo tu zabawiłem.

– Ależ skąd – zaprotestował Rogan. – Zostań. Pokonwersujemy. Nadrobimy zaległości.

– Wybacz, ale będę leciał. – Sturm podniósł się z krzesła. – Pomyśl o tym, co powiedziałem, Rogan. Nie jest jeszcze za późno, by stanąć po właściwej stronie. – Odwrócił się i oddalił.

– Co mam na szyi, Rogan?

Skrzywił się, jakby zabolał go ząb.

– Lśniący kamyk.

Prawda. Tak? Jak sobie chcesz. Wyjęłam telefon i wstukałam w wyszukiwarkę „Egejska Łza”.

Egejska Łza, diament o wadze jedenastu i dwóch dziesiątych karata, w odcieniu niebieskozielonym, o wysokim nasyceniu barwy (fantazyjny-intensywny), został niedawno znaleziony we wraku statku zatopionego u wybrzeży miasta Argos. Egejska Łza jest jednym z trzech znanych diamentów o niebieskozielonym wybarwieniu, poza Rajem Oceanu oraz Snem Oceanu, co czyni z niego jeden z najrzadszych diamentów na świecie. Kamienie w odcieniu zieleni są powszechne wśród wytwarzanych syntetycznie lub wybarwianych sztucznie, lecz w naturze występują niezwykle rzadko. Egejska Łza została ostatnio sprzedana prywatnemu kolekcjonerowi za kwotę szesnastu milionów ośmuset tysięcy dolarów.

Zadławiłam się powietrzem.

– Zamawiamy deser? – zapytał Rogan.

– Nie – wydusiłam słabo.

Kelnerka pojawiła się, jakby ją przywołał.

– Chcemy zapłacić – zwrócił się do niej Rogan. – Proszę dopisać do rachunku okno.

Wsiadliśmy do samochodu i Rogan ruszył przez otulone nocą miasto.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Bo cię kocham.

– Siedemnaście milionów...

Milczał. Światła Houston przesuwają się za szybami.

– Chciałem pokazać ci lepszą stronę posiadania potężnej magii. Błaski bycia Magnusem.

– Takie jak oświadczyń obcej kobiety czy może porywacz w garniturze od Armaniego, który przysiadł się, żeby nam grozić? – Hm. No dobrze. To było nie fair.

– Od Garena odróżniał ją tylko brak doświadczenia. Dziewczyna wyrobi się z czasem.

– Garen do mnie nie uderzał.

– Ale to robi.

Skwitowałam jego upór westchnieniem.

– Chciałem, żebyśmy ten wieczór spędzili tylko we dwoje – powiedział Rogan. – Żadnej śmierci, krwi, Rodowej polityki. Tylko ty i ja.

A zamiast tego mieliśmy korowód obcych ze Sturmowym akcentem na końcu. A ja mu to wypomniałam. Och, Connor.

– Naprawdę, może być miło i spokojnie – przekonywał. – Teraz prowadzimy wojnę, ale nie zawsze tak będzie.

Skręcił w naszą ulicę.

– Muszę podskoczyć do domu – powiedziałam.

Zajechał płynnie pod magazyn. Sięgnęłam do naszyjnika, chcąc go zdjąć.

– Nie – zaprotestował głosem niedopuszczającym sprzeciwu.

– Nie mogę. To zbyt kosztowny prezent.

– Kupiłem ten naszyjnik dla ciebie – powiedział.

Podejrzewałam, że jeśli oddam mu Egejską Łzę na siłę, wyrzuci ją przez okno i odjedzie w siną dal. Widziałam to po jego minie.

– Dobrze. Nie czekaj na mnie. Zejdzie mi.

Zacisnęła szczękę.

Wysiadła i weszła do domu.

Mama i babcia nadal siedziały w kuchni, rozmawiając o czymś przyciszonymi głosami. Na mój widok zamilkły.

Zdjęłam naszyjnik i położyłam go na stole.

– Ooo, błyskotka – zagruchała babcia. – Śliczny. Co to?

– Siedemnaście milionów.

Klapnęłam bezsilnie na krzesło. Obie gapiły się na mnie wielkimi oczami.

– Siedemnaście... – wykrztusiła mama, odzyskując głos.

– To zielononiebieski diament, jeden z trzech takich na całym świecie. Usiłowałam go oddać, ale bez powodzenia. Na razie go zatrzymamy, przechowamy gdzieś i oddam, kiedy Rogan poczuje się lepiej, dobrze?

– Oświadczył się, a ty mu odmówiłaś? – jęknęła babcia.

– Nie. Nie oświadczył się. To prezent gwiazdkowy. Na kolacji było miło. – Przecież to nie wina Rogana, że Sturm zrujnował nam końcówkę.

Mama potarła skronie.

– Gdzie mamy go schować? Przecież nie mamy w domu sejfu?

– Może w kasetce na broń? Mam jedną wolną. Nevada może ją trzymać u siebie w pokoju.

– Dobrze. I proszę, nie mówcie o tym dziewczynkom. – Jeszcze tego brakowało, żeby zaczęły wstawiać na insta selfie w Egejskiej Łzie. Wstałam i zajrzałam do lodówki. Jajka, słodka śmietanka, masło... Gdzieś w szafce mieliśmy chyba czekoladę.

– Co robisz? – zainteresowała się mama.

– Mus czekoladowy.

– O tej porze? – zdziwiła się babcia.

– Tak.

Pół godziny później, kiedy diament leżał już w kasetce pod moim łóżkiem, złapałam torbę, wrzuciłam do niej laptopa, paczkę płatków kosmetycznych i wyciągnięty z prania ulubiony T-shirt do spania, wzięłam z kuchni blaszkę z sześcioma filizankami wypełnionymi musem, pudełko z ubitą śmietanką i pomaszero wałam do kwatery głównej Rogana.

Pluskwa siedzący przy swoim stanowisku rozpromienił się na mój widok.

– Cześć!

– Cześć. Jak tam, coś nowego?

– Nie dzwoniли. Co tam masz?

– Mus czekoladowy.

– Po co?

– Dla Rogana. Dobranoc.

– Dobranoc.

Wspięłam się po schodach i nacisnęłam klamkę. Drzwi się poddały. Kiedy weszłam, Rogan siedział przy biurku z twarzą oświetloną padającym z ekranu blaskiem. Miał na sobie spodnie od dresu i biały T-shirt. Był boso. Rogan w trybie spoczynku – odprężony, zmęczony i niesamowicie seksowny.

Odwrócił się, a na jego twarzy odmalowało się autentyczne zaskoczenie na mój widok. Najwyraźniej nie spodziewał się, że przyjdę. Pewnie myślał, że jestem na niego zła. Głupi, głupi osioł.

Podeszłam do podręcznej lodówki, którą odkryłam poprzedniego dnia, szukając czegoś do ubrania, i włożyłam mus. Blacha ledwo się zmieściła, ale się udało. Weszłam do garderoby, zrzuciłam buty, zdjęłam pończochy, sukienkę i biustonosz. Nareszcie! Nie ma to jak zdjąć przed snem biustonosz. Czysta przyjemność. Założyłam T-shirt i podeszłam do umywalki, żeby zmyć z siebie barwy wojenne. Trochę to potrwało. Czułam przyjemny chłód posadzki pod stopami. Co za rozkosz po dwóch godzinach ściskania palców w szpilkach.

W końcu, z odzyskaną twarzą i umyтыми zębami, wzięłam laptopa i wskoczyłam na łóżko, podsuwając się, żeby oprzeć się wygodnie o zagłówek. Przez ostatnie półtora tygodnia nie miałam czasu, żeby odebrać maile. A czekały na mnie sprawy, których nie mogłam dłużej odkładać, jak rachunki.

Chwilę później Rogan wstał z za biurka i zajrzał do lodówki.

Cisza.

Z wysiłkiem skupiłam się na korespondencji. W ciągu dziesięciu dni powinno przyjść jakieś jedno, dwa zapytania o zlecenie, ale nie było żadnego. Houston czekało na wynik testów. Porażka oznaczałaby potężny cios dla naszej firmy. Nie wiem, czy zdołalibyśmy się po czymś takim podźwignąć. Kolejny stres, bo przecież brakowało mi go ostatnio.

Mail od Berna.

Może coś będę dla Ciebie miał. Odezwę się rano.

No to nie było zagadkowe. Wcale.

Email od Rivery? Dziwne.

Dobry wieczór. Prosiła Pani o informację, jak tylko Sherwood się ocknie. Wybudził się. Eskortowałem wieczorem Ryndę do szpitala, chciała go odwiedzić. Sherwoodowie mają nowego szefa ochrony, pilnują Edwarda przez całą dobę.

Znów mnie odcięli. Idioci. Odpisałam szybko z podziękowaniem.

Rogan przyszedł do łóżka i usadowił się obok mnie. Usiadł po turecku, z laptopem przed sobą i filiżanką musu w ręce. Nałożył sobie na wierzch małe Himalaje bitej śmietany.

– Jeszcze nie stężał – zauważyłam.

– To nic.

Na ekranie jego laptopa widać było zdjęcie żółtej kartki, takiej jak z notesu. Była zapisana odręcznie równym, pięknym pismem.

– Co to? – zapytałam.

– Notatki ojca. – Rogan wsadził sobie pełną łyżeczkę musu do ust i przez chwilę smakował deser z rozkoszą. – Prowadził teczki dla każdego, kto stanowił dla niego potencjalne zagrożenie. Ta jest na temat Sturmów. Mówiłaś, że nie gotujesz?

– Bo nie. Ale dlatego, że nie mam na to czasu, a nie dlatego, że nie potrafię przyrządzić kilku potraw.

Przysunęłam się bliżej Rogana i wróciłam do przeglądania skrzynki. Poczułam, jak jego palce muskają mi plecy. Nawet nie podniósł głowy, sprawdzał tylko, czy jestem przy nim.

– Zdałam sobie sprawę, że tak to właśnie może wyglądać. Że moglibyśmy wracać do domu każdego wieczoru, razem.

Nasze życie nie musiało się składać z wojen i kolacji w eleganckich restauracjach.
Mogło być też tak, zwyczajnie. Cudownie.



Siedziałam w kuchni Rogana, popijając kawę i przegryzając ją kolejnym bombolkiem. Lukrowa skorupka pękała pod moimi zębami, a potem rozplywała się w ustach. Niezbyt zdrowe śniadanie, ale miałam to w nosie.

Naprzeciwko Rogan pił swoją kawę. Kiedy skończyliśmy aktywności zawodowe, Rogan uznał, że przed snem przyda nam się dla odmiany trochę aktywności fizycznej. Był niezwykle przekonujący. W sumie po tym wszystkim pospałabym jeszcze z godzinę, ale oto siedziałam ubrana w nieformalny strój biznesowy, czyli dżinsy, koszulkę i luźny sweter, pod którym nie było widać broni – i wlewałaam w siebie kofeinę.

Serducho, Rivera i Pluskwa skupili się wokół wyspy i prowadzili ciche pogaduszki.

– Jak tam obserwacja? – zapytał Rogan.

Umilkli. Pluskwa odchrząknął nieco nerwowo.

– Ani śladu sukinsyna Harcourta. Przyczał się. Pilnuje domu rodziców. Żadnych podejrzanych aktywności. Brian nigdzie nie wypłynął.

– A Sturm?

– Po wyjściu z restauracji wrócił do domu i nie wychodził.

– A Victoria Tremaine?

Pluskwa pokręcił głową.

– Jeśli jest w ruchu, nie widzę jej.

Mało prawdopodobne, żeby Briana przetrzymywano w domu Sturma. Zbyt oczywiste i obciążające, gdyby jego obecność tam wyszła na jaw. Pewnie ukryli go gdzie

indziej. Ale Vincent mógł siedzieć u Sturmów, bo na miejscu Sturma po ostatnim wybryku Harcourta wolałabym mieć go na oku.

– Jak umocnienia?

– Kazałem ludziom pociągnąć dodatkowe piorunochrony – powiedział Serducho. – Ale nie możemy zbyt wiele zrobić, żeby zabezpieczyć się przeciwko huraganowi. Budynek jest solidny, podpiwniczony, podobnie jak dwa pozostałe, w których skoszarowaliśmy ludzi. Mamy trzy piwnice pełne zapasów medycznych, wody i racji. Zakładamy wzmocnione drzwi. Wdrożyliśmy i ćwiczymy procedury ewakuacyjne.

– A magazyn? – zapytał Rogan.

– Jest porządnie posadowiony, zakotwiczony w gruncie, a stalowe ściany pręcej się wygną, niż pękną – odpowiedział Serducho. – Technicznie rzecz biorąc, takie budynki mają w założeniu przetrwać wichry do dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jeżeli zapytać producentów stali, powiedzą, że są ludzie, którzy w tego typu budynkach przetrwali F4. Ale nikt nie wie, co się stanie, jeśli Sturm przytrzyma nad nim tornado przez jakiś czas.

Jeśli Sturm zawiesi nad nami tornado, zgniecie nas jak pustą puszkę po coli.

– Potrzebujemy schronu – powiedziałam.

– Tak – zgodził się Serducho. – Tyle że to nie takie proste. Najlepszy schron przeciwhuraganowy to taki, który znajduje się pod ziemią, jednakże zbudowanie go wymagałoby projektu i ostrożnej budowy, ponieważ konstrukcja musiałaby wytrzymać ciężar ziemi oraz magazynu stojącego nad nim. Na to trzeba czasu, a my go nie mamy. Inną opcją jest budowa schronu we wnętrzu magazynu, jednak w środku znajduje się warsztat z ciężkimi pojazdami, które uniesione wichrem, zmieniłyby się w pociski, zdolne zmieść całe wnętrze magazynu łącznie ze schronem.

– Czyli w razie czego musimy uciekać do waszych piwnic – podsumowałam.

– Tak – przytaknęli sierżant i Rogan jednocześnie.

– Świetnie.

– I Sturm, i ja jesteśmy magami ofensywnymi – rzekł Rogan. – Obrona to nasza słaba strona, dlatego przewagę zdobywa ten, który zaatakuje pierwszy.

A my nie mogliśmy zaatakować pierwsi. Nie mieliśmy twardych dowodów ani uzasadnionej przyczyny. Zresztą Sturm też nie powinien być agresorem, o ile zamierzał podtrzymać swój nieskazitelny wizerunek. Z jego strony też byłyby to niesprowokowana napaść. Pytanie brzmiało, kto pęknie pierwszy.

– Instalujemy system wczesnego ostrzegania – powiedział Rivera. – Sturm może wzbudzić tornado za pomocą magii, ale nie jest w stanie ukryć spadku ciśnienia i ruchu powietrza. Mamy już kilka gotowych syren.

– Dzisiaj wprowadzę we wszystko twoją matkę – obiecał Serducho.

Mój telefon zapiszczał, oznajmiając nadejście wiadomości. Od Leona.

Przyszedł Fullerton.

– Muszę iść. – Zeskoczyłam z wysokiego krzesła, opłukałam kubek w zlewie i odstawiłam na suszarkę. Kiedy mijałam Rogana, złapał mnie. Nie wyrывałam się.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał.

– Będę dalej szukała. Czas się kurczy, jutro musimy mieć okup dla porywaczy.

– Gdzie dzisiaj będziesz? – zapytał bardzo ogłędnie i ostrożnie.

– Teraz idę do magazynu, mam się spotkać z Fullertonem, potem pojadę do szpitala i spróbuję wypytać Edwarda. W zależności od tego, co mi powie, możliwe, że zostanę

poza domem trochę dłużej. Będę improwizowała. Ale muszę wrócić do domu o odpowiedniej porze, żeby przygotować się na spotkanie z Garenem.

– A jeśli chodzi o to, co pytałaś, to są trzy – wtrącił Pluskwa. – Ale tylko jedna daje dobry widok na ulicę.

Mówił o kamerach monitoringu skierowanych na Memorial Drive. No proszę, robiło się coraz ciekawiej.

– O co chodzi? – zainteresował się Rogan.

– Wyjaśnię ci, jak będę miała coś konkretnego. – Gdybym teraz podzieliła się z nim swoimi podejrzeniami, mógłby iść z nimi do Ryndy, a wolałam być stuprocentowo pewna, zanim zrzucimy jej na głowę taką bombę. – Będę wiedziała więcej po rozmowie z Edwardem.

– Może weźmiesz wsparcie? – zaproponował.

– Nie. Nie mogę biegać po mieście w towarzystwie uzbrojonych ochroniarzy. – A szczególnie jeśli byłiby ochroniarzami Rogana.

– Lepiej dmuchać na zimne – włączył się Serducho rozsądnie. – Co szkodzi mieć przy sobie paru uzbrojonych ludzi?

– Nevada nie chce, żeby widziano ją z moimi – domyślił się Rogan. – Wszyscy teraz na nią patrzą. Ród Baylorów musi powstać jako niezależny Ród, nie opierać się na innych.

– Myślałem, że wszystko już ustalone? – zdziwił się sierżant.

– Nie. – Rogan prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

– Proszę wybaczyć. Opacznie zrozumiałem sytuację.

O czym oni, do licha, gadali?

– Wezmę ze sobą Corneliusa – obiecałam. O ile uda mi się oderwać go od Zeusa, dodałam w myślach.

Widziałam po minie Rogana, że nie jest zachwycony.

– Przecież babka nie zaatakuję mnie otwarcie. Nie po tym, jak załatwiłeś Dave'a. Sturm dał nam dwie doby. Staram się znaleźć coś, na czym mu zależy, więc w jego interesie leży, żeby mi tego nie utrudniać, a wątpię, żeby puścił teraz Vincenta samopas. Porwanie mnie z ulicy byłoby ryzykowne i całkiem pozbawione sensu. I tak ma już kartę przetargową, której potrzebuje. Poza tym Pluskwa będzie miał na mnie oko i uprzedzi mnie, gdyby działo się coś dziwnego.

Wszystko, co mówiłam, brzmiało rozsądnie i logicznie, ale w przypadku Rogana było jak rzucanie grochem o ścianę. Musiałam przekierować jego uwagę, zanim wymyśli jakiś kreatywny sposób na pilnowanie mnie i przy okazji sparaliżuje mi śledztwo.

A najlepszą obroną jest atak.

– A ty gdzie dzisiaj będziesz?

– Jadę do Austin, mam spotkanie z Rodem Ade-Afefe.

No tak. To wyjaśniało jego nadopiekuńczość. Będzie poza miastem, więc jeśli coś się stanie, nie będzie mógł natychmiast się przy mnie znaleźć i wymordować wszystkich w zasięgu wzroku.

– Co to za Ród?

– Magowie aury. To bardzo potężny Ród. Robiliśmy już wcześniej interesy. Chcę ich poprosić o pomoc. Upatrzyłem sobie jedno z nich, ale wątpię, żeby mi się z nią udało, więc zadowolę się każdym, kogo mi dadzą. O ile w ogóle zechcą pomóc. Wrócę na kolację.

Magnusowie nie robili niczego za darmo.

– Ile cię to będzie kosztowało?

Przez jego twarz przemknęło znużenie, ale było tak ulotne, że umknęłoby mi, gdybym akurat na niego nie patrzyła.

– Koszty to nic w porównaniu do tego, że będę musiał im wszystko dokładnie wyjaśnić. I muszę to zrobić osobiście.

To oznaczało poinformowanie Rodu Ade-Afefe o istnieniu spisku i wiązało się dla nich z obraniem strony. A ta decyzja należała do ostatecznych. Albo się opowiedziało po stronie cezara, albo przeciwko niemu. Tak czy siak, pierwszy wybór nigdy nie zostanie zapomniany. Co to powiedział Sturm wczoraj w restauracji? Że człowiek czasem zakłada, że ma rację, a nagle okazuje się, że stoi po złej stronie historii. Historię piszą zwycięzcy. Przekonanie Rodu Ade-Afefe nie będzie łatwym wyzwaniem.

– Chcesz, żebym jechała z tobą? – zaproponowałam.

– Nie.

No tak, w sumie zabranie wnuczki Victorii Tremaine na niezwykle delikatne negocjacje nie zaskarbiłoby Roganowi przychylności żadnego Rodu. Byłby to wyraźny sygnał, że nie ufa drugiej stronie i chce, żebym zaalarmowała go, jeśli skłamię. Moja obecność zniweczyłaby kruche pozory zaufania, niczym kula burząca szklany dom.

– Jasne. Gdybym mogła jakoś pomóc, daj znać.

Nadal obejmował mnie ramieniem i nie wyglądało na to, że zamierza mnie puścić. Spoglądał na mnie przepełnionymi mocą oczyma, bystro i z troską.

– Fullerton czeka – przypomniałam delikatnie.

– Poczekaj. – Rogan sięgnął po laptopa. – Muszę ci coś pokazać.

Już miałam odpalić, że nie raz słyszałam od niego ten tekst, ale wokół było za dużo ludzi.

Kliknął ikonę jakiegoś pliku i na ekranie zaczął odtwarzać się film. Moja mama leżała na wykładzinie w jakimś pomieszczeniu. W rękach trzymała swój karabin, kierując lufą w niewielką, okrągłą dziurkę w szybie. Obok niej leżał Leon, a za oknem w oddali majaczył budynek Harcourtów.

– Trzeci alfa, na trzeciej, dziesięć mili – powiedział Leon.

Gra sektorowa. Pamiętam, jak bawiliśmy się w nią w kuchni, kiedy byłam dzieckiem. Dzieliło się pole widzenia na sektory wyznaczone punktami odniesienia. Od drzwi do stołu – sektor pierwszy. Od lewego krańca stołu do środka blatu – sektor drugi, od środka do prawego brzegu – sektor trzeci. Potem należało zrobić to samo na linii w głąb pola. Od stołu do wyspy – sektor alfa. Od wyspy do lodówki – sektor bravo. Potem mama nam wywoływała różne przedmioty, a my podawaliśmy ich dokładną lokalizację. Sól stojąca z lewej strony blatu stawała się solą na „drugi alfa na dziewiątej”. Kiedy podrośliśmy, mama zabrała nas na strzelnicę i gra przeszła na wyższy poziom.

To, co było grą, Leon robił na filmie w rzeczywistości.

– Mam – odpowiedziała mama. – Drugie okno od lewej. Brak celu.

– Prawy dolny róg. Nieco bardziej na lewo. Jeszcze odrobinę.

Leon łamał protokół, nie tak nakierowywało się snajpera na cel.

– Jeszcze trochę.

Powinien powiedzieć, żeby sprawdziła paralaksę, a po odczycie powinna podać mu wartość mil, żeby wprowadził to do komputera balistycznego. Potem on powinien podać jej na głos wynik, poczekać, aż zgłosi gotowość, i określić wiatr. Ale nic takiego nie robił. A mama nie reagowała...

– Teraz – powiedział Leon, a mama pociągnęła za spust. Okno się rozprysnęło.

Leon zaśmiał się pod nosem.

– Trafili? – zapytałam.

– Z tego, co udało nam się ustalić, kula trafiła w coś w środku, odbiła się pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni i zdjęła strzelca po drugiej stronie – powiedział Rivera. – Leon potrafi strzelać za róg, autentycznie. Dzieciak jest czarodziejem.

– Drugi bravo na szóstej – powiedział Leon. – Trochę na lewo.

Mnie takie „trochę na lewo” nie uszłoby płazem.

Zaraz. Przecież na strzelnicę chodziliśmy wszyscy, łącznie z Leonem. Czyli mama wiedziała. Wiedziała pierwsza o jego magii. Nie mogła tego nie zobaczyć na strzelnicy. A to znaczy, że nie powiedziałam jej niczego nowego, kiedy przyszedłam do niej z moją rewelacją na temat magii Leona.

Glupia ja. O, już ja sobie porozmawiam z tą moją mamą.

Kolejny odgłos strzału na filmie.

– Ile mieli potwierdzonych trafień? – zapytałam.

– Trzynaście – odpowiedział Serducho. – Ale trudno policzyć dokładnie, bo jak Rivera wspomniał, twój kuzyn trafia poza linią strzału, w ludzi w zupełnie innych pomieszczeniach. Twoja mama wystrzeliła dwadzieścia jeden naboju, a kuzyn uśmiechnął się siedemnaście razy, więc naszym zdaniem, zdjęli siedemnaście osób.

Leon uśmiecha się, kiedy zabija ludzi. Wetchnęłam ciężko, pocierając twarz.

– Może jakaś terapia mu pomoże...

Czterech mężczyzn patrzyło na mnie jak na niebieskiego słonia.

– Co? – oburzyłam się. – Uśmiecha się, kiedy zabija ludzi! Uważa, że to zabawne!

– Jeśli stałby obok mnie podczas strzelania, mógłby się śmiać do woli – mruknął Rivera.

Rogan łypnął na niego znacząco i Rivera zamknął paszczę.

– On nie śmieje się dlatego, że kogoś zabija – zaprzeczył Rogan łagodnie. – Cieszy się, bo wreszcie używa swojej magii. Do tego się urodził. W chwili gdy kula dociera do celu, nie czuje się w końcu mały, słaby czy bezużyteczny, ponieważ to, co robi, jest skuteczne. Odczuwałby taką samą radość, gdyby trafiał w worki piasku. Przypomnij sobie, jak ty się czułaś, kiedy pierwszy raz stanęłaś w kręgu amplifikacyjnym.

Kiedy posłałam w krąg moją magię, a ona wróciła, przepeliniająca mnie, dwukrotnie silniejsza, czułam się, jakbym właśnie nauczyła się latać. A Leon tak bardzo pragnął posiadać jakąś magię. I nie zdawał sobie sprawy, że ją ma.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Sama go zapytaj.

– Zapytam.

– Zabierz dzisiaj Leona ze sobą – zaproponował, zamykając laptopa.

– Chyba żartujesz? Mam zabrać ze sobą dziecko na wypadek strzelaniny?

– Rozważ to, proszę.

– Dobrze, rozważę.

Rogan przyglądał mi się uważnie, a magia wypromieniowała z niego, otulając mnie, jakby nie chciał mnie puścić.

– Uważaj na siebie – powiedział smok.

– Zabiorę ze sobą moją tarczę i miecz – mruknęłam, całując go w usta, po czym ruszyłam ku schodom na dół.

Rynda stała na stopniu tuż za ścianą. Ruszyła nagle, jakby nieprzerwanie wchodziła na górę, ale nie słyszałam wcześniej jej kroków. Nie, czekała, aż wyjdę.

– Jak się masz? – zapytałam.

- Nadal nie ma mojego męża.
- Pracuję nad tym.
- Wiem.

Ponieważ wymiana zdawała się zamknięta, wyminęłam ją i zesłam na parter.

Na ścianie przy otwartych wrotach ktoś powiesił telewizor. Przed ekranem leżał rozłożony Sierżant Miś, a pomiędzy jego łapami wygodnie rozpierała się Matylda z michą mieszanki studenckiej. Obok o niedźwiedzia opierali się Jessica i Kyle. Przetarłam oczy, sprawdzając, czy nie śnię.

Bajkowy Niedźwiedź z Wielkiego Niebieskiego Domu wyśpiewywał właśnie piosenkę o sprzątanui. Matylda nabrała garść suszonych jabłek z miski, Sierżant Miś otworzył pysk, a dziewczynka wsadziła mu owoce do paszczy. Wielki grizzly przeżuwał smakołyk, a dzieci zadowolone oglądały bajkę.

Zrobiłam im zdjęcie komórką i poszłam do domu.

...

Fullerton czekał w moim biurze, tak samo chudy i ponury, jak go zapamiętałam. Przestałam nucić pod nosem „Dalej wszyscy, posprzątajmy dom”, skinęłam mu przez szybę, wyjęłam z lodówki pojemnik chłodniczy i zabrałam go do gabinetu.

– Otrzymałem prośbę Rodu Sherwoodów – powiedział. – Konkretnie od Ryndy Sherwood. Poprosiła mnie o pełną współpracę z panią i zaangażowanie.

Pokazałam mu zawartość pojemnika.

– Czy mógłby pan zsekwencjonować DNA tego ucha i ustalić, czy należy ono do Briana Sherwooda?

- Tak. – Fullerton spojrział na mnie z zadumą. – Rozumiem, że liczy się czas?
- Owszem.

– Potrzebuje pani potwierdzenia czy analizy, która może stanowić dowód w sądzie?

– Wystarczy potwierdzenie.

Fullerton podciągnął rękaw marynarki, przytrzymał rozpostartą dłoń nad uchem z pojemnika. Poczulałam impuls jego magii. A potem cofnął rękę i opuścił rękaw.

– To ucho nie należy ani do Briana Sherwooda, ani do żadnego członka jego rodziny.

Wiedziałałam!

– Jest pan pewien?

– Nigdy się nie myłę.

– Bardzo dziękuję. Proszę przysłać mi rachunek.

– Oczywiście.

– Czy były jakieś nowe zapytania o mój profil?

– Nie, natychmiast byśmy panią o tym powiadomili. Czy czeka pani na wniosek od kogoś konkretnego, pani Baylor?

– Tak. Od Roganów.

Fullerton przyjrzał mi się z uwagą.

– Poza oczekiwaniem na otrzymanie zapytań można również samemu składać wnioski. Odpowiedź nie zostanie udzielona przed otrzymaniem oficjalnego statusu Rodu, ale złożyć można już teraz. Dobranoc, pani Baylor.

Odprowadziłam go do wyjścia, a potem zapakowałam ucho z powrotem do pojemnika i poszłam do gabinetu Corneliusa. Nie było go tam.

Mogłam ubiegać się o udostępnienie profilu Rogana.

A co, jeśliby mi odmówił?

A co ważniejsze, czy naprawdę zależało mi na dowiedzeniu się, czy nasze geny są zgodne, czy pragnęłam jego bez względu na wszystko?

Tak, pragnęłam tylko Rogana.

Wróciłam do siebie i sprawdziłam laptopa. Berna nie było w sieci domowej. Wcisnęłam guzik interkomu.

– Czy ktoś wie, gdzie jest Bern?

– Pojechał z Corneliusiem coś sprawdzić – odpowiedział Leon.

– A reszta gdzie?

– Ciocia pomaga babci w warsztacie. A piekielna despotka i wcielenie czystego zła są w pokoju piekielnej despotki.

Despotka i Zło. Ktoś tu się popstrykał.

– I co tam robią?

– Nie chcą powiedzieć. Jakaś afera na Instagramie. Sprawdziłam ich profile, ale nic nie widzę.

Aha. Leon był strasznie ciekawski. Dziewczyny doprowadzały go do szału, odcinając od informacji.

Wszyscy byli zajęci. Poza Leonem. Może to znak? Westchnęłam.

– Przyjdź do gabinetu.

– Po co?

– Powiem ci na miejscu.

Otworzyłam mały sejf ukryty w dolnej szufladzie biurka i wyjęłam z niego mojego siga i magazynek.

Leon przywłókł się do gabinetu i opadł na fotel niczym wcielenie nastoletniej melancholii.

Pokazałam mu magazynek.

– Osiem kul, dziewięć milimetrów.

Zabłyśły mu oczy. Pochylił się do przodu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w broń.

– Ręczne zabezpieczenie, gwintowana lufa. To starszy model, ale solidny, niezawodny i celny. Używał go mój tata i ja, na początku.

Pchnęłam ku niemu siga i magazynek. Zmiotł je z biurka, dobił zasobnik i wycelował w korytarz, wszystko mgnieniu oka. W jednej chwili pistolet był na blacie, w następnej miał go w ręce.

– Załatw sobie kaburę. I luźniejszą bluzę na zamek, żeby broń się nie odznaczała pod ubraniem. Muszę wyjść, będziesz moim wsparciem.

Zerwał się z fotela i już go nie było. Pewnie popełniałam błąd. Leon miał skończyć siedemnaście lat za niecałe dwa tygodnie, niedługo po osiemnastych urodzinach Cataliny, która miała swoje obchodzić za trzy dni. Jeszcze musiałam jednemu i drugiemu kupić prezent. Catalina miała przechodzić testy magii dokładnie w swoje urodziny. Tegoroczne ferie świąteczne nam się nie udały. Najpierw wigilia, teraz jej urodziny, a jeszcze ta sprawa z Leonem. Ech.

Za rok Leon będzie się mógł zaciągnąć. W wojsku i tak dostałby broń. A za półtora roku mógł być już na jakimś polu bitwy i zabijać. Pomiędzy siedemnastymi

a osiemnastymi urodzinami nie zachodziła żadna magiczna przemiana. Niby po osiemnastce człowiek był nagle dorosły, ale tak się nie czuł.

Czas, żeby Leon się dowiedział. Nie dało się go wiecznie chronić.

Wysłałam wiadomość do Berna.

Gdzie jesteś?

Sprawdzamy trop z Corneliusem. A ty?

Pytanie o trop rozpoczęłoby reakcję łańcuchową wyjaśnień, a znając Berna, zacząłby od dzisiejszego ranka i następne dwadzieścia minut przeprowadzał mnie przez logiczne procesy myślowe, których efektem był ów trop.

Idę do szpitala porozmawiać z Edwardem. Biorę Leona. Uważajcie na siebie.

Jasne.

Napisałam też do Arabelli.

O co chodzi z tobą i Cataliną?

Alessandro Sagredo zaczął obserwować Catalinę na Insta. Zwariowała.

Kim, u licha, jest ten Sagredo i czemu to nazwisko wydawało mi się znajome?

Przyciągnęłam laptopa i wpisałam imię i nazwisko. Alessandro Sagredo, młodszy syn Sagredów, antystatyk, Magnus... Ach, to ten Magnus, którego Biuro Rejestru poprosiło o przyjazd na testy Cataliny.

I co z tego? Wielkie rzeczy. To ten gość od testów. Niech wyluzuje.

Lina świruje. Nie wiem, jak ją uspokoić. Może winem? Albo ziołem? Mogę kupić trawkę?

Nie.

To środek medyczny.

Żadnej trawki, bo powiem mamie.

Leon wrócił w obszernej niebieskiej bluzie z kapturem. Był szczupły, prawie chudy, więc bluza wisiła na nim jak worek. Mógłby pod nią ukryć bazukę i nikt by nie zauważył.

Spojrzałam na niego surowo.

– Idziesz jako moje wsparcie. Nie spodziewam się żadnych kłopotów. Jeśli strzelisz bez pozwolenia, już nigdy cię ze sobą nie zabiorę i dopilnuję, żebyś nawet nie zbliżył się do broni przez kolejne półtora roku. Rozumiemy się?

Leon przytaknęła, żarliwie kiwając głową.

– W porządku.

Szef ochrony Edwarda Sherwooda przypatrywał mi się z niechęcią. Krępy, umięśniony, i tak wyglądał, jakby mógł sforsować ścianę, a teraz starał się robić wrażenie jeszcze groźniejszego. Przemknęło mi przez głowę, że może powinnam skulić się pod jego wzrokiem.

– Nie ma mowy, nie oddamy broni – oświadczyłam.

– No to nie spotka się pani z panem Sherwoodem.

– Proszę go zapytać, czy mogę wejść do niego z bronią. Sprawa dotyczy jego brata.

– Nie wejdziecie do szpitala uzbrojeni – upierał się.

– Podczas ostatniego naszego spotkania z panem Sherwoodem miałam broń i ratowałam go przed bestią, która wyżerała mu wnętrzności.

– Jesteśmy świadomi, ile zrobiła pani dla pana Sherwooda. Ród Sherwoodów jest wdzięczny za pani pomoc.

Czas wyciągnąć ciężką artylerię.

– Zanim przybyłam do domu, gdzie dokonano napaści na państwa Sherwoodów, w której efekcie pan Sherwood omal nie zginął, mój współpracownik dzwonił do was i informował o zagrożeniu. Szef waszej ochrony kazał nam pilnować własnego nosa.

W kamiennej postawie ochroniarza pojawiły się lekkie pęknięcia.

– Ta osoba nie pracuje już dla Rodu Sherwoodów.

– Bardzo się cieszę. Tak niechętnie traktowanie przy próbie przekazania istotnych informacji jest niezwykle przykre. Proszę zapytać pana Sherwooda, czy z nami porozmawia, nawet jeśli będziemy uzbrojeni. To ważne i pilne.

Ochroniarz gapił się na mnie, podczas gdy w jego głowie zachodziły powolne procesy myślowe. W końcu coś zaskoczyło. O tak, ostatnio, kiedy mnie spławiliście, wasz Magnus został ciężko ranny, a odpowiedzialny za to człowiek zwolniony.

– Proszę zaczekać. – Zostawił nas pod czujnym okiem dwojga współpracowników w mundurach ochrony Sherwoodów i powędrował przez korytarz.

Leon puścił oko do ochroniarzy, ale nie zareagowali.

Zadzwoił mój telefon, więc odebrałam.

– Tak, Corneliusie?

– Przejrzeliśmy wyciągi Briana. Dwudziestego grudnia zatrzymał się w kawiarni Millennium. A według żony nie pija ani herbaty, ani kawy. Millennium znajduje się przy skrzyżowaniu Gulf i sześćsetdziesiątki. Musiał zrobić dodatkowe dwadzieścia kilometrów. W okolicach BioCore jest szesnaście kafejek, do których miałyby bliżej.

Bez sensu – facet jedzie dwadzieścia kilometrów w korkach, żeby napić się kawy, której nie pija?

– Był sam?

– Nie. Baristka go zapamiętała, bo zrobił aferę, że podpisała jego kubek „Bryan” zamiast „Brian”. Spotkał się tam z jakimś mężczyzną. Siedzieli na zewnątrz i rozmawiali jakieś trzy kwadransy. Widziała ich przez okno. Pokazaliśmy jej parę zdjęć, wskazała Sturma.

No i proszę, kawałek układanki wskoczył na miejsce.

– Dziękuję.

– Przydaliśmy się?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– O, to się cieszę. Daję ci Bernarda.

– Nevada? – usłyszałam głos kuzyna.

– Tak?

– Prześledziliśmy z Pluskwą logowania na konto Briana. Ktoś użył jego danych do zalogowania się do sieci domowej właśnie dwudziestego pierwszego grudnia. Według danych z maili i informacji z Facebooka Ryndy spędzili to popołudnie z teściową i Edwardem.

– Da się ustalić, po co ktoś wchodził do sieci? Ściągał jakieś pliki?

– Nie. Dla systemu otwieranie pliku i kopiowanie to prawie taka sama aktywność. Nie zapisuje różnicy. Mogę tylko stwierdzić, że ktoś inny poza Brianem Sherwoodem miał pełny dostęp do jego plików.

– Dziękuję.

– Wracamy do domu.

– Uważajcie na siebie.

– Oczywiście.

Rozłączyłam się. Szef ochrony właśnie wrócił do poczekalni.

– Pan Sherwood na was czeka.

Edward leżał na łóżku szpitalnym, a jego skóra była tylko parę odcieni ciemniejsza od białej pościeli. Wpadające przez odsłonięte okno promienie słoneczne ozłacały bonsai na szafce nocnej. Atletyczna kobieta z kucykiem stała dyskretnie w rogu pokoju, śledząc nas sokolim wzrokiem. Leon stanął obok niej z niewinną miną. Przyjrzała mu się uważnie i wyraźnie zlekceważyła.

Szef ochrony umiejscowił się przy drzwiach i widać było, że nie zamierza się stamtąd ruszyć.

Przysunęłam sobie krzesło do łóżka.

– Jak się czujesz?

– Jak człowiek, który wrócił z martwych – odpowiedział cicho i za pomocą przycisku podniósł łóżko do pozycji półsiedzącej. – Znalazłaś Briana?

– Nie.

– Jak Rynda?

– Trzyma się.

– Odwiedziła mnie wczoraj wieczorem. – Podniósł rękę i pogładził listki bonsai.

– To od niej?

– Tak. To satsuki azalea, azalia indyjska, ma siedemdziesiąt dwa lata. Kwitnie od maja do czerwca, ma piękne, różowe i białe kwiaty. Na tym samym krzewie występują różne kwiaty. Marzyłem o takiej od jakiegoś czasu, ale ostatnio tyle się działo... Zapamiętała. – Uśmiechnął się, a potem zmitygował. – Dziękuję, że ją uratowałaś. I dzieci. I mnie. Nas wszystkich.

– Nie trzeba. Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

– Wątpię.

Musiałam poruszyć z nim trudną kwestię, a nie dało się tego powiedzieć inaczej niż wprost.

– Na ile ufasz swojej ochronie?

Cóż, trzeba przyznać, że mimo poważnego osłabienia zdołał spojrzeć na mnie z oburzeniem.

– To, co mam do powiedzenia, nie może się roznieść.

– Mów.

I tak mówiłam cicho.

– W porwanie twojego brata zamieszany jest Aleksander Sturm.

Zapadło ciężkie milczenie. Za każdym razem, gdy wspomniało się o Sturmie, ludzie milkli.

– To pewne?

– Tak. Nie mam jeszcze dowodu, ale to pewne.

– Ale dlaczego?

– Aleksander Sturm oraz Vincent Harcourt biorą udział w spisku, w który zamieszana była również Olivia Charles. Tworzy go grupa Magnusów, którzy chcą pogrozić Houston w chaosie i przejąć władzę. Nowym przywódcą ma być niejaki cesarz. Do ich grupy należał również Adam Pierce.

Edward patrzył na mnie ze zdumieniem i niedowierzaniem.

– Sturm uważa, że Olivia ukryła coś w domu Ryndy i Briana. Coś dla nich niezwykle istotnego. Chce to odzyskać, ale nie mówi, co to jest. Gdy nie udało się nam dostarczyć żądanego okupu, wysłał Ryndzie odcięte ucho, żebyśmy bardziej przyłożyli się do poszukiwań.

– Dobry Boże – szepnął Edward, usiłując się podnieść.

– Proszę nie wstawać – zaniepokoił się ochroniarz. – Bardzo proszę, panie Sherwood, musi pan dojść do siebie.

Edward opadł na poduszki.

– Dwudziestego grudnia Brian pojechał do kawiarni Millennium, która znajduje się jakieś dwadzieścia kilometrów od BioCore. Tam spotkał się ze Sturmem.

Odczekałam, dając Edwardowi czas na przetrwanie rewelacji.

– To potwierdzona informacja? – Edward zmarszczył brwi.

– Tak. Mamy naocznego świadka, który ich widział.

– Ale po co? Przecież BioCore nie prowadzi interesów ze Sturmami, a nawet jeśli Brian chciałby się z nim spotkać na gruncie zawodowym, to czemu sam? Każdy wie, jaki jest Sturm. I czemu mi o tym nie powiedział?

To pytania za milion.

– Później, tego samego wieczoru, kiedy Rynda i Brian spotkali się z panem i pańską matką, ktoś wykorzystał dane Briana, by zalogować się do jego sieci domowej.

Edward tego nie skomentował.

– Urowadzenie Briana przebiegło błyskawicznie. Porywacze to zawodowcy. A Brian jest człowiekiem przewidywalnym. Jeździ tą samą trasą z domu do pracy i z powrotem, przez Memorial Drive, która przebiega głównie przez teren zalesiony. Na całej tej drodze znajdują się trzy kamery monitoringu, ale tylko jedna daje dobry obraz na drogę.

Edward nadal milczał. Trudno powiedzieć, czy domyślał się, do czego zmierzałam, czy czekał, aż skończę mówić.

– Porywacze zatrzymali jego samochód dokładnie w jednym miejscu, na które była skierowana jakaś kamera. Dziesięć metrów dalej, obojętne, czy w jedną, czy w drugą stronę, incydent nie zostałby zarejestrowany przez żaden monitoring. Nie wydaje się prawdopodobne, żeby ekipa tak skuteczna i doświadczona nie sprawdziła wcześniej, gdzie zlokalizowane są kamery. Zastanawia też fakt, że gdy uderzyli w tylny zderzak samochodu Briana, ten wjechał w barierkę, pozostawiając na niej ślad.

Oczy Edwarda pociemniały. Czas zadać cios ostateczny.

– Gdy po tym, jak dostarczono nam ucho, Rynda zapytała Briana przez telefon, jak się czuje, odparł, że rana sprawia mu ból. A zapytany, czy została opatrzona, potwierdził, że tak. Skontaktowaliśmy się ze Zwojem, aby przeprowadzili analizę DNA odciętego ucha. Nie należy do Briana.

Edward podniósł głowę. Miał ściągniętą twarz, zaciskał szczęki i wpatrywał się w sufit z taką miną, jakby chciał wypalić w nim wzrokiem dziurę. Zaciśnięte dłonie miały pościel. Edward Sherwood był niewiarygodnie wściekły i ze wszystkich sił starał się opanować.

Czekałam na rozwój wydarzeń.

Kiedy wreszcie się odezwał, z jego gardła dobywał się niski warkot.

– Zabiję gnoja.

Bonsai zatrzeszczało. Pień pogrubiał, wystrzeżiło z niego więcej gałęzi, wszystkie rosły, wydłużały się i gęstniały. Ziemię poruszały wijące się pod nią korzenie.

– Uduśzę go gołymi rękoma.

Na gałęziach pojawiły się pąki.

– Zawsze wiedziałem, że jest tchórzem, ale to... – Trząśł się z wściekłości.

Ceramiczna doniczka pękła, a potem rozpadła się, zasypując fragmentami salę i mnie przy okazji. Leon musiał się poruszyć, bo ochroniarz przy drzwiach wyciągnął broń.

Azalia rozpostarła korzenie, obejmując nimi stolik jak zmutowana ośmiornica. Była już czterokrotnie większa niż na początku i zwieszała gałęzie nad łóżko.

– To przekracza największe głupoty, jakie zdarzało mi się robić. Co za gnida. Słaba, tchórzliwa wesz.

Pąki otworzyły się raptownie i drzewko obsypało się kwieciami. Delikatne płatki we wszystkich odcieniach od białego po ciemnoróżowy pieniły się tak gęsto, że nie widać było liści. Salę wypełnił słodki zapach.

Edward przymknął oczy i głęboko zaciągnął się aromatem.

Azalia rozkwitła jeszcze mocniej, jakby starała się go pocieszyć.

– Odlóżcie broń – mruknęłam.

Szef ochrony powoli opuścił łufę.

– Pieprzony debil, omal nie zabił własnych dzieci – warknął Edward. – Omal nie zamordował własnej żony. I mnie. Zrujnował przyszłość naszego Rodu. Teraz ludziom nazwisko Sherwood będzie się kojarzyło jedynie ze zdradą, morderstwami i spiskiem. Czternaście lat. Od czternastu lat robię wszystko, żeby utrzymać firmę na powierzchni. Uratowałam ją znad krawędzi bankructwa, w które pchnął ją nasz zniedołężniały ojciec. Pchałem, ciągnąłem, podczas gdy badania Briana przedłużały się, bo genialny Brianek potrzebował czasu dla siebie, bo żył pod presją, bo życie zanadto go przytłaczało. Co ten cholerny złamas może w ogóle wiedzieć o stresie? Chroniliśmy go przed wszystkim od dziecka. A to ja trzymam z dala wierzycieli. Ja załatwiałem kontrakty. Ja zrezygnowałem ze swoich marzeń, żeby nasz Ród miał przyszłość. Olivia była z nami związana luźno, ale to, co zrobiła, przełożyło się na nasze katastrofalne położenie. Ale z czasem jakoś bym nas z tego wyciągnął. Ale teraz to koniec. Jest pierniczoną głową Rodu i jego zabawy w spisek pogrążą nas ostatecznie. Rynda już jest pariasem. Najpierw matka, teraz mąż. Nikt nie uwierzy, że nie jest w to zamieszana. Nie ma szans wyjść z tego czysta. Zniszczył przyszłość własnych dzieci. W końcu pociągnął nas na dno. To koniec.

Nie wiedziałam nawet, co powiedzieć Magnusowi, któremu ulały się właśnie żale tłumione przez całe dziesięciolecia.

W pokoju panowała martwa cisza.

– Collin – Edward zwrócił się do szefa ochrony – zawiadam moją matkę, że w świetle ostatnich wydarzeń od teraz przejmuję rolę przywódcy Rodu. A w każdym

razie tego, co z niego zostało. Wyjaśnij jej, że złoty chłopczyk właśnie nas pogrzebał. Ach, i powiedz, żeby się lepiej przygotowała na bankructwo BioCore.

– Tak jest.

Ochroniarz zniknął w korytarzu.

Edward przeniósł na mnie spojrzenie.

– Jaki mógł mieć motyw? Pieniądze? – zapytałam.

– Nie, Rynda jest bogata, posiada odrębny majątek. Wczoraj zaproponowała, że wykupi nasze zobowiązania. Uważa, że to przez nią znaleźliśmy się w tej sytuacji.

– Obwiniasz ją o to?

– Nie.

Prawda.

– Mało tego, na wszelki wypadek rozporządziłem majątkiem tak, że w razie upadku BioCore Brian nie straciłby wszystkiego. Nadal miałby dostateczny majątek, żeby żyć wygodnie. Nie luksusowo, ale wygodnie.

– A może chciał w ten sposób ratować BioCore?

Edward tylko się gorzko zaśmiał.

– Rozumiem, że nie. – Domyśliłam się, że Brian nie miał wielu ambicji. Zostawał więc tylko jeszcze jeden powód: – Czy Brian wyrażał kiedykolwiek niezadowolnienie z małżeństwa?

– Jakies półtora roku temu oświadczył, że chce się rozwieść z Ryndą. Powiedział, że jego dzieci są ułomne.

Ułomne. No tak.

– Co mu odpowiedziałeś?

– Że udam, że tego nie słyszałem. Wyjaśniłem mu, że Jessica i Kyle to jego dzieci i jako ojciec powinien kochać je bezwarunkowo. Powinien je chronić i zajmować się nimi. Że nie można się ich pozbyć ani wymienić na lepszy model jak samochodu. I że nawet jeśli nie jest z nich dumny, bo nie spełniły jego oczekiwań w kwestii posiadanej magii, nie może zrzec się odpowiedzialności za nie. Przypomniałem mu, jak czarujący był nasz ojczulek, i powiedziałem, że gdyby Brian się w niego zamienił, byłoby to ze wszech miar okropne.

– Co odpowiedział?

– Zapytał, co by było, gdyby i tak zostawił Ryndę. Narzekał, że małżeństwo go stresuje. – Głos Edwarda już ociekał pogardą. – Przypomniałem, że Olivia Charles ma potężnych przyjaciół i że rozwód miałby katastrofalny wpływ na BioCore oraz jego pozycję towarzyską. I zagroziłem, że jeśli jeszcze wspomni o czymś tak idiotycznym, odejdę i zostawię całą firmę na jego głowie i niech sam sobie radzi. To ostatnie go przekonało.

– Pozycja społeczna jest dla niego aż tak istotna?

– Owszem. Nasi rodzice z góry przydzielili nam role. On dostał tę genialnego naukowca, ja starszego brata, który się nim opiekuje. Brian nie lubi, gdy ludzie postrzegają go inaczej niż w przypisanej mu roli. Jessicę toleruje, bo jest jak matka empatką w randze Magnusa. Ale Kyle nie pasuje do wyobrażenia Briana o sobie. Brian jest utalentowanym botanomagiem, więc oczekiwał, że jego syn będzie taki sam.

Czy jeśli Rogan i ja kiedyś się pobierzemy i nasze dzieci nie będą Magnusami, to też mnie znienawidzi? Na samą myśl o tym serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Mój brat nie jest głupi. Doskonale zdaje sobie sprawę, że pozycja głowy Rodu pozwala mu dryfować przez życie. Otwiera przed nim drzwi. Menedżerzy restauracji zawsze robią dla niego rezerwację, a jeśli jej nie ma, magicznie znajdują stolik. Ludzie

okazują mu szacunek. Liczą się z jego uczuciami. Nie musi rozmawiać z inwestorami ani wierzycielami. Nie musi podejmować trudnych decyzji, gdy trzeba kogoś zwolnić. Zawsze delegował swoje problemy na mnie i na Ryndę. Kyle, pozbawiony magii syn, jest zagrożeniem dla jego wizerunku i tego sielankowego życia. Bo kto przejmie sukcesję Rodu? Czy BioCore ma przyszłość bez właściwego dziedzica? Co będzie, gdy Brian przejdzie na emeryturę? Te pytania obrazują to, kim jest Brian. Nie ma nic gorszego od recesywnego wektora. To stygmatyzuje Ród, a piętno to jest jak trucizna. Kala każdy Ród.

Słyszałam już wcześniej to określenie. Wektor recesywny określał osobę, która mając potężnych przodków, nie przekazywała swego talentu dzieciom, więc magia Rodu słabła z pokolenia na pokolenie.

– Myślisz, że Brian to wektor recesywny?

– Nie obchodzi mnie to. Ale nie, myślę, że talent Kyle'a się objawi. A nawet jeśli nie, to bystry chłopak, wystarczy chwilę z nim porozmawiać, żeby się o tym przekonać. Moja matka nie ma serca do dzieci, nawet własnych, ale Olivia to w nim widziała. Uwielbiała chłopca. Oprawiała każdy jego rysunek.

– Bardzo dziękuję ci za rozmowę. – Podniosłam się z krzesła.

– Powiedziałaś Ryndzie? – zapytał z udręką.

– Jeszcze nie.

– Załamie się. Chcę być przy niej, kiedy jej to powiesz.

– Postaram się tak to zorganizować, ale niczego nie mogę obiecać. Trudno przewidzieć rozwój wydarzeń.

Wysłałam z Leonem. Marzyłam o prysznicu, żeby splukać z siebie całe to napięcie.

– Jest zakochany w Ryndzie – orzekł Leon. – Promieniał, kiedy o niej mówił.

– To prawda.

– Czemu to on się z nią nie ożenił? Czemu wyszła za Briana?

– Pewnie dlatego, że Brian był głową Rodu, a Olivia nie ceniła zbyt mocno Edwarda.

Olivia Charles była bardzo dumną kobietą.

Wsiadliśmy do windy.

– Kiedy zostaniemy Rodem, staniesz się głową Rodu Baylorów.

– Tak. – Co za radość.

– Będziemy silnym Rodem, prawda? Jesteś Magnusem, Catalina też i Arabella prawdopodobnie też. A Bern możliwe, że jest Wybitnym. Mielibyśmy czworo magów wysokiej rangi.

– Uhm. – Najwyraźniej sporo o tym myślał.

– Wyjdiesz za Szalonego Rogana? Oboje jesteście głowami Rodów.

Yyyy.

– Nie oświadczył mi się.

Wysliśmy na zewnątrz na oślepiające słońce.

– To może ty powinnaś mu się oświadczyć?

Ech, gdyby to było takie proste. Skierowaliśmy się do samochodu przez pustawy parking. Zostawiłam auto z boku, ponieważ plac przed głównym wejściem był zatłoczony.

– A co, aż tak bardzo chcesz być skoligacony z Roganem?

– Nie, chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Słucham? – Aż przystanąłam, zaskoczona.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa – powtórzył spokojnie. – A przy nim jesteś.

– Możliwe, że nie jesteśmy kompatybilni.

Leon zrobił minę, jakby ugryzł cytrynę.

– Że... niby... w łóżku?

– Nie! Możemy nie mieć dopasowanego zestawu genów, żeby mieć utalentowane dzieci. On jest telekinetą, a ja prawdołowcą. Możliwe, że nasze dzieci nie byłyby Magnusami. A sam przed chwilą słyszałeś, jak Brian na to reagował.

– A Roganowi na tym tak zależy?

Ostatnio kiedy rozmawialiśmy o tym otwarciu, Rogan powiedział, że nawet jeśli jemu nie zależy, dla mnie stanie się to ważne.

– Nie wiem. Powiedział, że nie...

Telefon w mojej kieszeni zadzwonił w chwili, gdy na parking na wprost nas wjechała ogromna ciężarówka. W głowie pojawiło mi się określenie „auto-skarbiec”. Babcia kiedyś nad takim pracowała. Z zewnątrz wyglądał jak opancerzony wóz, a w środku jak długaśna, luksusowa limuzyna. Mógł pomieścić dwadzieścia pięć osób. Cholera. Wiedziałam, że nie zdążymy dopaść samochodu. Lepszym wyjściem było wrócić do szpitala, gdzie znajdowali się ochroniarze Edwarda.

– Biegiem! – zawołałam, rzucając się w stronę szpitala. Leon przemknął obok mnie, jakbym stała.

Uderzenie magii grzmotnęło o ziemię przede mną, zbijając mnie z nóg i odrzucając w tył.

Tuż przede mną jakby znikąd pojawił się mężczyzna. Wielki, napakowany i nagi. Miał jasnoczerwoną skórę, tak jak Dave Madero, gdy okrywał się zbroją, i miał również twarz Dave’a Madery. Ale to niemożliwe, przecież Rogan połamiał Dave’a jak ludzika z zapalek.

Ktoś go tu przeteleportował, mignęło mi w głowie, zanim mężczyzna złapał mnie za ramiona, unosząc nad ziemię. Zabolało jak diabli.

– Pozdrowienia od Rodu Madero, suko! – Potrząsnął mną jak szmacianą lalką. – No, gdzie twój kochaś? Gdzie ten sukinsyn, który zrobił krzywdę mojemu bratu?

Czyli nie Dave, a Frank albo Roger.

– Gdzie Rogan? – Znow potrząsnął mną, aż mi zęby zadzwoniły. – Twoja babka kazała cię sprowadzić żywą, nie mówiła, że w jednym kawałku.

Napaść Madery przepełniła czarę. Napięcie, niepokój, troska i lęk połączyły się we mnie i eksplodowały. Trzymał mnie za barki, ale ręce miałam wolne. Szarpnęłam je w górę i wpiłam palce w twarz napastnika. Ból buchnął we mnie i spłynął przez ramiona aż do dłoni, zmieniając się w strumień agonii. Z palców wystrzeliły błyskawice i wniknęły w jego utwardzoną skórę.

Madero wrzasnął.

Pozdrowienia od porażaczy, sukinsynu. Usłyszałam warkot rozwścieczonego zwierzęcia i po chwili zdałam sobie sprawę, że dobywa się z mojego gardła.

Madero zawył i runął na kolana. Nie puszczałam, wpiłam się paznokciami w jego twarz, aż zaczął krwawić. Jego zbroja zaczynała zawodzić.

Ból był nie do zniesienia.

Madero stracił dech w piersiach, a jego wrzask przeszedł w słabe, ochryple, rozpaczliwe pojękiwanie.

W oczach zaczęło mi się mienić, widziałam błyski. To oznaczało, że muszę przestać, inaczej zużyję całą magię i umrę.

Oderwałam ręce od twarzy Madery. Olbrzym padł u moich stóp twarzą na asfalt, rzucając się w drgawkach.

Cofnęłam się. Od strony ciężarówki biegli ku nam ludzie. Świat kołysał się i zamazywał przed moimi oczyma. Przesadziłam.

Nagle ujrzałam przed sobą Leona z bronią w ręku.

– Teraz?!

– Teraz! – Wymacałam mój pistolet.

Leon zaczął strzelać. Nie było przerw między wystrzałami, nie mierzył, nie oddychał. Po prostu uniósł lufę i opróżnił magazynek w jednym ułamku sekundy.

Ośmioro ludzi runęło na asfalt. Została czwórka. Przez chwilę stali jak wryci, całkiem oszołomieni, a zaraz potem obrócili się i uciekli do samochodu.

Wymierzyłam i strzeliłam. Jedna z przednich opon wozu pękła. Druga kula, druga opona. Ręcza czwórka odbiła w bok i pognąła w głąb parkingu.

Wypuściłam z płuc powietrze.

Leżący na ziemi ludzie nie poruszali się.

Madero, zwinięty w precel u moich stóp, dyszał, jakby miał zawał. Nieco się skurczył, a jego skóra wróciła do prawie normalnego koloru.

– Pięciu – powiedziałam.

Leon popatrzył na mnie półprzymrużony.

– Ród Baylorów będzie miał pięciu magów wysokiej rangi. To jest twoja magia, Leon.

Leon potoczył wzrokiem po leżących.

– O Boże... O Boże... Oni nie żyją... Nie żyją... Nie żyją...

– Tak.

Obrócił się ku mnie gwałtownie.

– Zabiłem ich...

– Tak.

Leon poblądł, zgiął się wpół i zwymiotował.



10

Kiedy Leon skończył już wymiotować, kazałam mu iść do szpitala i sprowadzić pomoc. Trzeba było sześciu mężczyzn, żeby załadować Dave'a 2.0 na nosze i zawieźć na izbę przyjęć.

Dyrektorka szpitala, pulchna Latynoska po czterdziestce, podbiegła do mnie blada i zdenerwowana.

– Mam wezwać policję?

Co odpowiedziały Rogan?

– To sprawy Rodów.

Kobieta wyprostowała się, a rozgorączkowanie zniknęło z jej twarzy jak za dotknięciem różdżki. Wypowiedziane przeze mnie słowa zdjęły z niej odpowiedzialność.

– Zawiadomię władze – ciągnęłam. – Proszę zająć się rannymi.

– Jakimi rannymi? Wszyscy nie żyją.

– No to moim kuzynem.

Odwrociła się do przycupniętego na krawężniku Leona, którego cera przybrała wyraźnie zielonkawy odcień.

– Oczywiście. Udzielimy mu niezbędnej pomocy.

Podeszłam do Leona, usiadłam obok i objęłam go. Nie wyrywał się ani nie burczał. Bardzo zły znak.

– Świetnie się spisałeś.

– Wcześniej to nie było takie rzeczywiste...

– Kiedy podawałeś mamie namiary na cel?

– Tak. A teraz nagle wszystko jest takie prawdziwe. Zabiłem ich. Są martwi i to ja odebrałem im życie.

Trzeba było zareagować natychmiast, inaczej to przeżycie może trwale okaleczyć jego psychikę.

– Nie, nie żyją, bo ja zdecydowałam o użyciu broni i kazałam ci strzelać. Ty tylko wykonywałeś moje polecenia, a odpowiedzialność spada na mnie. – Był rozbity, ręce mu się trzęsły. – Leon, ci ludzie nas zaatakowali. Gdybyś ich nie powstrzymał, zabraliby mnie do Victorii Tremaine. Mogli cię przy tym zabić. Cała rodzina mogła się znaleźć w niebezpieczeństwie. Postąpiłeś właściwie. Nie uciekłeś. Ocaliłeś mnie, a pośrednio również mamę, babcię, kuzynki i brata. Ocaliłeś nas wszystkich.

Jakiś mężczyzna w fartuchu medyka wyniósł ze szpitala koc i zarzucił go Leonowi na ramiona. Delikatnie otuliłam nim kuzyna.

– Naprawdę zachowałeś się wspaniale.

– Naprawdę... – Podniósł na mnie wzrok.

– Tak. Moja mama będzie z ciebie dumna. I tata, gdyby żył, też byłby dumny. Obroniłeś nas.

– No tak.

W duchu poprzysięgłam sobie, że Victoria Tremaine srogo mi za to zapłaci.

– A ty? Rzygałaś?

– Kiedy zabiłam kogoś po raz pierwszy? Było mi niedobrze, tak.

– Ale nie rzygałaś?

– Nie miałam czasu ani możliwości. Budynek wybuchł, a ja zemdlalam. A pierwszy raz, kiedy byłam świadkiem, jak Rogan kogoś zabijał, omal nie zwymiotowałam na niego. Byliśmy w Dziurze, ściągnął draniowi na głowę budynek. Oderwał kawał konstrukcji i zmiażdżył go nim. Długo po tym do siebie dochodziłam.

– Zawsze jest tak okropnie?

– Nie. Z czasem przychodzi coś w rodzaju odrętwienia, zobojętnienia. – Nadal wyraźnie pamiętałam chrzęst skręcane go karku Davida Howlinga. Obiecałam sobie, że Leon nigdy nie dowie się, jakie to uczucie. Poruszę niebo i ziemię, żeby nigdy się nie dowiedział.

Na parking wjechały dwa opancerzone SUV-y i po zatrzymaniu się natychmiast wypuły z siebie Riverę i sześciu ludzi Rogana. Odsiecz przybyła w rekordowym tempie, ale i tak za późno.

Rzucili się ku mnie, Rivera po drodze wykrzykiwał rozkazy.

– Obstawić teren, tu, tu i tu. Żadnych martwych punktów. Jeśli coś będzie jechało w stronę parkingu, chcę o tym wiedzieć, zanim tu dotrze.

Żołnierze rozbiegli się, a Rivera z pozostałymi zatrzymali się przede mną.

– Wszystko w porządku? Jest pani cała?

Zależy, co miała na myśli, mówiąc „w porządku”.

– Tak, wszystko w porządku.

– Gdzie Frank Madero?

Szybko skojarzyłam, że Rivera jest w stałym kontakcie z Pluskwą, a Pluskwa zapewne natychmiast zidentyfikował mężczyznę, który pojawił się przede mną na parkingu.

– Na izbie przyjęć.

– Mamy go przejąć?

– Nie.

– Może pilnować jego sali? – Napięcie Riverę było coraz wyraźniejsze.

- Nie trzeba. - Chwilowo raczej nigdzie się nie wybierze.
- Pluskwa mówił, że paru uciekło. Mamy zorganizować pościg?
- To nie będzie konieczne.

Czterech ekswojskowych twardzieli zaczynała ogarniać rozpacz.

- Major wyraził się jasno - powiedział Rivera z udręczoną miną człowieka, który stąpa po rozżarzonych węglach. - Mieliliśmy zapewnić pani bezpieczeństwo i wszelką pomoc. A nie było nas tutaj.

Ach, to stąd ta nerwowość. Rogan kazał im mnie pilnować, zostałam zaatakowana, a oni przybyli poniewczasie. Dlatego tak się pocili.

- Możecie majorowi powiedzieć, że wykonaliście zadanie. Zaistniał pewien konflikt, ale został zażegany, a jestem cała i zdrowa. Jeśli będzie pytał o szczegóły, odeślcie go do mnie.

Rivera nie wyglądał na przekonanego.

Westchnęłam.

- Chcielibyście koniecznie jakoś mi pomóc?

- Tak.

- A w jakim zakresie Rogan nakazał wam mnie wspierać?

- W każdym możliwym.

- Dobrze. Zbierzcie zabitych i zidentyfikujcie tyłu, ilu się da. Ktoś przeteleportował Franka do mnie, dobrze byłoby znać tożsamość tego maga. Trzeba zawiadomić władze o zbrojnej napaści Rodu Madero na rodzinę Baylorów, nie wiem, gdzie Rogan zgłasza takie rzeczy ani jak. Byłoby świetnie, gdyby udało się zaangażować prawników Rogana do rozmów z władzami, bo muszę być w domu przed wieczorem i nie mogę spędzić całego dnia na posterunku, składając zeznania. Potrzebuję numerów telefonu do Maderów i Victorii Tremaine. Potrzebuję nowych opon do samochodu napastników. Jest wart z dwieście pięćdziesiąt kawałków, babcia Frida się ucieszy. A kiedy wszystko tu załatwimy i policja nas puści, byłabym wdzięczna za eskortę do domu. Myślę, że to wystarczy, żeby major był zadowolony.

- Tak jest.

Nie minęła minuta, a Pluskwa przesłał mi oba numery: do domu Maderów, do głowy ich Rodu, Petera, oraz do Victorii Tremaine, do wynajętych przez nią biur w Landry Tower. Siedziałam na krawężniku przy Leonie, obserwując uwijających się ludzi Rogana.

Najpierw do Maderów czy Tremaine? Maderowie wydawali się prostszą sprawą. Sprawdziłam ich po spotkaniu z Dave'em. Ród Madero składał się z Petera Madery, siedemdziesięcioletniego patriarchy, oraz jego synowej, Lindy, i jej synów: Davida, Franka, Rogera oraz czternastoletnich bliźniaków, Ethana i Evana. Roger był żonaty, spodziewali się dziecka.

Sądząc po Davie i Franku, dziadek Peter będzie wrednym, twardym orzechem do zgryzienia. Przede wszystkim wysłał swoich wnuków za mną i Roganem, a kiedy Rogan zrobił z Dave'a origami, wysłał kolejnego wnuka. Nie poddawał się łatwo, ale też nie przerywałby tak długo, gdyby nie posiadał choć krzty rozumu.

Wybrałam numer Maderów i włączyłam głośnik.

- Dom Rodu Madero - zaczęła kobieta.

- Dzień dobry, nazywam się Nevada Baylor i chcę rozmawiać z głową Rodu.

- A kim, u diabła, pani jest?

- Kobietą, która właśnie posłała Franka do szpitala. Proszę mnie połączyć.

Po chwili w słuchawce rozległ się burkliwy głos:

– A więc to ty jesteś tą suką, której tak chce Tremaine.

Ha. I mam parę asów w rękawie.

– Jaki pan uprzejmy. Wiem, że pana rodzina cierpi na niedobory szarych komórek, więc będę mówiła powoli. Frank znajduje się w szpitalu Houston Memorial na ostrym dyżurze. Dzięki mnie. Jeśli przeżyje, opowie panu, jak to z tuzina ludzi, których miał ze sobą, zostało tylko czterech. Ośmiu załatwił mój szesnastoletni kuzyn. Ostatecznie. Czworo uciekło. A pana samochodzik traktuję jako łup wojenny.

– Pieprzona dziwka!

– Ale dziwka w randze Magnusa.

Peter zadławił się własną śliną.

Rivera i Leon gapił się na mnie okrągłymi ze zdumienia oczyma.

– Nie wiem, czy Tremaine obiecała panu pieniądze, a pan jest chciwy i głupi, czy ma na pana jakieś haki i pana zastraszyła, ale oświadczam, że jestem jej wnuczką. Z krwi i kości. Proszę to wziąć pod uwagę.

– Nie boję się ani ciebie, ani tej staruchy.

– Na razie jeden z pańskich wnuków leży w gipsie, a drugi umiera. Dzwonię, żeby zapytać, czy unieważni pan zlecenia na mnie, czy nadal będzie próbował, bo w tym drugim wypadku polecę ludziom Rogana zabrać Franka jako zakładnika.

– Urwę ci łeb i nasram do czaszki.

– Nie wierzę, że dożył pan siedemdziesiątki, podejmując niewłaściwe decyzje. Jeśli wysłę pan Rogera, pana prawnuk będzie chował się bez ojca. Oboje świetnie zdajemy sobie z tego sprawę. Kto panu zostanie? Bliźniaki?

– Sam to zrobię.

– Nie sądzę. Trzy miesiące temu wstawili panu trzy bypasy. A Frank i Dave ledwie dyszeli po trzech minutach z nami. Z panem nawet nie będę musiała walczyć, będę biegła wokół pana, aż pan padnie. I co potem stanie się z pana Rodem?

– Nie twoja sprawa, smarkulo!

– Proszę się określić, panie Madero, bo muszę zdecydować, co robimy z Frankiem, a nie mam na to całego dnia. A przy okazji, gdzie mamy podrzucić pana trupy?

– Oddaj mój wózek, a zastanowię się nad odrzuceniem zlecenia.

– Teraz to mój wózek. Zasłużyłam sobie na każdą jego śrubkę.

Zaklął szpetnie.

– Przyznaj po prostu, że przegrałeś, ty uparty, zgryźliwy tetryku.

– Dobra. Trupy zostaw w szpitalu, odbierzemy je. I żeby cię tam nie było, kiedy przyjadę, bo własnymi rękami skręcę ci tę chudą szyjkę.

Rozłączyłam się. Rivera patrzył na mnie, jakby zobaczył mnie pierwszy raz w życiu.

– Miałam kiedyś klienta podobnego do tego zmurszałego starca – wyjaśniłam. – Jedynym sposobem na zyskanie sobie jego szacunku było zagranie z nim na jego planszy i poziomie.

Wpatrywałam się w numer do babki. Jakoś musiałam zareagować. Zaatakowała nas po raz drugi. Lepiej zadzwonić do niej i postawić jej ultimatum? A może do Biura Rejestru ze skargą? Czy skarżąc się, wyjdziemy na słabych, czy odwrotnie, nie reagując i pozwalając się nadal terroryzować?

Leon kulił się przy mnie. Rivera przyjrzał mu się bacznie, po czym rzucił do mikrofonu:

– Kurt? Do mnie.

Chwilę później pojawił się przy nas surowy mężczyzna. Miał gęstą rudą brodę i z pewnością nie przepchnąłby się na szerokość przez standardowe drzwi. Spojrzał raz na Leona i skinął do siebie głową.

– Chodź, chłopcze – powiedział do niego, a Leon wstał i poszedł za nim.

– Kto to? – zapytałam.

– Kurt to nasz specjalista w dziedzinie stresu pourazowego – wyjaśnił Rivera. – Służył w Fokach, odznaczony.

– I pewnie ma wielu zabitych na koncie – domyśliłam się.

– Tak. Leon potrzebuje pomocy, a Kurt mu pomoże. Wie, co powiedzieć w takiej chwili.

– Dziękuję.

– To niezwykle utalentowany dzieciak – powiedział Rivera na odchodne.

Znów spojrzałam na telefon. Zdecydowanie potrzebowałam rady. Gdyby Rogan był w mieście, pewnie zwróciłabym się do niego, ale niewykluczone, że zamiast mi radzić, sam pognąłby uciąć sobie pogawędkę z Victorią Tremaine. Do tej pory starał się ze wszystkich sił dać mi przestrzeń, ale omal się nie zламаł, kiedy radziłam się go w sprawie Augustine'a. Mało brakowało, żeby zabił przyjaciela – prawdopodobnie jednego przyjaciela – żeby mnie chronić.

Nie, potrzebowałam kogoś z zewnątrz, kogoś obiektywnego. Kto potrafi doskonale pływać po niebezpiecznych wodach rodowej polityki, ale nie jest zaangażowany osobiście w tę sprawę. Przejrzałam kontakty. Jest. Linus Duncan. Niedługo najpotężniejszy człowiek w Teksasie. Mówił, żebym dzwoniła w razie potrzeby. Cornelius go cenił, a Rogan szanował.

Wybrałam numer.

– Dzień dobry, pani Baylor – odezwał się Linus swoim głębokim, pogodnym barytonem. – W czym mogę pomóc?

– Potrzebuję rady.

– Czy to pilne?

– Tak.

– Gdzie pani jest?

– Pod szpitalem Memorial.

– Jest pani ranna?

– Nie, ale właśnie wyszłam cało z kolejnej napaści zleconej przez Victorię Tremaine.

Sekunda ciszy.

– Ma pani rację – rzekł Linus z nutą troski. – To pilna sprawa. Z tego, co pamiętam, w Memorial jest przyjemna kawiarenka. Będę tam za czterdzieści minut.

...

Sierżant Munoz przyjrzał mi się spod oka. Krępy, ciemnowłosy, dobrze po czterdziestce, wypisz wymaluj gliniarz, którym zresztą był. Policjanci od dawna pracujący w zawodzie emanowali autorytetem i mieli taki znużony wyraz twarzy, jakby widzieli już wszystko, spodziewali się najgorszego i nic nie mogło ich zaskoczyć. Gdyby teraz nagle wylądował na parkingu ufoludek i wymierzył z blastera, sierżant Munoz bez

mrugnięcia okiem rozkazałby mu podnieść ręce i położyć się na ziemi. Ale nie zareagowałby zaskoczeniem.

Plac postojowy naraz zaroził się od policjantów. Sierżant Munoz przejął dowodzenie i najwyraźniej nie spodobało mu się to, co zobaczył.

– Ja panią skądś znam... Hotel Longhorn, enerkineta zdradzający żonę.

– Tak jest, proszę pana. – Rutynowa sprawa. Przynajmniej dopóki zdradzana żona, pomimo moich wyraźnych instrukcji, nie pojawiła się w hotelu, żeby skonfrontować się ze zdradzającym mężem. Mąż zaczął ciągnąć ją do samochodu, a mnie naszło przecucie, że jeśli z nią odjedzie, nikt już jej nigdy nie zobaczy. Dlatego wkroczyłam, za co zostałam rzucona o ścianę, jeszcze zanim zdołałam wykorzystać paralizator.

– A teraz to. – Wskazała na osiem leżących pokotem trupów. Każdy miał dziurę po kuli dokładnie w tym samym miejscu. – Nazywamy to strzałem w strefę T. Wie pani, co to strefa T?

– Tak.

Strefę T tworzą dwie linie, pionowa – od nasady po wierzchołek nosa, oraz pozioma – pośrodku między żrenicami. Zwykło się uważać, że każdy strzał w głowę jest śmiertelny. To nieprawda. Czasami kula odbija się od czaszki, czasem wyrządza tylko zniszczenia w tkance mózgowej, ale nie zabija, a bywa, że mimo przebicia czaszki powoduje tylko drobne urazy. Jednak strzał w strefę T zawsze kończy się śmiercią. Kula trafiająca w to miejsce przechodzi przez mózdzek i pień mózgu, uszkadzając ośrodkowy układ nerwowy kontrolujący mięśnie, między innymi oddechowce. Śmierć jest natychmiastowa. To najpewniejszy i najbardziej miłosierny sposób zabicia. Ofiara nie jest świadoma, że umiera. Ostatnie, co widzi, to otwór lufy, a potem jej mózg wybuchu.

Leon trafił każdą kulą dokładnie między oczy. Osiem strzałów, osiem natychmiastowych śmierci.

Na przyległy sektor parkingu wjechał harley-davidson. Motocyklista, ubrany w czarną skórzaną kurtkę i džinsy, zsiadł i zdjął kask, odsłaniając szopę czarnych, kręconych włosów oraz twarz czarnoskórej kobiety, mniej więcej trzydziestopięcioletniej. Nowo przybyła podbiegła ku nam, rzucając parę słów do policjanta, który zastąpił jej drogę. Natychmiast się odsunął.

– Ustawiliście ich w rządku? – zapytał sierżant Munoz. – To była egzekucja?

– Nie. To była samoobrona. Biegli w naszą stronę, strzelając.

Munoz jeszcze raz potoczył wzrokiem po zabitych, a potem popatrzył na mnie.

– Jak daleko byli?

– Proszę nie odpowiadać! – krzyknęła do mnie Murzynka w katanie.

Munoz odwrócił się do niej, marszcząc brwi.

– Proszę nie odpowiadać na żadne pytania. – Wyjęła dowód i pomachała nim przed nosem Munoz. – Nazywam się Sabrian Turner i jestem prawnikiem Rodu Roganów oraz przyszłego Rodu Baylorów.

– Mamy tu do czynienia z wielokrotnym zabójstwem. Pani klientka musi odpowiedzieć na moje pytania.

– Próbuje pan wydobyć z niej informacje, którym poufność gwarantuje Ustawa o Ochronie Rodów. I robi pan to na środku parkingu, w miejscu, w którym nie może pan zagwarantować ochrony owych informacji. Moja klientka nie ma obowiązku ujawniania rodzaju oraz zakresu działania swojej magii oraz magii członków jej rodziny, dopóki nie zagwarantuje jej pan poufności.

Munoz zgrzytnął zębami.

– Pani klientka nie jest członkiem Rodu.

– Jest zarejestrowana jako osoba w trakcie testów. Dopóki nie okaże się inaczej, należy się jej ochrona i ma takie same prawa, jak członek Rodu.

– Przepraszam – wtrąciłam.

– Na podstawie tej samej ustawy pani klientka ma obowiązek współpracować w sprawach, w których zagrożone jest bezpieczeństwo publiczne.

– Publiczne? To ludzie najęci przez Ród Madero. To konflikt Rodów.

– Przepraszam! – powtórzyłam głośniej.

– To ja ocenię, czy to konflikt rodowy.

– Zaiste? – Sabrian skrzyżowała ramiona na piersi.

– Hej! – krzyknęłam.

Oboje odwrócili się do mnie.

– Nad nami jest kamera. – Wskazałam monitoring. – Jestem pewna, że wszystko się nagrało.

– Dojdziemy do tego – obiecał Munoz i znów zwrócił się do Sabrian: – Może po prostu zabiorę pani klientkę w jakieś bardziej ustronne miejsce.

– Moja klientka odpowie na pana pytania w dogodnym dla niej czasie – oświadczyła Sabrian stanowczo.

– Powinniście skombinować sobie miecze i rozstrzygnąć to w pojedynku – podesunęłam im.

– Och, to nie będzie konieczne, nieprawdaż? – rzekł Linus Duncan, wyłaniając się zza Munoz. Miał na sobie nienaganny czarny garnitur, a na ramionach błękitny szal. Uśmiechał się, ukazując białe, równe zęby, kontrastujące z czarną brodą, przetykaną srebrzystymi nitkami siwizny. – Ostatecznie w sprawę zamieszany jest Ród Madero, a wszyscy wiemy, co to oznacza. Przepraszam.

Wszedł pomiędzy Sabrian i Munoz i wyciągnął ku mnie rękę. Przyjęłam ją, pozwalając mu pomóc mi wstać z krawężnika.

– Pani Baylor zaprosiła mnie na kawę. W razie potrzeby będziemy w kafeterii.

– Tak jest, proszę pana – zgodził się gładko Munoz.

Kafejka była mała i przytulna, urządzona w ciepłych beżach i brązach, i siedziąco w niej tylko kilka osób. Stanęliśmy z Linusem w kolejce, on zamówił kawę, ja herbatę ziołową. Ręce mi drżały z nerwów i w efekcie wypalania się adrenaliny.

Wzięliśmy numerek zamówienia i usiedliśmy przy stoliku na uboczu, przy oknie. Mieliśmy stąd doskonały widok na pandemonium na parkingu. Na szczęście nie musiałam się już martwić o Leona. Wątpiłam, by ekskomandos kogokolwiek do niego dopuścić.

– Przepraszam, że przeszkodziłam – zaczęłam.

– Och, proszę przestać. W moim wieku niecodziennie dostaję zaproszenie na kawę od młodej, interesującej kobiety. – Puścił mi oko.

Uśmiechnęłam się. Czułam się przy Linusie dobrze, swobodnie. Wyczuwałam, że jest szczerzy i że nie będzie mnie okłamywał.

Barista przyniósł nam zamówienie i odszedł.

Linus upił łyk smolistego płynu z filiżanki i przekrzywił głowę w zadumie. Uznał widać, że kawa spełnia jego oczekiwania, bo wziął kolejny łyżeczek.

– Chciała pani porozmawiać o babce, tak?

– Jaka ona jest?

– Victoria... Victoria jest bystra, bezwzględna, zdeterminowana. Uważa, że zawsze ma rację, i najczęściej tak jest. To... – zerknął w okno – zupełnie nie w jej stylu. Woli

działać po cichu. Musi być naprawdę coraz bardziej przyparta do ściany.

– Ale z jakiego powodu?

– Jesteście jej rodziną. A rodzina to wszystko, co mamy. Jesteście jej ukrytym dziedzictwem, przyszłością jej Rodu. Została sierotą, kiedy miała dwanaście lat. Potem mocno pragnęła urodzić dziecko. Widziałem ją niedługo po tym, jak urodziła Jamesa. Po raz pierwszy odkąd ją znam, była szczęśliwa. Promieniowała szczęściem.

– Ale tatę traktowała okropnie.

– Nie wątpię. Jest niezwykle surowa i trudna. Wymaga od siebie bardzo wiele i nie zastanawia się, że nie każdy posiada możliwości czy chęci, żeby sprostać standardom, które ona sobie narzuciła.

– To już drugi atak, który zleciła.

– A kiedy był ten pierwszy?

– Dwa dni temu. Dave Madero ścigał mnie i Rogana swoim samochodem.

– I jak się to skończyło? – Znów upił kawy.

– Rogan złamał Dave’owi ręce w pięciu miejscach.

– Gdyby Dave Madero nastawał na moją ukochaną, nie poprzestałbym na rękach – uśmiechnął się Linus.

– Rogan też chciał połamać mu nogi, ale zostawił go w spokoju, bo go o to poprosiłam.

– Niepotrzebnie. Maderowie od pół wieku prowadzą zacieklą wojnę przeciwko subtelności. Rozumieją tylko argumenty siły i krótkie, jasne przekazy.

– To samo, prawie słowo w słowo, powiedział Rogan. – Upiłam łyk herbaty. Była cierpka, ale lepsze to niż ten miedziany posmak, który miałam na języku.

– Rogan jest dobrze zorientowany w polityce rodowej. Od dawna już gra w tę grę. Urodził się w tym świecie i zazwyczaj instynkt dobrze mu podpowiada. Jednakże obecnie znajduje się w delikatnym położeniu. Proszę wybaczyć, że zapytam prosto z mostu, ale czy rozmawialiście już o przyszłości?

Herbata wpadła mi w niewłaściwą dziurkę.

– Rozumiem, że nie – ciągnął Linus, przypatrując mi się bystro. – Niech zgadnę, naciskał, a pani nie ustąpiła. Naciskał mocniej, a pani wyznaczyła granice i nie pozwala mu ich przekroczyć?

Udało mi się złapać oddech.

– Tak.

– To pewnie dla niego coś nowego.

– Uhm. – Nagle naszło mnie nieodparte pragnienie, żeby wleźć pod stół. Czulałam się jak nastolatka, z którą mama postanowiła przeprowadzić tę rozmowę. – Dobrze go pan zna?

– Poznaliśmy się z jego ojcem, gdy ten miał tyle lat, co obecnie Connor. Prowadziliśmy wspólnie interesy, głównie dla wojska. Connor miał wtedy dwanaście lat i z tego, jak wyglądały wtedy ich utarczki, mogę stwierdzić, że jabłko nie padło daleko od jabłoni.

Prawda. Usiłowałam sobie wyobrazić dwóch Roganów razem i wyobrażnia mnie zawiodła.

– Rogan jest boleśnie świadom, że wkrótce stanie się pani głową wschodzącego Rodu. On, jako głowa swojego, podlega pewnym zasadom etyki, które nie pozwalają mu wprowadzić pani otwarcie do społeczności magicznej, ponieważ ma na względzie dobro pani Rodu. Ważne, aby postrzegano was jako Ród niezależny, niepodlegający Rodowi Roganów. Jako że panią kocha, nie chce pani do niczego przymuszać, nawet

jeśli zagrożone jest pani bezpieczeństwo, bowiem sam nie chciałby, żeby jego traktowano w ten sposób. Wie, że jeśli posunie się za daleko, zostawi go pani. Niestety, stała się pani celem, zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym. Są tacy, którzy chcą panią porwać, zmanipulować, wykorzystać brak doświadczenia. On doskonale to wszystko widzi, więc walczy ze sobą, żeby nie zakuć pani od stóp do głów w zbroję, nie zamknąć w bunkrze i nie stać na jego straży przynajmniej do czasu testów. Głęboko mu współczuję. Niegdyś przechodziłem przez to samo.

Prawda.

– Było to niezwykle frustrujące doświadczenie. Posiwałem przez to. Widzi pani? – Wskazał na skronie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Jeśli mogę pani coś doradzić, najlepiej będzie podążać dotychczasową ścieżką. Udało się pani zastraszyć Harcourtów, stawiała pani czoła Maderom i opiera się Tremaine. Radzi sobie pani całkiem dobrze.

– A co z babką?

– A co podpowiada pani instynkt?

– Zaatakowała mnie już dwukrotnie – westchnęłam. – Uważam, że powinnam jakoś zareagować.

– Tak.

– Zastanawiałam się, czy nie złożyć oficjalnej skargi do Biura Rejestrowego, ale nie chciałabym wyjść na słabą.

– A chce pani być postrzegana jak dziecko, które biegnie na skargę do nauczycielki?

– Oczywiście, że nie.

– Tak też sądziłem. Skoro nie chce pani być postrzegana jako osoba, która opiera się na innych, to musi pani wziąć sprawy w swoje ręce. Proszę zostawić babce wiadomość, krótką i do rzeczy.

Przewinęłam wiadomości i wybrałam numer, który przesłał mi Pluskwa.

– Proszę dać prowadzić się instynktowi – uśmiechnął się Linus.

– TRM Enterprises – odezwał się uprzejmy męski głos.

– Chcę zostawić wiadomość dla babki.

– Oczywiście, pani Baylor. – Nawet się nie zająknął.

– Maderowie odpadli. Twój ruch. – Rozłączyłam się.

– Bardzo dobrze. – Linus napił się kawy. – Łatwiej byłoby, gdybyście porozmawiały w cztery oczy.

– Ale ona nie chce rozmawiać. Usiłuje mnie uprowadzić i zmusić, żebym wykonywała jej polecenia.

– Victoria jest na wskroś pragmatyczna. W końcu zaakceptuje to, że musi iść na kompromis, podobnie jak pani, że całkiem od niej nie ucieknie. Z pewnością jesteście w stanie spotkać się gdzieś pośrodku. Pani babka potrzebuje tylko małego popchnięcia w odpowiednią stronę. Spotkajcie się w jakimś miejscu publicznym i porozmawiajcie, z pewnością dojdziecie do porozumienia.

– A co, jeśli nie będzie chciała iść na kompromis?

– Cóż, nie będzie pani w gorszej sytuacji niż teraz.

Prawda.

– Czy chciałaby pani, żebym to ja delikatnie pchnął ją w odpowiednim kierunku?

– Tak, proszę. Ale skąd będę wiedziała, że czegoś nie spróbuje?

– Ponieważ zagwarantuję to własnym słowem i sam poczynię przygotowania do pani spotkania z Victorią. Jeśli nie zgodzi się na moje warunki, spotkania nie będzie.

– W porządku.
– Wobec tego wszystkim się zajmę. Och, i oto nadchodzi anielica z płonącym mieczem zemsty.
Sabrian podeszła do naszego stolika.
– Frank Madero się ocknął i potwierdził, że to sprawa pomiędzy Rodami. Jest pani wolna.
– Dziękuję.
Prawniczka odmaszerowała do wyjścia.
– I panu również bardzo dziękuję.
– Zawsze służę radą. Od tego mnie pani ma. Takie są obowiązki świadka. – Znów się uśmiechnęła. – Poza tym sprawy, w których centrum się pani znajduje, zdają się zwykle przybierać bardzo ciekawy obrót. A ja nie znoszę nudy.

...

Do domu dotarłam kilka minut po szesnastej. Mama gotowała obiad, a Arabella towarzyszyła jej ciałem, siedząc przy stole z nosem w telefonie.

Na widok jeszcze trochę zielonkawego Leona mama przyszpiliła mnie wzrokiem.

– Co mu zrobiłaś?

– Zabrałam go ze sobą jako wsparcie.

– I?

Zerknęłam znacząco w stronę Arabelli, jednak mama zignorowała moje wysiłki.

– Co się stało?

– Victoria Tremaine nasłala na nas brata Dave'a Madery. Miał przy sobie paru ludzi. Zajęłam się Frankiem. A Leon resztą.

Tak, oględnie i neutralnie.

Arabella podniosła się od stołu i przemaszerowała przez kuchnię.

Mama wyjęła z szafki karafkę z whiskey i nalała do trzech małych kieliszków.

– Jak się czujesz?

– Leon kogoś zabił! – ogłosiła radośnie Arabella przez interkom.

– Zamorduję ją – warknęłam.

– Za późno. Przygotuj się – poradziła mama.

W drzwiach domu trzasnęły drzwi, jedno, drugie, trzecie... Mobilizacja Baylorów w toku.

Mama postawiła jeden kieliszek przed Leonem, drugi podsunęła mnie.

– Pijcie.

Wypiliśmy. Płynny ogień spłynął mi po gardle. Leon się rozkaszał.

Bern był pierwszy. Wpadł do kuchni, złapał brata za ramiona i zaczął nim potrząsać.

– Nic ci nie jest?

– Zaraz mu będzie, jeśli nie przestaniesz nim telepać – ostrzegła mama.

Catalina wmaszerowała do kuchni niczym wcielenie bogini oburzenia.

– Co się stało?

Za nią pojawiła się babcia.

– Szczegóły! Proszę wszystko po kolei! – zażądała.

– Niech Leon opowie.

Wszyscy spojrzeli na najmłodszego Baylora, który wzruszył niezręcznie jednym ramieniem.

– Przecież nie mogłem pozwolić, żeby zabrali Nevadę.

– No? – Babcia odwróciła się do mnie. – I co? Jest taki dobry jak ty?

– W życiu. Jest o niebo lepszy. Jest niesamowity. – Sięgnęłam do kieszeni po pendrive z nagraniem z monitoringu szpitala. Poprosiłam o zapis przed wyjazdem i uzyskałam go bez żadnego problemu. Sprawy Rodu i tak dalej. – Mogę im pokazać? – zapytałam Leona.

– Kurt powiedział, że to może pomóc mi się z tym uporać – orzekł po zastanowieniu.

– Potrzebujemy dużego ekranu – zapowiedziałam, po czym rzędkiem przeszliśmy do pokoju telewizyjnego.

Podłączyłam pendrive'a. Na ekranie zśliśmy z Leonem przez parking, gdy przed szpital wjechało auto-skarbiec. Wcisnęłam pauzę.

– Zapomniałam powiedzieć, że mamy nową brykę. Tym razem skarbiec. Stoi z tyłu. Babcia aż się zaświeciły oczy.

– Mądra dziewczynka.

– Włączaj! – niecierpliwiła się Arabella.

Już nie przedłużałam. Na filmie obróciliśmy się i runęliśmy ku wejściu szpitalnemu. Leon przemknął obok mnie jak wicher. A przede mną nagle pojawił się Frank Madero. Widzowie aż jęknęli zaskoczeni.

Na ekranie wyładowania porażaczy przypominały pióra. Duże, białe pióra, które wykwitwały z moich dłoni i muskały skórę Franka.

Madero runął na kolana, a kiedy cofnęłam ręce, padł na twarz. Zatoczyłam się, sięgając po broń. Z naprzeciwka nadbiegali ludzie.

Leon wskoczył w kadr z sigiem w rękach. Uniósł broń i wypalił. Wtedy wydawało mi się, że strzela przez sekundę, teraz okazało się, że trwało to dwie, może dwie i pół. Strzelał tak szybko, jak był w stanie naciskać spust.

Ośmioro ludzi padło jak kosą ścięci. Reszta odwróciła się w tył i uciekła.

Przez chwilę po zakończeniu nagrania nikt nic nie mówił.

– Każdy strzał trafiony – odezwała się w końcu mama.

– Myślisz, że jest Znaczącym, jak twój ojciec? – zastanawiała się babcia.

Mama zmrużyła oczy, przyglądając się ekranowi.

– Ile tam było między wami, z pięćdziesiąt metrów?

– Jest więcej niż Znaczącym. – Wyciągnęłam telefon i pokazałam mamie zdjęcia dwóch trupów.

Otworzyła szeroko oczy.

– I tak każdy?

Potaknęłam.

– No co? Co? – dopypywała się Catalina.

– Trafił każdego między oczy – wyjaśniła mama. – Natychmiastowa śmierć. Nieprzerwany ogień, dystans pięćdziesiąt metrów. Jest co najmniej Wybitnym.

Babcia Frida aż gwizdnęła przez zęby.

Bern chwycił Leona w uścisk, który mógł być braterskim przytulaniem, jak również chwytem zapaśniczym. Trudno było stwierdzić.

– To coś niesamowitego, Leon – powiedziała mama. – Ty jesteś niesamowity.

Leon pokraśniał.

– Udusisz go – przestrzegłam Berna.

Bern puścił brata.

– Przystąpisz do testów? – zapytała kuzyna Arabella.

– Nie.

– Co, do licha, jest z tą rodziną? – Arabella uniosła ręce zirytowana. – A czemu nie?

– Bo nie muszę, a lepiej, żebym tego nie robił.

– Czemu?! – Arabella nie ustępowała.

– Kurt mi to wyjaśnił.

Mama zerknęła na mnie pytająco.

– Były komandos z Fok. Roganowy specjalista od zespołu stresu pourazowego.

– Czasami w życiu robi się paskudnie i trzeba bronić swoich bliskich – recytował Leon. – Fajnie, gdyby dało się nie brudzić przy tym rąk, ale życie jest brutalne i czasami trzeba robić to, co konieczne, żeby zapewnić rodzinie bezpieczeństwo. To nie oznacza, że jest się złym człowiekiem.

Wyślę Kurtowi bombonierkę.

– Pewnego dnia jakiś Magnus nam zagrozi, a wtedy go zabiję.

Co proszę?!

– Zrobię to szybko i dyskretnie, tak żeby nikt się nie dowiedział. – Leon się uśmiechnął. – Będę czarnym koniem Baylorów, sekretem rodzinnym. Zostanę najlepszym skrytobójcą na świecie. Legendą. Nikt nigdy nie zauważy, jak się zbliżam.

Zabiję Kurta. Uduśzę go gołymi rękami!

...

Wmaszerowałam do sztabu Rogana. Pluskwa i Serducho już na mnie czekali. Napoleon na widok mojej miny czmychnął za fotel swojego pana.

– Gdzie Kurt? – warknęłam.

Pluskwa zamrugał, niby zaskoczony.

– Ale nie wiem, czy mogę ci powiedzieć...

– Pluskwa!

– Kurt jest cennym członkiem naszego zespołu, a ty masz mord w oczach.

– Co zmalował? – zapytał Serducho.

– Rozmawiał z Leonem i teraz mój szesnastoletni kuzyn oświadczył, że kiedy będzie duży, zostanie skrytobójcą.

– No wiesz, to w sumie całkiem niezła opcja dla kogoś o takim talencie – powiedział Pluskwa z namysłem.

– Pluskwa!

– No co? Ma być strzelcem sportowym?

Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłabym w niego rzucić, ale nic nie było pod ręką.

– Wątpię, żeby Kurt zasugerował Leonowi karierę zawodowego zabójcy – rzekł ostrożnie sierżant. – To nie w jego stylu. Nie mieści się w filozofii Kurta.

– Nevada, zanim wkraczysz na wojenną ścieżkę, przypominam, że za siedemdziesiąt dwie minuty masz być na kolacji, więc będziesz musiała odłożyć polowanie na Kurta na po randce z Garenem.

– To nie żadna randka.

– Wybacz, wasza czcigodność. Miałem na myśli spotkanie w interesach, które odbędzie się w romantycznej francuskiej restauracyjce i na które zaprosił cię młody Magnus milioner, i na które założysz seksowną garsonkę.

– Nie założę seksownej garsonki, tylko komplet ze spodniami w stylu szybkościowym. I dla twojej informacji, kupiłam go na wyprzedży w butiku Macy za całe dwie stówki, ponieważ czasami muszę kogoś śledzić na mieście i wyglądać, jakbym właśnie pędziła do swojego korpo-boksu. Taki Garen Shaffer pewnie znajduje dwie stówki, kiedy opróżnia kieszenie z drobników.

– Dobra, już dobra – wycofał się Pluskwa. – Masz rację. To jeszcze powiedz, jaki sprzęt zabierasz.

– A niby czemu?

– Bo chcę wiedzieć, czy masz jakiś sensowny sprzęt, czy jeden z tych tanich bubli dziesięć klatek na sekundę.

– Jestem prywatnym detektywem. Sprzęt do śledzenia to mój chleb powszedni. – Tata zawsze podkreślał znaczenie wysokiej klasy sprzętu, a ja wymieniałam nasz każdego roku na lepsze modele. – Bern będzie z nami na żywo.

– Ale ja też chcę was widzieć.

– Możesz przysiąc się do Berna.

– Ale ja mam większe ekrany.

Porzuciłam te przegadywanki.

– Gdzie Rogan?

– W drodze, na I-10 – powiedział Serducho.

– Wydawało mi się, że miał lecieć do Austin.

– Tak, ale jest burza z gradem, więc uziemili samoloty. Już wraca – zapewnił mnie Pluskwa.

Bardzo chciałam się z nim zobaczyć przed spotkaniem z Garenem.

– No dobra.

– Jakie przedsięwzięłaś środki bezpieczeństwa? – zapytał sierżant.

– Biorę Corneliusa, a on Królisia.

– Kto to ten Króliś? – dopytywał sierżant.

– Doberman – wyjaśnił Pluskwa i pokazał dłońmi rozwierającą się i zamykającą paszczę z kłami palców. – Taaakie zębiska.

– Przy tym samym placu jest pub Molly – rzekł Serducho. – Będzie tam troje naszych. W tym egida. Skąd mają wiedzieć, że coś jest nie tak?

– Jeśli uznam, że potrzebuję pomocy, zasłonę obiektyw kamery palcem i przytrzymam go tak przez sekundę. Bern zna ten sygnał.

– Dobrze. No to jesteśmy gotowi – podsumował sierżant.

– I tak obstatę, że mam większe ekrany – burczał Pluskwa.

...

Do bistro weszłam za pięć szosta. Recenzje opisywały je jako przytulną, uroczą restauracyjkę w europejskim stylu i tak właśnie było. Obrazy o tematyce francuskiej na białych ścianach, biały sufit żebrowany sosnowymi belkami, wielkie okna. Zdobione drewniane półki ugiwały się od ciemnych butelek wina. Przy stolikach, przykrytych czerwonymi obrusami i białymi serwetami, stały wygodne, wyściełane krzesła. Lampy

w kształcie starodawnych latarni dawały przyjemne, przytłumione światło. Ruch uliczny został za drzwiami, a ja poczułam się jak w innym świecie.

W restauracji było sporo osób. Cornelius siedział nieopodal wejścia, na lewo. Króliś dyskretnie leżał u jego stóp. Zazwyczaj wprowadzenie zwierzaka do houstońskiej restauracji nie wchodziło w grę, jeśli nie był to pies przewodnik, ale czasami robiono wyjątek dla towarzyszy zoomagów.

Menadżer uśmiechnął się na powitanie.

– Dobry wieczór, pani do pana Shaffera?

– Tak.

– Tędy, proszę.

Poprowadził mnie za regał na wino, gdzie znajdowała się druga część restauracji. Garen siedział przy stoliku na uboczu, zaczytany w menu. Miał na sobie idealnie dopasowany szary garnitur. Jasne włosy, odrobinę zmierzwiłone, wyglądały, jakby ktoś nonszalancko przecesał palcami fryzurę za tysiąc dolarów. Miał niewymuszoną postawę pewnego siebie mężczyzny. Nie było w nim nic krzykliwego. Kiedy Rogan wchodził do pomieszczenia, kłuł w oczy, emanował niebezpieczeństwem. Garen emanował... Nawet nie potrafiłam tego określić. Urok? To słowo było zbyt luzusowe. Garen sprawiał po prostu wrażenie, że doskonale czuje się we własnej skórze i jest pewien, że należy mu się miejsce na świecie. Że zawsze jest na właściwym miejscu, niełatwo wyprowadzić go z równowagi, a jeśli pojawiłby się na gali w koszulce i dżinsach, zostałyby wpuszczony bez mrugnięcia okiem, w środku on wyglądałby elegancko, a reszta czułaby się nadmiernie wystrojona.

Podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnął się na powitanie.

Ło!

Z pewnością zamawiał dania po francusku.

Wstał i odsunął mi krzesło. Iście po królewsku. Usiadłam z uśmiechem.

– Przyszłaś.

– Przecież obiecałam.

– Mimo to nie byłam pewien, czy się pojawisz.

Prawda. Wyciągnęłam telefon i położyłam go na stole.

– Wybac, praca – wyjaśniałam przepaszająco, kiedy zerknął na aparat.

A poza pracą kamera z boku aparatu była idealnie ustawiona na niego i przesyłała widok prosto do Berna. I dawała lepszy obraz niż ta ukryta za lewą klapą żakietu. Ale wolałam włączyć obie, na wypadek gdyby jedna przestała nagrywać.

– Nie przejmuj się.

Do stolika podszedł kelner, przedstawił się, postawił na stoliku starter. Małe grzanki z pasztetem. Zamówiłam wodę, Garen również.

– Wino? – zapytał.

– Zdaję się na ciebie.

Zerknął w kartę win i mruknął coś do kelnera, który skinął głową i odszedł.

– Zawsze czuję się zakłopotany, zamawiając wino dla kogoś – wyznał.

Prawda.

Dlaczego?

– Bo jego odbiór jest bardzo subiektywną sprawą. Smak ma niewiele wspólnego z ceną. Niektórzy szkołą zmysłu smaku całymi latami, żeby stać się koneserami, a inni po prostu chcą smacznego napoju. Byłam na kolacji, do której gospodarz otworzył rieslinga za pięć tysięcy dolarów. A ja czułam się, jakbym pił dębową korę moczoną w occie.

Zaśmiałam się.

– W dodatku patrzył prosto na mnie, kiedy próbowałem, i musiałem coś powiedzieć.

– I co powiedziałaś?

Garen pochylił się do przodu.

– Och, gładko skłamałem, użyłem chyba słowa „wyśmienite”.

No, no, panie wilku. Jakie pan ma piękne oczy i jakie zabawne historyjki opowiada. Prawie nie widać zza nich pana kłów.

– Jednowyrazowe kłamstwa są najprostsze.

– To prawda.

Kelner przyniósł wino, nalał do dwóch kieliszków.

– Proszę. – Garen zachęcił mnie do spróbowania.

Wino miało świeży, słodkawy posmak.

– Smakuje mi.

Poczułam muśnięcie magii. Garen sprawdzał, czy mówię prawdę. Uśmiechał się przy tym.

Kelner dopełnił kieliszki i uprzejmie zapytał, czy wybraliśmy już przystawki. Zamówiłam przegrzebki na maśle.

– Dla mnie to samo – rzucił Garen i znów zostaliśmy sami.

Przyglądał mi ostrożnie tymi swoimi zielonymi oczyma.

– Czy możemy zawrzeć pakt na dzisiejszy wieczór?

– Hm?

– Umówmy się, że będziemy wobec siebie szczerzy.

– Jak bardzo?

– Do bólu. Zadasz mi pytanie, a ja odpowiem szczerze. Bez tarczy czy prób blokowania sondowania. Proszę o to samo z twojej strony.

Poruszyłam kieliszkiem, okręcając winem po ściankach.

– To niebezpieczna zabawa.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Nie spodobają ci moje pytania.

– Lubię ryzyko.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem niczym rewolwerowcy uzbrojeni w kieliszki wina zamiast rewolwerów.

– Zaczynaj – zachęcił mnie.

– Czy ty lub członek twojej rodziny uchylaliście kiedykolwiek zaporę mentalną w celu odnalezienia lokalizacji trzeciego fragmentu artefaktu, który znajdował się w pomniku w Bridge Park?

Bardzo dokładnie przemyślałam to pytanie. To wtedy odkryliśmy spisek. Ci, którzy go tworzyli, zawarli układ z Magnusem-pirokinetą, Adamem Pierce'em. Pierce chciał spalić centrum Houston, ale potrzebował artefaktu, żeby spotęgować swoją magię. Wiedzę o miejscu ukrycia fragmentu powierzono rodzinie Emmensów, przez których była pilnie strzeżona. Każdy z owej rodziny, poznawszy tajemnicę, miał ustawianą w umyśle barierę chroniącą przed ujawnieniem sekretu. Spiskowcy porwali najmłodszego Emmensa i wydarli z niego tajemnicę tak samo, jak ja zrobiłam to w wypadku najstarszego, który jednak zgodził się na to dobrowolnie, żeby pomóc ocalić Houston.

Zaporę w umyśle najmłodszego Emmensa zhakował prawdołowca, a ja chciałam dowiedzieć się, czy Garen miał z tym coś wspólnego.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale to dziwnie szczegółowe pytanie. Nie.

Prawda. Dziwne, ale kamień spadł mi z serca. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że polubiłam Garena i nie chciałam, żeby okazało się, że należy do spisku.

Przyglądał mi się uważnie z mieszaniną drapieżności i wyczekiwania. Bez względu na urok i tę rozbijającą szczerość Garen był Magnusem.

– Moja kolej. Czy Victoria Tremaine jest naprawdę twoją babką?

– Tak.

Kelner przyniósł przystawki i zapytał o zamówienie.

– Lucjan czerwony.

– *Medallion de Marcassin à l'aigre-doux.*

Ha, miałam rację. Zamówił po francusku.

Kelner odszedł.

– Teraz twoja kolej na pytanie. – Garen wrócił do wątku.

– Jakie jest znaczenie falistej linii?

– Nie rozumiem?

– Gdy napotykasz kogoś o mocnych blokadach mentalnych i chcesz nieco nagiąć jego wolę, a nie przełamywać ją brutalnie, rysujesz falistą linię w kręgu. Czemu, widząc to, ludzie reagują tak nerwowo?

W oczach Garena pojawiło się niedowierzanie, a następnie mój spokojny, wyluzowany towarzysz opróżnił swój kieliszek do dna.

– Robiłaś coś takiego?

– Tak. Odpowiedz, proszę.

– Boją się, bo to zaklęcie rodowe Tremaine'ów. Nikt poza nimi go nie stosuje. – Pochylił się nad stołem, wpatrując we mnie niczym jastrząb. – Jak korzystasz ze znaku fali?

– Dopasowuję go do zapory konkretnej osoby. Na wycucie.

– Wiedziałem! – Lekko uderzył dłonią o stół. – Wiedziałem. Całymi latami usiłowałem to powtórzyć. Pokażesz mi?

– Może. Twoja kolej.

Namyślał się przez moment.

– Podczas rozmowy w twoim gabinecie wiedziałaś, że kłamię, mówiąc, że jestem jedynakiem?

– Tak. – Odcięłam kawaleczek przegrzebka. Stygły, a wyglądały tak smakowicie, że szkoda byłoby ich nie zjeść.

Garen wyprostował się na krześle. Oczy mu błyszczały, ale nie od wina.

– Teraz ty.

– Czemu mnie tu zaprosiłeś?

Nie odpowiedział natychmiast.

– Chciałem się przekonać, czy jesteś prawdołowniczyią i wnuczką Tremaine.

– To wiem, ale nie o to pytałam.

– To bardziej skomplikowane.

Postawiono przed nami talerze z głównym daniem. Lucjan wyglądał bosko, a jeszcze lepiej pachniał, lecz pochłaniało mnie chwilowo coś innego.

– Jak już mówiłem, zaprosiłem cię, żeby się przekonać, czy naprawdę jesteś prawdołowniczyią-Magnusem. Gdyby okazało się, że skłamałaś albo twoja magia nie jest takiego kalibru, jak twierdzisz, już byłbym w samolocie w drodze do domu.

– Ale nadal jesteś tutaj.

– Jestem.

Przyjrzał się w zadumie medalionowi na talerzu.

– Co to takiego? – zaciekawiałam się.

– Dzik. Chcesz spróbować?

– Nie, dziękuję.

– Wiem, że łączy was z Roganem przeszłość. Burzliwa, pełna przemocy, ekscytująca, ale również pełna niebezpieczeństw, strachu i niepewności.

– To prawda.

– Czy Rogan wystąpił o udostępnienie twojego profilu?

– Nie.

– Co za baran!

Wolałam spróbować ryby, niż odpowiedzieć. Delikatne mięso rozpływało się na języku.

– Wybacz, poniosło mnie. Jednak za późno, żeby to cofnąć.

– Boisz się, że usłyszał? – Uśmiechnęłam się.

– Nie. Ale widzę, że ci na nim zależy, i nie chciałem się źle o nim wyrażać. Poszukałem informacji o tobie. Przykro mi z powodu choroby i śmierci twojego ojca.

A to obrót o sto osiemdziesiąt stopni.

– Dziękuję.

– Przejęłaś agencję detektywistyczną na skraju upadku i ocalałaś ją. Nie rozszerzyłaś natychmiast działalności, nie stawiałaś na szybki rozwój, zatrudniając ludzi i biorąc każde zlecenie. Skupiałaś się na jakości. Miałaś spory udział w ocaleniu Houston przed Adamem Pierce'em, a jednak trzymałaś się z dala od reflektorów. Wydaje mi się, że wolisz kompetentne działanie w cieniu niż rozgłos. Mam rację?

– Tak. Nie potrzebujemy tego rodzaju reklamy. Bierzemy niewiele zleceń naraz, ale radzimy sobie z każdym. Firma zapewnia nam utrzymanie.

– Troszczysz się o rodzinę. Ja również. Przejąłem rodzinne interesy, kiedy u ojca zdiagnozowano alzheimera.

– Przykro mi.

– Dziękuję. Miałem wtedy jedenaście lat. Kiedy przejrzałem księgi i zdałem sobie sprawę, w jak trudnym znajdujemy się położeniu, nasza firma też była zagrożona bankructwem. Na kolejne dwanaście lat całkowicie poświęciłem się Shaffer Security. Wiem, ile to kosztuje. Wciskasz pauzę w swoim życiu, wstajesz co rano i mozolnie orzesz, budujesz interes cegła po cegle, naprawiasz, zlecenie za zleceniem, klient za klientem. Leżysz nocą w łóżku i zastanawiasz się, jak zapłacisz rachunki. To wymaga pełnego zaangażowania i wytrwałości. Więc gdy jakiś idiota podtyka ci mikrofon pod nos, domagając się jednozdaniowego podsumowania sprawy, odchodzisz, bo nie o to chodzi w tym, co robisz.

– Agencja Detektywistyczna Baylorów szczyli się dyskrecją. Nasi klienci liczą na poufność.

– Tak, a rozgłos medialny mógłby wywołać mylne wrażenie co do zasad, którymi się kierujecie.

– Właśnie. – Rozumiał to. – Udało ci się dźwignąć firmę z opaków?

– Tak. Jesteśmy drugą największą firmą w branży bezpieczeństwa w kraju. Plasujemy się przed MABM. Augustine Montgomery od lat deptce mi po piętach. Na jego nieszczytne rola deptacza pięt to jego przeznaczenie – zażartował Garen.

Zakrzusiałam się lucjanem. Zakaszłałam.

Garen uśmiechnął się szeroko.

– Ha, wiedziałem, że cię to rozbawi. A wracając do poważnych tematów, mój majątek osobisty jest wart czterysta milionów dolarów i jego wartość wzrasta, a firma wyceniana jest na ponad miliard.

– A ta informacja jest mi potrzebna, ponieważ...?

– Ponieważ zgodziliśmy się, że będziemy wobec siebie szczerzy, a chcę, żebyś posiadała wszelkie istotne informacje, zanim podejmiesz decyzję.

Zamarłam z kieliszkiem w ręce.

– To znaczy, że będę musiała podejmować jakąś decyzję?

– Tak. Ponieważ proszę, żebyś za mnie wyszła.

Dobrze, że nie zdążyłam się napić tego wina.

– Garen, przecież my się w ogóle nie znamy. Jesteśmy obcymi ludźmi. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

– Małżeństwo to partnerstwo. Uważam, że bylibyśmy dobrymi towarzyszami życia. Jesteśmy podobni, cenimy rodzinę, uczciwość i kompetencje. Pracujemy w tej samej branży i poświęciliśmy się swoim firmom. Bardziej zależy nam na reputacji niż rozgłosie. Jesteśmy ostrożni, bo zdajemy sobie sprawę, co jest stawką. Uważam, że stworzylibyśmy dobre stadło.

– I genetyka nie ma z tym nic wspólnego?

– Oczywiście, że ma – westchnął. – Nawet gdybyś była płochą oportunistką, i tak brałbym pod uwagę twoją kandydaturę ze względu na zestaw twoich genów.

– Bo wybór jest ograniczony, co?

– Cóż, nasza magia jest rzadkością, a jeśli wiążemy się z kimś spoza naszej puli talentu, istnieje ryzyko rozcieńczenia mocy.

– Nie byłoby rozsądniej zaczekać do wyników testów, żeby mieć pewność?

Odłożył widelec.

– Nie potrzebuję ich. Wiem, że jesteś Magnusem. Narysowałaś linię Tremaine'ów, nawet jej nie znając. To sugeruje, że twoja moc jest uwarunkowana genetycznie i zostanie przekazana potomstwu. Twoje geny to żyła złota.

– Uhm. – Cóż za romantyzm.

– Czujesz się niekomfortowo, ponieważ rozmawiamy o tym, jakbyśmy byli dwiema sztukami rasowego bydła hodowlanego?

– To chyba zrozumiałe, jestem człowiekiem, Garenie. Mam marzenia i oczekiwania. Chcę wyjść za mąż z miłości, nie z powodu posiadanego zestawu genów.

– Ja również tego pragnę.

Prawda.

Westchnął ciężko.

– Ale w końcu następuje ten katastroficzny moment, kiedy nasze wyobrażenia zderzają się z twardą, zimną rzeczywistością. Ze mną masz gwarancję poczęcia Magnusów. To wyjątkowa okazja dla nas obojga. Jesteś wschodzącym Rodem. Będziesz potrzebowała sojuszników, żeby przetrwać. Będziesz potrzebowała środków na wzmocnienie ochrony swojej całej rodziny. Będziesz musiała nauczyć się żeglowania po najeżonym podwodnymi skałami, pełnym rekinów oceanie polityki rodowej. Będziesz potrzebowała szkolenia. Może i twoje wrodzone zdolności są większe niż moje, ale tego się nie dowiemy, zanim na poważnie się nie zmierzmy. Ale w walce na śmierć i życie pewnie cię pokonam, ponieważ posiadam wiedzę i doświadczenie, których tobie brakuje. Poślubienie mnie zagwarantuje, że wszelkie twoje potrzeby zostaną zaspokojone.

To, co mówił, wydawało się bardzo logiczne.

– A co ty z tego będziesz miał?

– Partnerkę, która mnie rozumie. Lojalną towarzyszkę, która będzie mi towarzyszyć w dążeniach do wspólnych celów. Kogoś, kto dotrzyma mi kroku, będzie rozwijał się wraz ze mną i będzie atutem. Fascynującą, inteligentną kobietę, która będzie wspierała matką. Nasza relacja będzie oparta na szczerości, Nevado. Nigdy cię nie okłamię. Bo nie potrafiłbym, ale co ważniejsze, nie chciałbym tego. Oboje wiemy, że to miecz obusieczny, ale lepiej od początku grać w otwarte karty.

– Ale ja cię nie kocham, Garen – powiedziałam łagodnie.

– Wiem. Jak mówiłaś, nie znamy się. Ale podobam ci się, a ty podobasz się mnie. To dobry początek. Miłość przyjdzie z czasem. Widziałem, jak to się dzieje. Moi rodzice się kochali, więc dzieciństwo miałem naprawdę sielankowe. Ojciec szanował matkę, a i ona darzyła go tym samym uczuciem. Żadne z nich nie miało nikogo na boku. Byli bardzo szczęśliwi, dopóki tata nie zachorował, a potem, trzy lata temu zmarł. Małżeństwa z rozsądku mogą być szczęśliwe.

– Nie chcę wychodzić za mąż tylko dlatego, że wszystkie punkty na liście można odfajkować na tak.

– A czy nie na tym polega wybór małżonka? Czy nie wiążesz się z taką osobą, która odpowiada wszelkim twoim wymaganiom?

– Ale ja jestem z kimś związana.

Odsunął od siebie talerz.

– Mówiłem, że nie chcę krytykować Rogana, lecz może to cofnę. Bardzo pragnę tego małżeństwa, Nevado, to dla mnie życiowa okazja.

Ło! Złotousty.

– Rogan przykuwa uwagę. Robi wrażenie. Jest niebezpieczny, co może być pociągające. Jednak jest przy tym nieprzewidywalny i bezwzględny. Mierzy wszystkich swoją miarą. Ale co, jeśli wystawi cię na niebezpieczeństwo przekonany, że sobie z nim poradzisz, lecz przegapi moment, gdy cię ono przerośnie? Ja zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby cię nie narażać, żebyś była bezpieczna, bo to jest zadanie męża. Sama zadaj sobie pytanie, czy on byłby dobrym mężem? Dobrym ojcem? Czy potrafi panować nad swoim temperamentem? My oboje pochodzimy z dużych rodzin, wiemy, że rodzeństwo czasem potrafi doprowadzić do szału. Wyobraź go sobie w roli opiekuna. Wyobraź sobie całe te nerwy, które towarzyszyłyby ci, gdybyś musiała z nim zostawić dzieci. Jak sądzisz, z kim byłyby bezpieczniejsze, ze mną czy z nim?

Był w tym naprawdę dobry. Lepszy, niż się spodziewałam.

– Ja zapewnię ci stabilizację, bezpieczeństwo, wygodę. On może zaferować ekscytację, niebezpieczeństwo i ryzyko. Ja proponuję małżeństwo, formalny układ, z którym wiążą się prawa, zobowiązania, ochrona. A on dotychczas nie wziął tego pod uwagę. – Garen pochylił się, delikatnie dotykając palcami mojej dłoni. Bezpośredni kontakt. – Nevado, chodzi o to, że ja i Rogan pragniemy dwóch różnych kobiet. Ja tej mądrej, pewnej siebie, ostrożnej, która od podstaw buduje swoją firmę, dla której ważne są lojalność i uczciwość. On pragnie wojowniczkę, która będzie mu towarzyszyła w jego ryzykownych przedsięwzięciach, w jakie co rusz się wplątuje. Kobiety, która będzie budziła powszechny strach. Brutalnie ujmując, właśnie to go podnieca. Przy mnie zajdziesz na szczyt, twój biznes znajdzie się w rankingu Fortune 500, zyskasz wpływy i bezpieczeństwo przynależne tej pozycji. Jeśli zostaniesz z nim, zmienisz się w swoją babkę. Do ciebie należy decyzja, kim chcesz być. Ostatecznie zawsze najważniejsza jest rodzina.

Azjata z bladą blizną na policzku, poważny brunet koło trzydziestki i Melosa, osobista egida Rogana.

– Cemu nie pojechałaś z nim do Austin? – zapytałam, kiedy podeszła.

– Ponieważ twoje bezpieczeństwo jest dla niego priorytetem. Cemu tu przyjechalśmy?

– Muszę przeszukać dom Ryndy.

– Już go przeszukiwaliśmy – zapewnił mnie brunet.

– Wiem. – Skierowałam się ku drzwiom.

– O nie, nie. – Melosa zastąpiła mi drogę. – Delun.

– Już się robi. – Azjata wyminął mnie i wstukał kod do zamka. Drzwi ustąpiły, kiedy je popchnął. Wszedł do środka na palcach i zatrzymał się.

Minęła dłuższa chwila.

– Czysto – ogłosił. – Nikogo nie ma.

Zapalił światło. Wszłam do środka. Ktoś posprzątał bałagan. Na płytkach nie było już kałuż krwi, a wywrócona choinka zniknęła.

Wszłam do salonu, a w głowie krążyły mi skrawki rozmów.

„...była cudowną babcią dla moich dzieci. Bardzo kochała wnuki...”

„...tego nie ma na komputerze. Jest gdzieś w domu...”

„...ale Olivia to w nim widziała. Uwielbiała chłopca. Oprawiała każdy jego rysunek...”

„...ostatecznie zawsze najważniejsza jest rodzina...”

Podeszłam do najbliższego obrazka. Dwa drzewa rosnące tak blisko, że stykały się pniami. W niepewnych liniach i prostym odwzorowaniu na pierwszy rzut oka widać było rękę dziecka, ale żywe, intensywne brązy i zielenie przyciągały oko. Opromienione słońcem krowy niemal jaśniały. Patrząc na rysunek, miałam ochotę wyjść na zewnątrz, odetchnąć pełną piersią i pogłodzić pień drzewa. Sama zawiesiłabym taki obrazek w biurze i uśmiechała się za każdym razem, kiedy bym na niego popatrzyła.

Zdjęłam go ze ściany. Prosta czarna ramka, drewniana, jakie można kupić w każdym sklepie z akcesoriami plastycznymi. Rozłożyłam ją ostrożnie. Żadnego ukrytego kodu, napisu, kawałka papieru ryżowego pomiędzy obrazkiem a podkładką. Wyjęłam kartkę grubego papieru akwarelowego i obejrzałam ją pod światło.

Farba i włókna celulozy. Nawet gdyby sięgnęły po niekonwencjonalne metody szpiegowskie, to przecież i atrament sympatyczny pozostawia ślad. Stalówka robi wgłębienia w grubym papierze, a płyn wsiąka w włókna. Akwarele miały różną kwasowość, mogłyby więc wejść w reakcję z atramentem, nie mówiąc o tym, że farby wodne wymagają użycia dużej ilości wody, i wiadomość mogłaby się rozmazać. Pozostawienie jej na papierze niosło ze sobą zbyt duże ryzyko. Nie, rysunek był tylko tym, czym był.

Opukałam ramkę w poszukiwaniu pustych przestrzeni. Nic.

– Czego szukasz? – zaciekawiła się Melosa.

– Będę wiedziała, kiedy to znajdę.

– To ja może poszukam innych obrazków? – zaproponował brunet.

Położyłam rysunek na podłodze i sięgnęłam po kolejny. Przedstawiał dom, dwoje dorosłych i dwójkę dzieci oraz zarys psa. Czy to ich pies, który już nie żył? A może Kyle chciał szczeniaka? Zdjęłam obrazek ze ściany, a brunet i Delun przynieśli następane cztery. Zabrałyśmy się z Melosą do ściągania ramek, a mężczyźni poszli sprawdzić na górze.

Pół godziny później na podłodze leżał rządek dwudziestu rysunków. Obejrzałam dokładnie każdy centymetr wszystkich dwudziestu i niczego nie znalazłam.

Oklapłam, rozczarowana, bo byłam taka pewna, że rozwiązałam zagadkę.

Obrazki spełniały wszystkie warunki, które wraz z wydrążonymi książkami wpisywały się w definicję banalnej kryjówki – większość ludzi nie pomyślałaby, żeby tam szukać, więc właściciel mógł być dumny z własnego sprytu i rozkoszować się myślą, że jego skarb jest ukryty na widoku. A to akurat pasowało do Olivii Charles. I przecież to ona właśnie oprawiała rysunki Kyle'a.

– Szukamy gdzieś jeszcze? – zapytał Delun.

– Nie dzisiaj. – Postanowiłam wrócić nazajutrz z lampą UV i sprawdzić wszystko jeszcze raz. – Wracamy do domu.

Eskorta wiernie towarzyszyła mi aż na parking przed magazynem, a potem srebrny range rover skręcił w stronę sztabu Rogana. Wysiadłam i zaczęłam obchodzić dookoła magazyn, żeby dostać się na tył, do warsztatu. Tak było szybciej, niż wędrować przez całą długość budynku, przechodząc przez te wszystkie drzwi w środku.

Skręciwszy za róg, ujrzałam leżącą na ulicy kupę złomu, która mogła być kiedyś samochodem. Ktoś zgniół i wykręcił karoserię jak kulkę folii aluminiowej, a potem cisnął na asfalt. Dziwne.

Wielkie wrota do hali warsztatu stały otworem. Ze środka na ulicę wylewał się żółty blask, oświetlając drugi wrak. Ten wyglądał jak wielka piłka zgnieciona ręką olbrzyma, któremu przyszła ochota poćwiczyć sztuczki futbolowe.

Przyspieszyłam kroku.

Hala była jakby opustoszała – ktoś przezorny odsunął wozy pod ściany, zostawiając na środku sporo miejsca. Betonową posadzkę zaścielały kawałki pogiętego, pomiażdżonego metalu. Babcia stała, opierając się o Romea, swojego ukochanego czołgusia. Romeo zaczął swe życie jako sheridan M551, lekko opancerzony czołg uzbrojony w wyrzutnię pocisków przeciwpancernych Shillelagh oraz parę innych zabawek. Babcia zmodyfikowała go mocno, a odkąd brał udział w akcji bojowej dwa tygodnie temu, nieustannie przy nim majstrowała.

Na końcu pomieszczenia, pod ścianą oddzielającą warsztat od części mieszkalnej, tkwił Rogan, naszym ludzkie wcielenie ponurości, i wypalał wzrokiem piksele w dwóch potężnych ekranach, oglądając nagranie z Garenem. W fotelu po lewej siedział Bern z klawiaturą na kolanach, a po prawej Pluskwa usadowił się okrakiem na odwróconym krześle, podpierając się brodą na ramionach ułożonych na krawędzi oparcia. Mama obok Pluskwy z robotką babci na kolanach. Kiedy podchodziłam, wzięła ją do ręki i spruła krzywy, poskręcany rządek. Na podłodze, obok na wpół opróżnionej miski popcornu, leżały dwa koce. A więc siostry przyłączyły się do rodzinnego kina.

Zatrzymałam się przy babci i wskazałam podbródkiem na wraki na zewnątrz, unosząc brwi.

– Oglądał twoją randkę i nagle ściany zaczęły się giąć, a ponieważ i tak miałam ze złomować jakieś resztki, to dałam mu je do zabawy.

– A dziewczynki?

– Powłokły się do łóżek. Kiedy ty zabijałeś ludzi i siedziałas w romantycznych knajpkach, nam ty przez cały dzień robili alarmy huraganowe. Były wykończone biegiem do piwnic po drugiej stronie ulicy. Ale nie martw się, wszystko porządnie obejrzały. Jutro czeka cię niezła bura.

Przewróciłam oczami. Właśnie tego brakowało mi w życiu – perspektywy nastolatek.

– A co jest mamie?

Babcia się naburmuszyła.

– Ta włóczka kosztowała trzydzieści osiem dolarów za motek. Pomyślałam, że twoja mama ją uratuje. Próbowałam sama, ale mam dzisiaj zbyt zszargane nerwy. Chciałam się przynajmniej wyżyć, podpalając to cholerstwo, ale twoja matka zabrała mi palnik. I robótkę.

Podeszłam do Rogana.

– Widziałeś? Słyszałeś?

– Owszem – odparł lodowato-mroźnym głosem.

– Mnie najbardziej urzekła chwila, kiedy tak mimochodem mi groził.

– Też zwróciłem na to uwagę.

Przechyliłam się, żeby zajrzeć Roganowi w twarz. Smok pokazał się w pełnej krasie. Wyszczrzyłam zęby z uciechy.

– Co tam knujesz?

– Nic.

Kłamstwo.

– Rogan, nie możesz zabić Garena Shaffera.

– Oczywiście, że mogę. Mogę również dokonać świadomego wyboru i go nie zabić. Poza tym wcale o tym nie myślałam.

– Jeśli zamierzasz wpaść do niego i połamać mu rękę w pięciu miejscach, to uprzedzam, że byłby to kiepski przekaz dla ludzi. Potencjalni klienci baliby się robić ze mną interesy.

– Nie myślałam również o łamaniu mu rąk. Raczej o uderzeniu w jego biznes, pograżeniu, rozszarpaniu i wyprzedaniu po kawałku na jego oczach.

– Nie możesz rujnować każdego, kto mi grozi.

– Owszem, mogę. Poza tym wystarczyłoby zrujnować kilku pierwszych, reszta szybko zrozumiałaby aluzję. No, może poza Maderami, którzy najwyraźniej są nieskończenie tępi.

– E, bez przesady. Dogadałam się z dziadkiem Maderą, wyjaśniliśmy sobie kilka spraw.

Na ekranie Garen dotknął mojej ręki. Biceps na ramieniu Rogana napiął się wyraźnie. Za nami z betonowej posadzki uniośł się kawałek błotnika i zmiał się z okropnym zgrzytem.

Jak by go tu rozmrozić?

– Spójrz, jak podtrzymuje kontakt wzrokowy. Łagodny, ale stanowczy dotyk, nienachalny, tylko tyle, żeby podkreślić szczerą intencję. Zapewnienie, że jest po mojej stronie, że ma wszystko pod kontrolą i wszystkim się zajmie.

Pluskwa spojrział na mnie zaskoczony.

Puściłam mu oko.

– Garen wie, jak odczytywać ludzi. Od urodzenia obserwuje, jak kłamią. To daje unikatową perspektywę. Wie, jak nakłonić kogoś do zwierzeń. Najłatwiej zrobić to, przekonując delikwenta, że jest po jego stronie. Zaczął czarować tą historyjką o niechęci do wybierania wina, a potem poszedł na całość. Serce na dłoni, pełne rozbrojenie i logika nie do podważenia.

– To jakiś rodzaj magii? – zapytał Pluskwa.

– Nie, to psychologia. Shaffer jest zawodowym śledczym, pracuje, przepytując ludzi. Ale ja również. – Uśmiechnęłam się do Pluskwy pokrzepiająco. – Widzę, co się dzieje w twojej głowie, Pluskwa. Wiem, co cię kręci.

– Nie rób tak. – Aż się wzdrygnął.

Bern się roześmiał, jednak twarz Rogana pozostała jak wykuta w kamieniu. Nietrafiony, niezatopiony.

– Z dobrych wieści, Garen nie należy do spisku, więc nie jest już naszym problemem. Możemy o nim zapomnieć.

Rogan nie pokazał po sobie, że mnie usłyszał.

– Muszę ci coś powiedzieć, Rogan.

Lodowa maska pozostała na swoim miejscu.

– Rogan. – Dotknęłam jego ramienia.

Wrócił do życia, obrócił się i spojrzał na mnie z tak intensywnym skupieniem, jakby świat poza mną nie istniał. Efekt zbijał z nóg. Uwielbiałam, gdy to robił.

– Tak?

– Mam powody przypuszczać, że Brian Sherwood współpracuje z Aleksandrem Sturmem.

– Kurwa.

– Właśnie.

– Czemu tak sądzisz?

– Zabawa w rodzinę go rozczarowała. Córka jest empatką, który to talent nie stanowi dla niego żadnej wartości. Kyle nie posiada magii, czyli jest dla Briana zagrożeniem. Rodzice wychowywali Briana jak złote dziecko, którego jedyną wartością jest talent, co pozwoliło mu przejść BioCore i zostać Magnusem o wysokiej pozycji. Całe jego ego jest osnute na wątku Briana Sherwooda, genialnego botanologa, Magnusa i głowy Rodów Sherwoodów. Od urodzenia żył w przekonaniu, że jest wyjątkowy, i przywykł, że świat właśnie tak go traktuje. Przeraża go myśl, że ktoś mógłby podważyć jego możliwości przekazania potomstwu talentu w najwyższej randze. Od dawna chciał się wywinąć z tego małżeństwa, ale dopóki żyła Olivia, nie odważył się mącić. A teraz kiedy jego żona stała się pariasem magicznej elity, dodatkowo stała mu się kulą u nogi.

– Hm, Olivia nie żyje, więc czemu się po prostu nie rozwiedzie z Ryndą?

– Bo Edward powiedział mu, że jako mąż i ojciec ma zobowiązania wobec swojej rodziny, i zagroził, że jeśli je porzuci, Edward odejdzie z firmy, zostawiając zarządzanie przedsiębiorstwem na jego głowie. A Brian tego nie udźwignie. Nie ma pojęcia o zarządzaniu. Wraz z odejściem Edwarda prestiż Briana wyparuje. Brian zdaje sobie sprawę, że pogrąży BioCore. A wraz z nim straci poważanie, wpływy. Nagle przestanie się liczyć.

Oczy Rogana pociemniały, a twarz ściągnęła się w surowym wyrazie.

– Ale jeśli Ryndzie coś się przytrafi i zostanie wdowcem, wszystko się ułoży.

– Tak. Nie wynająłby zabójcy. To zbyt ryzykowne, poza tym nawet nie wie pewnie, gdzie go szukać. I pewnie się bał, że nawet jeśli uda mu się do jakiegoś dotrzeć, ten okaże się tajniakiem, a Brian ostatecznie trafi do więzienia. A w ten sposób osiągnie wszystkie swoje cele, nowi, skłonni do przemocy przyjaciele załatwią wszystko, podczas gdy on zrobi sobie urlop od życia w jakimś miłym miejscu, a kiedy dojdzie do wymiany, Rynda przypadkiem zginie.

– Uhm, a jeśli nie podczas wymiany, to niedługo później. Możliwe, że razem z dziećmi.

– Właśnie. A Brian będzie wolny i z czystą kartą zacznie nowe życie.

– Przekonujące. Na ile pewne?

– Wiemy, że uprowadzenia dokonano w zasadzie w jedynym na tej trasie miejscu objętym monitoringiem. Na Memorial Drive są trzy kamery, porwali go pod tą

z najlepszym widokiem na ulicę – powiedział Pluskwa.

– Brian i Sturm spotkali się w kawiarni dwa dni przed porwaniem, mamy świadka – dodał Bern. – Wiemy również, że ktoś wykorzystał hasła dostępowe Briana, żeby wejść do sieci domowej Sherwoodów, w czasie gdy Brian i Rynda byli w odwiedzinach u rodziny.

– A Edward Sherwood opowiedział mi o swojej rozmowie z bratem. Nie kłamał. No i przysłane ucho nie należy do Briana – dokończyłam.

– Mówiłaś Ryndzie?

– Jeszcze nie, ale muszę jej powiedzieć. Jest moją klientką, a jej życie i życie jej dzieci może być zagrożone.

– Skoro jest taką świetną empatką, to jak to możliwe, że się nie zorientowała, co się kroi? – zapytała babcia z przekąsem.

– Przesłuchałam jeszcze raz naszą pierwszą rozmowę. Nigdy nie powiedziała: „Brian mnie kocha”. Mówiła, że o dba o nią i dzieci. Mówiła o tym, jak bardzo dzieci za nim tęsknią. Nie rozumiem natomiast zupełnie, czemu w ogóle za niego wyszła? Nie potrzebuje jego pieniędzy, a jeśli chodzi o jej silną potrzebę stabilizacji, to też wątpię, żeby akurat on emanował takim zrównoważeniem, że nie mogła mu się oprzeć.

– To mogę wyjaśnić – wtrącił Rogan.

– A skąd możesz to wiedzieć?

– Zapytałam matkę. Rynda jest nosicielką genu NPTN w wariacie D.

– Czyli?

– NPTN to gen, który koduje białko działające na synapsach neuronów oraz wpływa na komunikację komórek mózgowych, co jest łączone z większymi zdolnościami poznawczymi – wyjaśnił Rogan. – Zazwyczaj dzieci dziedziczą po rodzicach zarówno talent magiczny, jak i jego siłę... Stąd Rody.

No tak, to zrozumiałe. Dzieci akwakinetów rodziły się z talentem kontrolowania wody. Ich możliwości mogły się trochę różnić, ale w niezbyt dużym zakresie. Dwoje akwakinetów mogło spłodzić potomstwo posiadające moce na przykład psychokinetyczne – kontrolowania lodu, albo nebulokinetyczne – kontrolowania mgły i pary wodnej. Ale nie urodziłyby im się, powiedzmy, prawdołowca.

– Osoby z wariantem D NPTN są jak loteria genowa – ciągnął Rogan. – D od „dżoker”, bo może zachować się w różny sposób. Dzieci takich osób mogą odziedziczyć magię albo nie, a te, które posiadają moc, mogą być nieprzewidywalne. Jeśli dzieci Ryndy będą miały talent, najprawdopodobniej będzie on należał do dziedziny mentalnej. Mogą być empatami, telepatami, prekognitami albo harmonizerami. Trudno przewidzieć bliżej naturę ich mocy. Mój ojciec postanowił zaryzykować z Ryndą, ponieważ był pewien naszego zestawu genów. Założył, że chociaż jedno z naszych dzieci będzie silnym telekinetą, a jeśli ktoś mógłby dopełnić jego zdolności telepatią, to tylko Rynda.

– Ale większość Magnusów nie jest tak chętna do podejmowania ryzyka? – odgadłam. – Geny Ryndy mogą naruszyć lub zniszczyć linię genetyczną.

– I tak, i nie. Niektóre Rody chętnie zgarnęłyby do swojej puli taką wariację, ale nie ożeniłyby z Ryndą głowy Rodu ani sukcesora. Głowy Rodów pragną, żeby ich dzieci odziedziczyły tron rodzinny. A według tego, co powiedziała mi matka, Olivia nie zgodziłaby się wydać córki za kogoś poniżej statusu głowy Rodu. I dlatego pałała do mnie taką nienawiścią. Zrywając zaręczyny, zniszczyłam jej plan doskonały.

– A Brian miał wszystko, co chciała – zaczęłam myśleć na głos. – Był głową Rodu. Właścicielem kwitającego przedsiębiorstwa, które zapewniało rodzinie wysokie

dochody. Stabilny, skupiony na poczuciu bezpieczeństwa, na tyle nudnawy, żeby nie denerwować Ryndy huśtawką emocjonalną, a do tego podatny na naciski. Założy się, że Olivia zainwestowała w BioCore.

– Znow myślisz jak Magnus – ocenił Rogan z uznaniem.

Podziękowałam skinieniem głowy.

– Gdyby się znarowił, wystarczyłoby wyrzucić na niego presję, czy to towarzyską, czy to finansową, żeby przywołać go do porządku. Troszczyła się o swoją córkę. – Olivia musiała bardzo kochać Ryndę.

– Ech, Rogan – westchnęła mama. – Twój świat jest strasznie pokręcony.

– Wiem – odpowiedział cicho.

– A teraz stał się światem mojej córki. – Mama odłożyła na wprost sprzątaczkę i wstała. – Dokończę jutro – powiedziała i wyszła.

– O, ale się zrobiło późno! – oznajmiła babcia.

– Dobra, dobra, łapiemy aluzję – burknęłam.

Bernard powyłaczał sprzęt. Ekrany poczerniały. Pluskwa zeskoczył z fotela i wytruchtał na zewnątrz. Rogan zwrócił ku mnie twarz. Maski opadła i znow patrzył na mnie Connor. Przed oczami mignęło mi rozgwieżdżone niebo rozciągające się nad przeskłenieniem studia. Pojawiło się na ułamek sekundy, ledwie mgnienie projekcji. Musiał ją powściągnąć w tej samej chwili, gdy mu się wypnęła, ale udało mi się ją dostrzec.

Chodź ze mną, mówiła.

Oczywiście, Connor, że pójdę.

Przysunęłam się do Rogana, wtulając pod jego ramię.

– Padam z nóg, a stóp nie czuję – poskarżyłam się.

– Mam cię zanieść? – zaśmiał się.

Pewnie zrobiłby to natychmiast, gdybym go poprosiła.

– Nie, muszę dbać o swój wizerunek.

Wyszliśmy, a wielkie wrota warsztatu zamknęły się za nami z hukiem.

– A co to za wizerunek?

– Według Garena młodej Victorii Tremaine, straszliwej i wspaniałej.

– Może powinienem ci skombinować złotą lektykę?

– Może, może. – Nad naszymi głowami rozciągało się bezkresne niebo. – Przeszukałam dom Ryndy. Myślałam, że to, czego szukają porywacze, może być ukryte w rysunkach Kyle'a. Ale niczego nie znalazłam.

– Przykro mi.

– Czas kończy się jutro o szesnastej, a my nadal nic nie mamy.

– Wiem, ale przynajmniej jeden pozytywny wyniknął z tego bajzlu. Nie musimy się spinać, żeby ocalić życie tego sukinsyna. I tak go nie zabiją.

– A jeśli nawet, wyświadczą nam przysługę – dodałam.

– Ostro...

– To najgorszy rodzaj zdrady, gorszy niż romans. Rynda jest jego żoną, a on nawet nie ma jaj, żeby poprosić ją o rozwód.

– Dorwiemy go – obiecał Rogan.

– Jak ci poszło w Austin?

– Ade-Afefe mają rozważyć moją propozycję. Nic więcej nie byłem w stanie uzyskać. – Był wyraźnie rozczarowany. – Raz na wozie, raz pod wozem.

– Oboje mieliśmy niezły dzionelek.

– To fakt. – Zamilkł, pogrążony w zadumie. – Ale Shaffer co do jednego ma rację – odezwał się po chwili. – Jeśli chodzi o zapewnienie trwałości linii magicznej i przekazanie talentu prawdołowieckiego, jego geny są górą.

Tak wygląda prawdziwa miłość. Shaffer nie rozpoznałby jej nawet, gdyby się o nią potknął.

– Wezmę to pod rozwagę.

Wszystko się sypało. Wyznaczony czas przekazania okupu zbliżał się wielkimi krokami, a ja nadal nic nie miałam. Sturm nie odpuści, wyciągnie konsekwencje, a my mieliśmy słabą obronę przeciw jego magii. Nazajutrz musiałam powiedzieć Ryndzie, że jej mąż najprawdopodobniej uknuł jej morderstwo. Moja zła babka usiłowała mnie uprowadzić. Leon postanowił zostać zawodowym zabójcą. Testy były coraz bliżej.

Miałam ochotę oderwać się od tego wszystkiego, odsunąć problemy do jutra, bo bałam się, że jeśli jeszcze trochę będę to wszystko analizowała, ugnę się pod ciężarem własnych myśli.

Po drodze na piętro wyobraźnia podsuwała mi obrazy studia pod gwiazdami, wielkiego łóżka, nagiego Rogana, ciepła i ciężaru jego ciała, dotyku, smaku, uczucia, jak jego obezwładniająca magia rozpala każdy skrawek mojej skóry...

– Nevada? – usłyszałam za sobą jego chrapliwy głos.

– Tak?

– Czy możesz iść szybciej?

Pobiegłam, pozwalając, by mnie ścigał. Złapał mnie na podeście schodów i pocałował. Delektowałam się jego męskim smakiem z kawową nutą, wdychałam zapach drewna sandałowego, rozkoszowałam się silnym uściskiem ramion. Magia muskała mnie po karku, gorąca i miękka, a potem wszystko inne zbladło i przestało się liczyć.

...

Ranek nadszedł zbyt szybko.

– Kłamiesz. – Na policzki Ryndy wystąpiły czerwone plamy.

– Niestety nie. Wszystko, co ci powiedziałam, sprawdziłam i mam na to dowody lub świadków. Edward może potwierdzić swoją część. Nie kłamał.

Odwróciła oczy. Siedziałyśmy na tarasie na piętrze, tak daleko od wejścia i ewentualnych podsłuchujących, jak tylko się dało. Ból widoczny na twarzy Ryndy sprawiał mi fizyczną przykrość. Zdołałam sobie częściowo wmówić, że wiedziała o wszystkim, a przynajmniej podejrzewała udział Briana w porwaniu. Ale myliłam się. Nawet nie przyszło jej to do głowy. Spadło to na nią jak tona kamieni.

– Ale dlaczego? – zapytała łamiącym się głosem. – Jak to? Jak mógł nam coś takiego zrobić? Mnie? Dzieciom?

– Jest niedojrzałym egotykiem i manipulantem. Dorośli ludzie nie uciekają od problemów, tylko je rozwiązują. Po pierwszej ucieczce ktoś powinien z nim usiąść i wytłumaczyć, jak wszyscy się o niego martwili. A potem powinni go ukarać, żeby nigdy już tak nie robił. Nie reagując, zachęcili go do tego rodzaju postępowania, które szybko weszło mu w nawyk. Boi się konfrontacji. Zabicie ciebie i dzieci wydawało mu się łatwiejsze niż sprzeciwienie się Edwardowi czy radzenie sobie z rozwodem. Przecież jesteś empatką, Ryndo, znasz i rozumiesz go lepiej niż inni.

– Przestałam – wydusiła z udręką w oczach.

– Co przestałaś? – nie rozumiałam.

– Przestałam kierować uwagę na jego emocje już wiele lat temu, po tym jak urodził się Kyle. Nie potrafiłam znieść tej obojętności. Jego obojętności, pogardy jego rodziców, rozczarowania matki. Odcięłam się od tego. Całymi latami nie używałam swojego talentu.

Odcięcie się od własnej magii było jak utrata części duszy. Uczucia, które wychwytywała od Briana, musiały być dużo bardziej bolesne. Cierpiała podwójnie z powodu tego, co czuł do niej i co czuł do dzieci.

– Odporne na moją magię są nasze dzieci i... tylko dzieci.

I Edward. Ugryzła się w język, zanim to powiedziała.

– Ale nie potrzebuję magii, jestem ich mamą, wiem, co czują. Rosły we mnie, wydałam je na świat. Są częścią mnie i częścią jego. Jak mam im to powiedzieć?

– Ja bym nie mówiła.

– Jestem pieprzoną porażką – chlipnęła.

– Słucham?

Zwróciła na mnie zaczerwienione oczy. Była na granicy płaczu.

– Jestem córką z nieprzydatnym talentem magicznym, rozczarowaniem matki. Kochała mnie, ale nie potrafiła ukryć innych uczuć. Porzuconą narzeczoną. Partią z defektem, której nikt nie chce ze względu na nieprzewidywalne geny. Niekochaną żoną. Matką, która nie zdołała przekazać właściwego zestawu genów swoim dzieciom.

No i zrobiła się z tego katastrofa. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, ale Rynda akurat pociągnęła nosem, zerwałam się więc, żeby przynieść jej chusteczki.

– Nie masz pojęcia, jak to jest być empatką. Wszyscy patrzą na ciebie, jakbyś była jakimś cholernym dziwolągiem.

– Victoria Tremaine jest moją babką, więc wiesz...

Rynda cofnęła się, jakbym rzuciła na stolik pomiędzy nami jadowitą żmiję.

– Nie muszę być empatką, żeby wiedzieć, że jesteś przerażona.

– Ja... nie chciałam...

– Za pierwszym razem, kiedy siłą wydarłam z człowieka sekret, po wszystkim zwinął się na ziemi w pozycji płodowej i szlochał. To był doświadczony, bezwzględny najemnik, a płakał jak dziecko, bo naruszyłam intymność jego umysłu. Mamy więc coś wspólnego. Nie jesteś niczym rozczarowaniem. I nie potrzebujesz niczyjego poklasku.

Zamknęła usta i wyprostowała plecy.

– Rogan wie o... Brianie?

– Tak.

– Kto jeszcze?

– Moja rodzina, Cornelius, Pluskwa, Edward i jego szef ochrony. Niewykluczone, że twoja teściowa.

– Co teraz?

– Będziemy działać tak, jakbyśmy o tym nie wiedzieli. Musimy odnaleźć to, czego chcą, inaczej nie przestaną. No chyba że ostatecznie rozbijemy całą organizację.

– Muszę powiedzieć dzieciom – oświadczyła, wstając. – Muszą wiedzieć, że nie mogą ufać ojcu.

– Ryndo...

Zniknęła w środku. Cóż, nieźle poszło. Zebrałam się i zesłam na parter, a potem wróciłam do magazynu. Czas się kurczył. Nieomal słyszałam tykanie zegara odliczającego minuty. Zzerał mnie niepokój. Musieliśmy odnaleźć sekret Olivii.

Wiedziałam, że dopóki tego nie zrobimy, Rynda i jej dzieci nie będą bezpieczne. Że jeśli nam nie uda, Sturm nie puści nam tego płazem. Chociaż pewnie i tak na nas uderzy. Rogan omal nie zabił go w restauracji, raczej mu tego nie daruje.

Rynda ostatnio miała strasznego pecha, jej życie zmieniało się w katastrofę. Zresztą cała ta sprawa od samego początku zaliczała katastrofę za katastrofą. Ale to jedno musiało pójść dobrze.

W domu bębenki uszne przewiercił mi pisk Cataliny.

– Nie chcę o tym mówić!

Cokolwiek ją zdenerwowało, jej głos był blisko granicy skali słyszalności. Wyjrzałam za róg.

– Catalina! – Arabella biegła za siostrą, za Arabellą z kolei Matylda, a pościg zamykał wielki, biały kot. Nawet nie wiedziałam, że Matylda nadal tu jest.

– Nie będę o tym rozmawiać! – Catalina trzasnęła drzwiami do swojego pokoju.

– Nie bądź śmieszna – warknęła Arabella.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Skasowała konto na Instagramie.

– Czemu?

– Przez Alessandra Sagredę – wyjaśniła Arabella, ujmując się pod boki.

– Coś jej powiedział? – dopytywałam, jednocześnie już się zastanawiając, jakiej szerokości pasy skóry będę drzeć, jeśli zrobił przykrość mojej siostrzyczce.

– Nie.

– No to w czym problem?

Arabella wyrwała telefon z kieszeni i podłożyła mi go pod nos.

– Sama zobacz!

Młody człowiek na zdjęciu miał około dwudziestki i był absolutnie oszałamiający. Mocno zarysowana szczęka, idealnie wykrojone usta, wydatny nos, bystre, zielono-orzechowe oczy, ciemne brwi, a do tego szopa ciemnobrązowych włosów ostrzyżona u jakiegoś mistrza, który stworzył fryzurę uwydatniającą te piękne, męskie rysy, mające z czasem nabrać dojrzałego sznytu. Życie jeszcze nie odcisnęło piętna na tym obliczu, wciąż było świeże, choć już przełamane cieniem surowości. Alessandro wyglądał jak syn gladiatora przed swoją pierwszą walką na arenie. Na dodatek do zdjęcia pozował przy pięknym srebrnobłękitnym maserati.

– Obserwuje może ze trzy osoby – wyjaśniała Arabella. – Plus Catalinę. Która nagle odkryła rano, że ma sześć tysięcy obserwujących, więc spanikowała i usunęła konto. Bo jest koncertową idiotką! – wrzasnęła w stronę drzwi.

– Wyjdiesz z niego za mąż, Catalino? – zapytała z powagą Matylda.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła Catalina.

– Nie wsadzaj nosa w moje sprawy, psycholko – syknęła, dźgając palcem powietrze przed Arabellą. – Ty też, Matyldo.

Znów łupnęła drzwiami.

Matylda popatrzyła na drzwi, potem na mnie i wybuchnęła śmiechem srebrzystym jak dzwoneczki.

– Nie mam na to czasu. – Zerknęłam w korytarz, zastanawiając się, czy zastanę Berna w kuchni. Pora była wczesna, powinien jeść śniadanie. Albo drugie. Lub trzecie.

– Zrób coś, Nevada! – indyczyła się Arabella, kiedy szłam do kuchni.

– Nie mam czasu!

– Nienawidzę tej rodziny!

– Ze wzajemnością!

– Hahaha – rozdzwoniły się srebrzyste dzwoneczki.

Bern siedział przy stole i odsuwał właśnie miskę po płatkach.

– Pójdiesz ze mną do domu Ryndy? Chcę jeszcze raz wszystko przejrzeć na wypadek, gdybym coś przeoczyła. Nie chcę iść sama, a nie wezmę Corneliusa, bo zabierze Zeusa, a ja nie umiem się skupić przy tym stworzeniu. Leona nie zabiorę, bo nie chcę być odpowiedzialna za kolejne karby na jego łufie. Potrzebuję pomyśleć w spokoju.

Bern wstał i zaniósł miskę do zlewu.

– No to chodźmy.

...

Dom Ryndy był cichy i spokojny. Weszliśmy z Bernardem frontowymi drzwiami i od razu skierowaliśmy się do salonu. Nasze kroki niosły się po pomieszczeniach głośnym echem. Houston uznało, że potrzebujemy trochę deszczu, więc przefiltrowane przez kozuch gęstych chmur światło było wodniste i przyćmione. Powietrze wydawało się ciężkie.

– Ponuro – skwitował Bern.

– No. – Czułam się w tym domu jak w grobowcu. – Ciekawe, czy Rynda go teraz sprzedaje.

– Ja bym sprzedał. Gdzie chcesz szukać?

– Sama nie wiem. Może się rozdzielimy?

Tak też zrobiliśmy. Poszłam do kuchni. Ludzie Rogana już ją przetrząsnęli. Czytałam raporty. Byli bardzo staranni i drobiazgowi. Ale może jednak coś przeoczyli?

Zaczęłam od spiżarki. Godzinę później odfajkowałam całą kuchnię. Kawa okazała się kawą, ryż ryżem, a pojemnik na cukier zawierał tylko cukier. Żadnych woreczków z tajemniczą zawartością. Potrząsnęłam każdą puszką. Żadna nie nosiła śladu majstrowania. Brak skrytek w naczyniach. Nic nie przyklejono do płaszczyzn szafek. Marnowaliśmy czas, którego nie mieliśmy, lecz instynkt wyraźnie mi podpowiadał, że to, czego szukamy, znajduje się w domu.

– Nevada! – zawołał Bern z salonu.

Poszłam tam. Bern stał nad rysunkami Kyle’a. Podeszłam do niego.

– Co to? – zapytał.

– Rysunki Kyle’a. Olivia Charles kazała je oprawić. Przejrzałam je z każdej strony. Nic nie napisano atramentem sympatycznym, niczego nie ukryto w ramkach. A byłam taka pewna, że to w nich schowała.

Bern kucnął i wziął do ręki rysunek z góry, przedstawiający krętą drogę obsadzoną drzewami.

– Mają coś w sobie, nie mogę się na nie napatrzeć.

Bern podszedł do okna, wsączające się przez nie światło padało na dywan. Położył obrazek w jasnej plamie.

– Podasz mi resztę? – poprosił.

Zebrałam stosik obrazków i podałam mu następny – niewielkie morze z nieproporcjonalnie dużym okrętem piratów. Bern cofnął się i ułożył go po lewej i poniżej pierwszego.

– Następny.

Plac zabaw ze słodkim potworem trzymającym w łapie czerwony balonik, potem jaskrawożółty sportowy samochód na zakręcie, potem statek kosmiczny, prawie zlewający się z białymi obłokami. I znów droga, tym razem z zakutym w zbroję rycerzem na koniu. Bern ułożył ten ostatni pomiędzy pierwszym rysunkiem a tym z samochodem. Droga połączyła się w jedną.

Poczułam dreszcz.

Bern układał jeden rysunek za drugim, w prostokąt sześć na cztery rzędów, tworząc całość jak puzzle. Po skończeniu przyjrzeliliśmy się naszemu dziełu z pewnej odległości. Droga zataczała szeroki łuk wokół budynku, który wyglądał trochę jak podmiejska rezydencja, trochę jak zamek, a trochę jak zaczarowana wieża. Plac zabaw leżał po prawej od domu, poniżej staw, po lewej góry, a w dolnym lewym rogu cztery obrazki składały się w X nieopodal powykręcane drzewa.

– Mapa! – wyszeptalam.

– Chłopak nie jest karłakiem. Jest mistrzem schematów, magiem wzorów, tak jak ja.

Babcia dała Kyle’owi skarb. Ukrył go, a potem narysował mapę prowadzącą do niego, ponieważ nie potrafił się temu oprzeć. Olivia musiała o tym wiedzieć. Odebrałam dziecko jedyną osobę, która je rozumiała.

– Jestem idiotką – stwierdziłam.

Bern uniósł brew.

– Powinłam była przepytać dzieciaki. Ale pozwoliłam zrobić to Ryndzie, bo były w szoku po tym, co zrobił Vincent, i nie chciałam ich stresować. Pozwoliłam dojść do głosu uczuciom, zaślepiły mnie. – To dlatego tata zawsze przestrzegał, żeby nie angażować się osobiście w sprawy.

– Ale odkryliśmy to – pocieszył mnie Bern. – Dobra, samobiczowanie odłóż na później. Teraz potrzebujemy łopaty. Pewnie go zakopali. Piracki skarb jest zawsze zakopany.

Zrobiłam zdjęcie układanki, potem w szopie znaleźliśmy dwie łopaty i powędrowaliśmy za dom, gdzie rosła gęstwina drzew. Przedarliśmy się przez krzaki na małą polankę.

W końcu się rozpadalo. Potoczyłam wzrokiem po polance. Na prawo rósł wielki, rozłożysty dąb, na lewo dwa pniaki i krzewy. Na trawie żadnych śladów kopania.

Gdzie ukryłabym skarb, gdybym była małym chłopcem?

Na rysunkach umieścił drzewo, więc musiało być ważne.

Obeszłam gruby pień dębu. Na korze od północy znalazłam dwa rzędy małych okrągłych dziurek zrobionych w równych odstępach.

– Co to?

– Myślę, że to było drzewo do wspinaczki. To ślady po gwoździach. Pewnie były tu przybite deseczki, które ktoś później usunął.

Bern wziął rozbieg i podskoczył. Zaczepił rękami o najniższy konar i podciągnął się w górę.

– Masz tam coś?

– Dziupłę. Zaczekaj.

Zeskoczył na ziemię z niewielkim płóciennym workiem w ręce. Położył go na ziemi i ostrożnie rozciągnął sznurki. Wewnątrz znajdowała się skrzynia na skarb piracki, z plastiku udającego drewniane deski. Z przodu kufer udekorowano czaszką, której oczodoły przebijały plastikowe miecze stanowiące zamek, a mniejsze czaszeczki zdobiły pokrywę.

Bern ostrożnie wysunął ostrza i uchylił wieko. Wyciągał z kufra przedmiot po przedmiocie, układając je na płótnie. Scyzoryk szwajcarski. Aksamitna sakiewka z dziesięcioma złotymi dolarówkami, każda z innym prezydentem na awersie. Trzy naboje. Żółta resorówka. Latareczka. Małe tekturowe pudełko biżuteryjne.

Otworzyłam je delikatnie. W środku, na aksamitnej wyściółce leżał pendrive. Pod wieczkiem ktoś umieścił kartonik, na którym pewna kobieca ręka wykaligrafowała: „Skarb babci”.

Przytuliłam do siebie pudełeczko z taką ulgą, że aż łzy napłynęły mi do oczu.

...

Jechałam ulicami Houston, a Bern obok mnie wygrywał koncert na klawiaturze swojego laptopa.

– Zaszifrowany.

– Odkodujesz go?

– Potrzebuję czasu. To nie jest żaden z komercyjnych szyfrów, ktoś wykonał go na zamówienie i zrobił to porządnie.

– Zadzwoń. Rogan.

Samochód posłusznie wykonał moje polecenie.

– Tak? – odezwał się w głośniku Rogan.

– Mamy pendrive’a Olivii. Możemy dać im okup.

– Co na nim jest?

– Zawartość jest zaszyfrowana. Wieziemy go do domu, ale Bern przesłał już plik na nasz serwer.

– Dobrze. Świetnie.

– No to na razie. – Zawahałam się. A w sumie czemu nie? – Kocham cię.

Króciutka pauza.

– Ja też cię kocham.

Rozłączyłam się z szerokim uśmiechem. Plaga Meksyku właśnie wyznał mi miłość. Nigdy nie znudzi mnie słuchanie tego.

– Co będzie, jak to się skończy? – zapytał Bern.

– W jakim sensie?

– Co będzie z waszą dwójką, kiedy adrenalina opadnie?

– Pójdziemy na testy.

– Unikasz odpowiedzi.

– A o co konkretnie pytasz, Bern?

– Co będzie z tobą i Roganem, kiedy ten kryzys się skończy? Przeprowadzisz się do niego do domu? Będziesz stamtąd dojeżdżała do pracy? Planujesz za niego wyjść? Chcesz w ogóle za niego wyjść?

Cóż, to było dość nieoczekiwane.

– Za dużo czasu spędzasz z babcią Fridą. Martwisz się, że wykorzystam Rogana, odbiorę mu cnotę i go rzucę?

– Nie, martwię się, że nie masz planu. Nie myślisz o tych wszystkich kwestiach, a musisz się nad nimi zastanowić, i to nie dla nas, tylko dla siebie. Czego pragniesz.

O, to proste. Chciałam budzić się co rano przy Roganie. Czasami były to Connor, czasami Szalony Rogan, obie wersje mi odpowiadały. Kochałam je wszystkie.

– Nie wiem, jak to się potoczy. Planuję rozwiązywać te kwestie małymi krokami.
– O nas nie musisz się martwić – zastrzegł Bern. – Damy sobie radę.
– Co masz na myśli?
– Sprawdziłem stan naszych finansów. Mamy wystarczająco pieniędzy, żeby przeżyć spokojnie jakieś dziesięć miesięcy. Nawet rok, jeśli się zepniemy. Bez nowych spraw.

– Wiem.
– No więc nie musisz martwić się o pieniądze. Z takimi sprawami jak ochrona nie musimy się spieszyć. Nie pakuj się w coś tylko dlatego, że według ciebie potrzebujemy różnych rzeczy, bo stajemy się Rodem.

Wielkie dzięki, Garen.

– Przecież nie o to chodzi. Kocham Rogana. Naprawdę.
– Tego się właśnie obawiałem – westchnął. – Nie chciałbym, żebyś cierpiała.
– Bardzo dziękuję ci za troskę, ale Rogan mnie nie skrzywdzi.
– Nie było cię przy tym, gdy oglądaliśmy twoją kolację z Garenem. Twarz Rogana nie wyrażała niczego. Była jak kamień. Jak lód. Stał tam i z tą niewzruszoną miną skręcał kawałki metalu, jakby były z plasteliny.

– Nie zatrzymał mnie, nie zrobił nic, żebym nie poszła na to spotkanie. Nawet nie poprosił o to. Kiedy Garen przyszedł do biura, nie wpadł tam i nie próbował go wyrzucić. Powściągnął swoje emocje, powstrzymał się ze względu na mnie, bo chociaż najchętniej owinąłby mnie folią bąbelkową i zamknął w swojej pieczarce, wie, że bym się na to nie zgodziła. Stara się upewnić, że poznam wszystkie opcje, jakie pojawiają się przed nami jako wschodzącym Rodem. Kiedy szliśmy do niego po moim spotkaniu z Garenem, powiedział, że pod kątem genetyki wybór Garena na ojca moich dzieci jest trafniejszy. Że Garen jest lepszą partią.

– A jest?

– Ale skąd. Przecież go nie kocham. A nawet gdyby nie chodziło o miłość, i tak wolałabym Rogana. Kiedy zamarzaliśmy w tym zbiorniku, w którym zamknął nas David Howling, Rogan poświęcił się dla mnie. Nie wątpił w to, że umrze. Wiem, że gdybyśmy z Garenem mierzyli się z niebezpieczną sytuacją, z której tylko jedno mogłoby wyjść żywe, Garen wyłożyłby mi logiczne argumenty, dlaczego to on właśnie powinien przeżyć, po czym zostawiłby mnie na pastwę losu.

– Mówię tylko, żebyś była bardzo ostrożna, Nevada.

Na ostrożność już było za późno. Zakochałam się po uszy.

– Oczywiście.

Zadzwoił mój telefon. Nieznany numer. Odebrałam.

– Nevada Baylor.

– Chciałaś porozmawiać – usłyszałam głos wykształconej kobiety. – Będę za piętnaście minut w Takarze. Jeśli się nie pojawisz, będę wiedziała, na czym stoimy.

Rozłączyła się.

– Czy to była... – zająknął się Bern.

– Tak, Victoria Tremaine. – Linus Duncan dotrzymał słowa. Victoria wybrała Takarę, bo tam często bywałam. To był wyraźny przekaz dla mnie. Widzisz? Wiem, gdzie i co jadasz. Obserwuję cię i wiem o tobie wszystko.

Zacisnęłam zęby i skręciłam do zjazdu.

– Chyba sobie żartujesz? – jęknął Bern z niedowierzaniem.

– Próbowała dwa razy i dwa razy jej się nie udało. Jeśli chce porozmawiać, porozmawiam z nią.

– To nierozsądne.

– Bern, jeśli tego nie zrobię, będzie próbowała do skutku, a nie możemy sobie na to pozwolić. W końcu dziewczynki i Leon muszą iść do szkoły. Każdy z nas ma swoje życie. Status nowego Rodu da nam w pewnym stopniu ochronę, ale Victoria jest zdeterminowana. Nie chcę, żeby ciągle rzucała nam kłody pod nogi.

– Skąd wiesz, że nie wykorzysta okazji?

– Linus Duncan mi to zagwarantował. Mam cię gdzieś wysadzić?

– Nie. – Bern wyciągnął swój telefon.

– Co robisz?

– Piszę do Pluskwy. Chcę wiedzieć, w co się pakujemy. Niech sprawdzi, czy ma oczy w restauracji, i niech przyśle jakieś wsparcie.

...

W Takarze zamawialiśmy na wynos, kiedy mieliśmy ochotę na coś specjalnego. Restauracja według opisu serwowała kuchnię generalnie azjatycką, co w ich wydaniu oznaczało potrawy japońskie i pyszne bułgogi. Wnętrze urządzono w ciepłych brązach, zieleni i uzupełniono o eleganckie dodatki. Kiedy Rogan zaprosił mnie pierwszy raz na lunch, wybrałam to miejsce, ponieważ restauracja znajdowała się w wielkiej galerii handlowej przy ruchliwej wylotówce, w gigancie pełnym markowych sklepów z różnorodnym asortymentem, od zabawkowych i sportowych po spożywcze. W centrum zawsze panował duży ruch i ciężko było w nim o ustronne miejsca. Idealne miejsce na spotkanie z kimś, komu się nie ufało.

Mimo że na parkingu było sporo samochodów, ten należący do Victorii rozpoznałam natychmiast. Na placu stał tylko jeden mercedes pilnowany przez ugarniowanego rottweilera. Zaparkowałam najdalej jak się dało.

– Idziesz ze mną? – zapytałam Berna.

– Nie. To nie ze mną chciała się spotkać. Zostanę tu i poczekam na włączonym silniku w razie, gdybyś stamtąd wypadła i trzeba się było szybko ewakuować.

Wręczyłam mu kluczyki i pod czujnym okiem ochroniarza Victorii przecięłam parking. Dwadzieścia metrów przed wejściem poczułam, że każdy następny krok przychodzi mi trudniej. Z wysiłkiem unosiłam nogę za nogą. W końcu położyłam dłoń na uchwycie drzwi. Sukces.

Odetchnęłam głęboko, wyprostowałam się i weszłam do Takary.

W restauracji znajdował się tylko jeden klient. Victoria Tremaine siedziała w głębi sali przy oknie. Prawie to samo miejsce wybrał Rogan. Miała na sobie piękny, czarny garnitur, a przerzucony przez lewe ramię cudowny szal mienił się turkusem i odcieniami błękitu, połyskując złotymi haftowanymi piórami pawimi. Cieniuteńkie niteczki lśniły migotliwie, złocąc się w świetle dnia.

Recepcjonistka powitała mnie uśmiechem.

– Ja do tej pani w szalu – powiedziałam.

Jej uśmiech nieco zrzędł.

– Tędy, proszę.

– Dziękuję, poradzę sobie sama.

Pomaszerowałam do stolika, kątem oka sprawdzając, czy na podłodze nie ma żadnych magicznych kręgów.

Victoria skrzywiła się szyderczo.

– Ostrożności nigdy nie za wiele – oświadczyłam, siadając.

Do stolika podszedł kelner.

– Herbatę – rzuciła Victoria władczo. – Zieloną, czarną, obojętne, co tam macie najlepszego. Dwie filiżanki. Zostaw imbryk i pilnuj, żeby był pełny. Będę rozmawiała z wnuczką. Nie przeszkadzaj nam.

Kelner oddalił się prawie biegiem.

Na słowo „babcia” myślałam o babci Fridzie, jej niesfornych platynowych lokach i przyjemnym zapachu towotutu, który wokół siebie roztaczała. Słowo to dotychczas oznaczało dla mnie ciepło i bezpieczeństwo. Bez względu na to, jak strasznie bym coś schrząniła, babcia zawsze była gotowa mnie wysłuchać i pocieszyć.

Victoria i babcia były jak ogień i woda. Wysoka, postawniejsza od drobniutkiej babci Fridy, doskonale opisywało ją określenie „posągowa”. Nie gruba, raczej pełna, jakby wiek przydał jej krągłości. Twarzy pokrytej zmarszczkami, w przeciwieństwie do innych bogatych kobiet, nie starała się odmładzać za pomocą chirurgii plastycznej czy iluzji. Na najświeższym nagraniu, jakie widziałam, miała nieco dłuższe włosy. Teraz były krótsze, artystyczne cięcie podkreślało surowość jej rysów. Spojrzałam w oczy Victorii i natychmiast tego pożałowałam. To były oczy mojego ojca, w tym samym odcieniu niebieskiego, z tym że jego przepelniała łagodność, wesołość, rzadko potępienie. Z jej oczu biła drapieżność. Victoria Tremaine nie była złą wiedźmą, była starzejącą się królową, która zamiast łagodnieć, mięknąć z wiekiem, twardniała, stawała się coraz bardziej niebezpieczna, bezwzględna i okrutna.

– Jesteś podobna do Jamesa – powiedziała.

– Nie tylko zewnętrznie, wyznają też jego wartości.

– A jakież to wartości?

– Troszczę się o rodzinę i staram się być dobrym człowiekiem.

– Dobrym człowiekiem, mówisz? – Pochyliła się do przodu dosłownie o centymetr.

– Opowiedz mi o tym.

O, tą drogą mogliśmy wędrować bez końca.

– Chciałaś ze mną porozmawiać. Jestem.

– Chcę, żebyś porzuciła ten bezsensowny pomysł tworzenia Rodu Baylorów. Należysz do Tremaine'ów.

– Nie. Coś jeszcze?

– Nie masz koneksji. Nie masz pieniędzy, siły roboczej i nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile nie wiesz.

– Nauczę się.

Kelner postawił przed nami filiżanki i imbryk.

– Jakim kosztem? Nie masz pojęcia, jakie niebezpieczeństwa czają się na tych wodach. Jesteśmy spokrewnione. Na tym świecie możesz ufać tylko własnej krwi.

Kelner nalał herbaty i umknął.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie na nich czyhają. Wiem o istnieniu zмовy, która ma na celu zdestabilizowanie sytuacji w Houston, a w dalszej perspektywie przejęcie władzy i zaprowadzenie autorytatywnych rządów na wzór Cesarstwa Rzymskiego. Wiem, że mężczyzna stojący na czele tej kliki każe nazywać się cesarzem. Wiem, że realizacja planu rozpoczęła się występowaniem Adama Pierce'a. Wiem, że Olivia Charles i David Howling należeli do spisku i że należą do niego również Vincent Harcourt i Aleksander Sturm. Howling opowiedział mi o tym tuż przed tym, zanim skręciłam mu kark. Wiem, że grupa tych osób wzięła na cel moją rodzinę i posunęła się

nawet do opłacenia najemników, którzy zaatakowali magazyn będący naszym domem. Mieli rozkaz zabić mnie i siostry. Wiem, że to ty zajrzałaś pod zaporę założoną w umyśle młodego Emmensa, żeby zdobyć dla Pierce'a informacje o miejscu ukrycia części artefaktu. Oraz że nałożyłaś zakłęcie na Vincenta Harcourta, które uniemożliwia wyjawienie sekretów dotyczących cesara. Siedzisz w tym spisku po uszy. – Musiałam zaczerpnąć powietrza. – Dlatego czuję się nieco zbита z tropu. Mówisz, że powinnam ci zaufać, ponieważ łączy nas pokrewieństwo. A od kiedy to takie dla ciebie istotne? Było ważne też wtedy, gdy w środku nocy na nasz dom napadły zbiry, żeby nas wymordować? A może wtedy, gdy Howling pokrył lodem jezdnię, po której jechałam, żebym zginęła w wypadku? Czy wtedy, gdy Adam Pierce próbował spalić mnie żywcem w centrum miasta?

Victoria przymrużyła oczy.

– Mądra dziewczynka.

Napiłam się herbaty.

– Nie masz dowodów – powiedziała.

– Nie muszę. Zakłęcie na Vincenta nałożył prawdołowca. Istnieją tylko trzy takie Rody w kraju, a Garena Shaffera wyeliminowałam.

– Złamałaś Shaffera? – zapytała nieco sceptycznie.

– Nie musiałam. Chciał ze mną zagrać i przegrał.

– Nie osłonił się?

– Na początku, ale go przejrzałam. Garen Shaffer jest nazbyt skupiony na fortunie rodzinnej i swoim biznesie, żeby wplątywać się w spiski. Jest zadowolony ze świata, w jakim żyje. A Ród Lin jest zawałony rządowymi kontraktami. – Rogan podzielił się ze mną tą przydatną informacją w nocy, gdy omawialiśmy przyszłość Rodu Baylorów. – Mieszanie się w konspirację byłoby dla nich zbyt ryzykowne, ponieważ znajdują się pod baczna obserwacją. Zostajesz ty. Pasujesz do profilu spiskowca.

– Och, więc istnieje jakiś profil?

– Owszem. Konspiratorzy pochodzą ze starych, potężnych Rodów, mających przynajmniej czteropokoleniowy rodowód. Są niezadowoleni z panującego status quo. Pierce pragnął bez konsekwencji palić i niszczyć. Howling zamierzał wyeliminować brata i stanąć na czele Rodu. Olivia Charles miała dość patrzeńia, jak jej córka tkwi w nieszczęśliwym małżeństwie, bo przez geny miała niewielki wybór partii. Osiągnęła szczyty drabiny społecznej, ale tego było jej mało. Pragnęła takiej pozycji, która umożliwiłaby córce wybranie sobie męża z elity elit bez względu na to, jakie ma geny. Vincent Harcourt jest sadystą, którego Ród trzymał na krótkiej smyczy. Nie wiem, jakie motywy kierują Sturmem, ale z pewnością ma coś do zyskania.

– A ja? – zapytała Victoria zwodniczo łagodnie.

– Twój jedyny syn uciekł od ciebie jeszcze przed dwudziestką. Nie miałaś innych dzieci, pewnie nie mogłaś. Bez sukcesora Ród Tremaine'ów wymrze wraz z tobą.

Victoria nie okazała żadnych emocji, żaden mięsień nie drgnął jej na twarzy, jakby była wykuta z marmuru.

– Szukałaś go, zastraszałaś wszystkich, którzy mogli mieć o nim jakieś informacje. Ale posunęłaś się za daleko i zostałaś powstrzymana. Pragnęłaś swobody, chciałaś mieć całkiem wolną rękę, żeby odnaleźć syna. Pragnęłaś dostępu do każdej bazy danych, każdego zbioru informacji. Chciałaś mieć nieograniczoną możliwość stosowania każdej metody, aby wydrzeć tajemnice z osoby, którą uznasz i weźmiesz na cel, chciałaś móc nie przejmować się prawem czy zasadami ustanowionymi przez Zgromadzenie.

Pragnęłaś więcej władzy. To, co zrobiłaś, to zdrada stanu. Mój ojciec nie chciał mieć z tobą do czynienia i ja też nie chcę.

Wstałam, okręciłam się na pięcie i ruszyłam do wyjścia.

– Średnia to syrena – usłyszałam za plecami głos Victorii. – Jak jej dziadek. Ale najmłodsza nie jest ani syreną, ani prawdołowczynią. Jest czymś innym. Czymś, czego nie możesz ujawnić.

Catalina i Arabella. Odwróciłam się.

– Siadaj. – Victoria wskazała mi krzesło.

Posłuchałam.

– Mam za sobą dwanaście poronień. To rodzinna przypadłość, o czym dobrze, żebyś wiedziała, planując przyszłość. Rodzimy jedno dziecko w pokoleniu i mamy szczęście, jeśli przeżyje. Urodziłam się z dziewiątej i ostatniej ciąży matki. Zmarła, kiedy miałam dwanaście lat. Ojciec dwa lata po niej. Ród Tremaine to ja. I tylko ja. Oczywiście, że pragnęłam mieć dziecko. Potomstwo stanowi przyszłość Rodu. Ale ja pragnęłam dziecka dla niego samego. Jednego, za to silnego. Słabego bym się pozbyła. Próbowałam z trzema różnymi Magnusami, każdego starannie wybrałam i przekonałam, uwiodłam, przekupiłam lub omotałam. Imałam się wszelkich sposobów.

Zacisnęła palce na filizance jak szpony. W oczach mignęło echo dawnego cierpienia.

– Czemu po prostu nie wyszłaś za mąż?

– Ponieważ mężczyzna, którego kochałam, umarł trzy tygodnie po naszych zaręczynach. Był prekognitą z Rodu Vidente. Nie potrafił przewidzieć własnej śmierci. Za zamachem na jego życie stał największy konkurent. Został postrzelony, gdy wychodził z kina. – Otarła dłonią policzek. – Długo prześladował mnie widok jego krwi na mojej skórze. Zniknął dopiero wtedy, gdy zabiłam ostatniego z nich.

– Chcesz powiedzieć, że z zemsty wymordowałaś cały Ród?

– Tak. Co do jednego. Męża, żonę, dzieci. I psa.

Poczułam lodowate igły, które przeszły mi krzyże.

– Dla mnie istniał tylko jeden mężczyzna. Ale dziecka nie mogłam mieć sama. Próbowałam dwanaście razy, zanim olśniło mnie, że musi to być zapłodnienie in vitro. Wyobrażasz sobie, jak trudno jest nakłonić Magnusa do oddania nasienia? Jak trzęsą się nad swoim cennym DNA? Że dostanie nóg i rozniesie się po świecie? Możesz uwieść mężczyznę, zaciągnąć go do łóżka, okłamać, jak to go pragniesz i że zabezpieczasz się na wszystkie sposoby, więc zdołasz go nakłonić, żeby doszedł w tobie, ale żeby oddał nasienie do próbki, musisz wyjawic mu cel swojej prośby. Kiedy uświadamiają sobie, że chcesz począć z nimi dziecko, uciekają, bo są tchórzami.

Wiedziałam, że powinnam wstać i odejść, ale nie potrafiłam się zmusić. Tak bardzo chciałam dowiedzieć się, co było dalej.

– I jak ci się udało?

– W końcu namówiłam jednego. Pochodził z Rodu, który niegdyś nazywał się Molpe. Teraz noszą inne nazwisko. Najwyraźniej Molpe jako imię jednej z mitologicznych syren było nazbyt dosłowne. Biuro Rejestru chlubi się odkryciem i zakwalifikowaniem talentu Cataliny do nowej kategorii nazwanej syrenami, lecz prawda jest taka, że rodzina twojego dziadka nazywała swoją magię w ten sposób od wielu pokoleń.

– Jak go przekonałaś?

– Pieniędźmi. – Skrzywiła się. – Wyrzekli się go. Był syreną, prawdziwym Magnusem, ale bał się korzystać ze swojej magii, bo ściągała na niego nieszczęście.

– Myślałam, że talent syreny przejawia się tylko u kobiet.

– Tak zwykle się uważać, ale to nieprawda. Uwierz, sprawdziłam to dokładnie. Zbyt wiele od tego zależało, żeby pozostawić to przypadkowi. Jednak dawca spermy to mniejszy problem w porównaniu ze znalezieniem surogatki. Musiała być Magnusem. Każda ranga niżej to ryzyko osłabienia mocy dziecka i niedonoszenia ciąży. A ja nie mogłam pozwolić sobie ani na jedno, ani na drugie. Znalezienie surogatki-Magnusa było niemożliwe.

O nie. O Boże, chyba nie...?

– Ale przecież nie...?

– Owszem, właśnie tak. – Po raz pierwszy od początku rozmowy uśmiechnęła się, błyskając zębami.

– Ale jakim cudem?

– Szantaż i przekupstwo. Dwie najstarsze karty przetargowe, które pomagają popchnąć ludzi w kierunku zamierzonego celu.

Wpatrywałam się w nią ze zgrozą.

– Twój ojciec nie był wyjątkowy. Był jedyny w swoim rodzaju. Niepowtarzalny. Kazałam ją wysterylizować.

– Co?!

– Jest utrzymywana w śpiączce. Tylko tak można nad nią panować. Nawet nie wiedziała, że jest w ciąży. Kosztowało to majątek, ale było warto.

– To straszne. Ty jesteś straszna.

– Tak, jestem. – Victoria uniosła filizankę do ust. – Twój ojciec był nosicielem trzech talentów. Jego własny się nie zmanifestował, ale spodziewałam się tego. I nigdy nie stanowiło to dla mnie problemu, nigdy nie miałam mu tego za złe. Miałam dość magii dla nas obojga. Jego prawdziwą wartością miały być jego dzieci. Zawsze wierzyłam, że geny, które posiada, ujawnią się w kolejnym pokoleniu. Ale żeby dożył i spłodził te dzieci, żeby stał się sukcesorem, musiał zostać odpowiednio ukształtowany. Musiał się wiele nauczyć. Przyjąć wiele praktycznych, przydatnych lekcji, które pozwoliłyby mu przeżyć po mojej śmierci. Nienawidził ich i nienawidził mnie za to, że zmuszałam go do tej nauki.

Biorąc pod uwagę to, co właśnie usłyszałam, z pewnością nie były to lekcje malarstwa akwarelą.

– Dlatego uciekł.

– Tak. Nie doceniłam go. Świetnie się maskował, ukrywał to, jak silną ma wolę. Naciskałam, spodziewając się, że albo się nauczy, albo się złamie. Ale on wybrał trzecią drogę. Zaplanował swoją ucieczkę i wprowadził plan w życie tak dobrze, że nawet ja z moimi zasobami nie byłam w stanie go odnaleźć. Byłam z niego taka dumna. Mój syn mnie przechytrzył. Powinnam to przewidzieć, lecz zanadto skupiałam się na zapewnieniu mu możliwości przeżycia. Musiałam go wiele nauczyć, a miałam tak mało czasu.

– Jesteś potworem – sapnęłam.

– Wynaturzeniem. Sądzę, że większość osób stosuje to określenie. Drgnęłam, co Victoria skwitowała uśmiechkiem.

– Widzę, że poznałaś je we własnym doświadczeniu.

– Nie wierzę, że zrobiłaś to wszystko.

– Więcej. Zrobiłabym to ponownie.

– Słucham?

– Sama zobacz, jaki sukces osiągnęłam. James dorobił się nie jednego, ale trojga, trojga! potomków. Wszystkie jego córki są Magnusami. Spisał się lepiej, niż zakładałam. Ród Tremaine’ów przetrwa. Muszę tylko przekonać cię, żebyś przyjęła moją perspektywę. A jak już ustaliłyśmy, potrafię być niezwykle przekonująca. A więc, Nevada, czego chcesz?

– To wykluczone.

– Zrobisz to, co ci nakazę. – Jej moc chwyciła mnie, ale ją odepchnęłam.

– Nie ma mowy.

Victoria się roześmiała. Autentycznie, w głos się roześmiała.

– Jesteś spełnieniem moich marzeń.

Mój telefon piknął. Sprawdziłam ekran. SMS od Berna.

Uciekaj!

Zerwałam się z krzesła.

Do restauracji wkroczyło pięciu mężczyzn z bronią w rękę.

– Wszyscy na ziemię! – polecił jeden z nich.

Recepcjonistka natychmiast wykonała rozkaz. Dwóch kucharzy za ladą sushi zanurkowało za bar.

– Ręce na widoku – odezwał się znów ten, który rozkazywał.

Nie strzelali, a więc chcieli mnie wziąć żywcem. Podniosłam ręce i łypnęłam złowrogo na Victorię.

– No po prostu nie wierzę?!

Lecz Victoria patrzyła ponad moim ramieniem na uzbrojonych napastników.

– Co to ma znaczyć?

– Aleksander prosi o wybaczenie, ale potrzebuje dziewczyny. To dla sprawy. Sprawa jest najważniejsza. Powiedział, że zrozumiesz.

– O nie, moi drodzy – huknęła babka groźnie. – Nie obchodzi mnie żadna sprawa. Najważniejsza jest rodzina.

Wystrzeliła z niej magia. Gdy ja chwyciłam umysły ludzi moją mocą, zmieniałam ją w imadło, które obejmowało ich i ścisnęło. Victoria ukształtowała swoją w ostrze i przeszła nim przywódcę. Z jego ust wyrwał się słaby krzyk, oczy uciekły mu w tył głowy i runął na ziemię.

Wyszarpnęłam swój pistolet.

W tej samej chwili mężczyzna po lewej jęknął i zaczął wydrapywać sobie oczy, a drugi, po prawej, padł na kolana i grzmotnął głową o posadzkę.

Wystrzeliłam cztery razy, zanim zdałam sobie sprawę, że pozostała dwójka stoi wystydwniona, bez ruchu. Kule trafiły każdego w pierś. Powoli przechylili się i upadli. Na podłodze leżało pięć trupów.

Nagle popchnięta, zatoczyłam się do przodu. Ogłuszył mnie brzęk szkła. Obróciłam się w stronę strzaskanego okna, za którym mężczyzna z karabinem gotował się do kolejnego strzału. Zanim nacisnął spust, z boku wyskoczył ford i gruchnął go w pędzie. Strzelec upadł pod koła, a samochód przetoczył się po nim jak po manekinie. Siedzący za kierownicą upiornie błądź Bern zatrzymał się i cofnął, przejeżdżając napastnika jeszcze raz.

Spojrzałam na Victorię. Na jej barku rosła mokra plama. Odepchnęła mnie i wzięła na siebie kulę przeznaczoną dla mnie.

– Trzeba wezwać karetkę!

– Nic mi nie będzie. – Skrzywiła się. – Mam osobistego lekarza.

– Wykrwawisz się, potrzebujesz natychmiastowej pomocy. – Chwyciłam telefon, żeby wezwać pogotowie. – Czemu to zrobiłaś?

– Jesteś moją wnuczką, głupia!

Telefon nie działał. Co, do diabła, przecież łądowałam go jeszcze w samochodzie...

– Czekaj... – Victoria patrzyła ponad mną w stronę wejścia do restauracji.

Obejrzałam się przez ramię. Od drzwi po sali rozpełzał się mrok, sunął po posadzce, wspinał po ścianach, ogarniając przestrzeń. Prastary mrok, który chwycił mnie w paszczę, unieruchamiając.

Do Takary wszedł Michael, pracownik Biura Rejestru. Tak jak ostatnio miał na sobie sztywny czarny garnitur i oślepiająco białą koszulę, która odcinała się kontrastująco na tle ciemnych tatuaży na szyi. Jego dłonie płonęły błękitnym ogniem.

Tym razem jednak nie przypominał gangstera-żałobnika, a Ponurego Żniwiarza w nowoczesnym wydaniu.

– Nie złamałam zasad – wycedziła Victoria przez zaciśnięte zęby. Na jej czole perlił się pot, a twarz była napięta z wysiłku.

Nic jednak się nie wydarzyło.

Sięgnęłam po swoją magię, ale odpłynęła ode mnie fala. Mrok skoczył ku niej i pochłonął. Bolało. Ból wycisnął ze mnie jęk. Och, ależ bolało.

Michael podsunął w naszą stronę swój telefon. Z ekranu uśmiechał się archiwista.

– Och, ależ złamałaś. Dwukrotnie pośrednio, nie osobiście, a teraz sama, w miejscu publicznym. Zatem czeka cię kara, Victorio. Tak mi przykro.

Michael uniósł prawą rękę i błękitny płomień skoczył, uderzając w babkę.

Victoria Tremaine krzyknęła.

Struga ognia lała się na nią nieprzerwanie. Victoria osunęła się na krzesło, a potem na podłogę. Nie zadawali jej tylko bólu, zabijali ją.

– Przestańcie! – usłyszałam swój głos.

– Michael? – rzucił z ekranu archiwista.

Błękitny ogień cofnął się, a poszarzała na twarzy Victoria z trudem nabrała powietrza.

– Prosi pani, żebyśmy zaprzestali wymierzania kary, pani Baylor?

– Tak.

– A czemuż to?

– Jest moją babką. Ocaliła mnie. Nie chcę zapoczątkować Rodu od jej śmierci.

Archiwista zdawał się rozważać moje słowa.

– Czy to oficjalna prośba?

– Tak.

– Biuro Rejestru przychyli się do niej pod warunkiem, że wyświadczy nam pani przysługę, gdy tego zażądamy.

– Nie zgadzaj się! – wyrzęziła Victoria, zaciskając dłoń na gorsie. Spomiędzy jej palców ściekała krew.

– Zgoda.

– Świetnie. Wobec tego widzimy się na testach, pani Baylor.

Ekran zgasł.

Michael otworzył usta.

– To był błąd. – Odwrócił się i odszedł, zabierając mrok ze sobą.

W oddali zawyły syreny, dźwięk narastał za każdą chwilą. Na parking wpadł ambulans i zatrzymał się przed restauracją. Wybiegli z niego ratownicy z noszami,

które wnieśli przez pozbawioną szyby witrynę.

Kucnęłam przy Victorii.

– Jeśli zajrzę pod osłonę Vincenta, czy okaże się, że to ty ją założyłaś?

– Tak.

– Powinnaś uciekać, Victorio. Nie dam rady uchronić cię przed konsekwencjami.

Odsłoniła zęby w bolesnym uśmiechu.

– Jestem za stara na uciekanie. Rób, co musisz.

Mój telefon nagle ożył, i to z przytupem. Na ekranie pojawiła się twarz Pluskwy.

Przesunęłam ikonę, odbierając połączenie.

– Jedź na międzystanówkę! Na Katy! Natychmiast! – wrzasnął.

– Co się dzieje?

Rozległo się łupnięcie i usłyszałam głos Cataliny:

– Vincent porwał dzieci! Zabrał Kyle'a i Matyldę. Ma Matyldę!

Rzuciłam się biegiem do samochodu.



W którą stronę? – zapytałam.

– Na zachód!

Bern skręcił ostro w prawo, zajeżdżając drogę hondzie. Kierowca zatrąbił, ale my gnaliśmy już pasem na wjazd. Zerknęłam na zegarek. Jedenasta. Godzina szczytu. Bern wcisnął się w sznur samochodów i zaczęliśmy przec z zawrotną prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

W moich żyłach pulsowała adrenalina. Było mi gorąco, a każdy mięsień miałam napięty jak cięciwę gotową do wypuszczenia strzały. Zabrał dzieci. Sukinsyn. Niech ja go tylko dorwę w swoje ręce.

– Czego mamy wypatrywać? – Przełączyłam telefon na głośnik.

– Biała furgonetka.

No chyba sobie robił jaja.

– Marka? Model?

– Chevrolet silverado, wyprodukowany pomiędzy dwa tysiące jedenastym a piętnastym.

Drugi w kolejności najpopularniejszy samochód w Teksasie.

– To wszystko?

– Mam tylko rzut z boku.

Obróciłam głowę do tyłu. Wyostrzonym przez adrenalinę wzrokiem wyluskałam spośród samochodów za nami aż trzy białe furgonetki. Wydzieranie się na Pluskwę nie miało sensu. Robił przecież wszystko, co w jego mocy.

– Co się stało?

– Przyszedł Edward, chciał porozmawiać z Ryndą, więc Catalina zaproponowała, że zajmie się dziećmi. Cała trójka chciała się bawić w piwnicy ewakuacyjnej. Zrobiliśmy tam dla nich bazę, żeby nie bały się podczas ćwiczeń na wypadek huraganu. Jessica chciała iść do toalety, ale wstydziła się iść sama na górę, więc Catalina poszła z nią. Z Kyle'em i Matyldą został Kurt. Ten pierdolony psychol przyzwzał coś, co potrafi kopać w ziemi. Wydrążyło tunel pod piwnicą, przebiło się przez posadzkę i porwało dzieci.

– A Kurt? – zapytałam przez ściśnięte strachem gardło.

– Już po nim.

Cholera. Cholera, cholera, cholera. Biedny Kurt. Biedny Leon.

– Catalina znalazła go w piwnicy po powrocie z Jessicą. Kiedy to do mnie doszło, zdążyłem już tylko złapać Vincenta, jak odbijał Hammerly na Sam Houston. Śledziłem go, kiedy jechał obwodnicą, a potem zniknął mi z oczu.

– Jesteś pewien, że to był on? – zapytał Bern.

– Widziałem w oknie białego kota.

Matylda nigdzie nie ruszała się bez swojego kota.

Minęliśmy Addick Road.

– Gdzie Rogan?

– Nad tobą.

Schyliłam się, żeby spojrzeć w górę przez przednią szybę. Nad sznurem samochodów leciał śmigłowiec.

– Wykopianie tunelu musiało chwilę zająć – myślałam na głos. – Vincent musiał obserwować, jak ćwiczyliśmy zejście do schronów. Pewnie przygotował tunel wcześniej i czekał. Wiedział dokładnie, kiedy działać. – To oznaczało, że spiskowcy nas obserwowali albo mają u nas kreta. Och, Rogan będzie zachwycony.

– Sprytny pomysł z tą furgonetką – zauważył Bern trzeźwo.

– Tak. Vincent wiedział, że nie ucieknie przed Roganem, skupiając się tylko na prędkości, więc nawet nie próbował. Nawet gdyby miał helikopter, Rogan i tak by go dopadł.

– Ale czemu Matylda? – zastanawiał się Bern.

– Bo Jessiki nie było w piwnicy. Wysłane przez Vincenta stwory miały zabrać chłopca i dziewczynkę i to właśnie zrobiły.

Minuty wlekły się jedna za drugą. Bern kluczył między samochodami, wybierając luki i mieszcząc się w nie na milimetry. Nagabywanie Pluskwy, czy ma coś nowego, miało się z celem.

– Myślisz, że jest na tyle durny, żeby jechać pasem dla pojazdów z pasażerami?

– Ja bym tego nie robił. Nie miałyby swobody ruchu.

Nitkę dla tych uprzywilejowanych pojazdów oddzielały od reszty białe słupki. Jechało się nią szybciej, ale znajdowało się tam mniej samochodów i łatwiej byłoby go dostrzec. Ja wtopiłabym się w sznur pojazdów na prawym albo środkowym pasie. Chciałabym mieć możliwość skrętu, w razie gdyby zrobiło się gorąco.

Śmigłowiec odbił na lewo.

– Co się dzieje? – zapytałam telefon.

– Biała furgonetka skręciła na Baker Cypress. Kamera uchwyciła coś białego w oknie. – Głos Pluskwy drżał od napięcia.

– Jechać za nim? – zapytał Bern.

Jechać czy zostać? Zjechanie z autostrady w pomniejszą drogę było dobrą strategią. W ten sposób Vincent oddaliłby się od miejsca, na którym skupialiśmy jego poszukiwania.

– Nevada? – ponaglił mnie kuzyn.

Wylot zjazdu był tuż przed nami. Na miejscu Harcourta też chciałabym uciec z autostrady, ale z pewnością nie zrobiłabym tego ze śmigłowcem nad głową. Poza tym, jeśli to on, Rogan sobie z nim poradzi.

– Co mam robić? Musisz zdecydować teraz, już.

– Zostajemy.

Nadał wlekleśmy się w korku. Tempo było strasznie powolne nawet jak na Houston. Przed nami musiał być jakiś zator, roboty drogowe, wypadek albo inna przeszkoda.

– Tamten samochód przyspieszył. Ścigają go – relacjonował Pluskwa. Greenhouse Road.

– Mam kontakt wizualny. To ten.

Skoro Pluskwa mówił, że to właściwy wóz, to tak musiało być. Był jednym z najlepszych ludzi na ziemi w wizualnej identyfikacji obiektów.

Jednak coś mi tu nie grało.

Przed nami zamajaczył zjazd na Fry Road. Bern zerknął na mnie pytająco. Pokręciłam przecząco głową.

Miałam ochotę biec, walić w coś, wrzeszczeć, działać, robić cokolwiek, a zamiast tego musiałam siedzieć. Toczyliśmy się w żółtim tempie.

Kątem oka zobaczyłam, jak coś niebieskiego śmiga w zjazd. Wystawiłam głowę za okno, śledząc niebieski pocisk. Zeus!

– Bern! Jedź za tygrysem!

Bern skręcił gwałtownie i wcisnął się w korytarz pomiędzy samochodami a betonową barierą na skraju autostrady przy akompaniamencie trąbiących z oburzeniem klaksonów.

Niebieski stwór gnał ulicą, młóćąc asfalt potężnymi łapami. Ogon wyprężał się i zwił przy każdym susie, a grzywa macek stała na sztorc niczym rozjarzona korona z turkusową gwiazdą na każdym promieniu. Tego widoku nie zapomniałabym, nawet gdybym dożyła setki.

Zeus wykonał skok, kierując się naprzód i nieco na lewo. Wylądował, ślizgając się na dachu samochodu pełznącego środkiem drogi. Złapał przyczepność, odbił się znowu i wskoczył na tył czarnego forda pick-upa. Bern nacisnął na hamulce.

Najeżony Zeus wściekle marszczył pysk, szczerząc zakrzywione kły, a z jego grzywy wystrzelił purpurowy impuls magii, który grzmotnął w dach kabiny, wdzierając się w metal. Ford odbił w bok i gruchnął w niebieską hondę civic, która zsunęła się na skraj jezdni, blokując nam drogę. Wielki ford wyrwał się naprzód i z rykiem pomknął zjazdem, oddalając się z Zeusem na pace.

Niech to szlag.

Bern wcisnął klakson. Kobieta w hondzie bez sensu szarpała kierownicą, kręcąc się w tę i we w tę. Utknęliśmy.

– Pluskwa?! To nie biały chevrolet, tylko czarny ford! – Wytknęłam znowu głowę przez okno i wrzasnęłam na babę. – Z drogi!

Babsko mnie olało.

– Zjeżdżaj! – darłam się.

Kierowcy za hondą zaczęły trąbić, a kobieta sięgnęła po telefon. No pięknie, zamierzała wezwać gliny i czekać, aż przyjadą.

Bern położył się na klaksonie.

Coś łupnęło o nasz bok. Zakolysaliśmy się, a podwozie zazgrzytało pod naporem czegoś ciężkiego. Spojrzałam za siebie. Przez tylną szybę widać było jakiś ciemny

kształt. Dach ugiął się nad naszymi głowami. Wyciągnęłam broń. Na maskę opuściła się wielka kudłata łapa, potem druga, aż wreszcie potężny brzuch zasłonił nam przednią szybę. Sierżant Miś zsunął się przed nasz zderzak i potruchtał ciężko ku hondzie.

Kobieta upuściła telefon.

Wielki grizzly oparł się o niewielką osobówkę i pchnął. Samochodzik gładko wskoczył na swoje miejsce na pasie. Niedźwiedź wziął rozpęd, oderwał się od ziemi i znów wylądował na naszej masce. Rozległ się głośny zgrzyt. Bestia prześliznęła się na tył, zeszła na jezdnię, a wielki łeb wypełnił tylną szybę. Pazury zachręściły o metal, kłapa uniosła się i grizzly wepchnął się na tył. Mimo złożonych tylnych siedzeń ledwie się mieścił. Nagle cała przestrzeń w samochodzie wypełniła się niedźwiedziem.

Bern obrócił z wolna głowę i spojrzał na mnie oniemiały wielkimi jak spodki oczyma.

– No jedź! – wrzasnęłam. – Bo nam uciekną!

Otrząsnął się ze stuporu i wcisnął gaz. Ford wyrwał do przodu. Pognaliśmy poboczem.

Przed nami zajaśniał kolejny purpurowy rozbłysk.

– Pluskwa? – Z trudem powstrzymałam się, żeby nie potrząsnąć telefonem. – Pluskwa!

– No?

– Czarny ford F150 jedzie poboczem, jest na zachód od zjazdu na Fry Road. Namierz go i nie spuszczaaj z oka.

– Robi się. – Moment ciszy. – Dron w drodze ze śmigłowca. Będzie za minutę.

Droga wznosiła się, prowadząc na estakadę. Upadek stamtąd oznaczał śmierć.

Czarny pick-up jechał ostrymi zakosami, szorując o barierkę, odbijając się, zbliżając do sznura samochodów i gwałtownie hamując. Zeus przywarł płasko do podłogi paki. Kierowca próbował go zrzucić.

– Przecież wiezie ze sobą dzieci – denerwował się Bern.

– Ma to gdzieś.

Rozległ się huk wystrzałów, któremu odpowiedział ryk wkurzonego drapieznika.

Bern przyspieszył do sześćdziesiątki. Otarliśmy się o betonową barierę, ale odbił i wyprostował.

Odległość od porywaczy kurczyła się.

– Prawie go mam – warknął Bern dziko.

Przed nami pojawił się znak informujący o zjeździe na Westgreen Road.

– Skręć – poleciłam, modląc się w duchu.

Kierowca pick-upa zatrąbił, strumień samochodów rozstąpił się przed nim na moment, a czarny ford wskoczył w lukę.

– Cholera!

Bern napał na klakson, Sierżant Miś zaryczał, zaskoczeni kierowcy machinalnie hamowali, a nam udało się wcisnąć w tę samą przestrzeń. Wsadziłam palec w ucho i poruszałam nim, żeby pozbyć się nieprzyjemnego dzwonięcia.

Ford był kilkadziesiąt metrów przed nami, ale nabierał prędkości. Musnęła kilka samochodów po lewej, odbił w stronę bariery, lecz ta na szczęście wytrzymała.

Pick-up wyglądał na dość wiekowy, na tylnym zderzaku łuszczył się lakier. Pewnie kradziony. A skoro tak, nie powinien mieć wzmocnianych opon.

– Trzymaj się prosto – poleciłam i wychyliłam się przez okno.

– Dzieci – przypomniał Bern.

– Wiem.

Mogłam strzelić w oponę i ich zatrzymać albo pozwolić, żeby kierowca szalał dalej, i ryzykować, że spadnie w końcu z autostrady i rozbiją się na dole. Wymierzyłam w prawe koło i pociągnęłam za spust.

– Trafiłaś?

– Tak.

Z tej odległości i przy tej prędkości kula kaliber czterdzieści powinna przebić oponę na wylot, powodując stopniowy ubytek powietrza.

Mijały sekundy.

W końcu opona sflaczała i ford zwolnił nieco.

– Widzę czarnego pick-upa – zameldował Pluskwa. – Dzieci są w środku. Powtarzam, dzieci są w środku.

Na pace buchnął kolejny impuls czerwonej magii. Zeus jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Minęliśmy zjazd na Mason Road. Znów nie skręcił.

– Nadlatuje śmigłowiec – uprzedził Pluskwa.

– Kiedy tu będzie?

– Minimum cztery minuty.

Cztery minuty to kawał czasu. Uderzenie w barierę i stoczenie się z estakady to kwestia sekund. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam roztrzaskany wrak z dziećmi w środku. Nie mogłam do tego dopuścić.

Sierżant Miś warknął nisko.

– Nie możemy jechać szybciej, bo możemy wypaść z jezdni – wyjaśniłam. – Albo on wypadnie.

– Rozumiesz go?

– Nie, ale domyślałem się, o co mu chodzi. Najważniejsze, żeby dzieci były bezpieczne. Na razie jedziemy za nim.

Znak zjazdu na Frontage Road. Za nim tablica ostrzegawcza: „Zjazd zamknięty”. I następna: „Prawy pas zamknięty”.

Cholera.

I kolejna: „Roboty drogowe”.

Biało-pomarańczowe plastikowe płotki oddzielające strefę remontu wyleciały w powietrze staranowane przez pick-upa, który śmignął na wskroś w stronę zjazdu na Grand Parkway. Co ten Vincent wyprawiał?

Wielki samochód zahamował, okręcając się i stając bokiem do nas na środku jezdni.

Z pick-upa wyskoczył mężczyzna. Jedną ręką przytrzymał Matyldę, w drugiej miał broń. Dziewczynka nadal tuliła w ramionach kota.

Bern zahamował gwałtownie, ford śliznęła się jeszcze parę metrów i w końcu stanął. Wyskoczyłam prawie w biegu i wymierzyłam w porywacza.

– Nie ruszaj się!

– Odstrzelę jej głowę! – zagroził mężczyzna, kierując otwór lufy w stronę Matyldy.

Matylda puściła kota. Biała kula zasyczała i rzuciła się na nogi porywacza, wczepiając się pazurkami, sprawnie pięła się w górę. Mężczyzna wrzasnął, puścił dziecko i zaczął miotać się, usiłując zrzucić z siebie kota. Matylda upadła, a kocisko szarpało mężczyzną pazurami w dzikim szale, ale facet poruszał się zbyt szybko, żeby mogła bezpiecznie strzelić. Z paki skoczył Zeus, zbił porywacza z nóg, obalając go na ziemię. Wielka paszcza rozwarła się i kły zatopiły się w szyi człowieka, którego pięty zabębniły o asfalt, po czym znieruchomiały.

Tygrys zwrócił ku nam zakrwawiony pysk.

Sierżant Miś przegalopował obok, kierując się do furgonetki.

Zeus warknął, złapał zębami Matyldę za sweter i jak z kociakiem pobiegł w stronę, z której nadjechaliśmy. Białe kot pędził susami za nimi.

Oboje z Bernem runęliśmy do pick-upa, słysząc nad sobą głuchy łoskot bijących powietrze śmigieł.

Uderzyła mnie magia, tak potężna lawina mocy, że zaparło mi na moment dech w piersiach. Bern też nie mógł złapać tchu.

Wyjrzałam zza pick-upa. Sierżant Miś cofał się krok za krokiem w naszą stronę, warcząc głucho. Vincent stał przed nim w kręgu wzmacniającym, trzymając przy sobie Kyle'a. Za nimi rozgałęzienie dróg prowadziło na północ na Grand Parkway i w drugą stronę, na południe. Oba pasy blokowały betonowe bariery oraz ciężkie wozy budowlane. Vincent mógł uciekać tylko pieszo.

Ponad Vincentem kotłował się wściekle i rozrastał skłębiony mrok błyskający purpurowymi wyładowaniami. Nagle rozdarła go jasnoczerwona błyskawica, czerni pękła, a ze szczeliny wyłonił się olbrzym. Wyprostowany, o humanoidalnej sylwetce, bezwłosy, górował nad nami. Musiał mieć jakieś dwadzieścia metrów. Zakończone raciami stopy były większe od pick-upa, a szara skóra opinała się ciasno na szkieletcie, upodabniając ramiona do skalistych urwisk. Z przednich łap wystawały metrowe szpony. Na okrągłej głowie nie miał nosa, a jedynie szeroką szczeliniastą paszczę wypełnioną długimi, cienkimi zębami, a ponad nią dwie skośne krechy ślepi, jarzące się, jakby płonął w nich ogień.

Schylił się, sięgając łapskiem w dół, chwycił w szpony trupa porywacza i wrzucił sobie do paszczy. Chrupnęły miażdżone kości. Posiliwszy się, potoczył ślepiami po sznurach samochodów i zrobił ogromny krok. Estakada zadrżała pod jego ciężarem.

Olbrzym ruszył wzdłuż drogi, a ja mogłam się temu tylko przyglądać. Z samochodów wyskakiwali ludzie i rzucali się do ucieczki, klucząc pomiędzy wozami. Potwór wpatrywał się w nich, a w końcu rozwarł paszczę, z której wydobył się okropny, wysoki skrzek.

Unoszący się ponad opuszczonymi samochodami śmigłowiec Rogana wystrzelił terkotliwe serie karabinowe, ale istota zdawała się nie zauważać bijącego w nią gradu pocisków.

Rogan nie miał na nią sposobu, nawet ciskanie w potwora samochodami byłoby jak obrzucanie byka żwirem.

Śmigłowiec przechylił się, skręcając w bok, gdzie przy autostradzie rozciągał się pusty plac przy wielkim klockowatym budynku kompleksu kinowego Cinemark.

Stwór tupnął, zdeptując kilka samochodów, i znów zaskrzeczał.

– Co robimy, Nevada?! – krzyknął Bern.

Nie wiem.

– Nevada!

W życiu nie czułam się taka bezradna.

Z wiszącego tuż nad ziemią śmigłowca coś wypadło, ciemny kształt eksplodował w locie w wielką, kudłatą postać. O nie, tylko nie to...

Potwór wyładował przy budynku kina, potężny, wielki, o długim, kosmatym, czarnym futrze, masywnych łapach uzbrojonych w szpony i szerokim łbie osłoniętym twardym pancerzem kostnym. Z czoła sterczały mu dwa gigantyczne rogi, podobne do przekreślonych naprzód rogów baranich. Z pyska wystawały kły drapieznika, a dwoje okrągłych ślepi jarzyło się na żółto.

– Kurwa! – zaklął Bern.

Uciekający w panice ludzie przystawali i gapili się na potwora. Nagranie z Kolonii obiegło świat, wszyscy wiedzieli więc, z czym mają do czynienia.

Bestia z Kolonii vel Arabella ryknęła ogłuszająco, rzuciła się na szarego olbrzyma i ściągnęła go z estakady na plac przy kinie. Gigant grzmotnął o ziemię tak mocno, że przejazd zatrząsał się, a litera C z nazwy multipleksu oderwała się i roztrzaskała przed wejściem.

Szary gigant chwycił Arabellę, próbując swoich sił, ale wykręciła się i wskoczyła mu na grzbiet. Niczym wielkie monstrum z koszmaru rozszarpywała jego cielsko, oszalała z wściekłości grzmociła i darła, odrywając krwawe ochłapy i siejąc nimi wokół. Straszliwy wulkan tłumionej gwałtowności, która napędzała Arabellę, wybuchł i nie dało się go powstrzymać.

Mama nas zabije. Wszystkich, po kolei. Za nic w świecie nie będziemy mogli wrócić do domu.

Szary olbrzym wrzasnął tym razem rozpaczliwie. Arabella, wczepiona w grzbiet giganta, złapała go za łeb i wgrzyzała się w szyję. Nie chciałam na to patrzeć, ale nie mogłam oderwać oczu. Jej kły rozrywały mięśnie, ścięgna, tętnice, a gigant słabł z każdą chwilą, coraz bardziej niemrawo miotając się w jej uścisku. Arabella wgrzyzała się głębiej, wyprostowała się, oderwała koszmarny łeb i cisnęła nim za siebie z tryumfalnym rykiem.

Dziesiątki ludzi nagrywało to telefonami.

Arabella zakołysała się, ześliznęła z kadłuba przeciwnika i klapnęła na ziemię, po czym łapą wygrzebała spomiędzy zębów jakieś krwawe włókno. Splunęła, krzywiąc się niemilosernie, i jeszcze raz prychnęła z odrazą, jakby ugryzła oślizły, kwaśny owoc.

Wszystko jest pod kontrolą. Wszystko jest dobrze. Nie wpadła w szal. Odwróciłam się. Parę metrów ode mnie Vincent stał oniemiały, z otwartymi ustami i oczami przepełnionymi grozą.

Wymierzyłam w niego, ale w ostatniej chwili otrząsnął się i szarpnął Kyle'a, zasłaniając się chłopczykiem jak tarczą. W drugiej ręce trzymał wielką spluwę, która wyglądała jak karykaturalny filmowy rekwizyt.

Zwrócił na mnie długą lufę i zaczął się wycofywać.

Betonowe zapory za plecami Harcourta zaczęły zsuwać się, blokując wąską ścieżkę, którą poruszali się drogowcy. Przez asfalt szurnał ciężki sprzęt budowlany, wzmacniając barierę. Nie musiałam się odwracać, wiedziałam, że Rogan jest za mną.

Poblady nagle Vincent zaryzykował zerknięcie przez ramię. O tak, nie masz gdzie uciekać.

Rogan zrównał się ze mną. Przed nim w powietrzu wisiała garść monet. Widziałam kiedyś, jak się nimi posłużył – cisnął nimi w przeciwnika, tak że leciały z prędkością wystrzelonej kuli. Tym razem jednak unosiły się w miejscu. Widać Rogan doszedł do tego samego wniosku, co ja – jeśli mamy mieć szansę ze Sturmem, potrzebujemy Vincenta żywego.

– Nie zbliżajcie się! – wrzasnął Vincent.

– To koniec, Vincent – zawołał Rogan. – Opuść broń.

– Strzeżę, jeśli choć drgniesz! – Lufa wielkiej broni drżała.

– To magnum BFR, jeden z najpotężniejszych rewolwerów na rynku, wielka, ciężka spluwa – powiedziałam. – Waży ponad półtora kilo i ma straszny odrzut. Trzeba z niego strzelać oburącz i stać maksymalnie stabilnie. A twoja ręka już trzęsie się z wysiłku.

Jeśli naciśniesz spust, nie dość, że spudłujesz, to jeszcze odrzut wyrwie ci broń, która grzmotnie cię w głowę. A ja cię spokojnie dobiję.

Vincent zacisnął mocniej palce na rękojeści, a nadwyrężone mięśnie zadrgały jeszcze bardziej.

– Trafisz dzieciaka – wydusił.

– Nie. Jestem magiem strzelcem.

Vincent wymierzył z rewolweru w głowę Kyle'a.

– Żyjesz jeszcze tylko dzięki temu chłopcu – powiedział zimno Rogan. – Zabij go, a ja wykończę cię tu, na miejscu, bardzo powoli i po małym kawałku.

Vincent przełknął nerwowo ślinę.

– Masz dwa wyjścia: albo go puścisz i przeżyjesz, albo włos mu spadnie z głowy, a nie przeżyjesz.

– Tylko pospiesz się z decyzją – ponagliłam go. – Zabiłeś Kurta, a ja bardzo lubiłam tego faceta.

Vincent wypuścił z ręki rewolwer, który upadł na asfalt.

– Puść chłopaka.

Vincent mocno przygarnął dziecko do siebie. Szeroko otwarte oczy przepelniało szaleństwo, wyglądał, jakby zamierzał skoczyć z estakady. Przygotowałam się do strzelenia mu w głowę, bo gdyby Vincent rzucił się do krawędzi, była to najbezpieczniejsza opcja dla Kyle'a.

– Nie mamy całego dnia, Harcourt – warknął Rogan.

Vincent się złamał. Puszczony przez niego chłopiec wbiegł mi w otwarte ramiona. Rogan podszedł do porywacza, a ten uniósł ręce, jakby się poddawał, a potem znienacka zamachnął się, żeby uderzyć Rogana. Cios ominął swój cel o jakiś kilometr. Rogan spokojnie złapał Vincenta za nadgarstek i wykręcił, a kiedy Harcourt zgiął się w pół, drugą ręką złapał go za gors i niemal powlókł w naszą stronę.

Kątem oka widziałam, że Arabella idzie w kierunku wyjazdu z Frontage Road, który zakręcał pod estakadę. Podjechał do niej znajomy range rover, a moja siostra skurczyła się do normalnych kształtów i naga, umazana krwią olbrzyma, wskoczyła do środka przez otwarte dla niej drzwiczki. Samochód natychmiast odjechał, kierując się na północ.

– Dziękuję – powiedziałam do Rogana.

– Porozmawiamy o tym później.

Vincent został skuty kajdankami i wepchnięty do śmigłowca. Bern cofnął, podjeżdżając do Sierżanta Misia, i niedźwiedź wpakował się do tyłu naszego forda. Z daleka dochodziło już coraz głośniejsze wycie syren policyjnych.

Do nas podjechał inny range rover z kolekcji Rogana. Za kierownicą siedział Troy. Rogan otworzył mi drzwiczki z miną jasno mówiącą, że jeśli nie wsiądę, sam mnie wepchnie na siedzenie. Na horyzoncie zbierały się burzowe chmury i najwyraźniej to ja miałam stać się epicentrum nadciągającej nawałnicy.

Bern też zauważył zapowiedź zawieruchy.

– To ja zabiorę Sierżanta Misia do domu – powiedział pospiesznie i odjechał.

Wsadziłam Kyle'a na środek kanapy, zapięłam mu pasy i sama wsiadłam. Rogan zajął miejsce po drugiej stronie chłopca, a gdy tylko trzasnął drzwiczkami, Troy ruszył z kopyta.

Przejechaliśmy w milczeniu pełne pięć minut.

– Bestia z Kolonii? – odezwał się w końcu Rogan.

– Uhm.

– Jakim cudem? Jak to się stało, od jak dawna to robi, ile razy do tej pory, ile osób o tym wie?

– To jej magia. Robi to od niemowlęstwa. Dotychczas przemieniła się do pełnej formy dwanaście razy. Nikt nie wie, poza rodziną i jej pediatrą.

– Więc potrafi to kontrolować?

– Tak. Między jedenastym a czternastym rokiem życia było jej trudno, ale powoli dojrzeła i jest coraz lepiej. Jesteśmy ostrożnymi optymistami i uważamy, że zapanuje nad tym ostatecznie, kiedy ucichnie burza hormonalna, czyli koło dwudziestki.

– Ostrożnymi... – wydusił z siebie Rogan. – To dziedziczne?

– Tak.

– Możliwe, że twoje dzieci będą miały tę moc?

– Tak.

– Ale jak to?

– Victoria Tremaine nie mogła donosić ciąży, więc zapłaciła Magnusowi za nasienie, załatwiła zapłodnienie in vitro i implantację surogatce, Mishy Marcotte, którą trzymają gdzieś w Europie w indukowanej lekami śpiączce. Potrzebowała surogatki-Magnusa, więc jedyną opcją była Mishy. Mój ojciec był nosicielem talentu prawdołowcy po matce, syreny po ojcu i najwyraźniej bestii po surogatce. Nie wiem, jak to możliwe, skoro magię dziedziczy się genetycznie, a przecież DNA Mishy nie zostało wprowadzone do zarodka, ale tak się stało. Jesteśmy jego córkami. Wszystkie dostałyśmy talenty, których był nosicielem.

Rogan zacisnął powieki i przez chwilę tak siedział. Cóż, już za chwileczkę, już za momencik, głowa w końcu mu eksploduje.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Ach, tak, o Arabelli wie jeszcze Victoria Tremaine. Przyznała to, kiedy jadłyśmy dzisiaj lunch.

Wpatrywał się we mnie w bezbrzeżnym zdumieniu.

– O, i Biuro Rejestru chciało zabić Victorię, ale przekonałam ich, żeby tego nie robili, bo jest moją babką i dlatego, że osłoniła mnie własnym ciałem przed kulą. Bo jeszcze wcześniej strzelał do mnie najemnik Sturma. Victoria mocno krwawiła, a ja nie mogłam patrzeć, jak Michael ją zabija. I teraz jestem im dłużna przysługę. Rejestrowi.

Oblicze Rogana stężało w nieprzeniknionej masce.

– Connor...

Uniósł rękę. Zamilkłam. Najwyraźniej potrzebował chwili, żeby sobie to poukładać.

Po jakimś czasie spojrzął na mnie, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował i tylko pokręcił głową. Najwyraźniej toczył ze sobą jakąś potężną wewnętrzną walkę.

– Musisz mówić, inaczej nikt nie będzie wiedział, o co ci chodzi – poradził mu Kyle.

Rogan łypnął na niego groźnie, a potem przeniósł wzrok na mnie.

– To miłe, że uratowałaś swoją babkę, ale jeśli jeszcze raz cię napadnie, to ja ją zabiję.

– Nic mi nie robi. Jestem jej krewną.

Rogan wydał z siebie frapujący odgłos, ni to jęk, ni to warknięcie, po czym sięgnął po telefon.

– Dzień dobry, archiwisto – powiedział. – Ze względu na nieprzewidziane okoliczności jako świadek proszę o pilne przyspieszenie testów rodziny Baylorów. Pani Baylor i jej bliscy będą potrzebowali immunitetu, natychmiast... Tak, w związku

z incydem na autostradzie... Tak. Czy Arabella również podejdzie do testów? – zwrócił się do mnie. – Zgódź się.

Zawahałam się.

– Jeśli podczas testów udowodni, że jest w stanie nad tym panować, status Magnusa ochroni ją przed zakusami władz federalnych. W innym wypadku zatrzymają ją na podstawie Ustawy o zagrożeniu publicznym – wyjaśnił.

– Tak, przystąpi. – I oszaleje z radości, kiedy się dowie.

– Tak, dokona rejestracji... Tak, demonstracja przy drzwiach zamkniętych...

Dziękuję.

Natychmiast po zakończeniu rozmowy wybrał następny numer.

– Mamo? Muszę prosić cię o przysługę. Wysyłam do ciebie dziewczynę, przyjedzie samochodem. Czy możesz ją przetrzymać w ukryciu, dopóki po nią nie przyjadę?... Nie, nie jest moim nieślubnym dzieckiem. Wyjaśnię ci później. Dziękuję.

I następny. Odebrał sierżant Serducho.

– Spodziewamy się gości. Federalni. Zamknij wszystko. Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi, nikt nic nie wie.

Rozłączył się i spojrzał na mnie.

– Bardzo cię proszę, żadnych więcej niespodzianek. Przynajmniej przez dwanaście godzin.

– Postaram się.

...

– Miałaś jedno zadanie – denerwowała się mama. – Jedno.

Bern, Catalina i ja staliśmy w kuchni. Babcia Frida siedziała przy stole, opierając podbródek na rękach. Minę miała posępną. Leon obraził się i wyszedł, bo kategorycznie zabronił mi zabić Vincenta.

– Mieliście pilnować, żeby nikt się o niej nie dowiedział. Wiecie, jaka jest nierozsądna. I nie dopilnowaliście jej.

Milczałam. Co miałam powiedzieć?

– Czy macie coś do powiedzenia na swoją obronę? – Mama potoczyła po nas groźnym spojrzeniem.

Otworzyłam usta, ale Catalina mnie ubiegła.

– To ty pozwoliłaś jej wsiąść do tego helikoptera.

Mama zamrugnęła, zaskoczona. Catalina prawie nigdy nie wdawała się w dyskusję z nikim poza mną i Arabellą.

– Zajmowałam się Jessicą, mamo, a ty pozwoliłaś, żeby wsiadła do tego helikoptera i poleciała. Co miałam zrobić? Telepatycznie przywołać ją do porządku? A może Bern albo Nevada mieli ją magicznie powstrzymać w przerwie, kiedy do nich nie strzelali?

Mama otworzyła usta, lecz Catalina nie dała jej dojść do słowa.

– O nie! Mam dość tego, że każdy ją jakoś zawsze usprawiedliwia. Jest wyjątkowa. Znajduje się pod presją. A smarkuła jest po prostu rozpieszczonym bachorem, który przywykł, że zawsze stawia na swoim. Zachowuje się jak pięciolatek, a wy oczekujecie, że będziemy za nią świecić oczami. Cóż, jest już na to za duża i nie daje się upilnować. I nie zamierzam dłużej wysłuchiwać wyrzutów, jeśli o nią chodzi. Mam dość. Poważnie, mam, do cholery jasnej, dość.

Odwróciła się na pięcie i wymaszerowała z kuchni. Po chwili w głębi domu trzasnęły drzwi. Catalinę dopadł stres związany ze zbliżającymi się testami.

– Co to się wyrabia z tą rodziną – mruknęła babcia pod nosem.

– Arabella zrobiła dokładnie to, czego ją uczyłaś – powiedziałam do oszołomionej mamy. – Przemieniła się, zrobiła, co miała zrobić, ocaliła setki ludzi, zmieniła się z powrotem i zwiła. Nie została, nie robiła pokazówki, nie pozowała do zdjęć. Wykonała zadanie i zniknęła.

– W chwili gdy wsiadła do tego śmigłowca, było po ptakach. – Bern pokiwał głową.

Mama klapnęła ciężko na krzesło. Wyglądała na pokonaną i steraną życiem, postarzała się nagle. Na jej widok rozboleło mnie serce. Kucnęłam przy niej.

– Mamo?

Zwróciła na mnie szkliste oczy.

– Mamo, wszystko się ułoży, będzie dobrze.

Nie odpowiedziała.

– Mamo, proszę, nie strasz mnie.

– Nie mogę. Po prostu nie mogę nic poradzić – poskarżyła się. – Tak próbowałam, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żebyście byli bezpieczni, i wszystko na nic.

– Mamo. – Ujęłam ją za ręce. – Wszystko będzie dobrze, naprawdę. Obiecuję.

– Niby jak?

– Przyspieszą nam testy. Arabella przejdzie swoje przy zamkniętych drzwiach przed paroma osobami. Zademonstruje, że panuje nad sobą, a wiemy, że to potrafi. Po przemianie nadal pozostaje sobą. Nie potrafi tylko mówić. Kiedy otrzymamy status Rodu, będzie chroniona na podstawie Przywileju Wschodzącego Rodu.

Mama patrzyła na mnie nie do końca przytomnie.

– Przywilej Wschodzącego Rodu gwarantuje, że żaden członek Rodu nie może być zmuszony do służby wojskowej ani przetrzymywany na podstawie prawa federalnego, stanowego bądź przez lokalne władze bez przedstawienia jednoznacznego dowodu na popełnienie czynu kryminalnego – wyrecytował Bern. – Jeśli otrzymamy status Rodu, nie będą mogli jej tknąć.

Mama nie wykazywała przejawów zrozumienia.

– Mamo?

– A jeśli położą na niej łapę przed testami?

– Nie ma mowy – zapewniłam ją. – Będzie z matką Rogana. Nie odważą się pogwałcić miru domowego Rodu Roganów. Nie mają do tego podstaw, nie mają dowodów. A jeśli nawet spróbują, nie pozwoli im na to.

– Będą o tym mówić na każdym kanale – zauważyła babcia.

– A niech mówią. Jestem pewna, że Rogan i jego matka zapewnią jej bezpieczeństwo. Wszystko będzie dobrze.

Zadzwoił mój telefon. Odebrałam.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwał się Rivera. – Jesteśmy gotowi.

– Już idę – odpowiedziałam i zwróciłam się do mamy: – Mamo, muszę iść, ale niedługo wrócę. Nie martw się. – Objęłam ją i wyszłam z domu.

Przejdzie na drugą stronę ulicy do budynku, w którym mieścił się sztab Rogana, zajmowało parę sekund, ale tym razem skierowałam się do parterowego pawilonu stojącego za nim. Wcześniej mieściła się tu drukarnia, po której zostało parę sprzętów, między innymi granitowy kontuar przy wejściu. Stała tam teraz wysoka, złotowłosa blondynka, jedna z pracownic Rogana. Kiwnęłam jej głową na powitanie i przesłam obok prosto do ciężkich drzwi, za którymi kryło się duże pomieszczenie. Było całkiem

puste, a jego podłogę i ściany pomalowano czarną farbą tablicową. Pośrodku, przykuty do krzesła, siedział Vincent. Na mój widok wykrzywił się drwiąco. Najwyraźniej wrócił już do siebie.

Pod ścianą przy drzwiach, naprzeciwko dwóch monitorów siedział Pluskwa. W pomieszczeniu ustawiono również rząd krzeseł. Część z nich była zajęta przez Rogana, Riverę, sierżanta Serducho i sztywną, prostą jak struna Ryndę. Dalej Cornelius z Matyldą na kolanach, a obok niego jego siostra, Diana, głowa Rodu Harrisonów. Oczy wszystkich skupione były na Vincencie, rozjarzone na niebiesko Corneliusa, zielone Diany, a gdy Matylda zerknęła na mnie, jej tęczołki rozbłyły niezwykłym, bursztynowym blaskiem.

Nieopodal jeńca na ziemi leżały dwa kawałki kredy. Podniosłam jeden.

– A co ty z tym zrobisz, analfabetko? – prychnął Vincent. – Nawet nie wiesz, jak tego właściwie używać. Wiemy o tobie wszystko. Nie masz żadnego szkolenia, nigdy nie uczyłaś się magii.

Magia zaczęła się ze mnie wylewać.

– Jesteś odłamany kikutem drzewa rodowego, półsierotką. Twój ojciec był nikim, głupkiem i słabeuszem. Te cechy z pewnością są w twojej rodzinie dziedziczne.

Nakreśliłam na podłodze prosty krąg wzmacniający.

– Ojej, połamały ci się paluszki? A może jesteś ślepa? Rogan, chodź tu i narysuj to za nią. To, co tu nasmarowała, to żenada.

Pluskwa dał Roganowi jakiś znak gestem ręki, ale ja weszłam już do kręgu i skoncentrowałam się na zadaniu. Wszystko oddaliło się ode mnie, pociemniało, łącznie z mężczyzną na krześle. Zamiast Vincenta widziałam teraz postać, w której głowie jaśniał srebrzysty blask – tak zapora w jego umyśle reagowała na moją magię.

Musiałam przyjrzeć się jej bliżej, sięgnąć głębiej, do miejsca, do którego dotarłam, kiedy zaatakowała mnie Olivia Charles.

– Nevado? – usłyszałam z bliska głos Rogana.

– Hm? – Skupiłam się na blasku.

– Twoi bliscy chcą przy tym być. Mama, siostry, kuzyni i babki.

– Okej.

– Obie babki – podkreślił.

Dopiero to przywróciło mnie do rzeczywistości. Pluskwa ustawił na swoim blacie roboczym laptopa, przodem w moją stronę. Na ekranie widać było siedzącą w pluszowym fotelu Victorię Tremaine. Babka miała rękę na temblaku.

Za plecami usłyszałam, jak ktoś gwałtownie wciąga powietrze. Mama.

– Dobrze.

Kucnęłam. Potrzebowałam więcej mocy. Narysowałam mniejsze koło przy dużym, okręciłam się i dołożyłam trzecie takie samo, a potem czwarte. Tetrada, znana jako Matka z Trojaczkami. Natknęłam się na ten wzór w jednej z książek, które jakiś czas temu podrzucił mi chyłkiem Rogan. Tego rodzaju krąg nie dodawał dużo więcej magii, ale pozwalał kształtować ją na podobieństwo precyzyjnego skalpela. A jeśli miałam zniszczyć zapórę ustawioną przez Victorię i nie uszkodzić przy tym umysłu Vincenta, żeby dało się go potem przesłuchać, potrzebowałam bardzo precyzyjnego skalpela.

– Pieprzona zdrajczyni. – Vincent wykrzywił się wścieknie do Victorii.

Ta uśmiechnęła się tylko drapieżnie jak rekin.

Posłałam magię do kręgu. Linie zaczęły pulsować jasnoniebieskim blaskiem. Strumień magii wrócił do mnie czysty i silny. Skupiłam się na zakłębieniu blokującym, pozwalając, żeby wszystko inne odpłynęło.

Światło pociemniało. I jeszcze. I jeszcze bardziej.

Im robiło się ciemniej, tym wyraźniej widziałam blask w umyśle Vincenta. Z rozmazanej plamy jasności zaczął wyłaniać się wzór. Iskry układały się w prostą linię przypominającą srebrną nić, cienką jak włos.

Zasiłłam krąg mocą. Pomieszczenie pogrzażyło się w ciemności. Ujrzałam więcej iskier, więcej srebrnych nitek.

Jeszcze trochę mocy.

– Za bardzo się zanurza – ostrzegła Rynda.

– Da sobie radę – uspokoił ją Rogan.

Zapadałam się, spadałam w głąb czarnej studni ku lśniącemu zakłębciu na jej dnie.

Jeszcze trochę.

– Rogan! – Gdzieś z oddali dobiegł mnie podniesiony głos Ryndy.

– Rozpraszasz ją – łagodnie zwrócił jej uwagę Cornelius.

Wylądowałam na dnie, udało mi się utrzymać na nogach. Zapora jaśniała przede mną. Krąg sfer, osłepiający, jarzący się czystą mocą utkaną w cieniutką koronkę. Zawilość wzoru mnie oszołomiła.

Jak to rozplątać?

Ażurowy spłot przenikała magia, płynęła w obiegu zamkniętym. Jeśli przerwę jej strumień, zakłębcie się zapadnie. A może...?

Krąg okazał się trzema, ułożonymi warstwami na sobie. W środkowym widniało dziewięć trójkątów zwróconych szczytami ku środkowi. Jeśli spróbuję rozbroić zakłębcie siłą, górny krąg opadnie na niższy, wierzchołki trójkątów zapadną się, zmieniając w szpiczaste ostrza, które przebijają najniższą warstwę, a cała moc skupiona w zakłębciu napłynie do szpiców. Te z kolei spadną, przesywając umysł Vincenta. Genialna pułapka, nie do rozbrojenia.

Łamanie zakłębcia nie wchodziło grę.

A może zmienić kształt wzoru? Może dałoby się go rozciągnąć...

Nie, zbyt ryzykowne.

Wystarczyło nieopatrznie przerwać którąkolwiek linię i katastrofa gotowa.

Kiedy Howling zamknął nas w pułapce magicznego kręgu, Rogan zmienił wzór. Zakłębcie bariery było w zasadzie kręgiem. Niezwykle skomplikowanym, trudnym do pojęcia kręgiem, który ktoś stworzył w umyśle innej osoby. Czy mogłabym je nadpisać?

Gdzieś w głębi poczułam dojmujący ból. Zużyłam już za dużo magii, a potrzebowałam jeszcze więcej.

– To zbyt wiele – powiedziała mama. – Każesz jej rozebrać coś, co zbudowała ta... kobieta, która ma za sobą lata nauki i doświadczenia.

– Ma rację – poparł ją ktoś.

Shaffer? Kto wpuścił tu Shaffera?

– Wyczuwam tę zaporę – mówił dalej. – Jest niezwykle skomplikowana. To pułapka, a ona jest zbyt niedoświadczona, żeby sobie to uświadomić.

– Ale da się ją przełamać? – zaniepokoiła się Rynda.

– Nie. – Shaffer rozwiął jej nadzieje. – To pułapka doskonała. Zabierzcie ją stamtąd, zanim zużyje zbyt wiele mocy.

– Nic jej nie będzie – obstawał przy swoim Rogan. – Zna swoje granice.

Och, niech się zamkną.

Zakłębcie było zbyt skomplikowane, żeby zmienić jego wzór. Pętłe w pętłach zawijały przepływ magii, każąc mu przenikać swój nurt.

Ale przecież nie musiałam niczego zmieniać. Wystarczyło osłonić umysł Vincenta przed ostrzami.

Zaczerpnęłam magii. Wydostała się ze mnie, rozciągając w cienką srebrzystoniebieską linię. Wsunęłam tę nić pod najniższą warstwę zaklęcia i zaczęłam tkać tarczę. Osłona bezpośrednia nie zadziałałaby w tym przypadku, tak samo jak brutalne podejście nie przekonałoby ojca Vincenta. Zaklęcie przesyciła zbyt wielką moc. Musiałam przekierować tę energię, która wyzwoli się w chwili złamania. Musiałam... Tak. W ten sposób się uda.

– Powstrzymaj to, jeśli chcesz, żeby twoja córka przeżyła – powiedział Shaffer. – Spójrz na niego. Nie obchodzi go, co się z nią stanie, byleby dostał to, czego chce. Mnie na niej zależy. Chcę ją poślubić.

– Nevada wie, co robi. – Głos mamy. Chłodny. Shaffer jej się nie spodobał.

Mój wzór nabierał coraz bardziej skomplikowanego kształtu, rozpościerając się pod dolną częścią zaklęcia na podobieństwo płatka śniegu, który rozrasta się od środka na zewnątrz.

Czułam bolesne łupanie w głowie, znak, że moje rezerwy mocy są na wyczerpaniu. Stałam po cienkiej linii.

– Czy wyście wszyscy rozum postradali?! – pieklił się Shaffer.

– Czy ktoś może zamknąć usta temu karłakowi? – wtrąciła się Victoria.

Ostatnie pociągnięcie pędzla i tarcza była gotowa. Albo się uda, albo wszystko stracimy.

Ukształtowałam z magii ostrze i przecięłam górny poziom zaklęcia.

Mrok się rozpękł, a ja znów znalazłam się w pomieszczeniu. Przede mną jaśniał wzór. Narysowałam go kredą na posadzce, krąg skręconych spiralnie strumieni z dziewięcioma punktami wewnątrz. Ponad nim słabo jaśniejące echo zaklęcia Victorii, cień stworzonego przez nią wzoru.

Ktoś jęknął.

Górna warstwa zapadła się w dół, na środkową, jak piasek czy woda wydostająca się przez dziurę w dnie dzbana. Cała jej moc wlała się w trójkąty, naciskając na ich wierzchołki, przechylając je i zmieniając w szpiczaste zęby.

Środkowa warstwa zsunęła się na najniższą, ostrza przebiły ją i utknęły w miękkich, skręconych strugach mojego kręgu. Ich czubki dotknęły punktów, w których linie splatały się ze sobą. Wzór zasrebrzył się, kierując moc na zewnątrz. Srebrzysty blask rozchodził po niebieskich jaśniejących liniach, pochłaniając błękit. Nasycone magią linie grubły, a spirale uniosły się, wzmacniane mocą zaklęcia blokady, sięgając coraz wyżej, mieniając się pięknie i rozwijając. Plama blasku w umyśle Vincenta rozkwitła w goździk, którego dziewięć delikatnych płatków połyskiwało magią.

Kwiat migotał przez chwilę, a gdy magia zaklęcia wyczerpała się, zniknął.

Ostry dźwięk poniósł się echem po pomieszczeniu. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to śmiech babki Victorii.

Obróciłam się do zebranych. Shaffer stał przy krześle, roztrzęsiony, błąd. Kiedy nasze spojrzenia skrzyżowały się, obrócił się gwałtownie i wybiegł.

Rogan uśmiechał się do mnie. Twarz mamy promieniowała dumą, babcia Frida była wyraźnie wstrząśnięta, a w oczach Cataliny ujrzałam szacunek. Leon wydawał się nieco wystraszony, za to Bern zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Rynda siedziała nieruchomo jak posąg.

Odróciłam się do Vincenta. Ochota na drwiny zupełnie mu przeszła, usłyszałam, jak z trudem przełyka ślinę.

Magia wystrzeliła ze mnie i pochwyciła go w kleszcze. Z moich ust dobył się niski, przesycony mocą głos:

– GDZIE JEST BRIAN SHERWOOD?



Zamrugalam, oszołomiona. Sufit nade mną wydawał się znajomy. Leżałam na jednej z kanap na piętrze budynku sztabowego Rogana. Wokół mnie panował półmrok, przez okna wlewała się czerń nocy. Okrywał mnie ciepły koc, spod którego wystawały mi stopy. Wciągnęłam je pod przykrycie. Ktoś zdjął mi buty. Ummm, jak miło.

Przesłuchanie przebiegło bez niespodzianek. Vincent odpowiedział na wszystkie moje pytania.

Aleksander Sturm posiadał ranczo pod miastem, Brian Sherwood się tam zabunkrował. Skontaktowali się z nim, oferując pieniądze na wykup długów firmy w zamian za plik Olivii. Gdy zorientowali się, że nie ma pojęcia, gdzie został ukryty ów plik, dobili targu. Brian zgodził się na ich plan z porwaniem, ale nie chciał pieniędzy za udział w intrydze, za to chciał, żeby zabili jego żonę. Zanim Sturm i Vincent skontaktowali się z Brianem, rozważali porwanie dzieci, ale Sturm obawiał się, że Rynda się załamie, a z uprowadzeniem i przetrzymywaniem dziecka zawsze wiąże się większe ryzyko. Brian okazał się doskonałym zakładnikiem. Znał Ryndę, wiedział, jak nią manipulować, a był przekonany, że żona wyda plik pod groźbą jego śmierci.

Rynda miała zginąć podczas wymiany okupu. A jeśli ten plan by nie wypalił, Brian chciał, żeby sfingowali śmiertelny wypadek. Według Vincenta Briana nie obchodziło, czy dzieci będą z nią w samochodzie, czy nie. Powiedział „Jak wam wygodniej”.

Vincent nie wiedział, co jest w pliku Olivii, Sturm mówił tylko, że to krytyczne informacje. Vincent odniósł wrażenie, że jeśli nie odzyskają pliku, „wszyscy pójdą na dno”. Musieli zdobyć plik za wszelką cenę. Sturm był reżyserem każdej części planu

z wyjątkiem napaści w domu Ryndy, kiedy to Vincent postanowił wykazać się inicjatywą.

Po porwaniu przypatrywali się poczynaniom Edwarda Sherwooda, a kiedy ten przejął funkcję głowy Rodu, zrozumieli, że domyślił się udziału Briana w porwaniu. Potrzebowali nowych zakładników. Żaden z ludzi Rogana nie zdradził. Obserwowali nasze ćwiczenia na wypadek huraganu za pomocą jakiegoś supernowoczesnego sprzętu i wywnioskowali, gdzie będą dzieci. Stwory Vincenta przez dwa dni drążyły tunel pod piwnicą.

Rynda wysłuchała tego wszystkiego, po czym wymówiła się grzecznie i wyszła.

Kiedy wydarłam już wszystkie informacje z Vincenta, puściłam go. Facet skulił się na ziemi i zaczął szlochać. Wcałe mu nie współczułam. Za to ja byłam po wszystkim wykończona. Pamiętam, jak zachciało mi się kawy. Wyszłam z sali, wdrapałam się na piętro sztabu Rogana i potem ogarnęła mnie ciemność.

I obudziłam się na wygodnej kanapie.

– ...a teraz nie mam nikogo – dobiegł mnie głos Ryndy. – Jestem całkiem sama. Wiesz, jak to jest?

– Wiem – odpowiedział Rogan.

Zdawałam sobie sprawę, że powinnam usiąść, pokazać, że się obudziłam, ale tylko obróciłam się na bok. Stali przy kuchennej wyspie, oświetlonej od góry ciepłym światłem lampy. Przed Roganem stał kubek. Rogan wydawał się zmęczony i nieco wymięty. Smok w stanie spoczynku. Lubiałam go w tym wydaniu.

Rynda stała bardzo blisko niego, prawie go dotykała. Oczywiście poczułam ukłucie zazdrości. Pasowali do siebie.

– Nie wiem, czy uda mi się to przetrwać – powiedziała cicho.

– Jesteś silniejsza, niż wydawało się twojej matce. Przetrwasz to, Ryndo. Pomogę ci. Nigdzie się nie wybieram.

– Dziękuję. I dziękuję za uratowanie Kyle’a. I za całą resztę.

Przysunęła się bliżej, zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

To wszystko zaszło za daleko. Rozumiałam rozpacz Ryndy i współczułam jej, ale jednocześnie miałam ochotę podbiec tam i wyrznąć ją w zęby.

Rogan nie drgnął. Nie objął jej, ale też nie odepchnął. Stał nieruchomo.

Rynda szybko puściła go i odstąpiła.

– Przepraszam, nie powinnam – rzekła łamiącym się głosem.

– To prawda.

– Ale dlaczego, Connor?

Głupio nienawidzić kobiety tylko dlatego, że zwróciła się do Rogana po imieniu...

Przyglądała mu się badawczo, jakby szukała odpowiedzi na jego twarzy.

– Przecież tak długo się znamy. Byliśmy razem. Tyle mamy ze sobą wspólnego. Pochodzenie, przyjaciół z dzieciństwa. Jestem atrakcyjną kobietą. Nie musielibyśmy się siebie uczyć.

Wielkie dzięki, Ryndo.

– Byłabym dobrą żoną.

– Kocham kogoś innego.

– Ale dlaczego, Rogan? Co takiego w niej jest? Oboje jesteście gwałtowni? Nie uciekacie od przemocy?

– Trwałem jak we śnie, a ona mnie przebudziła.

– Nie rozumiem.

– To nic. Nie musisz. Zależy mi na tobie, Ryndo, i na twoich dzieciach. Ale ty i ja nigdy nie będziemy razem. To byłby fatalny związek.

Rynda cofnęła się i chwyciła blatu wyspy, jakby bała się, że upadnie.

– Masz rację – przyznała. – Jesteś jak pożoga, Connor. Szalejesz, palisz wszystko na swojej drodze i spaliłbyś mnie na popiół.

Milczał.

– Moje życie jest takie żałosne. Nie lituj się nade mną. Bo tego nie zniosę.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy. Sama sprawdź.

– A ja przecież pragnęłam tylko, żeby ktoś mnie kochał. – Potrząsnęła głową, zrozpaczona.

– I ktoś cię kocha. Z dala, w tajemnicy. Po prostu tego nie zauważyłaś.

– Nie rozumiem? – Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Czas, żebyś przestała się ukrywać. Jesteś Magnusem. Olivia nie żyje. Już cię nie ocenia. Wykorzystaj swój talent.

– Może tak zrobię – powiedziała, unosząc głowę.

Przez chwilę się nie odzywali.

– Zamierzasz ją poślubić?

– Zamierzam się oświadczyć.

– Kiedy?

– Jak otrzymają status Rodu.

– A jeśli cię nie przyjmie?

– No to nie przyjmie – stwierdził opanowanym tonem.

– To do ciebie niepodobne. Zawsze dostajesz to, czego chcesz, sięgasz po to, pokonujesz przeszkody, odsuwasz ludzi, którzy stoją ci na drodze.

– To nieprawda. Czasami ich omijam.

– Och, wiesz, o czym mówię. – Rynda oparła się o blat. – Powiedziałeś jej, co zamierzasz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ na testach będą ją pytali o sojusze i związki z istniejącymi Rodami.

– A ty nie chcesz, żeby była w twoim cieniu?

– Właśnie.

– To bardzo szlachetne, ale musi mieć czas, żeby zapoznać się z kontraktem. Nie ma doświadczenia, nie zna się na tym, a kiedy uznają ich za Ród, zasypią ją ofertami. Może być tym przytłoczona.

– Nie będzie kontraktu.

– Jak to? – Rynda zmarszczyła brwi. – Zamierzasz ożenić się bez intercyzy?

– Owszem.

– Odbiło ci? Przecież znasz ją niecałe trzy miesiące!

– Cztery.

– Twój majątek jest wart miliony. To rodzinna fortuna. A co, jeśli postanowi się z tobą rozwieść po miesiącu? Dasz jej połowę swoich pieniędzy?

Nie odpowiedział.

– Sprawdziłeś już dopasowanie genetyczne?

Milczenie.

– Connor, to czyste szaleństwo. Zachowujesz się, jakbyś był zwyczajnym człowiekiem. A nie jesteś. Musisz chronić interesy swojego Rodu.

– Ty robiłaś wszystko zgodnie z zasadami i co ci z tego przyszło?

Drgnęła gwałtownie.

– To cios poniżej pasa.

– Albo mnie przyjmie, Ryndo, albo nie. Nie zamierzam jej do niczego zmuszać. Nie ograniczę jej wolności umową, która przewiduje kary, jeśli zechce mnie zostawić. Nie obchodzi mnie, czy nasze dzieci wpiszą się w tabele doskonałych zarodków. I tyle.

Poczułam delikatny szept magii Ryndy.

– Och, Connor – powiedziała miękko. – Życzę ci, żebyś się nie mylił. Mam nadzieję, że cię nie skrzywdzi, ani ty jej.

Delikatnie pogładziła go po policzku i odeszła.

Rogan stał jeszcze przez chwilę przy wyspie, popijając coś, co prawdopodobnie było kawą, teraz już zimną. Potem opłukał kubek, odstawił go na suszarkę i podszedł do kanapy. Kucnął przy mnie.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziałam.

– Nie śpisz.

– Mówiłam ci kiedyś, że jesteś mistrzem spostrzegawczości?

– Jeszcze nie. – Uśmiechnął się.

– No to ci mówię. Powinieneś zostać detektywem.

– Co słyszałaś?

– Wszystko, co najważniejsze.

Skinął głową z nieprzeniknioną miną.

– No więc wszystkie karty leżą na stole.

– Niezupełnie.

– Jak to?

– Prawdziwy Rogan o nic mnie nie zapytał. – Usiadłam.

Zmarszczył brwi.

– Chcę, żeby zapytał mnie smok – doprecyzowałam.

– Uważaj, czego sobie życzysz – ostrzegł.

– Wiem, czego pragnie Rogan, głowa Rodu. Słyszałam o tych wszystkich jego szlachetnych obawach o przyszłość Rodu Baylorów. Widziałam, jak się hamuje. Ale chcę wiedzieć, czego ty pragniesz, Connor. Pragniesz mnie? Zapytaj mnie.

Nagle coś się w nim zmieniło, ale zanim zrozumiałam, skąd ten błysk w oku, porwał mnie z kanapy i zaniósł na górę, jakbym nic nie ważyła. No i się wyjaśniło.

Drzwi otworzyły się przed nim gwałtownie, a potem trzasnęły za nami. Rzucił mnie na łóżko, oszalały, z płonącymi požądaniem oczyma. Zadrżałam.

Omiotła mnie fala magii, rozrywając na mnie ubrania. Odrzucił strzępy, które przed chwilą były dzinsami i koszulką, za nimi pofrunęły fragmenty bielizny. Przeszył mnie dreszcz naglej ekscytacji, podniecenia, wyczekiwania, lekkiego niepokoju. W dole brzucha poczułam narastające napięcie. Moje ciało wiedziało, co je czeka, i każda komórka pragnęło spełnienia.

Rzucił ubrania, pod złotą skórą falowały węzły twardych mięśni. Był gotowy, a jego oczy płonęły żarem, który spalał i mnie. Przycisnął mnie do materaca, przytrzymując ręką za włosy, taki gwałtowny, niepowstrzymany, zapierający dech w piersiach.

Zaczął mnie całować, namiętnie, bez pohamowania, bez krzty delikatności czy czułości. Jego język wdzierał się w moje usta, całował mnie, jakby chciał wszystkiego, a ja o niczym innym nie marzyłam, tylko żeby wziął sobie to wszystko, byłam gotowa go o to błagać.

Kiedy odsunął głowę i spojrział na mnie, w pociemniałych oczach szalał dziki ogień, który podsycił moje podniecenie, zmieniając w palącą, nagłą potrzebę, by poczuć go w sobie.

– Spójrz na mnie – powiedział chrapliwie.

Popatrzyłam w te półprzymiotne oczy.

– Chciałaś zobaczyć, jaki jestem. Taki.

Niewiele zostało w nim człowieczeństwa, jakby zmienił się we wcielenie męskiej siły, napędzanej żądzą i mroczną magią. Moc kotłowała się wokół niego, mięśnie napinały się, jakby chciał mnie zmiążdżyć w uścisku. Nigdy by tego nie zrobił, ale świadomość, że jest na tyle silny, oglądanie tej potęgi z tak bliska, zakłętej w jednym momencie, skupionej tylko na jednym, kochaniu się ze mną, było esencją erotyzmu.

Próbowałam unieść biodra, żeby do niego przylgnąć, ale trzymał mnie tak mocno, że nie mogłam się ruszyć.

– Boisz się? – zapytał smok.

– Nie.

– A powinnaś.

Uśmiechnęłam się i wypuściłam swoją magię.

Zalśniły mu oczy.

Przesunął kciukiem po moich wargach, a pierwsza odurzająca kropla magii skapnęła pomiędzy moje piersi, gorąca, ciepła, miękka. Moje zmysły wibrowały wyczekująco, jak uzależnione, wyczuwszy ulubiony narkotyk.

Wsunął mi dłonie pod pośladki i przyciągnął do siebie, aż poczułam, jak na mnie napiera, nabrzmiały i gorący.

Magia rozdzieliła się na dwa strumienie, a te opłynęły moje piersi i wspięły się na wierzchołki nagle stwardniałych sutków, które zaraz potem zalał płynny żar. Kiedy Connor wpił się w moje usta, gwałtownie wciągnęłam powietrze. Całował mnie nieprzerwanie, a magia pieściła moje piersi, rozsyłając po ciele iskry przyjemności, a potem strumień spłynął w dół po brzuchu, zbierając się między nogami. Magia drażniła najbardziej wrażliwe miejsca, już nie miękka i ciepła, ale bardziej natarczywa. Wypreżyłam się mimowolnie, otwierając się na niego, próbując wchłonąć go w siebie, poczuć w sobie, ale nie udało mi się przysunąć do niego ani odrobiny.

Przerwał pocałunek, pozwalając mi nabrać tchu, i spojrział na mnie z tym spopielającym pożądaniem.

– Czemu miałabym się bać? – wydyszałam.

Jego magia wsuwała się we mnie i wysuwała, wywołując nieznosny ekstatyczny ból, a kiedy otoczył ustami mój sutek, omal nie umarłam z rozkoszy.

– Jeśli ktoś będzie ci groził, zabiję go, a jeśli mnie nie powstrzymasz, będę go wcześniej torturował.

– Trudno – wydusiłam. Zdawałam sobie sprawę, że tego w nim nie zmienię, i pogodziłam się z tym.

Magia zrobiła się gorętsza, a on poświęcił uwagę drugiemu sutkowi. Byłam bliska grożenia mu i błagania, żeby pozwolił mi się poczuć.

– Wystarczy, że spojrzysz na innego, a ja mam ochotę go zabić. Jeślibyś mnie zdradziła, prawdopodobnie się nie powstrzymam. To była twoja ostatnia randka z innym, Nevada, już nigdy, pod żadnym pozorem nie będziesz następnej.

– Nie ma sprawy. A ty już nigdy nie będziesz się całował z inną.

Wsunął dłoń między moje nogi i zanurzył we mnie palce. Kręciło mi się w głowie, ciało zrobiło się cięższe, toczył mnie ogień. Potrzebowałam spełnienia, potrzebowałam

jego, całego.

Chrapliwy jęk wyrwał mu się z gardła.

– Będziesz ze mną żyła, mieszkała, spała w jednym łóżku. Każdej nocy.

– Puść.

Uwolnił mnie, wreszcie mogłam go objąć, pieścić. Pocałował mnie, poruszając się pod moją dłonią.

– Żadna kobieta poza mną nie ma odtąd prawa mówić do ciebie Connor... Jesteś moim Connorem i nie zamierzam się tobą z nikim dzielić.

Uśmiechnął się, szczerząc białe zęby.

– Nie ma sprawy. Kocham cię. Tylko ciebie pragnę. Na całe życie. Wyjdź za mnie, Nevada.

Pocałowałam go w usta, za uchem, a potem wyszeptalam:

– Tak.

Wypełnił mnie sobą całą, głęboko i mocno. Napięcie budowane przez magię w końcu wypiętrzyło się, zalewając mnie, topiąc. Orgazm pogrążył mnie w błogim zapomnieniu, odrywając od rzeczywistości. Unosiłam się na fali, a ten pierwszy moment ekstazy rozciągał się w nieskończoność, przez cały ten czas obejmowałam Rogana, patrzyłam mu w oczy, obserwując, jak echo mojej rozkoszy przetacza się przez niego. Przyjemność kołysała mną fala za falą, a kiedy sztorm uciął, zaczął się we mnie poruszać mocno, szybko, gwałtownym rytmem. Zsynchronizowałam z nim ruchy. Ten taniec nie był łagodny, miękki, był burzliwy i zaciekły, taki jak my. Spletliśmy się, kiedy porwał nas nowy nurt rozkoszy, i trwaliśmy tak, ja kołysana wstrząsami, otulona magią, on targany drgawkami spełnienia. I wreszcie poczułam się cała.

...

Leżeliśmy w łóżku wtuleni w siebie. Powinniśmy odpłynąć w drzemkę, ale żadne z nas nie zasnęło. Opierając głowę na jego piersi, wpatrywałam się w gwiazdy. Poglaskałam mnie po ramieniu. Robił tak odruchowo, kiedy intensywnie o czymś myślał.

– Dlaczego wpuściłeś Shaffera? – zapytałam.

– Bo jest samolubnym sukinsynem.

Uśmiechnął się na widok mojej miny.

– Wiem, że usiłujesz wmówić we mnie altruizm i szlachetne postępowanie, ale prawda jest taka, że chcę być z tobą za wszelką cenę. Jeśli chodzi o twoje bezpieczeństwo, nie cofnę się przed niczym, zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa i moja. – Znów się uśmiechnął szeroko. – No cóż, już za późno na zmianę zdania, moja słodka. Powiedziałaś „tak”.

– Skąd wiedziałaś, że kiedy Shaffer zobaczy, co robię, to ucieknie? – zapytałam i pocałowałam go.

– Przez to, co powiedział podczas waszej kolacji. Bardzo ostrożnie obchodził temat, które z was jest silniejsze. To, i jeszcze kilka drobniaczków kazało mi myśleć, że pod tą fircykową fryzurką i drogim garniturem kryje się niepewność i niezbyt silne poczucie własnej wartości. Na przykład to, jak mówił o Augustynie. Rozpaczliwie stara się, żeby wszyscy widzieli w nim silną głowę Rodu, rządzącego pewną ręką swoim małym imperium i rodziną. Wystawił mi się, a ja to tylko wykorzystałam. Postawiłam na to, że gdy zobaczy na własne oczy twoją moc, nie zdierży tego i ucieknie. I zgarnąłem pułę.

– Przecież nigdy się nim na poważnie nie interesowałam.
– Cóż, teraz to już zamknięta opcja – stwierdził dufnie.
– Jesteś okropny.
– Trudno, już się zgodziłaś – przypomniał znowu.
– Pamiętam.
– Kiedy spałaś, dzwonił archiwista. Twoje testy wyznaczono na jutro późnym popołudniem.

– A ciebie nie przeraża, że jestem wnuczką Victorii Tremaine?
– Nie.
– Ale masz świadomość, że nigdy nie będziesz w stanie mnie okłamać?
– Uhm. – Przytulił mnie mocno.
– A co, kiedy już będę stara, pomarszczona i zapytam, czy nadal cię podniecam?
– Zawsze będziesz mnie podniecała. Poza tym ja też będę wtedy stary i pomarszczony.

– Ale nadal nie rozumiem, o co to całe zamieszanie z planami małżeńskimi i zaręczynami?

– Ponieważ kiedy o tym powiesz głośno, nasze Rody będą ze sobą związane. Wraz ze mną dostaniecie moich przyjaciół i wrogów. A zaręczyny ogłoszone podczas testów są w zasadzie nierozzerwalne. Nie da się tego cofnąć, Nevado. Nawet jeśli później nie zechcesz mnie poślubić, nikt nigdy nie pomyśli o Rodzie Baylorów w oderwaniu od Rodu Roganów. A ja chcę, żebyś podeszła do testu z możliwie jak najmniejszymi zobowiązaniami. Nie musisz się do tego na razie przyznawać i radzę, żebyś o tym nie mówiła.

Nadal próbował zostawić mi otwartą furtkę, gdybym chciała się wycofać.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Odwrócił się, żeby wygrzebać spod stosu ubrań dzwoniącą komórkę. Usiadłam.

– Tak...? Zaraz będę.

– Co się dzieje?

– Na dole czeka Adeyemi Ade-Afefe. Twierdzi, że coś nam grozi.

...

Adeyemi Ade-Afefe okazała się niską czarnoskórą kobietą mniej więcej w moim wieku. Sprawdziłam ich Ród zaraz potem, kiedy Rogan mi o nich powiedział. Byli Jorubami, przyjechali z Nigerii, a ich nazwisko rodowe w tamtejszym języku oznaczało „Ukoronowani Wiatrem”. Adeyemi miała na sobie džinsy, a na głowie tradycyjne nakrycie, gele, zwój połyskliwej, jedwabnej szaroniebieskiej tkaniny zamotany w skomplikowany turban. Spoglądała na świat wielkimi brązowymi oczyma poprzez okulary w cienkich oprawkach. Czułam, że kiedy się uśmiecha, promienieje całą twarzą. Ale teraz się nie uśmiechała.

– Musicie uciekać – oznajmiła bez wstępow. – Trzeba ewakuować całe miasto.

Na parterze poza nami byli też Pluskwa, Rivera i Serducho.

– Co się dzieje? – zapytał Rogan.

– Sturm ściąga wiatry w jedno miejsce. Musicie uciekać.

– Adepero powiedział, że nie chcecie się w to mieszać – zdziwił się Rogan.

– Nie, ojciec powiedział, że to przemyśli. Przemyślał. Nie będziemy pomagać ci w prywatnej wojnie, ale tu chodzi o coś więcej.

– Z jak dużym zagrożeniem mamy do czynienia?

– To będzie najgorsze tornado, jakie widziałam. – Adeyemi podsunęła palcem okulary. – Zmiecie tę część miasta z powierzchni. A może nawet całe miasto. Nie wiem, czy zostanie tu kamień na kamieniu.

– Ale co to ma być? F4? – dopytywał Rivera. – F5?

– Prędkość wiatru podczas F4 przekracza czterysta kilometrów na godzinę, w tym przypadku będzie to ponad pięćset. Ten wir będzie zrywał domy z posad, miotał samochodami jak piłkami baseballowymi, wrywał drzewa. Będzie wyginał metal, zrywał linie wysokiego napięcia, rył w ziemi. Trzeba jaśniej?

Wyszłam na zewnątrz, na ulicę. Niebo zasnuwały ciemne chmury, a porywy wiatru mierzwiły mi włosy. Schowałam się z powrotem.

– Możesz go powstrzymać? – zapytał Rogan.

Adeyemi przygarbiła się.

– Na przygotowanie zakłęb pogodowych trzeba czasu. Atmosfera otula całą Ziemię jak koc. Tworzy zwartą masę. Wszystko jest w niej połączone. Jeśli w jednym miejscu sprowadzi się deszcz, w innym go zabraknie, a czasem w normalnie wilgotnym rejonie powstanie pustynia. To, co dzieje się na zewnątrz, to efekt tygodni pracy. Sturm manipuluje wzorcami pogody przynajmniej od miesiąca, a zakłęcia, którymi się posługuje, są tak złożone, że trzeba dni, żeby właściwie wyrysować kręgi. Mogę go spowolnić, ale nie powstrzymać. Teraz już nikt nie może go powstrzymać.

– A więc wiedziałaś, że coś knuje. Dlaczego nic nie powiedziałaś? – oburzyłam się.

– Bo czym innym jest stworzyć odpowiednie warunki do powstania burzy, a czym innym ją zainicjować. – Adeyemi zacisnęła pięści. – Nie sądziłam, że się do tego posunie. Nikt z nas w to nie wierzył. To... to straszne, ilu ludzi może zginąć podczas tej katastrofy. Będą musieli ogłosić stan klęski żywiołowej.

– Ale czemu robi to akurat teraz? – zastanawiał się Rivera.

To akurat było proste.

– Wie, że mamy plik – wyjaśniłam. – Wie, że prędzej czy później złamiemy szyfrowanie, a Brian stracił wartość jako karta przetargowa. Sturm chce nas pogrzebać. Przy takich zniszczeniach i tylu zabitych i rannych nikt nie będzie sobie zawracał głowy spiskiem. Czy możemy dowieść, że to on wywołuje tornado?

– Nie – zaprzeczyła Adeyemi. – Chyba że go na tym przyłapiemy osobiście. Zakłęcia pogodowe są tak samo niewykrywalne, jak reszta magii. Można się domyślić, kto jest sprawcą, ale domysły nie wystarczą, żeby oskarżyć go przed Zgromadzeniem. Musicie szybko zacząć działać. Mamy coraz mniej czasu.

Podwładni Rogana patrzyli na swego majora z wypisanym na twarzach pytaniem: „Co robimy?”.

– Ile go nam zostało? – zapytał Adeyemi.

– Około godziny. Może zdołam dać wam jeszcze pół.

– Naszą jedyną szansą jest uderzenie uprzedzające – powiedział Rogan z zaciętą miną.

Rivera rozpromienił się jak słońeczko.

– Jakie jest stanowisko Rodu Baylorów w tej sprawie? – zapytał mnie oficjalnie Rogan.

Mam iść i zapytać rodzinę?

Wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco i nagle dotarło do mnie, że to ja jestem głową Rodu i to do mnie należy podejmowanie decyzji.

– Ród Baylorów udzieli wszelkiego wsparcia Rodowi Roganów podczas działań na polu bitewnym i poza nim.

– Dziękuję ci. – Rogan uśmiechnął się szeroko, a potem zwrócił się do swoich ludzi: – Serducho, potrzebuję planów posiadłości Sturmów. – Sierżant wybiegł z budynku. – Rivera, pełna mobilizacja, za dziesięć minut wszyscy mają być w pełnym rynsztunku bojowym w hali, a dowódcy w sali odpraw. – Rivera błyskawicznie zniknął za drzwiami. – Pluskwa, zabierz panią Ade-Afele tam, gdzie będzie jej wygodnie pracować, a potem powiadom o ewakuacji Diane, Corneliusa i Ryndę Charles.

Wybiegając, zauważyłam, że Rogan sięga po komórkę, a jego słowa dobiegły do mnie już na ulicy:

– Lenoro, mamy problem...

Wpadłam do magazynu. Było po jedenastej i w kuchni paliło się światło. Wcisnęłam guzik interkomu.

– Zejdźcie wszyscy do kuchni, natychmiast.

Dwadzieścia sekund później stali przede mną w komplecie.

– Sturm wywołuje burzę, która za jakąś godzinę uderzy w Houston. Zniszczy wszystko. Nie wiem, czy magazyn przetrwa. Naszą jedyną szansą jest go ubiec i zaatakować. Rogan zapytał, co w tej sytuacji zrobimy. Powiedziałam, że będziemy walczyć razem z nim.

Milczeli.

– Jeśli któreś z was woli się ewakuować, musi zrobić to teraz – dodałam.

Nadal nikt się nie odezwał. Popatrzyłam na Catalinę. Szczerzyła do mnie zęby. Takiej miny spodziewałbym się raczej po Arabelli.

– Ja idę z wami – powiedziała stanowczo.

– Mamy tylko trzy zasady i ta ostatnia jest najważniejsza – przypomniał Leon. – Po wszystkim musimy móc spojrzeć sobie w oczy w lustrze.

Popatrzyłam po nich po kolei. Odpowiadali, spoglądając na mnie z ponurą determinacją. Baylorowie woleli ostrożną strategię, ale kiedy przychodziło co do czego, nigdy się nie cofali.

– Bern, masz kopie wszystkiego?

– Pliki agencji są przechowywane na serwerze w San Francisco, podobnie jak reszta, pliki prywatne, zdjęcia, kopie dokumentów, skany.

– Dobrze. Musimy założyć, że dom może się zawalić, więc niech każdy bierze to, co jest dla niego najważniejsze. Za pięć minut spotykamy się tutaj i lecimy na odprawę Rogana.

Na twarzy Cataliny odbił się szok. Nagle dotarła do niej groza sytuacji.

– Ale jak to? Przecież mamy tu wszystkie nasze rzeczy. Całe nasze życie – wyjąkała, a mnie omal serce nie pękło.

– To tylko przedmioty, kochanie – uśmiechnęła się do niej mama. – Zawsze można kupić nowe. Idź. Nie mamy wiele czasu.

Rozbiegli się, a ja pognałam do swojego pokoju. Rzeczywiście było w nim całe moje życie. Ostatnie echa dzieciństwa. To wszystko miało zniknąć, jeśli nie uda się nam powstrzymać Sturma. Rozejrzałam się. Moje skarby – zdjęcia, książki, pluszowy pies Trinity, którego miałam od dziecka, a który teraz mieszkiał na półce... Co zrobić? Co zabrać?

Było tego zbyt dużo. Złapałam zdjęcie ze stolika nocnego. Dziesięcioletnia ja, mama, tata, babcia Frida, siostry, kuzyni, wszyscy wtłoczeni w jedną klatkę. Wyjęłam fotografię z ramki, zwinęłam i włożyłam do kieszeni. Ruszyłam do drzwi.

Hola.

Wróciłam się, uklękłam przy łóżku i wyciągnęłam spod niego skrzynkę na broń. Egejska Łza zaślniła zielonkawym blaskiem. Zapięłam łańcuszek na szyi – to było najbezpieczniejsze miejsce – włożyłam klejnot za koszulkę i zbiegłam na parter.



14

Pluskwa pracował na wszystkich dziewięciu ekranach. Siedział w swoim fotelu niczym czarodziej warzący eliksiry w alchemicznym laboratorium.

Trzy monitory po prawej ukazywały widok z góry na coś, co przypominało betonowy kapelusz grzyba otoczony dwoma pierścieniami ogrodzenia: wewnętrznego – kamiennego muru, i zewnętrznego – siatki, prawdopodobnie pod napięciem. W ciągu siatki postawiono cztery wartownie.

Obraz przesuwiał się i drgał, ponieważ ptaki z kamerami zmagaly się z porywistym wiatrem. Ród Harrisonów wysłał swoich zwiadowców. Nawet gdyby drony Pluskwy poradziły sobie ze wznmagającym się wiatrem, ludzie Sturma szybko by je wykryli i zestrzelili.

Obiekt był oświetlony niczym choinka na święta. Latarnie zalewały białym, jaskrawym blaskiem przestrzeń wokół kopuły, a potężne reflektory rzucały światło pięćdziesiąt metrów za siatkę. Dalej rozciągała się nieprzenikniona ciemność, ale budynek wyglądał jak skąpany w dziennym świetle. Sturm z pewnością spodziewał się ataku.

Za prąd musiał płacić fortunę.

Dwa górne ekrany w środkowej kolumnie ukazywały schematy fortecy, a trzeci poniżej istotne informacje – ogrodzenie zewnętrzne: pod napięciem, osiem posterunków. Mur wewnętrzny: koszary na jakieś sto osób, zbrojony beton, karabiny maszynowe. Kopuła znajdowała się pośrodku, wylana z betonu, dwadzieścia osiem stalowych wsporników osadzonych w gruncie, kilometry drutu zbrojeniowego,

odporna na trzęsienia ziemi, tornada, huragany. Dom maga burzy, który wiedział doskonale, jakim arsenałem dysponują natura i magia.

Istna twierdza. Do Sturm należały sąsiadujące z kopułą tereny oraz budynki, ale interesowała nas jedynie baza, bo właśnie tam miała się toczyć bitwa.

Dwa ekrany na dole po lewej wyświetlały dane pogodowe i transmisję w czasie rzeczywistym odczytów z radaru dopplerowskiego. Na ekranie w lewym górnym rogu królowała Lenora Jordan. Przed czterdziestką, brązowoskóra, o ciemnych włosach, które zazwyczaj spinała w ciasny kok, a dzisiaj okalały jej twarz mocno skręconymi loczkami. Wyglądała jak paladyn ruszający w bój. Gdyby jej oczy miały błyskawice, sztab stałby w płomieniach. W tle urzędnicy biegali nerwowo albo pokrzykiwali do telefonów.

Nasza kwatery główna też była rojna. Cornelius i Diana siedzieli na kanapie, Rivera, Serducho i jeszcze troje dowódców studiowali wraz z Roganem plany. Moi bliscy znaleźli sobie miejsce pod ścianą, a Rynda i Edward, nadal błądzi, siedzieli na krzesłach. Wszyscy wysłuchaliśmy dziesięciominutowej odprawy, z której w skrócie wynikało, że Sturm ma u siebie małą armię.

W pomieszczeniu niesło się ciche echo bębnow i płynął silny strumień magii. Za ekranami, na tarasie, na którym Rogan niedawno wykonywał swój Klucz, Adeyemi tańczyła w szaleńczym rytmie w kręgu, którego linie iskrzyły niewielkimi wyładowaniami.

– Kiedy najszybciej możesz tam dotrzeć? – mruknęła Lenora.

– Za dwadzieścia minut – odpowiedział Rogan. – Może wcześniej, jeśli przestaniesz odrywać mnie co parę sekund pytaniami.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Majorze! – zawołał Pluskwa. – Połączenie przychodzące od Aleksandra Sturm.

– Cisz! – Polecenie Rogana zabrzmiało jak trzaśnięcie z bicz.

Wszyscy zamarli. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Rogan spojrzął na wielkie drzwi, za którymi tańczyła Adeyemi, a skrzydła zamknęły się, odcinając dźwięk bębna.

Stacja komputerowa Pluskwy okręciła się na podeście, dając kamerom widok na kuchnię. Rogan stanął za kontuarem, a z szafki wystrzelił kubek, wskakując mu do rąk. Rogan oparł się nonszalancko o blat i skinął głową na Pluskwę. Rozmówcy miało się wydawać, że Rogan siedzi sam w kuchni i raczy się kawką.

– Witaj, Rogan, czyżbym cię obudził? – powiedział Sturm.

– Uhm – mruknął Rogan swobodnie. – Właśnie miałem cudowny sen. Zaciskałem ręce na twojej szyi, a ty błagałeś, żebym przestał. Czuję się zażenowany twoim skamlaniem.

– Nie wiedziałem, że tyle o mnie myślisz – odrzekł Sturm po chwili.

– Prawie wcale. Czego chcesz, Sturm?

– Tego, czego wcześniej. Plików Olivii.

Rogan udał, że się namyśla.

– Nie.

– Aleś ty upierdliwy. Co za nie chcesz?

– Nie masz nic, czego mógłbym chcieć.

– Mam za to wiele, czego wolałbyś nie dostać. Jak dotąd, ilekroć nasze Rody się ścierały, wy przegrywaliście.

Rogan uśmiechnął się tak, że zjeżyły mi się włoski na karku.

– Ze mną jeszcze nie próbowałeś.

– Zamierzam nadrobić to niedopatrzenie. Skończy się jak zwykle, duże straty w ludziach, zniszczenia, a ostatecznie ja wygram. Mam nad tobą przewagę, Rogan, ja tylko kieruję niszczącym żywiołem, ty musisz sam dokonać destrukcji. Może odpuścimy to wszystko i od razu przejdźmy do rozmowy o opcjach, jakie mamy?

– Ty nie masz żadnych.

– Niech zgadnę, zamierzasz bawić się w harcerzyka? Złamiesz szyfr, a potem co? Oddasz dane Jordan?

– Niewykluczone.

– Daj spokój – zaśmiał się Sturm. – Nawet jeśli ja się wycofam, to przecież chyba zdajesz sobie sprawę, że zaangażowani są w to ludzie naprawdę wielkiego kalibru. Nic z tego nie wyniknie, Rogan. Zamiotą to pod dywan, a jeśli Jordan będzie chciała się w tym grzebać, zamiotą i ją. Od dawna zastanawiają się, jak krótko przytrzczyć jej ten wścibski nos.

Zakryłam usta ręką, żeby nic mi się nie wyrwało.

– Sam widzisz, nie masz się o co martwić.

– Poza reputacją. I właśnie ze względu na nią nie wycofam się. Podczas gdy twoi mądrale będą łamali głowy nad złamaniem kodu, ja będę niszczył miasto.

– A w jakim celu?

– Kiedy skończę, nie będzie już Houston, a sam wiesz, co dzieje się podczas klęsk żywiołowych tych rozmiarów. Anarchia i bezhołowie. Nikt za nic nie ponosi odpowiedzialności, nie ma instytucji, przed którymi trzeba odpowiadać. Do czasu, kiedy się tu ogarną i zaczną zastanawiać, jak to się stało, nikt nie wskaże na mnie. Nie da się wysledzić maga, który rzuca zaklęcia pogodowe. Co więcej, mogą pojawić się dowody, że to ty stoisz za zrównaniem miasta z ziemią. Przecież to ty, nie ja, masz tę uroczą ksywkę Huragan.

– Patrz, nie wiedziałem, że mam również moce władania pogodą.

– Mogłeś wynająć maga pogody, żeby z pomocą sił natury zatrzeć ślady swojego działania. Kiedy coś takiego się dzieje, ludzie szukają prawdopodobnych wyjaśnień, nie prawdy. Były bohater wojenny, który nigdy nie doszedł do siebie po tym, co przeżył na froncie, załamuje się w końcu. To świetna, medialna historia. Och, sam nawet uronię łezkę nad twoim nieszczęściem.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że to wszystko nagrywam, prawda?

– No ja myślę. Dzięki temu będziesz mógł sobie odtwarzać naszą rozmowę, aż w końcu zrozumiesz, że mam to gdzieś. Nie przejmuję się tym. Nie boję się ciebie. Sam zadaj sobie pytanie dlaczego. A kiedy już znajdziesz odpowiedź, zadzwoń do mnie. Chciałbym ci życzyć dobrej nocy, ale wiem, że nie będziesz dzisiaj spał.

– Rozłączył się, majorze – zameldował Pluskwa.

Stacja robocza okręciła się, ukazując nam czarny ekran w prawym górnym rogu.

Rogan odrzucił kubek, który popłynął do zlewu, i skinął do Lenory.

– Słyszałaś wszystko, prawda?

– Tak, słyszałam.

– Gra na zwłokę – stwierdził Rogan.

– Rób, co musisz, żeby powstrzymać tornado, które ma uderzyć w Houston. Nie jestem w stanie ewakuować miasta w ciągu godziny. Zobaczymy się na miejscu. I, Rogan? Sturm jest mój. Ja jestem przedstawicielką prawa. A nikt nie stoi ponad prawem.

Drugi ekran zgasł.

- No dobra. Musimy dostać się do bazy - powiedział Rogan. - Zewnętrzne ogrodzenie, ośmiu strażników. Musimy przejść przez siatkę, robiąc możliwie jak najmniej hałasu. To oznacza zdjęcie wszystkich wartowników jednocześnie.

- To nie problem - odezwała się Diana, a kiedy wszyscy na nią spojrzeli zaskoczeni, dodała: - Porwał moją bratanicę. A teraz chce zniszczyć miasto.

- Dziękuję - powiedział Rogan.

Diana wstała, a za nią Cornelius.

- Ród Harrisonów spotka się z wami na miejscu. Potrzebujemy czasu, żeby zrobić wykop.

Wyszli z Corneliusem.

- Zakładając, że przejdziemy zewnętrzne zabezpieczenia, następnym krokiem jest pokonanie muru wewnętrznego - ciągnął Rogan. - Za którym znajdują się koszary i większość personelu.

- Zajmę się tym - oznajmiła Catalina. Była blada, ale trzymała wysoko podbródek. - Jeśli dostarczycie mnie za mur, wyprowadzę ich. O ile zagwarantujecie, że zostaną wzięci do niewoli, i o ile zabierzecie mnie od nich, zanim się na mnie rzucą.

Rogan spojrzął na mnie. Skinęłam potwierdzająco głową. Skoro siostra chciała to zrobić, moim zadaniem było zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Zajmiemy się tym - obiecał Rogan. - Melosa?

Egida wystąpiła naprzód.

- Twoja drużyna wprowadzi Catalinę za mur, a potem ją stamtąd wydostanie. Po wyjściu ma być natychmiast ewakuowana drogą powietrzną bądź lądową. Sprzęt taki, jak w przypadku psionika lub dominatora. Zagłuszenie, brak kontaktu wzrokowego.

- Zrozumiano.

- Ja zajmę się kopułą. Serducho, kiedy będziemy w środku, przejmiesz dowodzenie i wyprowadzisz cały personel...

- Majorze - przerwał mu Pluskwa, wskazując ekran.

Zrobił zbliżenie kamerą na szeroki pas ziemi pomiędzy murem a kopułą. Znajdowały się tam trzy duże obiekty. Rogan zmrużył oczy, wyętzając wzrok.

- Przybliź.

Obiekty urosły. Trzy posągi zastygłe w pół ruchu, zbudowane z metalu, przekładni i dziwnych plastikowych części. Jeden przypominał konia o krokodylich szczękach najeżonych metalowymi zębami, drugi jakby nosorożca, a trzeci tygrysa, wielką bestię z pazurami i szablasytymi kłami.

- Jakiej wielkości są te stwory? - zapytał jeden z dowódców.

- Najwyższy ma około siedmiu i pół metra - odpowiedział Pluskwa.

- Jakież dziwne te skrzaty ogrodowe - stwierdził Leon.

- To nie są ozdoby - powiedziała mama twardo.

- To konstrukty wojskowe - rzekł Rogan ponuro. - Stworzone i aktywowane pierwotnie przez Magnusa zoefactora.

- To coś takiego, jak kiedyś? - zapytałam.

Rogan walczył raz ze stworem złożonym z rur, śrub i innych metalowych części, które dało się znaleźć na budowie. Za każdym razem kiedy Rogan go rozwał, konstrukt formował się na nowo. Omal nie zabił Rogana, który po walce z nim wyglądał, jakby zderzył się z samochodem.

- Nie, to coś znacznie lepszego. Tamten został stworzony naprędce, a te zaprojektowano.

- Nie potrzebują już Magnusa, który by nimi poruszał?

– Nie, kiedy je zrobi i ożywi, nawet Przeciętny może je uaktywnić i nimi kierować.
– Mamy Sturma pod ciągłą obserwacją, odkąd jego nazwisko wypłynęło. W rezydencji nie przebywa żaden Magnus animator – powiedział Pluskwa.

– Uformują się na nowo, kiedy rozwalimy je bronią konwencjonalną? – chciał wiedzieć jeden z dowódców.

– Tak. Możesz rzucić w takiego granat, a on się rozpadnie, a potem odnowi.

– Super! – zachwycił się Leon, a mama zbeształa go wzrokiem.

Konstrukty różniły się od robotów, które były zasilane źródłem energii, a każda część łączyła się z innymi na zasadzie współpracy. Uszkodzenie wystarczająco dużej części robotów bądź właściwych modułów skutkowało zniszczeniem całej struktury. Konstrukty łączyła magia, a każda uszkodzona część wracała do pierwotnego stanu, ponieważ ubytki kompensowała magia. Różnica między robotem a konstruktem była taka, jak pomiędzy poskręcaniem mechanicznego konia z zestawu młodego technika śrubka po śrubce, a zgromadzeniem wszystkich tych części i ukształtowaniem konia za pomocą magii.

– Jak je zniszczymy?

– Jedynym sposobem jest zredukowanie części do liczby poniżej krytycznej – wyjaśnił mi Rogan. – Zazwyczaj ta granica to trzydzieści, dwadzieścia pięć procent. Można to zrobić trzema metodami: zniszczyć części, oddalić oderwane poza zasięg działania magii pozwalającej na ponowne włączenie ich w konstrukct albo odizolować je.

Rozrzucania części próbował już z konstruktem, z którym walczyliśmy, i nie zdało to egzaminu. Fragmenty budulca konstruktu wracały i otaczały Rogana, usiłując go zmiażdżyć. Kiedy znów zdołał rozrzucić części, łączyły się na nowo. Oczywiście w tamtym wypadku wszystkim sterował w trakcie potężny animator. Tym razem prawdopodobnie go nie ma, ale za to są trzy konstrukty zamiast jednego i żaden nie będzie stał bezczynnie, obserwując, jak Rogan ćwiczy rzuty częściami towarzysza. Gdyby były lite, mógłby cisnąć nimi tak mocno, że lecąc, osiągnęłyby prędkość dźwięku, jednak były zbudowane z wielu drobnych części, co oznaczało manipulowanie każdą z osobna.

– Najbardziej efektywnym sposobem jest izolacja – ciągnął. – Trzeba przycisnąć je czymś na tyle dużym i ciężkim, żeby nie zdołały się spod tego wydobyć.

– Możemy rozłupać ten kamienny mur na większe fragmenty – podsunął jeden z dowódców. – Zamiast go wysadzać ot tak, rozmieścimy ładunki odpowiednio do naszego celu. Nie zagwarantujemy, że będą takiej samej wielkości, ale postaramy się uzyskać mniej więcej podobnej.

– Wobec tego będę potrzebował kręgu – zasępił się Rogan. – A to oznacza, że konstrukty trzeba będzie czymś zająć na czas przygotowań.

Zająć...

– Czy mają wbudowany protokół priorytetyzacji celów? – zapytałam. – Potrafią rozróżnić cele krytyczne i drugorzędowe?

– Nie – rzucił krótko Rogan i sponurzał.

– Nie, czyli nie mają? – uściśliłam.

– Nie, nie pozwolę ci na to.

– Nie przypominam sobie, żebym zawierała z Rodem Roganów umowy o podwładności. – Uśmiechnęłam się. – Jestem wolną osobą i mogę działać z pełną swobodą. A wiesz, że jestem dla Sturma celem priorytetowym. Nawet jeśli nie mają

zainstalowanego protokołu rozpoznawania, to uruchamiający je mag z pewnością wie, kim jestem.

– O nie, nie. Nie możesz robić, co ci się podoba, bo to ja jestem tu od oceny strategicznej przydatności działań. Mam wiele atutów do dyspozycji, kieruję tą operacją i ryzyko tego, co planujesz, nie jest usprawiedliwione korzyściami. Nie będziesz robiła za przynętę.

– Uhm, a co zrobisz, jeśli cię nie posłucham? – zapytałam. – Tupniesz nogą i nie będziesz walczył ze Sturmem?

– Mogę użyć środków przymusu fizycznego, żeby powstrzymać cię przed zbliżeniem się do obiektu Sturma – burknął.

– Nie, nie możesz – wtrąciła spokojnie Catalina.

Magia Rogana wysączyła się, zbierając wokół niego jak chmura rozszałego żywiołu. Co wrażliwi na magię obecni wyprostowali się, podświadomie pragnąc oddalić się od kotłującej się mocy. Ta runęła w moją stronę i zatrzymała się, napotykając zimny mur mojej magii.

Wpatrywaliśmy się w siebie, a atmosfera zrobiła się tak gęsta od napięcia, że można było kroić ją nożem i podawać do herbaty.

Leon zaczął gwizdać melodyjkę pojedynkową z westernu.

– Pytam z ciekawości: jak zamierzasz przeżyć na tyle długo, żeby dać mi wystarczająco dużo czasu? – fuknął Rogan, krzyżując ramiona na piersi.

– O to zadba jej babcia – oświadczyła babcia Frida.

– Ja również chcę pomóc – odezwał się Edward.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Nie jesteś magiem bojowym, Edwardzie – zwróciła mu łagodnie uwagę Rynda. – I nadal dochodzisz do siebie po operacji.

– Ale jestem Magnusem, a to mój brat zaczął to wszystko – stwierdził Edward stanowczo.

– Dziękuję – powiedział Rogan. – Twoja pomoc będzie dla nas cenna.

...

Przykucnęłam. Rogan tkwił obok niczym kamienny posąg. Kilkaset metrów dalej jaśniała twierdza Sturma niczym elektryczny klejnot na pogrążonych w ciemności polach. Czailiśmy się na krańcu pastwiska, na prawo od jedynej drogi prowadzącej do bramy i głównej wartowni, znajdującej się za ogrodzeniem z siatki. Druga, mniejsza wartownia stała nieco po prawej, a dwie kolejne na tyłach zasłaniał nam mur wewnętrzny.

Obiekt przypominał więzienie.

Przyczajeni wokół ludzie Rogana byli gęstszymi plamami mroku. Zerknęłam na zegarek. Został kwadrans do końca terminu, jaki wyznaczyła nam Adeyemi. Dotarliśmy w ostatniej chwili. Wiatr wzmagał się, a powietrze było ciężkie i lepkie od przesycającej je magii.

Z tyłu stał Cornelius, nieruchomy, z pochyloną głową, a za nim Diana oraz starszy Harrison, Blake, z gromadką jaguarów, trzema czarnymi i pięcioma złotymi. Wielkie koty wpatrywały się w ciemność bezdennymi ślepiami. Siedząca pośród nich Matylda wydawała się jedną z nich. Nie mogłam pojąć, dlaczego nalegali, żeby zabrać ją ze sobą

na tak niebezpieczną wyprawę, ale kiedy zapytałam, Diana zbyła moje obawy uśmiechem.

Edward Sherwood stał samotnie na niewielkim wzniesieniu. Skończył właśnie rozsypywać wokół nasiona z wielkiej paczki, którą przyniósł ze sobą.

Pozostawało tylko czekać.

– Jesteś pewna, że chcesz zabrać ten stary czółg? – zapytał Rogan po raz trzeci. – Bo jeszcze zdążę ci załatwić lepszy...

– Ej – obruszyła się babcia Frida i dźgnęła go palcem. – Może i nowszy, ale z pewnością nie lepszy.

Przewlekła się kolejna minuta.

– Borsuki się przebiły – powiedział Cornelius, ocierając pot z czoła.

Jaguary śmignęły w noc. Ponad nimi leciały dwie sowy. Diana i Blake patrzyli w tablety i szeptali coś do komunikatorów.

Cornelius ze zmęczeniem przysiadł przy mnie.

– Koty wejdą do tunelu wykopanego przez borsuki? – zapytałam.

– Normalnie nie, ale teraz zrobią wszystko, o co je poprosimy.

Jaguary dotarły do granicy światła i dalej skradały się bezszelestnie nisko przy ziemi.

– A jeśli je zobaczą? – denerwowałam się.

– Nie zobaczą – zapewnił mnie Cornelius. – Słowo „yaguar” oznacza „tego, który zabija jednym kłapnięciem paszczy”. Nie duszą ofiary, przegryzają jej szyję jednym zaciśnięciem szczęk. Potrafią zmiażdżyć ludzką czaszkę. Są doskonałymi zabójcami z zaskoczenia.

Kolejna minuta.

Napięcie mnie zżerało. Czułam przemożną ochotę, żeby wyskoczyć na oświetlone pole i wykrzyzczyć je z siebie.

Następna minuta.

– Przeszły – ogłosił Cornelius.

Nic się nie działo. Obserwowaliśmy bacznie bazę, ale z naszego miejsca wydawała się nieporuszona.

Przyleciał Szpon i usiadł na ramieniu Corneliusa. Zoomag spojrział na Edwarda, a kiedy ten skinął głową, podał ptakowi niewielki woreczek. Myszołów chwycił go w szpony i odfrunął.

Czas zająć pozycje. Wstałam i podeszłam do grupki żołnierzy. Drużyna uzbrojonych ludzi otoczyła moją siostrę. Na przedzie ustawił się Rivera, Melosa za Cataliną, a Leon po jej lewej. Stałam po prawej.

Catalina spojrzała po sobie, na kamizelkę kuloodporną. W pancerzu i masywnym hełmie wyglądała jak krucha, zagubiona dwunastolatka. Uderzyła mnie troska widoczna w jej oczach.

– Jesteś pewna? – zapytałam po raz setny.

– Tak.

Założyłam swój hełm.

Kawałek od nas Edward wyprostował się i wyciągnął przed siebie rękę. Wokół niego wyrosła biała trawa, tworząc skomplikowany wzór kręgu. No, no...

Płynęły sekundy.

– Gotowe – odezwała się Diana w moim uchu.

– Drużyna alfa, ruszać – rzucił Serducho.

Pognaliśmy przez pole w stronę najbliższej wartowni i bramy. Parę oddechów później wpadliśmy w krąg światła i dalej biegliśmy na widoku niczym ruchome cele. Każdy snajper na dachu mógł strzelić mojej małej siostrzyczce pod ten głupi hełm.

Nie myśl o tym, nie myśl o tym, skup się na tym, co robisz...

Biegłam, starając się jak najszybciej osłonić Catalinę.

W uszach łomotało mi serce. Raz, dwa, trzy...

Przypadliśmy do bramy. Rivera sięgnął po nożyce do drutu. W wartowni za siatką leżał na konsoli nieruchomy strażnik. Na oknie widniała czerwona smuga.

Brama otworzyła się, a my pędem przecięliśmy pas ziemi do furty znajdującej się w murze. Jeden z żołnierzy przykleił do nich niewielki ładunek. Rivera kazał się cofnąć i przyłgnęliśmy do muru.

Ładunek strzelił jak kapiszon.

Rivera sprawdził drzwi. W tej samej chwili w ciszę wdarł się terkot karabinu, zawyły syreny.

Rivera wskazał na Leona i Melosę, a potem na drzwi.

Leon rzucił się ku nim, osłaniany przez egidę przed gradem kul.

– Teraz! – krzyknął Leon.

Cztery wystrzały zwały się w jeden.

– Czysto – ogłosił Leon.

Wtoczyliśmy się do ciasnej przestrzeni, ograniczonej z dwóch stron kratami, za którymi leżały ciała wartowników. Z przodu, prostopadle do nas, biegł korytarz, prawdopodobnie przechodzący przez całą długość muru.

Jedna z żołnierzy manewrowała już kamerą na giętkich przewodach, sprawdzając przejście. Rozległy się strzały, zmuszając ją do cofnięcia się.

– Długi korytarz, po obu stronach pomieszczenia.

– Marko, policz ich – rozkazał Rivera.

Starszy żołnierz przymknął oczy.

– Blisko czterdziestu po lewej i około sześćdziesięciu po prawej.

Ściągnęli całą obsadę muru, żeby nas tu uwięzić.

Catalina stała pod ścianą blada jak śmierć.

Do przedsonka wtoczył się niewielki metalowy przedmiot.

– Granat! – Melosa rzuciła się naprzód, ja osłoniłam sobą Catalinę. Przed egidą pojawiła się błękitna tarcza, a potem budowlą wstrząsnęła eksplozja, odrzucając Melosę w tył.

Poczułam na plecach żar, zasypały nas odłamki. Melosa zebrała się z podłogi, przeklinając.

– Pieprzone gnoje.

Utknęliśmy. Mieli ogromną przewagę liczebną. Nie mogliśmy iść naprzód, ale siedzieć tu bez końca też nie, bo w końcu by nas stąd wymietli. Na zewnątrz wystrzelaliby nas jak kaczkę.

– Teraz – powiedziałam do Cataliny.

Odepchnęła mnie i zrobiła krok naprzód. Ręce się jej trzęsły.

– Musisz to zrobić teraz. Dasz radę.

Wokół niej zawirowała magia. Poczułam ją. Biła od niej jak żar od pieca.

– Włączyć tryb zagłuszania – warknął Rivera.

Nic nie słyszałam, ale słuchawki żołnierzy miały się w tej chwili wypełnić jakimś dźwiękiem, zagłuszając wszystko inne.

Catalina skręciła w korytarz. Melosa szła za nią, podtrzymując błękitną osłonę. Strumień mocy był tak silny, że aż zaparło mi dech w piersiach. Catalina była niewyobrażalnie potężna.

Pociski odbijały się od tarczy, marszcząc jej powierzchnię. Catalina otworzyła usta. Jej skóra jaśniała, jakby od wewnątrz przenikało przez nią złote światło. Uniosła ręce, ustawiając się w pozycji maga. Jej głos, tak nieskończenie piękny, przetoczył się przez konstrukcję na podobieństwo zniewalającego szeptu, który brzmiał potężnie niczym dzwon, niosąc ze sobą falę ogromnej mocy.

– CHODŹCIE DO MNIE.

Zbyt wiele mocy. Przeszarżowała, przelewając w wezwanie za dużo magii.

Strzelanina ucichła.

Przesunęłam się tak, żeby zasłonić Catalinę przed wzrokiem naszych żołnierzy.

Z korytarz wyłonił się mężczyzna, upuścił broń, zdjął hełm i padł przed Cataliną na kolana.

Stojący przede mną Rivera strzelał oczami, żeby dojrzeć choć skrawek Cataliny, ale pokrociłam ostrzegawczo głową, żeby nie próbował.

– ZAPROWADZĘ WAS W BEZPIECZNE MIEJSCE.

– Twarzami do ściany! – poleciłam ostro, pokazując gestami. Żołnierze Rogana posłusznie odwrócili się, stając do nas tyłem.

Odsunęłam się, przepuszczając Catalinę, która wyszła na zewnątrz. Za nią postępował korowód zakapiorów z błogimi uśmiechami na twarzach.

– Idź – popędziłam Leona, który natychmiast zaczął przepychać się na czoło ludzkiej rzeki, z bronią gotową do strzału. Miał zabić każdego, kto próbowałby zbliżyć się do Cataliny.

Ludzie płynęli obok nas i płynęli, było ich tak wielu... Włączyłam komunikator w hełmie.

– Rogan, Catalina przesadziła z magią, będzie potrzebowała natychmiastowej ewakuacji. Nie pozwól im zabić mojej siostrzyczki.

– Nie martw się, nie pozwolę, żeby coś jej się stało – obiecał uspokajająco.

Do kolumny dołączyło dwoje naszych ludzi. Marko i Melosa rzucili się na nich, zatrzymując.

Korowód paradował przez łąkę, wiatr targał ich ubraniami, a ołowiane chmury nad głowami przecinały błyskawice. Burza była tuż, tuż.

W końcu ostatni z naszych przeciwników opuścił umocnienia. Ludzie Sturm szli, nie zauważając, że przy nich w stronę muru kieruje się wielkie działo, obok którego biegnie drużyna beta – oddział saperów. Catalina wykonała swoje zadanie. Teraz moja kolej.

Wypadliśmy na zewnątrz, gdzie przez siatkę przetaczał się właśnie w naszą stronę Romeo. Wdrapałam się na czołg i wskoczyłam do środka. W ciemnej, ciasnej przestrzeni zaczęłam szukać po omacku broni, którą babcia miała tam dla mnie zostawić. W końcu poczułam pod palcami chłód metalu i znajomy kształt.

Romeo szarpnął naprzód.

– Gotowa na imprezę? – wrzasnęła babcia Frida.

– Dajemy!

Romeem wstrząsnął wystrzał. I kolejny.

– Mamy przejazd! – zaśmiała się babcia, a czołg ruszył naprzód. – Stary czołg, phi. Ja ci pokażę stary czołg.

Złapałam granatnik i wystawiłam głowę nad właz. Jasny blask oślepił mnie na moment. Mur został za nami. Zamrugałam, wypatrując konstruktów. Najbliżej nas lśnił w blasku lamp makabryczny koń. Jego ślepia rozjarzyły się błękitem i bestia kłapnęła szczęką, jakby testowała nożycowate zęby długości mojego ramienia.

– To był fatalny pomysł. Fatalny, idiotyczny i całkiem absurdalny.

XM25 w moich rękach zdawał się ważyć tonę. Opuściłam lufę w stronę konstruktów, zaparłam się i nacisnęłam spust. Wyrzutnia plunęła granatem. Szarpnęła mną siłą odrzutu.

Granat trafił konia w pierś i wybuchł, wyrwijąc wielką dziurę i rozsiewając wokół kawałki metalu i plastiku. Konstruktor zachwiał się. Ha. Nie bez powodu nazywają tę pukawkę Punisherem.

Rozrzucone fragmenty zaczęły jednak błyskawicznie wracać, wypełniając wyrwę. Szlag by to!

– Jedź! – wrzasnęłam do babci. – Jedź!

Romeo przyspieszył, jadąc wokół kopuły. Koń zarżał metalicznie.

Jasny gwint!

Kłapnęła paszczą i runął za nami.

Mały czołg pędził najszybciej jak się dało, co nie było zawrotną prędkością. Koń się zbliżał.

Wystrzeliłam kolejny granat. Trafił w dolną część brzucha, odrywając tylne nogi. Koń zatoczył się, a jednocześnie za nim zza zakrętu wyskoczył tygrys.

– Na dół! – krzyknęła babcia.

Obróciłam się błyskawicznie i zdążyłam jeszcze zobaczyć szarżującego z przeciwnej strony nosorożca, po czym zanurkowałam do czołgu. Konstruktor wyrzucił w pancerny wóz, a wstrząs rzucił mną na wręgę. Uderzyłam o coś hełmem, aż zagrzecotało mi w głowie i na moment świat rozmasało mi się przed oczami.

Romeo szarpnął znowu – to babcia wystrzeliła kolejny pocisk.

Krąg światła we włazie przesłoniły wielkie szczęki, a w uszach zabrzmiał mi ogłuszający zgrzyt metalu. Siedzący na kadłubie tygrys usiłował przegryźć pancerną płytę.

Metal chrzęścił i chrobotał.

Kiedy strzeliłam do konia, jego części powinny odlecieć na dużą odległość, ale tak się nie stało. Fragmenty poszybowały metr czy dwa i zawróciły. Magia wytłumiła energię wybuchu.

Ustawiłam granatnik prawie pionowo, celując w gardziel bestii, wystrzeliłam i przywarłam do podłogi, bo metalowe zębiska omal nie odcięły mi ręki.

Odrzut wcisnął mnie w podłogę, ale z mniejszą siłą, niż się spodziewałam. Konstruktor zniknął, odsłaniając właz, do którego natychmiast przyskoczyłam. Tygrys staczał się w dół, jednocześnie formując z powrotem zniszczony łeb. Tymczasem nosorożec pokonał zakręt i zbliżał się do nas. A koń biegł parę metrów za nami.

Strzelałam raz za razem, żeby choć trzymać je na dystans. Pancerny Romeo znaczący głębokie szramy w miejscach, gdzie tygrys drapał i gryzł. Kolejny taki atak mógł nas wykończyć. Wiedziałam, że jeśli tygrysowi uda się wskoczyć na czołg, bestia otworzy nas jak puszkę.

Po okolicy poniósł się huk eksplozji. Kiedy Romeo wyjechał za zakręt, moim oczom ukazał się zawalony mur.

Gnaliśmy przez trawę – mały czołg, a za nim gigantyczne konstrukcje: koń, tygrys i nosorożec.

Koń w pewnym momencie dał susa i wylądował na korpusie, a uzębiona paszcza zniżyła się nad moją głowę.

Wystrzeliłam ostatni granat i schowałam się w czołgu, słysząc, jak pocisk wykwita we wspaniały wybuch. I to byłoby tyle. Koniec amunicji. Miałam jeszcze tylko trzy ręczne granaty. Złapałam je i wyrzuciłam przez właz. Koń został w tyle, teraz na prowadzenie wysunął się tygrys.

Wyszarpnęłam zawleczkę i cisnęłam granat. Tygrys uchylił się i skoczył, rozcapierzając metalowe pazury i chlastając ogonem.

To koniec.

Wielki kawał muru grzmotnął w tygrysa, spychając go z toru lotu. Konstruktor gruchnął o ziemię, przyciśnięty kawałem gruzu. Spod kamieni wystawał tylko miotający się ogon. Chwilę później przygniótł go następny fragment muru.

Urzałam w oddali Rogana. Stał w kręgu nakreślonym na podjeździe i poruszał rękami. Kolejny kawał muru uniósł się w powietrze i spadł na konia. Konstruktor nie poruszył się, sprasowany pod rumowiskiem.

Romeo przetoczył się obok Rogana.

Za nami, tętniąc potężnymi kopytami, gnał nosorożec.

Rogan uniósł ręce.

Dwudziestopięciometrowy odcinek muru zadrżał pod jego magią, ale nie oderwał się od reszty.

Czołg stanął, a babcia wrzuciła wsteczny.

– Wyskakuj! – poleciła mi.

– Co?!

– Wyskakuj! – krzyknęła.

Wydostałam się przez właz i zeskoczyłam. Nie zdążyłam jeszcze poderwać się z trawy, a Romeo już jechał w stronę nosorożca.

O nie...

Mały tank staranował nosorożca. Konstruktor w ostatniej chwili skręcił i uderzył w bok czołgu. Romeo przewrócił się, a bestia wbiła w niego łapy, wydzierając dziury w pancerzu. Strach ścisnął mi serce. Otrząsnęłam się szybko z paraliżującego przerażenia i desperacko rzuciłam się ku czołgowi.

Przesłonił mnie cień, wielki kawał muru przepłynął nad moją głową i zbił nosorożca z nóg, grzebiąc go pod tonami budulca.

Sterta gruzu prawie natychmiast się rozprysnęła, a nosorożec wyrwał się spod niej, wracając do kształtu.

Nagle ziemia pod nim się rozstąpiła, a spod niej wystrzeliły pędy, wijąc się ku niebu, przesywając nosorożca. Konstruktor miotał się, usiłując się z nich wyrwać, ale łodygi odrywały tworzące go części i unosiły, wzrastając w górę, napędzane magią. Łodygi grubły, rozgałęziały się, a drewno i kora obrastały kawałki nosorożca. Trawnikiem wstrząsnęła fala magii. Drzewo porwało nosorożca z ziemi, więząc w sobie resztki bestii. Gigantyczne drzewo rozłożyło koronę. Miało z pięćdziesiąt metrów wysokości i przynajmniej siedem i pół w obwodzie pnia. Gargantuiczny cypryśnik meksykański, drzewo Montezumy zadrżało jeszcze raz, po czym znieruchomiało, górując nad trawnikiem.

To było coś!

Kiedy babcia Frida wygramoliła się z Romea, po twarzy spływała jej krew, ale pognęła ku resztkom muru.

Niebo rozpękło się, a z chmur zaczął wyłaniać się lej, sięgając ku nam podstawą. Czas nam się skończył.

– Nevada! – ryknął Rogan.

Odwrociłam się. Biegł ku mnie, więc ruszyłam mu naprzeciw. Zderzyliśmy się. Rogan objął mnie mocno.

Wiatr nagle ucichł. Wokół nas panował doskonały spokój. Zadarłam głowę. Oczy Rogana jarzyły się turkusowym blaskiem. Sięgnął do źródła swojej magii. Staliśmy w kręgu pola zerowego. Nic nie mogło się przezeń przedostać do wewnątrz. Właśnie w ten sposób niszczył całe miasta, obracając je w gruzy.

Wokół szalała burza. Tuż za kopułą formowało się gigantyczne tornado. Wyglądało to tak, jakby ktoś ściągał z nieba chmury, skręcając je w wir.

Ściana wichru runęła na nas i stanęła, odcięta doskonałym kręgiem pola zerowego. Za nią z nieba spłynął następny lej. I następny.

Boże drogi...

Otoczający nas krąg wysłał impuls magii. Jego echo poczułam w kościach, a kopuła zaczęła pękać.

Drugi impuls.

Od szczytu kopuły oderwały się kawały betonu i runęły w dół.

Rogan wpatrywał się w dal. Jego stopy oderwały się od ziemi i zaczął się wznosić.

Złapałam go i przytrzymałam z całej siły. Gdybym tego nie zrobiła, wzlatywałby w górę, póki nie skończyłaby mu się magia. A na dole nie zostałoby nic, również z naszych żołnierzy, przyjaciół, bliskich.

Rogan nie przestawał się unosić.

– Rogan! Zostań ze mną!

Nadal mnie obejmował. Poczułam, że ziemia ucieka mi spod stóp.

Trzeci impuls. Kopuła skruszyła się jak pęknięta skorupa jaja.

– Kocham cię, Connor. Proszę, wróć do mnie. Wróć. – Pocałowałam go. – Wróć.

Powoli opuścił głowę, zwracając na mnie oczy, nadal jeszcze nieobecne, jakby budził się dopiero z głębokiego snu. Ale w turkusowym ogniu błysnęły iskry świadomości.

– Jestem tutaj – powiedział.

Czwarty impuls uderzył w kopułę, która rozpadła się na kawałki. Spadły na ziemię, roztrzaskując się.

Z rozłupanej skorupy wyłonił się Aleksander Sturm, unoszący się w kolumnie wirującego wiatru. Trzymał w górze ręce, a wiatr targał jego włosami.

Kiedy złączył dłonie, lej powędrował w naszą stronę, wyrывая po drodze trawę i żłobiąc rów w ziemi. W końcu nasunął się na nas i przez moment zobaczyłam nad głową błękitne niebo. A potem tornado minęło nas, a my nadal unosiliśmy się w kolumnie Roganowej mocy.

Rogan uśmiechnął się do Sturma.

Aleksander wyszczerzył zęby. Drugi wir przysunął się do nas i przeszedł, nie wyrządzając nam krzywdy. Sturm powiedział coś, krzywiąc się wściekle. Widziałam, jak poruszają się jego usta, ale nie słyszałam głosu.

Nagle w błysku karmazynowej magii pomiędzy nami a Sturmem pojawiła się Lenora Jordan, naga i nieustraszona, z wysoko uniesioną głową. Zaryzykowała teleportację. Niesamowita kobieta.

Lenora spojrzała na Sturma i uniosła ręce.

Z ziemi wystrzeliły srebrzyste łańcuchy, grube jak moja noga. Okręciły się wokół maga burzy i wraz z jego osobistym tornadem przykuły do gruntu, utrzymując w miejscu.

Sturm otworzył usta jak do krzyku, krzywiąc twarz w wyrazie bólu. Łańcuchy zadziergnęły się mocniej i ściągnęły go w dół. Upadł prosto u stóp Lenory.

Wpatrywała się w niego drwiąco przez dłuższą chwilę, a potem uniosła rękę wyżej. Wystrzeliła z niej moc, otaczając Lenorę kręgiem. Również stworzyła pole zerowe. Stała w nim ze Sturmem leżącym u stóp i czekała, aż kolejna trąba powietrzna, tym razem przejrzysta i lekka, przeniesie Adeyemi Ade-Afefe przez resztki muru, stawiając ją delikatnie na ziemi pomiędzy nimi. Adeyemi rozpoczęła taniec.

Tańczyła, wydawało się, że bez końca, poruszając się w szybkim rytmie, gnąc i prostując, a z każdym jej krokiem, z każdym obrotem, tornada traciły na sile. Wirowały coraz wolniej, odrywały się od ziemi, szybowwały wyżej i wyżej, aż rozplynęły się na niebie. Ciężka warstwa burzowych chmur pękła, przepuszczając pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Adeyemi uśmiechnęła się, położyła na trawie i zasnęła.

...

Z trawnika wyrastał zagajnik mieczy. Tornado porwało i uniosło kolekcję Sturma, po czym cisnęło ostrza w ziemię. Tak się dziwnie złożyło, że wszystkie wbiły się sztychami w glebę i teraz sterczały w górę niczym ostre, zmutowane kwiecie.

Rogan nadal trzymał mnie w objęciach. Nie chciał mnie puścić, więc wtuleni w siebie obserwowaliśmy sceny rozgrywające się na trawniku wokół fortecy Sturma.

Z boku mama usiłowała udzielić babci pierwszej pomocy, której babcia nie chciała przyjąć.

– Przestań wreszcie tak nade mną kwoczyć – prychnęła babcia Frida, odpychając rękę mamy.

– Cicho bądź, mamó. Jesteś ranna.

Ludzie Lenory Jordan zabezpieczali teren. Zabrali Sturma, którego wcześniej związali, zakneblowali i uspili. Lenora, już ubrana, chodziła po placu, wydając zwięzłe rozkazy.

Śmigłowiec zdążył zabrać Catalinę tuż przed rozpełnieniem się burzy, zostawiając na dole płaczących, szlochających za nią twardzieli. Lenora na widok zasmarkanej, zapłakanej bandy najemników uznała, że musi sięgnąć po potężniejszy arsenał, żeby opanować sytuację, więc sprowadziła psioników. I teraz ludzie Sturma siedzieli na ziemi skuci kajdankami, a dwóch psioników kręciło się między nimi, emanując na nich spokój i szczęście.

Nieco dalej Rynda zajmowała się Edwardem, który siedział wykończony, opierając się o pień cypryśnika. Wyhodowanie tak potężnego drzewa musiało go do cna wydrenować z magii. Jednak na twarzy Ryndy, oprócz zrozumiałej w tej sytuacji troski, malowała się również czułość.

Przez dziurę zrobioną przez Romea wyjechał opancerzony wóz, a kiedy się zatrzymał, ze środka wyskoczył Rivera. Następnie otworzył i przytrzymał z szacunkiem drzwi pasażera. Na zewnątrz wyłonił się Brian Sherwood. Tego samego wzrostu,

o takiej sylwetce jak Edward, szerokich barkach, długich nogach. Z jednej strony byli do siebie bardzo podobni, z drugiej bardzo się różnili.

– Ryndo! – zawołał. – Och, Ryndo, kochana, jesteś!

Odwróciła się i spojrzała na niego jak na węża.

– Tak za tobą tęskniłem! – ćwierkał Brian, ruszając w stronę żony. A więc nie zdawał sobie sprawy, że wiemy o jego zdradzie.

– Nie powiedzieli mu? – zastanawiałam się głośno.

– Nie. – Uśmiech Rogana był naprawdę przerażający.

– A więc tęskniłeś za mną? – zapytała Rynda lodowato. Podniosła się i stanęła prosto, ze ściągniętymi łopatkami i chłodem na twarzy. Bez dwóch zdań córka swojej matki.

– Oczywiście! – przytaknął Brian, przystając.

– Ja również za tobą tęskniłam, Brian. Tyle wycierpiałam podczas twojej nieobecności...

Zrobił ku niej nieśmiały krok.

– Już dobrze, kochana. Wróciłem. Jestem przy tobie i wszystko już będzie dobrze.

– Owszem, będzie. – Rynda ruszyła w jego stronę. – I bardzo się cieszę, że jesteś. Pozwól, że podzielę się z tobą wszystkim, co przeżyłam.

Magia wystrzeliła z niej strumieniem tak potężnym, że poczułam ją z daleka. Groza, panika, rozpacz, niepokój, troska, przytłaczający smutek i gniew. Tyle gniewu. Strumień zaledwie mnie musnął, a natłok emocji omal nie wydusił mi z gardła krzyku.

Brian zatrząsł się, otworzył usta i runął na kolana.

– Przestań! Ryndo, przestań!

Wciąż ku niemu szła, zimna, bezlitosna.

– Nie uciekasz, Brian? Nie jesteś jeszcze wystarczająco zestresowany, biedaku?

– Przestań, proszę! Błagam!

– Zamierzałeś zamordować mnie i dzieci! Nasze dzieci! Chciałeś się nas pozbyć. Zabić własne dzieci! Trzeba było zastrzelić mnie we śnie, Brian, bo teraz sprawię, że będziesz cierpiał. Poczuj to, ukochany mężu, poczuj wszystko to, co przez ciebie przeszedłam.

– Przestań, suko! – wrzeszczała, a łzy ciekły mu po policzkach. – Ty pieprzona suko!

– Nie.

Brian spurpurowiał, a w jego oczach zabłysło szaleństwo. Zerwał się i z twarzą wykrzywioną furią skoczył na Ryndę, wyciągając ręce ku jej szyi. Nagle jednak Edward rzucił się pomiędzy małżonków z uniesionym mieczem. Ostrze załśniło, opadając ze straszliwą nieuchronnością. Brian Sherwood runął jak kłoda na ziemię, zalewając się krwią. Edward jeszcze raz uniósł miecz i wraził sztych w pierś brata, a potem przekręcił.

Wszyscy patrzyli na to jak zakłęci.

Edward wyprostował się z obojętną miną. Stał nad ciałem brata niczym średniowieczny rycerz nad pokonanym wrogiem.

– Ród Sherwoodów rozwiązał wewnętrzny spór – ogłosił. – Teraz znów stanowimy jedność.



Epilog

P przed moimi oczami rozciągała się arena testów. Wielkie pomieszczenie przypominało amfiteatr, z pustą przestrzenią jakieś sześćdziesiąt na trzydzieści metrów pośrodku i trybunami z miejscami do siedzenia. Stałam na skraju areny wraz z Bernem, Cataliną i Arabellą. Po jednej ze stron umieszczono podium sędziowskie, na którym stał archiwista. Poza nim na podwyższeniu siedziało sześciu Magnusów, w tym Sylvester Green, obecny przewodniczący Zgromadzenia. Była też Lenora Jordan. Robiła wrażenie spokojnej, nie pogodnej, ale niewzruszonej, jakby nic na tym świecie nie mogło jej zaskoczyć. Miejsca po bokach podium zajęli nasi świadkowie, Rogan i Linus Duncan.

– Pójdźcie ci jak z płatką – zapewnił mnie Rogan, zanim wszedł na górę.

Dotknęłam schowanej pod koszulką Egejskiej Łzy. Nadal jej nie zdjęłam.

Mama, babcia Frida i Leon siedzieli po drugiej stronie trybun, na miejscach przeznaczonych dla rodziny i przyjaciół. Wnieśliśmy o przeprowadzenie testów za zamkniętymi drzwiami, co wykluczało widzów spoza rodziny, która za żadne skarby nie odpuściłaby sobie tego widowiska. Babcia Frida miała obandażowane ramię, ale szeroki uśmiech na twarzy.

Kiedy pracownicy Lenory zajmowali się Sturmem i jego ekipą, a ratownicy udzielali pomocy nadal odpornej babci, Bern zdołał złamać szyfr Olivii. Pliki zawierały wszystkie informacje, jakie Olivia Charles posiadała o spiskowcach – nazwiska, szczegóły, zbrodnie popełnione dla sprawy. Wiedzieliśmy o tajnym ugrupowaniu wszystko, poza jednym: kim jest cesarz.

Tuż przed testami ja i Rogan zawarliśmy układ z prokuraturą. Zgodziliśmy się przekazać wszystkie zdobyte informacje Lenorze pod warunkiem, że jeśli Arabella zdobędzie rangę Magnusa, władze miasta zagwarantują jej nietykalność i obejmą ją protekcją. Lenora nie była zachwycona, że będzie musiała postawić się władzom federalnym, ale ostatecznie się zgodziła.

Nazwisko Victorii Tremaine znajdowało się na liście Olivii Charles. Uprowadzałam babkę, że jeśli tak się stanie, nic z tym nie zrobię. Pliki zostały więc przekazane w wersji oryginalnej.

Teraz wszystko zależało od naszej czwórki.

– Nie dam rady – wyjąkała Catalina i cofnęła się o krok. – Nie dam rady.

Przytuliłam ją i powiedziałam to, co mnie Rogan:

– Spokojnie, Lina, pójdzie ci jak z płatka.

– Proszę o uwagę. Zaczynamy – ogłosił Kustosz do mikrofonu. – Jako przedstawiciel Centralnego Biura Rejestru wzywam Nevadę Fridę Baylor na arenę.

Podeszłam do podium. Choć było to kilkadziesiąt kroków, wydawało mi się, jakbym szła wieki.

– Oddaję pani głos.

– Nazywam się Nevada Frida Baylor i pragnę potwierdzić swoją rangę w zakresie magii elenchusa. Wnoszę również o nadanie Baylorom statusu Rodu.

– Zanim zaczniemy próbę, czy chciałaby pani zadeklarować związki bądź sojusze istniejące pomiędzy rodziną Baylorów a innymi Rodami?

– Tak, po uzyskaniu statusu Rodu Ród Baylorów zamierza zawrzeć pakt o wzajemnej pomocy z Rodem Harrisonów.

– Odnotowano – potwierdził Kustosz.

– Ponadto chciałabym ogłosić zaręczyny moje i Connora Rogana z Rodu Roganów.

Obecni wyprostowali się jak struna i wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Rogana. Po raz pierwszy widziałam na jego twarzy wyraz szoku i zaskoczenia. Choć szybko się otrząsną z oszołomienia, widziałam to wyraźnie i zamierzałam rozkoszować się tym do końca życia.

Linus Duncan zaśmiał się pod nosem.

– Czy ktokolwiek naciskał panią bądź zmuszał do owych zaręczyn?

– Nie. Zgodziłam się poślubić Connora Rogana, ponieważ go kocham.

– Czy Connor Rogan potwierdza zaręczyny? – zwrócił się do niego archiwista.

– Tak – powiedział Rogan, już całkiem opanowany. – Kocham Nevadę Baylor i zamierzam ją poślubić.

– Odnotowano – ogłosił archiwista. – Kontynuujemy.

Na arenę weszła wysoka Azjatka w wieku mniej więcej mamy. Stała za narysowaną na ziemi białą linią.

– Proszę stanąć przed testującym – polecił mi Kustosz.

Stałam naprzeciwko kobiety, po swojej stronie linii. Kiedy prawdołówny uniosła ręce, jej umysł zniknął za gęstą zasłoną podobną do tej, za jaką ukrywał się Shaffer. Jej jednak nie była tak silna.

– Nevado Baylor, musi pani odróżnić prawdę od kłamstwa – powiedział Kustosz. – Pani testująca jest zarejestrowanym elenchusem. Może pani udzielić tylko jednej odpowiedzi. Poprawki nie są brane pod uwagę. Czy to rozumiała?

– Tak.

– Przygotujcie się. Gotowe?

Kobieta przytaknęła skinieniem.

Otoczyłam magią jej kokon obronny i zaczęłam zapuszczać w niego pojedyncze pasma magii. Wystarczyło, żebym przeniknęła przez tarczę choć jednym. Udało się.

– Jestem gotowa – potwierdziłam.

– Zaczynajcie – dał pozwolenie Kustosz.

– *Mein Bruder hat einen Hund* – powiedziała kobieta.

Magia zabrzęczała. Nie miałam bladego pojęcia, co mówiła Azjatka, ale nie miało to znaczenia.

– Kłamstwo.

Kobieta zamrużyła zaskoczona, ale zaraz nasączyła kokon silniejszą magią. Ja również dodałam mocy moim witkom.

– *Ich besitze ein Boot.*

– Prawda.

– *Rosen sind meine Lieblingsblume.*

– Kłamstwo.

– Czy arbitrzy są usatysfakcjonowani? – zapytał Kustosz.

– Nie – odezwała się Lenora. – Niech kontynuuje.

– Kłamstwo – powiedziałam, patrząc na nią.

Linusa Duncana tak to rozbawiło, że aż pokazał w uśmiechu równe, białe zęby.

– Mam czterdzieści dwa lata – oświadczył starszy arbiter.

– Prawda. – O, a wyglądał na ponad pięćdziesiątkę.

– Jesteśmy usatysfakcjonowani wynikami tej próby – rzekł Sylvester Green. – Zanim jednak podejmiemy ostateczną decyzję, chcemy ujrzeć demonstrację głosu.

Kustosz podziękował ukłonem mojej testerce, która zeszła z areny. Jej miejsce zajął trzydziestolatek o nieprzeniknionej twarzy. Sięgnęłam ku niemu magią, żeby go wybać. Jego umysł okrywała twarda skorupa zakłęcia. Było subtelne, ale było.

– Zmuszanie do odpowiedzi kogoś, kto się opiera, jest dla tej osoby traumatycznym przeżyciem – zwróciłam się do Kustosza.

– Biuro Rejestru rozumie pani obawy – odrzekł.

– Temu człowiekowi założono mentalną barierę ochronną. Mogę ją sforsować, ale jeśli otrzymam pozwolenie na posłuszenie się kredą, zrobię to, ograniczając uszkodzenia do minimum.

– Żadnej kredy – zaprotestował czterdziestodwulatek.

– Przykro mi – powiedziałam przepraszająco do stojącego naprzeciwko mężczyzny.

– Przestań grać na zwłokę – odpalił.

Skoncentrowałam się i nadałam magii kształt ostrza, które wraziłam w osłonę. Skorupa pękła i rozpadła się. Dzięki, babko Victorio. Moja magia pochwyciła umysł mężczyzny w kleszcze.

– JAK SIĘ NAZYWASZ?

Naparłam mocniej, miażdżąc jego wolę oporu.

– Benjamin Cars.

– NIE STWORZYŁEŚ SAM OSŁONY, KTÓRA TKWI W TWOIM UMYŚLE. KTO TO ZROBIŁ?

– Orlando Gonzales.

Usłyszałam poruszenie za plecami, ale nie mogłam się odwrócić.

– PO CO TO ZROBIŁ?

– Żebyście nie otrzymali statusu Rodu.

– DLACZEGO?

– Nie wyjawiał przyczyny.

Teraz się odwróciłam.

Wszyscy wpatrywali się w arbitra, który podał mi swój wiek. Wypuściłam z objęć magii męczyznę na arenie i skierowałam moc w stronę Gonzalesa. Słyszałam, jak z tyłu Benjamin pada na ziemię i zaczyna łkać. Zapora mentalna Gonzalesa była znacznie silniejsza, grubsza i twardsza. Uderzyłam, ale wytrzymała. Uderzyłam więc znowu i jeszcze raz.

Zerwał się z krzesła i zachwiał.

Dźgnęłam. Stawiał mi opór, wiedziałam jednak, że jeśli go nie złamię, ten incydent położy się cieniem na moich próbach, co może zrodzić wątpliwości co do autentyczności wyników. A ja nie mogłam pozwolić sobie na żadne wątpliwości. Od tego zależało życie moich bliskich.

Dźgnęłam jeszcze raz i skorupa pękła. Wlałam magię przez tę szczelinę i rozłupałam zaporę ostatecznie.

Pomyślałam o tym, co zrobili Sturm i Vincent, o śmierci Kurta, a gniew wzmocnił mnie, pozwalając zdławić opór arbitra.

– DLACZEGO OSŁONIŁEŚ UMYSŁ BENIAMINA?

Jego ciało drżało z wysiłku. Nacisnęłam mocniej, aż zakręciło mi się w głowie. Zużyłam zbyt dużo mocy w krótkim czasie. Ale się zaparłam. Nie zamierzałam pozwolić, żeby cokolwiek czy ktokolwiek przeszkodził mi w zapewnieniu rodzinie ochrony. Nie obchodziły mnie ich drwiny i kłody, które rzucali mi pod nogi. Postanowiłam, że zostaniemy Rodem, i byłam zdeterminowana, żeby do tego doprowadzić.

– ODPOWIADAJ.

Słowa wydobywały się z jego gardła jedno po drugim.

– Prosiła... mnie... o to... Colleen Shaffer.

Matka Garena?

– DLACZEGO CHCIAŁA ZAKŁÓCIĆ PRÓBY?

– Żebyście... nie zostali... Rodem. Bez... ochrony... bylibyście bezbronni, a wtedy... musiałabyś... przyjąć oświadczyzny... jej syna...

Puściłam go. Jeszcze sekunda, a straciłabym przytomność.

Orlando runął na kolana, a potem skulił się na podłodze. Po policzkach ciekły mu łzy.

– Zakłócanie testów to śmiertelna zniewaga instytucji Rejestru – powiedział archiwista, a Michael nagle znalazł się u jego boku, jakby się tam zmateriałizował. Podszedł do Orlanda, postawił go na nogi i wyprowadził.

– Czy arbitrzy są usatysfakcjonowani wynikiem testu? – zapytał formalnym tonem archiwista.

Odpowiedziały mu potwierdzenia.

– A więc ogłaszam wszem wobec, iż Nevada Frida Baylor zakończyła testy kwalifikujące ją na elenchusa. Gratuluje, pani Baylor. Może pani usiąść.

Ktoś zamienił mi mięśnie w watę. Tylko cudem udało mi się dotrzeć do krzesła.

– Przykoczayłaś! – szepnęła mi do ucha Arabella z podziwem.

– Fakt – poparła siostrę Catalina.

– Centralne Biuro Rejestru Rodów wzywa Bernarda Adama Baylora.

Bernard rozwikłał skomplikowany schemat w rekordowym czasie i został zarejestrowany jako Wybitny wyższego stopnia.

Przyszła kolej na Catalinę. Wyszła na arenę na miękkich nogach.

Alessandro Sagredo wyglądał tak bosko, jak na zdjęciach na Instagramie.

– Catalino Baylor – zaczął Kustosz – aby zakwalifikować się do rangi Magnusa musisz za pomocą magii nakłonić Alessandra do przekroczenia białej linii. Jeśli ci się nie uda, powtórzysz próbę z magiem o mniejszych możliwościach.

Catalina nerwowo przełknęła ślinę. Cała trzęsa się z nerwów.

– Jesteś gotowa?

– Daj z siebie wszystko, co najgorsze – uśmiechnął się do niej Alessandro.

Catalina ukryła twarz w dłoniach.

Dasz radę, Cat.

– Gotowa? – powtórzył Kustosz.

– Tak. – Opuściła ręce i spojrzała na pięknego Alessandra. – Mieszkasz we Włoszech?

– Tak.

– Macie tam taką piękną plażę. Kiedyś byłam na plaży z rodziną, tutaj, na Florydzie. Ale we Włoszech jest inaczej. Woda jest przejrzysta, piasek bielusiński i można unosić się na falach godzinami, wypatrując ławic małych rybek. Śmigają pod powierzchnią jak skrawki srebra, tak blisko, że wydaje się, że wystarczy wyciągnąć rękę, żeby je złapać.

Na czoło Alessandra wystąpił pot.

– Lubisz chodzić na plażę?

– Tak – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Ja kocham pływać. Marzę, żeby kiedyś popływać na jachcie. Kiedyś próbowałam nart wodnych, ale rozpułał się sztorm. Na Florydzie niekiedy są sztormy, naprawdę straszne. W Teksasie mamy często tornada. Czy we Włoszech też są burze?

– Tak.

– Chodź, opowiedz mi o nich.

Alessandro przekroczył linię i ruszył w stronę Cataliny.

Przystąpiło do niego czterech mężczyzn, próbując zatrzymać, ale dwóch odepchnął, a trzeciego grzmotnął pięścią w nos.

– Przepraszam – pisnęła Catalina.

– To nic. – Alessandro przestał się miotać. – Możecie mnie puścić. Powiedziałem, że już jest w porządku!

Mężczyźni odsunęli się od niego. Alessandro wziął się w garść i odwrócił do archiwisty.

– Ta młoda dama jest bez wątpienia Magnusem – ogłosił.

– Biuro Rejestru jest wdzięczne Rodowi Sagredo za udzielenie pomocy.

Alessandro skinął głową i wyszedł bocznymi drzwiami. Niesamowite! Po raz pierwszy w życiu widziałam, żeby ktoś poza nami tak szybko uwolnił się spod wpływu magii Cataliny.

Catalinę uznano za Magnusa. Kiedy wróciła na miejsce, objęłam ją mocno.

Nadeszła kolej Arabelli. Arbitrzy świdrowali ją spojrzeniami, kiedy podchodziła do białej linii. Arabella miała na sobie tylko biały szlafrok. Wydawała się taka drobna, mała blondyneczka na środku wielkiego placu.

– Biuro Rejestru przetestuje twoją zdolność logicznego myślenia po przemianie – powiedział Kustosz.

Z góry zjechała wielka czarna tablica i zatrzymała się wysoko nad podłogą. Obok na łańcuchu zawieszono kredę wielkości słupa telefonicznego.

– Po transformacji obrócisz tablicę. Na drugiej stronie znajdują się równania matematyczne. Musisz podać wyniki. W ten sposób udowodnisz, że jesteś metamorfomagiem w randze Magnusa i że panujesz nad swoją magią.

– Czy to musi być matematyka? – zapytała Arabella. – Może zamiast tego napiszę krótkie wypracowanie?

– Najlepszym testem na myślenie logiczne jest matematyka – orzekł archiwista.

– No dobra – westchnęła moja siostra jak znękana nastolatka.

– Możesz dokonać przemiany, kiedy zechcesz.

Arabella złapała za poły szlafroka.

– Proszę nie patrzeć.

Archiwista odwrócił wzrok.

Z mojej małej siostrzyczki wychynęła Bestia z Kolonii.

Arbitrzy zareagowali różnie, jedni zastygli jak spetryfikowani, inni gwałtownie wciągnęli powietrze albo szurnęli stołkami, odruchowo się odsuwając.

Kudłaty stwór otrząpał się i zrobił krok w kierunku tablicy.

Na odwrócie widniały równania:

$$67 + 13 =$$

$$7 \times 11 =$$

$$981 : 8 =$$

Bestia wskazała na ostatnie i odwróciła się do Kustosza.

– Po prostu przyłóż się i policz na tyle, na ile umiesz – poradził jej.

Arabella westchnęła potwornie. Z pierwszym zadaniem poradziła sobie szybko, aczkolwiek w pewnym momencie skorzystała z upazurzonych palców. Drugie zrobiła błyskawicznie. Przy trzecim...

– To zadanie dla przedszkolaka – fuknęła Catalina. – Mogłabym policzyć to obudzona w środku nocy. W drugiej klasie...

Arabelli skończyło się miejsce na tablicy, kucnęła więc i zaczęła zapisywać obliczenia na podłodze.

– Proszę, to efekt wprowadzenia nowej podstawy programowej – powiedział z przekąsem któryś z arbitrów.

– Z nową podstawą jest wszystko w porządku – odciął się inny.

Arabella napisała na podłodze: „Beznadzieja!” i kontynuowała dzielenie. Wreszcie wstała i z namaszczeniem napisała na tablicy „124”, po czym lypnęła groźnie na archiwistę. Zniesmaczona Catalina dramatycznym gestem zakryła oczy.

– Jestem za tym, żebyśmy to uznali – odezwał się Linus. – Inaczej nie wyjdziemy stąd do rana.

Kwadrans później członkowie Rodu Baylorów tryumfalnie wymaszerowali z Biura Rejestru. Nareszcie. Zwycięstwo. Już nie wisiał nad nami żaden miecz Damoklesa. Konspiracja dogorywała w ostatnich podrygach. Mieliśmy immunitet na trzy lata. Rogan poprosił mnie o rękę. Oczywiście trzeba było przeorganizować parę spraw – miałam się wyprowadzić, potrzebowaliśmy nowej bazy operacyjnej i pieniędzy na zmiany związane z naszym nowym statusem. Ale to wszystko mogło poczekać.

Na razie miałam ochotę świętować.

Kiedy rodzinka pakowała się do samochodów, Rogan nachylił się nade mną.

– Pojedziesz ze mną?

– Gdzie?

– Pomyślałem, że porwę cię na chwilę na wieś.

– A co jest na tej wsi?

– Moja matka.

- Chcesz zabrać mnie do domu rodzinnego i przedstawić swojej mamie?
- Nie może się doczekać, żeby cię poznać. Właściwie to jeśli zaraz cię do niej nie zawiozę, mogę tego nie przeżyć. Pojedziemy? – Wyciągnął do mnie rękę.
- Z tobą wszędzie. – Podałam mu dłoń. Nie wiedziałam, co przyniesie przyszłość, ale byłam pewna, że cokolwiek to będzie, stawimy temu czoła razem.
- Connor uśmiechnął się do mnie i ruszyliśmy w stronę jego samochodu.
- Chciałabyś, żebyśmy urządzili przyjęcie zaręczynowe? – zapytał.
- Nie.
- A więc tylko pierścionek.
- Tylko rozsądny pierścionek.
- Czyli?
- Coś, co będę nosić na co dzień bez strachu, że zgubię równowagę budżetu średniego państwa.
- Nic nie powiedział.
- Mówię poważnie, Rogan. Żadnych diamentów wielkości grapefruita.
- Roześmiał się, mój szalony smok.
- Serio!
- Oczywiście, kochanie.
- No, to będzie ostra jazda.

...

Victoria Tremaine kroczyła ogrodową ścieżką pośród róż, boleśnie świadoma obecności idącego obok mężczyzny. Róże! Nigdy za nimi nie przepadała. Wołała bardziej wytrzymałe kwiaty. Jak goździki.

- Musisz przyznać, że jak na więzienie to całkiem luksusowe miejsce.
- Więzienie to więzienie, nawet jeśli wygląda jak country club.
- Myśl o tym jak o zasłużonych wakacjach. Coś mi mówi, że nie potrważą zbyt długo.

Szli przez chwilę w milczeniu.

- Twoja wnuczka wywołała w Houston małe trzęsienie ziemi – przerwał ciszę mężczyzna.

Victoria skwitowała to uśmiechem.

- Z tego, co słyszałem, budują nową siedzibę Rodu. Niedaleko posiadłości wiejskiej Roganów.

- Cóż, nikt nie lubi jechać godzinami, żeby odwiedzić rodzinę – stwierdziła Victoria.
- To prawda.
- A jak to się skończyło ze śliskim szczurem, który rozpętał całą tę awanturę, Brianem Sherwoodem? Ponoć brat go zabił?
- Tak. Wypatroszył go jednym z mieczy Sturma.
- No proszę, nie sądziłam, że Edward ma w ogóle jaja. A żona Briana?
- Zaręczyła się z Edwardem.
- Czyli najwyraźniej ma.
- Victorio!
- Niewinny żart. I co z nimi?

– Przeprowadzają się na Zachodnie Wybrzeże. Edward chce się zająć sadownictwem, a ona nie może się doczekać, żeby z nim jechać.

Kawałek szli, nie rozmawiając.

– Podejrzewają cię? – zapytała Victoria.

– Nie. Aresztowali ostatnie osoby z listy Olivii. Jestem czysty. Nasza sprawa nie umarła, Victorio. Zbudujemy Nowy Rzym. Trochę to potrwa, może parę lat, ale uda się nam.

– Może. Ale beze mnie.

– To byłaby wielka strata.

– Nie masz nic, czego mogłabym chcieć.

– No nie wiem... Może jeszcze zmienisz zdanie? Jesteśmy do siebie podobni, Victorio. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Lubisz wyzwania, chcesz mieć ciekawe życie. I ty, i ja nie znosimy nudy.

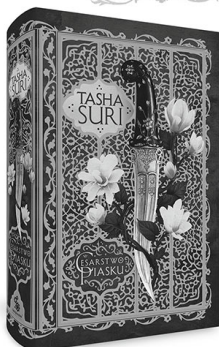
Koniec
tomu
trzeciego

Podziękowania

...

Chcielibyśmy podziękować naszej redaktorce Erice Tsang za wskazówki i cierpliwość; naszej agentce Nancy Yost oraz załodze NYLA za sprostanie naszym absurdalnym żądaniom; wspaniałym ludziom z Avon Books za pomoc w przekształceniu rękopisu w książkę; Pam Jaffee za niestrudzoną promocję serii; Stephanie Stogier za wyłapanie błędów; wszystkim, którzy czytali pierwszą wersję, za pomoc w ulepszeniu książki; i wreszcie wam, drodzy czytelnicy, za to, że daliście szansę „Ukrytemu dziedzictwu”.

KRONIKI AMBHY

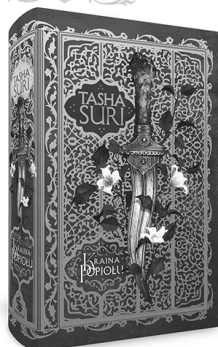


Niezwykłe klimatyczna kreacja świata i systemu magicznego oczarowuje, a główny antagonistą przyprawia o dreszcz! Ta książka niejednym potrafi zaskoczyć.

KAROLINA MICHTA
(Made by Caroline)

(...) książka przede wszystkim poruszająca ważne tematy, pokazująca, w czym tkwi prawdziwa siła kobiet.

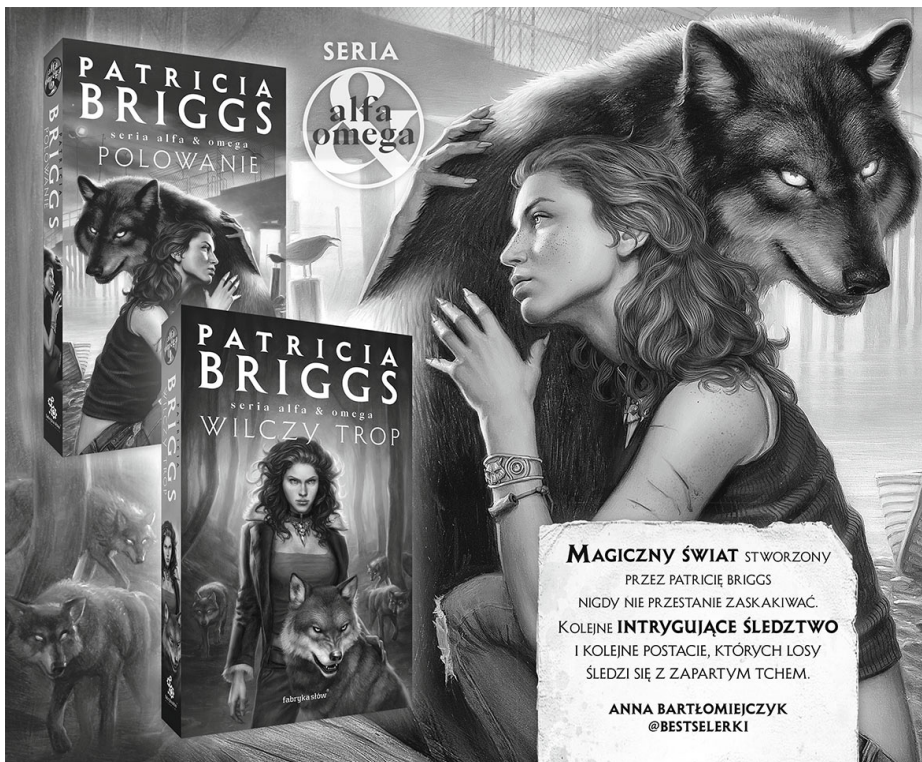
DANIEL MUNIOWSKI
(Strefa Czytacza)



Jeśli ktoś ma słabość do lirycznej prozy, misternej sztuki kreowania światów, przepięknie wyobrażonych postaci, frapujących i wciągających wierzeń ludowych, a także fascynującego wejścia w środowisko przypominające Państwo Wielkich Mogolów, nie musi już dłużej szukać.

BOOKLIST





MAGICZNY ŚWIAT STWORZONY

PRZEZ PATRICIĘ BRIGGS

NIGDY NIE PRZESTANIE ZASKAKIWAĆ.

KOLEJNE **INTRYGUJĄCE ŚLEDZTWO**

I KOLEJNE POSTACIE, KTÓRYCH LOSY
ŚLEDZI SIĘ Z ZAPARTYM TCHEM.

ANNA BARTŁOMIEJCZYK

@BESTSELERKI

COPYRIGHT © 2017 BY Ilona Gordon and Andrew Gordon
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

Tytuł oryginału: Wildfire

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-951-8

Opublikowano w porozumieniu z HarperCollins Publishers.

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

TŁUMACZENIE Dominika Schimscheiner

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska

PROJEKT OKŁADKI Szymon Wójciak

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Ivan Khivrenko Olexandrovich

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

TRYLOGIA UKRYTE DZIEDZICTWO

Świat Nevady Baylor i jej rodziny jest całkiem podobny do naszego. Może poza tym, że magia istnieje i decyduje o statusie jednostki, a zwyczajne śledztwo gładko może się zamienić w magiczną wojnę rodową. To zderzenie codzienności i humoru, z rozmachem i napięciem jest uzależniające. Uwielbiam wszystko co, pisze Ilona Andrews i to jak różnorodne są jej światy i bohaterowie. Jedno się nie zmienia – gwałtowna potrzeba, by natychmiast sięgnąć po kolejny tom!

ANETA JADOWSKA

Kiedy życie zadaje ci cios, zawsze jest to cios niespodziewany. A jeszcze częściej jest to cała seria niespodziewanych, wyjątkowo precyzyjnych ciosów.

Rany po sprawie Nari Harrison jeszcze się nie zasklepiły, a na progu już czeka nowe, równie śmierdzące zlecenie. Tym razem pomocy potrzebuje Rynda, była narzeczona Szalonego Rogana. A przecież nie ma nic lepszego niż piękna, bezbronna kobieta padająca ze łzami w ramiona twojego nowego faceta. Ale to tylko drobiazg w porównaniu z resztą kłopotów: Victoria Tremaine zrobi wszystko, by uczynić Nevadę swoją następczynią. Jedynym sposobem, by się przed nią obronić, jest złożenie wniosku o status Rodu, to jednak będzie wymagało pokazania magicznych zdolności członków rodziny całemu światu. I Nevada wcale nie jest pewna, co ostatecznie sprowadzi na jej bliskich większe niebezpieczeństwo. A tymczasem zostaje jeszcze do opracowania wielki spisek Magnusów, którym marzy się sięgnięcie po władzę absolutną.

**Cóż, Nevada – czas zakasać rękawy,
bo czeka cię naprawdę pracowity tydzień.**

